DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom I.

LWÓW,
Druk i nakład E. Winiarza.
1859.

SPIS RZECZY
zawartych w Tomie I.

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Dawne przysłowia i przypowieści:

Tom I. Nr. 1.

1. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na dobry początek.

W imię Boże! zapraszamy się do was w serdeczną gościnę, kochani ludkowie. Otwierajcie chaty wasze przed nami i po starodawnej gościnności bywajcie nam radzi!... Goścież bo my, goście... co się nie tyle domagamy po was chleba i soli, ile życzliwej chęci, i wiernej pamięci, i ucha bacznego, i serca miłego, — ta żebyście z chęcią przyjęli, a pamięcią zapamiętali, czego bacznem uchem zasłyszycie, a to wszystko miłem sercem pokochali. Więc naprzód święte sprawy, przykazania Boskie, Świętych żywoty i ich cnoty cudowne przedkładać wam będziemy przed oczy, abyście snadniej wiedzieli jak grzechu się ustrzedz, polepszyć na duszy i już za życia zasługiwać sobie na Boskie miłosierdzie. Więc potem świeckie sprawy, dawne dzieje, jak to po różnych książkach stoi mądrze napisano, podamy wam dla pamięci. I powieści z czasów dzisiejszych: o dobrych i złych ludziach, o zdrożności i przykładności, o doli i niedoli naszej, opowiadać wam chcemy gwoli zabawy, pociechy i dobrej nauki. I znowu pouczym was, kędy miasta nasze leżą, kędy rzeki nasze płyną, jakie zamki i kościoły, jakie pamiątki z dawności nam pozostały, a to żebyście, jako on dobry gospodarz dbały o swoje, który wie doskonale gdzie on leży w jego

obejściu, tak i wy mieszkający w tym kraju, obeznali się ze wszystkiem co w tym kraju jest. A i gospodarz na swoje gospodarstwo znajdzie tu niejedną dobrą poradę, i człek zaniemogły — jak sobie ma w złej chorobie poczynać, i matki wasze przy dzieciach — jak je uchować w dobrem zdrowiu.

I owóż to jest z czem do was zapraszamy się w serdeczną gościnę.

Takiego pisma będziecie dostawać z poczty waszej co dziesięć dni po osiem kartek, abyście mieli przy wolnej chwili choć coś do przeczytania. Nadto kto pilnie czytać będzie, otrzyma obrazek, który sobie będzie mógł w ramki oprawić i tem przystojniej swoją izbę przystroić. Żeby się wam zaś gdzie te pojedyncze kartki nie zatraciły, przyślemy wam na nie co sześć miesięcy okładzinki, a tak co pół roku zrobicie sobie jedną książkę z tego coście przeczytali i przechowacie ją dla dzieci swoich zanim podrosną. Cała ta sztuka kosztować was będzie na rok dwa reńskie nowe. Porachujmyż sobie na dnie abyście wiedzieli, ile to tego na dzień wypadnie. Rok ten w którym jesteśmy — jest rokiem zwyczajnym, więc liczy w sobie 365 dni. Gdybyście co dnia do swojej skarbonki składali po jednym grajcarku nowym, uzbieralibyście tego do roku 365 grajcarów. Tymczasem na to pismo nie potrzebujecie wydać, tylko 200 grajcarów, więc jeszcze nadto 165 grajcarów pozostałoby wam w skarbonce z tej codziennej składki po grajcarze. Czysty zysk! bo jak widzicie, przy końcu roku mielibyście swoje własne dwie książki w okładzinkach, i jeszcze w dodadku 165 grajcarów w skarbonce... a to wszystko sprawił ten grajcarek, coście go sobie co dnia składali. Mój Boże! a jakże to mało — to taki pieniążek jeno zda mi się dmuchnąć w powietrze, to by i nie wiedzieć gdzie się podział — a przecie po jednemu zbierając, tyle z niego będzie do roku pożytku!

KRÓL W KUMACH.

Ile praw, murów widzisz, to Kazimierzowi
Przypisz mało nie wszystko, Wielkiemu królowi.
A przytem Kazimierz Wielki, królem chłopków zwany,
Bo kochał bardzo chłopków, i był też kochany.
S. Klonowicz.

I.

Pięćset lat temu z górą... dużo lat, toć i dużo musiało się poinaczyć w tej naszej ojczyźnie. Bywało dawniej, gdzieś zajrzał okiem — lasy i puszcze nieprzebyte. Rosochate dęby, setne jasiony, wiązy i szare buki, białe topole, słodkie lipy, smukłe sosny, smereki i rzadko gdzie dzisiaj widziane modrzewie — rosły sobie pod słonkiem szeroko i wysoko. Po nad niemi często gwałtowały burze tak srogie, iże dęby najtęższe łamały niby chruścinę. W ich gęstwiach chowało się zwierza dzikiego bez liku, jakiego dziś nie napotkasz już w kraju; po krzakach i szerokich gałęziach tłumiło się ptactwo wrzaskliwe, a w wypruchniałych pniach starego dębu albo wonnej lipy roje wolnych pszczół składały sobie słodki miód.

Wtedy to ludu nie bywało tak mnogo jak dzisiaj, nie gęsto wiosek i białych dworców — a co do miast murowanych, to siła mil musiałeś upalić, zanimeś napotkał które, a i te nie takie ze wszystkiem kamienne były jako po dziś dzień, jeno po większej części pobudowane z drzewa. Powoli potem na tych puszczach, po lasach budowali się ludzie. Pracaż była to nie lada! dużo lat zeszło, zanim taka gromada pilnych osadników wykorczowała sobie dostatnie miejsce na mieszkanie, powytykała granice, pooprawiała i na korczunku poobsiewała pole. Ale bo wtenczas nikt sobie z ludu nie krzywdował w pracy, każdy się imał ochoczo do pługa, siekiery, radła i motyki, mając sobie taką pracę przy życiu uczciwem za honor, a kto by się tego chronił i lekszego zarobku w kupiectwie z żydowskiem tałałajstwem pospołu szukał po miastach, tego owszem wyśmiewano i podawano w nienawiść.

Owóż właśnie w onych dawnych czasach na ziemi Sandomirskiej za Wisłą, nie wiele mil od Krakowa królewskiego miasta, była sobie wioska taka cicha między lasami. Ludowina zgodna, spokojna, Bogu swemu i pracy oddana, mieściła się po starych

chatach pospołu z tem wszystkiem, czem ich łaskawe obdarzyły nieba. Na każdej strzesze długonogi bociek na szczęście miał gniazdo, ta nieraz bywało kiedy go zima wczesna zabiegnie w kraju, zakwaterował się do izby gospodarzy i z dziatwą żyjąc w przyjaźni, doczekiwał się tam zielonej wiosny. Po przed domostwa wiła się drożyna od lasu do lasu; wedle potoczek nie wieliczki tłukł się po kamienistym spodzie, sycony chłodną wodą ze źródeł lasowych. A za potokiem już pola i lasy kwitnące i na wzgórzu cerkiewka albo inaczej kościółek z modrzewia o trzech kopułkach z błyszczącemi krzyżmi. Tuż obok dwie stare lipy szumiące... a na ich konarach trzy rozgłośne dzwonki — taka była wioskowa dzwonica. Zaś nie opodal cerkwi widniał ze sadu szary domek księdza Franciszkana, którego starsi przysłali tu z miasta Krakowa, aby czuwał nad ludkiem tego sioła jako pasterz duchowny.

I było to jakoś już o późnej wiośnie. Rankiem porozbiegali się ludzie do pracy, jak komu wypadło; po chałupach pozostały tylko gazdynie, zaprzątnione wedle gospodarstwa domowego i dziatwa drobna igrająca na świeżej murawie przed chatami do słonka. Podrostki zaś pognały bydło ku lasowi na słodką paszę. Pogoda była tak piękna na niebie, że jeno się za to Panu Bogu pokłonić; po lasach zieleniały drzewa gęstym liściem, a w nich ptactwa wesołego jak mrowia... aże w powietrzu głuszyło się od ich rozmaitego spiewu.

Z tej strony sioła gdzie ano dwie drogi się schodzą, jedna co idzie odewsi w prost ku lasowi, a druga co wiedzie w poprzek pod samym lasem, — tam stała stara grusza na oznakę graniey. Setne to było drzewo i Bogu chyba wiadomo od wielu już lat strzegło tu granice i słodki rodziło owoc. Ale bo szanowali go ludzie obcy i swoi, jako że za poszkodowanie takiego granicznego znaku winowajca obwieszon bywał na gałęzi. A znowu ani go burza ani piorun ognisty nie raził, bo go od takowego przypadku chroniła Matka Boska i Pan Jezus, w cudownym obrazie między gałęzie osadzone. Nie opodal tej gruszy, na okrawku żywej dąbrowy pasła się krówka rozkoszna gdyby łania i żwawo uwijała się po bujnej a żyznej trawie. Na nią dawała pozór dziewuszka nieletnia. Niestrojnaż bo niestrojna! koszulinka zgrzebna,

w pasie opięta rzemieniem i krasną szmatką podwiązana pod szyją, tyle na niej wszystkiego jej stroju. Ale miała ci ona za to inne drogości od Niebieskiego Pana sobie nadane, jakich nie kupić za żadne pieniądze: miała buziaczek świeży jak czerwone jabłuszko, miała oczka takie czyste jak gwiazdy niebieskie, a na głowie włos jasny niby len wyprawiony jeno błyszczący gdyby od złota. Ta zresztą co najlepszego, miała duszyczkę poczciwą; bo że dobrą była, zaraześ to po niej zmiarkował jak skorożeś tylko na nią raz spojrzał. Więc krówka sobie a ona zaś sobie za kwiatkami po trawie chodziła. I gdy ich już sporo w obie garście narwała, poczęła wić piękne wianki: ta jeden dla Matki Boskiej, ta drugi dla pana Jezusa, ta trzeci dla siebie samej. Ale przy tej pracy nie zaniechała poglądać od czasu do czasu za krówką, zwłaszcza że niedaleczko kwitnęły pola gromadzkie, a u bydlęcia nierozumnego nie trudno leźć tam gdzie mu się nie należy.

— Maryś! a dawaj pozór żeby gdzie nasza nie zalazła w szkodę, bo to grzech! — tak jej co dnia prawili doma ojcowie gdy w pole ganiała. Więc ojców słuchała i grzechu na to mówiąc jak ognia się strzegła.

Sporo szła jej robota, oczkami śmiała się do kwiatków — i był już gotów wianeczek jeden, wnet drugi aż i trzeci na ukończeniu. Tak duchem poskoczy ze ziemi i już ci po gałązkach niby wiewiórka jaka wydrapała się na gruszę i do świętego obrazu. I jak miała trzy wieńce, tak jeden dała Matce Boskiej, a drugi panu Jezusowi, a trzeci sobie samej. A że umiała do tego spiewki — więc spiewała niby jaka ptaszyna z po za gałęzi rozkwitłej gruszy cudną pieśń do Maryi panny.

Bogarodzico dziewica, Bogiem sławiona, Marja!
U twego Syna, hospodyna, matko zwolona, Marja!
Ziścij nam, spuścij nam — Kyrie elejson —
Twego syna Chrzciciela w zbożny czas.

Taki początek tej pieśni cudownej, którą ano teraz zawodziła nasza dziewuszka na gruszy przy świętym obrazie. Już natenczas kiedy się to działo, pieśń ta była bardzo dawną i od wielu lat w Polsce znaną. Pierwszy św. Wojciech, biskup — apostoł i męczennik nasz pierwszy pochwalił nią Bogarodzicę — więc temu już po dziś dzień będzie lat dwiewięćset. Za nim śpiewała

ją cała Polska przez dużo, bardzo dużo lat. Od mizernego kmiotka do samego króla pana, od drobnego dzieciaka do późnego starca wszyscy ją mieli w uściech i na sercu.... I ojciec co z pługiem wyjeżdżał na pole, i matuś co kolebała dziecię swoje doma, i człek wojenny co piersią żelazną odpierał wroga od polskiej granicy, wszyscy zarazem śpiewali: Bogarodzica!.... Ta zasiew się udał, rola gospodarzowi dała chleba podostatkiem, ta dzieciak doma podrastał jak sośniak, a zdrów jak rybka, ta i wojenny człek pobił kilkakroć silniejszego wroga i wrócił szczęśliw do domu. I była szczęsna dola po wszystkiej ziemi naszej za niebieską sprawą Bogarodzicy — aż póki.... At co znowu, rozgadałem się jak na to mówiąc dziad na odpuście, a tu nasza dziewuszka spiewa sobie a spiewa pieśń Bogarodzicy na gruszy, aż gdzieś daleko, bardzo daleko po lesie rozchodzi się to jej cudne spiewanie. — Cyt maleńka!.... cosik tam w lesie zaszumiało niby od wichru. Gdzie tam, Maryśka ani zasłyszy tego w śpiewaniu.

Ale ba, taki to nie wicher szumiący, bo ani na raz się nie uciszy, a ziemia na leśnej drodze dudni, że już wyraźnie znać tętent kopyt końskich.... cytże Maryśka!

Daremnie! dziewucha jak nie słyszy tak i nie słyszy, i właśnie co już kończyła śpiewanie temi słowami:

> . . . Amen, amen, amen.
> Tako Bóg daj, byśmy poszli wszyscy w raj,
> Gdzie królują Anieli —

gdy na skręcie drogi z lasu okazał się człek jakiś na koniu. Jak ci ten śpiew dziecka zasłyszał, tak duchem ściągnął bystrego konia że stanął jak wryty w miejscu. I dalejże głową kręcić a oczyma patrzyć na wszystkie strony, na przekonanie co to jest. Słucha, głos idzie od gruszy; więc puszcza się tam wprost, zdejmuje czapki futrzanej i podpatruje ciekawie pod gałęzie, osypane gęstym liściem i czerwonym kwiatem.... aż przecie dowidział spiewaka.

— Na miły Bóg! zawoła dobrym głosem — a toż mi dopiero ptaszka śpiewająca!... hej dziecko, a co ty tam robisz?...

Dziewuszka zagapiona tak niespodziewanie od kogoś, co to nie był ani jej ojciec, ani brat, ani żaden znajomek, ale jakiś obcy pan czy wojak, taki zbrojny, a taki strojny, a czarnowłosy, a z czarną brodą, a postawy pysznej, a siedzący na koniu bystrym, na

koniu wronym jak kruk — oj, źle! poduma sobie w duchu, a może to jaki niedobry człek!... i dygocąc cała od strachu jak nieprzymierzając wiotka trzcinka na stawie, tuli się oburącz do świętego obrazu nie rzekłszy ni słowa. A tu na domiar jej trwogi wali z lasu na drogę cała czereda takich panów czy wojaków, strojno, zbrojno, chłop w chłopa, koń w konia.... aż się w dziewczynie dech zaparł od lęku. Tak jak powychodzili z lasu i onego pod gruszą zajrzeli, zaraz ci wszyscy osadzili konie w miejscu i pozostali tak opodal stojący w milczeniu. Znać było że to słudzy pańscy, a on pod gruszą ich pan.

— Słuchaj dziecko! mówił ten pan znowu a po trochu zacinał w mówieniu. Nie bądź-że taka płochliwa jak jaka prawdziwa ptaszka. Przecie ja ci nic złego nie myślę zrobić, zwłaszcza kiedy tak ładnie spiewasz na cześć i chwałę naszej Niebieskiej Królowy.

Tem przemówieniem opamiętała się nieco dziewczynka z przestrachu, ale zawsze jeszcze nie dowierzając, popatrzy z pod ręki lękliwie na nieznajomego. Ta jak uwidzi twarz jego piękną i dobrotliwie uśmiechniętą, i te oczy jego tak jasno ku niej patrzące, już wtedy innego nabrała serca i jakby do jakiego swojaka przepowie:

— No, kiedy powiadacie żebym się nie strachała, niech będzie i tak. Ale na Matkę Boską!... straszniem się was była przelękła na razie.

— Jak ty się dziecko nazywasz?....

— Marysia, wołają mię doma i na wsi, chyba że się na mnie pochmurzą — to wtedy Marynka.

Uśmiechnął się pan dobrotliwie na takie szczere gadanie dziewuszki i zapyta o ojca, ta i o macierz i o resztę rodzeństwa jeśli ma. —

I dowiedział się pan czego chciał. — Ta że ojciec Janko, a matuś Jaga co siedzą ano w tem siole na prost kościółka; ta że matuś zaniemogła cosik od wczora, a że ojciec już nie od wczora czegoś się wielce markoci, a patrzy po kątach, a wzdycha ciężko z piersi niewiadomo czego, bo dzieciom nic o tem nie powiada; ta że ona Maryś ma brata starszego Stach co już wart chodzić za pługiem, i Bognę siostrę nad sobą, i Zosię co jej niedorosła, i Wicka braciszka małego, i najmniejszą Magdusię

co to ją właśnie tamtej wiosny jak powiadali matusia — bociek przyniósł od Boga.... ta i tyle wszystkiego.

I policzył sobie pan w głowie, co zasłyszał od dziewuszki i zaraz zmiarkował, że ich było sześcioro, a gazda i gazdyni dwoje — więc razem ośmioro w rodzinie. I już na to nic; jeno się bardzo ucieszył że dziewczynka taka mowna a znowu taka pamiętna na Bożą Rodzicielkę i pana Jezusa, wijąca dla nich świeże wianki co rana.

A oni słudzy pańscy co stali na koniach opodal, mocno się temu dziwowali, z kim to ich pan tak rad rozgaduje się pod gruszą; bo że gałęzie były gęste a liścia i kwiatu pełno — nie mogli nic widzieć. Aż kiedy pan ściągnął ręce do góry i zwiódł dziewuszkę łaskawie do siebie na konia, dopiero wtedy ujrzeli kto był. Ale przeto dziwować się nie przestali i z ciekawości oczy a gęby rozwierać szeroko, zkąd bo znowu taka serdeczność pańska do obcego dziecka!....

Tymczasem pan trzymając Marysię przed sobą na koniu, przypatrywał jej się oko w oko z taką twarzą dobrą, jak na to mówiąc właściwy ojciec na swoje dziecko patrzący. Tedy i Maryś już ani krzty nie pokazywała strachu po sobie. Czuła ona że to człek dobry co ją tak niby ojciec piastuje i tuliła się doń życzliwie. I dał jej pan ojcowskie pocałowanie na czoło a potem z konia postawił na ziemię:

— Pozostań z Bogiem, Marysiu! — powiada, a pociesz ojca, niech się nie frasują tak bardzo, bo jest ktoś taki na świecie, co mu niebawem pociechę wniesie do chaty w imię Jezusa i jego Matki przenajświętszej.

To mówiąc przed ś. obrazem uchylił czapki futrzanej, przeżegnał się krzyżem ś., zwrócił konia na miejscu i błyskawicą pognał wedle lasu drożyną, a za nim i reszta na koniach pomknęli w cwał. Zadudniała ziemia z pod kopyt końskich jak gdyby zagrzmiało gdzieś niedaleko, wiatr mocny powstał i wielką kurzawę sprawił na suchej drodze, a z pobliskich drzew popłoszone ptactwo z krzykiem uleciało w głąb lasu. Niebawem wszystko ucichło, kurz się rozsypał w powietrzu i na drożynie pod lasem już żywej duszy nie było.

(Za drugą razą opowiemy wam co się stało dalej.)

SPIEWKA O DZWONKU.

Ułożył Bartłomiej z pod Wiśnicza.

Hej w Krakowie, w sławnem mieście wielkie kamienice —
Wyszło z zamku trzech trębaczów na grodzką ulicę:

Wojewodów na naradę król zwołuje stary,
Jakby uczcić Pana Boga za rozliczne dary.

I zasiędą Wojewody, radząc nieustannie,
Jaką cześć by oddać Bogu i najświętszej Pannie....

— Hej po majstra, po sławnego poszlijmy za morze,
Niech dzwon leje co największy, sławić dzieła Boże!

I przyjechał sławny majster, skłoni się koła —
Topi mosiądz i miedź topi na dzwon do kościoła;

A jak topi, tak dziad stary idzie sobie drogą —
Torby jeno na nim widać i świtę ubogą, —

Ale w ręku miał bogactwo największe na ziemi:
Miał dziadowską starą lirę z strunami śrebrnemi....

A jak przyszedł nad fabrykę dziadek ten i żebra,
Zerwał i do kotła z miedzią rzucił strunę z śrebra....

I ulał dzwon sławny majster, zawiesił na wieży,
A dzwon dzwoni, a dzwon dzwoni coraz szerzej, szerzej, —

I po całej Polskiej ziemi tem głośniej, czem dalej —
A tak dziwnie jakoś czule, aż ludzie spłakali....

Od śrebrnej to struny z liry głos tak cudny spada —
Oj, nie tak od tego śrebra, co od serca dziada....

Oj ty dziadu stary dziadu, pomagaj ci Boże —
I niech pacierz twój na niebie nam też dopomoże, —

Niech uczciwie i serdecznie lud nas słucha wszelki,
Bo my także dzwon lejemy, chociaż nie tak wielki, —

Bo my także dzwon lejemy, dzwon chociaż nie z miedzi —
I by ulać go majstersko, głowa nam się biedzi, —

Bo my także dzwon lejemy, chociaż nie na wieżę —
A lejemy go pobożnie, lejemy go szczerze....

Dzwonek ci nasz oj, dzwoneczek wam do chat zagości —
Otwierajcie mu wrota w uczciwej miłości....

Dzwonek ci nasz, mały dzwonek, dzwonek papierowy,
Niech wam serca rozwesela, niech naucza głowy....

Dzwońże dzwonku nasz maleńki, dzwoń przez kraje całe —
Dobrym ludziom na pociechę, a Bogu na chwałę! —

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Gromada Krościeniecka.

Nic tak człowieka nie polepsza, jak kiedy widzi drugiego w dobrym uczynku. Ojcowie przykładni wdzięcznych dochowują się dzieci, gospodarze rzetelni rzadko narzekają na sługi swoje, starsi w gromadzie, stojący dobrym przykładem, nie wiele mają do czynienia z niepoczciwością w swojej gromadzie, bo za ich przykładnym żywotem i reszta na wsi idzie ku ulepszeniu.... i tak dalej, jak nas opatrzność boska ustanowiła na tym świecie: niżej albo wyżej, w każdziusieńkim stanie winniśmy się tak zachować, aby niżsi mieli z nas dobry przykład, a u wyższych abyśmy sobie zasługiwali na miłość i szacunek. Że tedy tyle przypisujemy dobrego przykładności ludzkiej, dla tego od czasu do czasu, skoro gdzie wyczytamy w jakiem piśmie, albo zkąd innąd dojdzie do naszej wiadomości dobry uczynek jakowego człeka, podamy go wam w tem pisemku na dobry przykład.

Otóż dziś opowiemy wam o pięknem zachowaniu się Gromady Krościenieckiej, cośmy o tem wyczytali w Czytelni Niedzielnej. A ta Czytelnia Niedzielna to takie pismo jak i nasze oto, jeno że nie we Lwowie ale w wielkiem mieście Warszawie pisane dla tamtejszego ludu i czeladzi rzemieślniczej, z wielką dla nich pociechą i nauką. I stoi tam tak napisano:

„Siedm lat temu, gdy w Galicji w Krościenku, co jest wieś w obwodzie Jasielskim, dnia 18. listopada wszczął się straszliwy pożar i od razu ogarnął płomieniem dworskie stodoły i budynki gospodarskie ze wszystkiem.

Pożar na wsi jest groźniejszy zawsze, niż w mieście; bo ogień łatwo się rozszerza po dachach słomianych i ścianach dre-

wnianych, i na pomoc niema tyle rąk gotowych i sposobów, jak w mieście, aby przytłumić płomienie.

To też w Krościenku rozpacz ogarnęła dziedziców, gdy pożar wybuchnął, i coraz wśród kłębów dymu chwytał budynki, zamieniając w popiół. Aleć Bóg, gdy dotknie srogą klęską, to i pomocy nie odmówi w nieszczęściu. Gromada wiejska na pierwszy okrzyk trwogi, zbiera się razem i biegnie na ratunek, a na jej czele spieszył Stanisław Olbrecht, kmieć z Krościenka. Za jego przewodem jedni rzucają się śmiało w zajęte płomieniem budowle, i ratują inwentarz i sprzęty, drudzy zasiedli na dachach dworu, stajni i obory, nie dając przystępu pożarowi.

Ogień trwał przez noc całą, i przez dzień cały następny, zanim dzielną pomocą gromady potłumionym został. Kiedy dziękowano Bogu za szczęśliwy ratunek, spostrzeżono, że braknie najdzielniejszego obrońcy, Stanisława Olbrechta. Zacny ten kmieć nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, padł ofiarą swego poświęcenia. — Ciało jego osmolone leżało pod niedopaloną belką z zapadłego dachu. I państwo z Krościenka, i gromada cała, otoczyła martwe zwłoki szlachetnego człowieka, co padł jak mężny żołnierz na polu chwały, i z płaczem modlili się za jego duszę. Gromada zasmucona boleśnym zgonem Stanisława Olbrechta, nie poprzestała na dzielnej obronie, ale po krótkiej naradzie, wszyscy pospieszyli do domów, aby zasobami gospodarskiemi wspomódz nieszczęśliwe w pogorzeli państwo. Kmiecie i gospodynie, ci siano, słomę i owies dla pozostałego inwentarza, a ziarno na chleb — te drób, masło i co było w chacie, ochoczo znosili. Z płaczem wdzięczności przyjmowało państwo te dary z ręki zacnych i pracowitych włościan, co nie pożałowali tak krwi swojej jak i mienia swego na ratunek bliźnich, wedle przykazania Bożego: *„będziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego.“*

DOBRY GOSPODARZ.

Mało masz u nas takich gospodarzy, którzyby warci byli zwać się jak to mówią: g o s p o d a r z a m i c a ł ą g ę b ą. Jużcić jeść albo pić całą gębą — o! na to, to już każdy jak na lato; ale postarać się o to pracą i rozumem, aby tego jedzenia starczyło

na życie — do tego niewiele między nami ochotnych. Z tej przyczyny nieszczęsna bieda panuje sobie po naszych wioskach, od wiosny do wiosny. Toć kiedy innym rado uśmiecha się słonko wiosenne, naszym ludziom natenczas zwykle najsroższa doskwiera niedola. W stodołach i po zasiekach proch jeno czysty, mysz by się tam nawet nie pożywiła, — w chałupie pięknego ziarna nie uświadczysz choćby na lekarstwo, — co było w komorze z przyodziewku i innego majątku, poszło do żyda za jaką ćwiartkę mizernego pośladu, gazda — prawie cień tylko człeka, ledwo nie ledwo powłóczy się tam gdzieś na jaki zarobek chwiejący z osłabienia, gazdyni rozpala na kuchni, ale do ognia chyba garnczek z czystą wodą przystawi, ta uzbiera tego zielska po miedzach, zażyczy się gdzie jeśli można na jaką garść pośladu, zmiele to na prędce, zrobi zaprażkę do owej niepociesznej strawy i taką na południe niesie swojemu ku posileniu, — a na dziatwę piszczącą z głodu po chałupach aż żal popatrzeć.... takie to nędzne, zmizerowane, niby nieludzkie stworzenia. Jak się nazywa ta bieda, chodząca o wiośnie po naszych ludziach?... wiadomo każdemu że p r z e d n o w e k. Przez cały rok straszą się nim ludzie i prawda że się mają czem straszyć, ale zaradzić temu ani im w myśli nie postanie. Da Bóg łaskawy ile tyle chleba w lecie — to halo! używa po szyję, nie dba o zarobek, choćby mu się sam garnął do ręki, marnuje za wódkę u żyda i tak żyje na obrazę Boską, na zgorszenie ludzkie i na własne nieszczęście, d z i ś j a k b y j u t r a n i e b y ł o. Aż kiedy pustki w komorze, dopiero wtedy: z m i ł u j s i ę B o ż e! skwierk, lament, ale już po niewczasie — bieda przez próg lezie... nie ujdziesz jej nieboże. Prawda iż często gęsto zażyjesz przednowku choćbyś i niekoniecznie taki był utratny; ale że padł nieurodzaj, albo grad wybił na polu, ogień zniszczył, woda zalała, albo że niemoc przypadła na cię ze złej choroby i zmarnowałeś sobie siła czasu bez nijakiego zarobku i grosz uciułany z dawnego lata wydałeś na leki. To prawda — przypadki chodzą po ludziach i za to też człek sobie niewinny: chyba że to pokaranie Boskie za wielkie grzechy, — wtedy nad wszystkich ów grzesznik winniejszy. Ale o takich przypadkach tu mowa, na które sobie człek nie zasłużył — bo w tem B o s k a w o l a, i temu już najlepsze nie zaradzi gospodarstwo. W tym jeno razie, gdzie sobie sam człek winien,

dobra rada nadać się może, jeśli tylko jest wola po temu i szczera do pracy ochota. I do tych dobrowolnych i pracowitych właśnie przemawiamy tem pismem, podając im rady, przestrogi i nauki gospodarskie, przez ludzi doświadczonych i tego dobrze świadomych, po różnych książkach spisane.

Dobry gospodarz przedewszystkiem powinien wiedzieć, iż to, co ma, to naprzód Boskie, a dopiero jego, Taki gazda nie zaprzepaści majątku z dobrej woli, uważając iż nie ma prawa, rządzić się sam bez pozwoleństwa Bożego. I jako ten dobry sługa, który się z każdą rzeczą odnosi do pana swego, tak i on nie rozpocznie żadnej pracy bez pana Boga. Pracuj we dnie, pracuj w nocy — Trudnoć bez Pańskiej pomocy. Tak powiadał jeden mądry człek przed dużo laty, i bardzo mądrze powiadał. Miły też sługa nie poważyłby się urazić na siebie dobrotliwego pana; — więc i on miłujący w służbie swej pana Boga, oraz i w bojaźni Bożej żyć będzie, dający baczny pozór na swoje postępki. Szczęście tam bywa, kędy bywa Boska trwoga — wiadomo wam z dawności. Dość jednem słowem, gospodarz dobry żyć będzie wedle przykazania Boskiego i stanie mu się dobrze: bo jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie.

Dobry gospodarz nie będzie zadzierać z sąsiadami swymi; zgodny, przyjacielski, nieuraźliwy, cudzej miedzy nie zaorze, bydlęcia nie pogna w szkodę, obcej pracy nie ruszy, choćby tyle znaczyło co na marną szpilkę: bo z ludzkiej krzywdy człek nie otyje; — jeno własna praca popłaca.

Dobry gospodarz dla starszych z wieku i urzędu, będzie miał poszanowanie, bo takać już prawda na świecie: że kto nie poszanuje starszych, tego na starość psy gryzą. Dla młodszych znowu stać będzie dobrym przykładem, nie pogorszy on dzieci ani czeladź swoją żadnym złym uczynkiem, zawsze pilny, trzeźwy i rządny — taką też i czeladź mieć będzie do pomocy i na stare lata z dzieci pociechę. Ze swoją co mu się stała matką jego dzieci, żyć będzie w zgodzie i miłości, do garnczków jej się nie wtrąca, jej dobrej zady posłucha, ale przewodzić nad sobą nie da — biadaż bo temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi. A dla ubogich zawsze ma serce otwarte i chleb gotowy, już to dla samej ludzkości, już dla przy-

kazania Chrystusa Pana, który rzekł; *kto daje ubogiemu — tak jakoby mnie dał.*

Dobry gospodarz idzie najpóźniej spać a najraniej wstaje, zato mu też Bóg daje — wedle przypowieści. Sam wszystkiego dojrzy własnem okiem, by nie dołożył workiem, ładu i porządku się trzyma, każdą rzecz w swojem gospodarstwie i po ciemku namaca, dba oto aby chałupa była zaopatrzona jak się patrzy, ciepła, czysta i widna, boć to z drowia dodaje, a tego jak wiemy nie kupić za żadne skarby, gdy się go raz utraci. Podobnie i inne budynki trzyma w dobrym stanie, stodołę aby mu zboże nie zamakało, oborę aby mu bydle od zimna i innej niewygody nie zmarniało. Płoty u niego pięknie ogrodzone i zaciernione, przez co i nie jednej szkody się ustrzeże i u ludzi będzie dobrze opisany — *gdyż jak cię widzą, tak cię piszą.* Zreszta od czeladzi nad siły nie żąda, bydlęcia w pracy nie przeładuje, każdemu da co mu się należy, brzydkiej chciwości nie zna, ale niepotrzebnego zbytku się strzeże, w czas przyzwoity zabawić się sam lubi i drugiemu nie broni, byle w miarę — *bo i dobrego za nadto nie zdrowo.*

Dobry gospodarz w czas w polu obrobi, postara się o czyste zboże do zasiewu, bo jak to powiadają: *Który człowiek plewami sieje swoją rolę, Taki nędzę będzie żął i swoją niewolę* — i nie pożałuje ręki, wydatku i czasu, gdy z dawnej już praktyki wiadomo: że skąpy w gospodarstwie dwa razy na tem traci, i że pieniądz i praca w roli nie zginie, lecz owszem w dwójnasób się wraca.

Dobremu też gospodarzowi nie dosyć na samej roli boć on co się na wszystkie strony ogląda, wie że może paść nieurodzaj, grad, wielka woda; ot i byłoby już po chlebie. Dla tego i wedle sadu krząta się pilnie i poucza się od drugich jeśli jeszcze w tem niekoniecznie mądry. Zdarzy się tedy że będzie w polu obfito i sad także obrodzi... to od przybytku głowa nie boli, coś się przy tem chleba oszczędzi, coś na targ wywiezie i będzie z tem lepiej, jak bez tego. Kiedy znowu rola zawiedzie i mało co do stodoły się zwiezie, wtedy właśnie może Bóg na owocach poszczęści — i będzie z tego nie mała pomoc dla niego. *Oj mądrze ten czyni co sobie wróży na dwoje!*

Dobry gospodarz nareszcie jednej chwili nie zmarnuje; więc gdy się w domu z pracą upora, rzetelnego sobie zarobku poszuka. A dobrej woli człeku nigdy na tem nie braknie, wszędy go dobrze przyjmą, we dworze czy u księdza, jako że go z dobrej i uczciwej pracy znają. I nie dość że mu grosza kapnie do kalety na potrzebę domową, na podatki i inne przypadki, ale jeszcze nad to w dobrem będzie u ludzi zachowaniu i w każdym razie ma drogę otwartą do dworu i do księdza proboszcza, czy to po dobrą radę czy po jaką zapomogę — **boć dobremu każdy rad**.

Taki to u mnie dopiero **gospodarz dobry**, co się zwie: **całą gębą**. Nie zazna on tej paskudnej biedy co ją nazywają przednówkiem, a w najgorszym razie przynajmniej głodu nie ucierpi, bo u przyjaźnych ludzi znajdzie zawsze gotową pomoc dla siebie. Dajże nam Panie Boże jak najwięcej takich oto gospodarzy w kraju, aby raz przecie tej nieszczęsnej biedzie przyszło na koniec i nasi ludzie po wsiach z piękną wiosną, zamiast płaczu i lamentu, wraz z ptactwem śpiewającem wesoło Ciebie chwalić mogli — o! Boże!

RÓŻNOŚCI.

Stary Wilgus z Binczyc. Chociaż my prości ludzie, nie nauczeni na książkach, jeno sobie w roli pracujący, to taki dał Bóg nie jednemu z nas tyle rozumu i zmyślności, że się aż z tego nieraz dziwo robi innym uczonym po miastach. Ileż to mamy takich chłopaczków, co chodząc za bydłem, aby im się nie cknęło, wykręcą sobie z młodej wierzby piszczałkę, przystroją po swojemu, i jak zaczną na niej głosić różnie a różnie po polu, to słuchający tego człek, myślałby że oni ptaszków nałapali do swoich zielonych piszczałek co tak głoszą po polu różnie a różnie, a to oni sami z siebie niby ptaszkowie tak wygrywają. Albo i drugi — wystruga sobie takie skrzypki z lipiny, ponaciąga struny baranie, nawiąże końskiego włosia na smyk — i już ci muzyka z niego od ucha na ludzką pociechę. To znowu inny prostym kozikiem, jak na ten przykład górale nasi, co uwidzi — z drzewa wystruga, a tak jakoś zgrabnie i ładnie, że i majster uczony lepiej by tego niedokazał. Oj dał ci nam dobry Bóg dużo rozumu, ta i dał! niech by jeno przy tym rozumie jeszcze i do nauki była ochota, to i nie małoby ztąd dla kraju pożytku, a dla was pięknej sławy urosło.

Owóż jeden z takich zmyślnych nad podziw ludzi był do niedawna żyjący w Binczycach pod Raciboro-

wicami stary Wilgus. Dziwności rozpowiadają sobie o nim ludzie co go znali. I tak pewnego razu pękł dzwon na wieży w Raciborowicach. Lud się smucił, bo dawniej pięknym głosem dzwon ten wzywał pobożnych do modlitwy, a teraz klekotał jak stłuczony garnek. Sprowadzają różnych majstrów, ale nikt się nie chciał podjąć jego naprawy. Przychodzi i Wilgus z Binczyc, ogląda dzwon i powiada że mu głos przywróci. Wziąwszy cienki pilnik, czysto, gładko wyskrobał i wygładził dzwon, tam gdzie miał pęknięcie, a potem każe dzwonić. Parafianie aż osłupieli z zadziwienia i ledwie uszom swoim wierzyć chcieli, bo dzwon znowu tak mile dzwonił jak pierwej. Gdyby byli mogli, byliby złotem Wilgusa obsypali.

Pewnego razu na jarmarku nagle ze wszystkich stron krzyczeć zaczęto: Patrzcie! patrzcie! Wilguś jedzie! Na ten głos jeden za drugim biegnie i przypatruje się, a tu sobie Wilgus jedzie na targ wózkiem bez koni. Wilgus tak sztucznie wózek zbudował, że siedząc na nim tylko kręcił, a on leciał gdzie pan jego chciał, choć koni zaprzężonych nie było. Był to człek bardzo pobożny, na zysk nie chciwy, żył w obóstwie, dla każdego był grzeczny i przyjacielski, a zawsze zamyślony, z głową ku ziemi spuszczoną. Powiadał, że kiedy coś nowego chciał zrobić, to mu się najpierw we śnie objawiło, a kiedy się obudził, to już wiedział jak to zrobić. Przed kilku laty przemyślał on podobno nad sztuczną młockarnią i nad lepszem wiązaniem budynków; bo Wilgus znał się na mularstwie, na ciesiółce, kowalce, stolarce, malarstwie, a nawet zegarmistrzostwie.

Ktoś pytał: Mojeściewy ludzie powiedzcie no mi, dla czego to jeden choć niby nie wiele zarobi, a taki ma chleba podostadkiem, i wedle niego ochędożnie aż miło, i w komorze nie pusto, i w skrzyni nie ostatnio?

Odpowie drugi: Ta bo ciągle pracuje, mój ciekawy człeku, i choć to niby jak powiadasz niewiele, ale że ciągiem zarabia, to ma. Grosz do grosza spychany, przysparza chleba i sukmany. Kto zaś w niedbalstwie dzionek traci, ten się nigdy nie zbogaci.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Chrzan się chlubi: dobry ja z miodem, a miód na to: kat cię prosi, dobry ja i bez ciebie.
2. Kiedy pies spi, żyd przysięga, pijany się modli, a kobieta płacze, — rzadko wierzyć trzeba.
3. Kto we żniwa patrzy chłodu — Nacierpi się w zimie głodu.
4. To pan zdaniem mojem — Co przestał na swojem.
5. Bezbożny chleb, gdy z cudzych ziarnek.

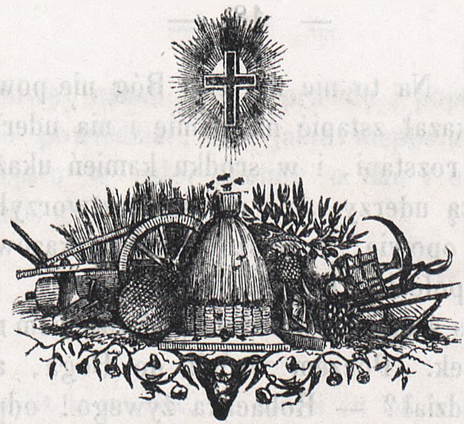
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 2.

11. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

MATKA I ANIOŁ.

Przed laty żyła w pewnej wiosce bogobojna i cnotliwa wdowa. Nie miała ona żadnego majątku, tylko z pracy rąk swoich utrzymywała siebie i swoje kilkoro dzieci, do których duszą i sercem przywiązaną była. One ja też bardzo kochały, i zdawało im się, że bez niej żyćby nie mogły. Tymczasem nad spodziewanie ciężko zachorowała i nie było nadziei wyzdrowienia. Zbliżyło się konanie i Bóg zesłał już anioła-stróża, aby jej duszę przyprowadził do nieba. Widząc dzieci słabość matki, rzewliwie płakać i wyrzekać poczęły. Ona, spoglądając na nie, bardzo się rozczuliła, bo jej stanęło na pamięci, że zostawi sieroty, niezdolne jeszcze zarobić sobie na kawałek chleba. Widok konającej matki i płaczących sierot wzruszył przytomnego anioła tak, iż wymógł na śmierci, że jeszcze nie zabrała dzieciom matki. I ozdrowiała kobiecina i po dawnemu krzątała się około wychowania swoich dziatek. A kiedy anioł opuścił ziemię, i stanął przed Bogiem, zapytany był, czemu rozkazu nie wypełnił. Odpowiedział, że płacz dzieci i litość ku sierotom, któreby po śmierci matki były zostały bez przytułku, pomocy i obrony, pobudziły go do wyproszenia

matki od śmierci. Na to nic mu Pan Bóg nie powiedział, tylko mu dał laskę i kazał zstąpić na ziemię i nią uderzyć w morze. I morze mu się rozstąpi, i w środku kamień ukaże. W ten kamień znowu laską uderzy aby mu się roztworzył — i co tam zobaczy, niechaj opowie. Posłuszny temu rozkazowi anioł, uczynił co mu Bóg polecił. I rozstąpiło się morze, i rozdwoił się kamień, a w jego środku z wielkiem podziwieniem niebiana ukazał się żywy robaczek. Poczem wrócił do Boga, a Bóg go się zapytał: coś widział? — Robaczka żywego! odpowiedział. — Na to mu Pan Bóg: Aniele! jak o tem żyjątku, w twardym głazie ukrytem, wiem i ono utrzymuję, tak podobno i o tych sierotach byłbym pamiętał; bo choćby i matka zapomniała o swojem niemowlęciu, ja przecież o niem nie zapomnę. Ty zaś za pokutę twego nieposłuszeństwa zstąpisz na ziemię, przyjmiesz postać człowieka, i tam przez trzy lata służyć będziesz. — Ten wyrok Stwórcy przyjął anioł z największą pokorą, poszedł na ziemię i urządził się do jednego pana, i wiernie i pilnie wykonywał włożone na siebie obowiązki, przezco zjednał sobie łaskę, miłość i szacunek całego dworu. Do kościoła tylko chodzić nie chciał. Gdy go o to razu pewnego, a było to przy końcu trzeciego roku, pan jego, człowiek bardzo pobożny, należycie złajał, pojechał z nim w niedzielę na nabożeństwo; lecz zamiast wnijść do kościoła, został się na cmentarzu, nazbierał kamyczków, a gdy ludzie gromadnie wychodzili, zbijał siedzące kruki na kościele. Tym postępkiem oburzony pan, zaczął go w obec wszystkiego ludu karcić, i zniewagę, miejscu świętemu wyrządzoną, na oczy wyrzucać. Na to on mu tak odpowiedział: „Jestem anioł w ludzkiej postaci, zesłany z nieba na ziemię na trzyletną pokutę; a powiadam wam, iż nie znieważyłem miejsca tego mojem postępowaniem tak, jak wy nabożeństwo swoją oziębłą i niedorzeczną przytomnością. Ciało wasze w prawdzie było czynne dla oka, lecz duch bujał jak te kruki nad kościołem bez najmniejszego zastanowienia się, bez uczuć serdecznych ku Bogu waszemu, i modlitwy, któreście dotąd odmawiali, nie były szczere i w duchu odprawiane, a więc Stwórcy waszemu niemiłe“ — to mówiąc zniknął. — Wszyscy oniemieli prawie z podziwienia, a wracając do domów swoich, rozważali sobie ową nie-

spodziewaną mowę, uznali w niej prawdę i poprawili się. A ze im anioł także powiedział, za jakie nieposłuszeństwo musiał pokutować, często w całej okolicy o nim i o biednej wdowie gadano i do dziś dnia gadają. *Sz. N.*

ZŁOTA KACZKA.

— Czyliż to prawda, że kiedyś źli ludzie
Będą dobremi, jak nam ksiądz powiada?
— O! będą ojcze! wszystko w Bożym cudzie,
A człowiek w cudach nadzieję pokłada.

— Wielkać to prawda.... żebyście wiedzieli
Wszystkoć to dziwne, co jeno na świecie;
Jest ci tu skała.... wy o niej nie wiecie,
Boście tam jeszcze w góry nie zajrzeli.

A pod tą skałą jest zdrój wody świeżej,
A na tej wodzie pływa złota kaczka:
To przedziergniona jakaś tam bogaczka,
Co kiedyś w złotej chodziła odzieży.

Dawnego roku poszli tam nasi
Z proboszczem z nizin, a ksiądz miał gromnicę,
Więc nie zgasiło: bo co inne świece
To zawsze gasi.... jeno tej nie zgasi.

Wchodzą pod skałę.... niby kościół jaki,
Niby to pałac wielki, jakiś taki
Pięknie zrobiony; patrzą.... aż tu żywa,
Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.

Więc ksiądz ją zaklnie.... a kaczka do wody,
I już jej niema. Czekają.... czekają....
Ksiądz klnie drugi raz, coś jękło: słuchają....
Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spodu.

„Jam jest księżniczka z wysokiego rodu,
W złocie się jeno kochałam za młodu,
Więc Bóg mnie skarał, i jako widzicie
Taką zostałam już na całe życie.“
Ksiądz znów się pytał: coby dusza chciała?
Ale mu dusza nie odpowiadała.

I wyszli wszyscy.... na górach ściemniało,
Jak to zwyczajnie pod wieczór, mój Panie!
Idą Dunajem, aż tu słychać granie,
Lecz nie pastuchy.... to w jamie śpiewało —
I tak do dziś dnia pono jeszcze śpiewa
Ona zaklęta, co tam sobie pływa.

Tak to mój Panie! wszystko z Bożej woli,
Co jeno żywie, wszystko Bożym cudem,
Nad naszym Pan Bóg miłosierny ludem,
Dał owies w górach i kruszynę soli.
A kiedy w świecie Pan Bóg cuda czyni,
To on też może złych ludzi przemieni.

— Gdzież wy idziecie? — Idę w Kościelisko.
— Czy to daleko? — A nie bardzo blisko;
Pasie tam bydło chłopak szwagra mego,
Ma on i budę, to wstąpcie do niego. *T. L.*

KRÓL W KUMACH.

(Ciąg dalszy.)

II.

Nazajutrz już słońce miało się ku zapadowi, kiedy tą samą drogą wprost ku siołu kierował się jakiś dziadowina o kiju. Na siole było gwarno i ruchliwo jak zazwyczaj pod wieczór. Gospodarz i parobcy wracali z pola po robocie, pastuchy spędzali podpasione bydło do dom na nocleg, dziewuchy uwijały się po drodze z naczyniem do zdroju, a gazdynie wedle domu to zganiały drobną dziatwę do izby, to zbierały jakie chusty z płotów, to zresztą siedzące na przyspach, wyczekiwały tak swoich gospodarzy i starszych dzieci z pola, albo z jaką kumoszką czy sąsiadą rozprawiały się o swoich rzeczach. Aż tu ten i ów uwidzą dziada idącego drogą.

Dziad powiada — Niech będzie pochwalony!

Oni na to — Na wieki wieków, — a skąd wy dziadku?....

— Ze świata, moi ludkowie! rzeknie ta idzie dalej.

Tak minął nie jedną zagrodę, niejednemu chłopu podchodził w oczy, widziało go wielu — ale nikt dziadu nie powie:

Zawitajcież do chaty; — choć nocka już zaszła i coś się nawet na burzę zanosiło od wschodu, bo poczerniało nad lasem i wiater co chwila się zrywał, miecąc kurzawą.

Idzież dziad dalej, kijem stuka po drodze, na nim puste torby się trzęsą i siwa broda od wiatru się chwieje. Wtem ktoś z boku zawoła, a było ich dużo:

— Ojcze, tatusiu, prosimy!

Stanął i patrzy, a tu kilkoro do niego małych i dużych podbiega ta w drogę zachodzi życzliwie, powiadając:

— Gdzież wam teraz na noc, tatusiu, poniewierać swoje kości, — prosimy na szczęście do nas a ojcowie radzi wam będą, prosimy!...

W tej chwili załyskało się nad lasem, dziad zajrzy przez drogę... tam za potokiem w prost stoi kościółek wiejski i dwie lipy wedle niego szumiące. Uchylił więc czapki, przeżegnał się krzyżem świętym i już potem za dziatwą życzliwą pokierował się ku chacie gościnnej.

Ledwo co stanął za progiem, niebo się całe zasunęło chmurami i wielka się rospasała burza po świecie.

W chacie zastał dziad gazdę w wielkim frasunku, gazdynię chorą na łożu, dziatwy sześcioro najwięcej drobiazgu, majątku niewiele, ale serce bogobojne i życzliwe, zawsze gotowe przełamać się chlebem z uboższym od siebie. Toż i dziada przyjęto jak przynależy, uczciwie i mile. Posadzono go na starszem miejscu u stołu, uraczono czem chata była bogata — aż po wieczerzy gazda otworzy swe serce i powie:

— At kłopot, miły dziadku! moja spodziewa się dziś jutro, ale Bóg zna jak będzie, bo cosik mocno czuje się słabą.

W kącie na posłaniu ciężko zastękała chora, chłop smutno głowę opuścił na piersi, dziad sparty na kiju zadumał, a wiater huczał na polu, a deszcz pluskał o strzechę, i latały czerwone błyskawice po nocy i grzmot się rozlegał w powietrzu.

Rzeknie teraz dziad! — Posłuchajcie gazdo co wam powiem, ja stary dziad. Choroba i wszelka niedola idzie ze świata a poratunek z nieba. Pan Bóg to nasz lekarz najlepszy, oddajcież jemu waszą chorą w opiekę a nie gryźcie się w sercu.

A na to chłop podnosząc głowę weselej: — Dobrze powia-

dacie... hej, hej, co to znaczy usłyszeć słowo szczere od rozumnego człeka! Jakby ręką wam odjął, tak mi już zaraz inaczej na sercu po waszem gadaniu. Ot, żeby wam miły dziadku wszystką prawdę powiedzieć, to powiem, że jakeście jeno weszli do nas, zarusienko mi coś szepnęło iże z waszą osobą zawitały w nasz dom pociecha i szczęście.

— Nie wiem jak to wy rozumicie gospodarzu, odpowie dziad; boć przecie moja uboga osoba tylko co chleb wyproszony w torbach, a nie żadne szczęście obnasza po świecie.

— Oj prawda żeście mnie nie odgadli! powie gazda uśmiechając się do dziada. Gość w dom, Bóg w dom — taka u nas przypowiastka i wedle tego gadałem tak do was dziadku, czego to wy nie zrozumieliście. Ale teraz nie tłumaczyć wam pono dalej bo już się samo z siebie rozumie, że gdzie pan Bóg zawita, tam też i pociecha pod ręką i szczęścia nie braknie.

— Aha! dajże wam Bóg za to zdrowie. — Ale, hm — pokiwa dziad głową i powie tak dalej, pozierając po izbie — kiedyśmy się już tak wielce rozgadali, to i nie weźmiecie mi tego za złe, że was zapytam: jakim to cudem gospodarzu, przy takowym niedostatku jaki u was miarkuję, zdołacie tyle luda wyżywić i zaopatrzyć jako tako?...

Na to chłop pilno: — Pfu, dziadu, aże mi samemu za was wstydno! ktoby was słuchał inny, myślałby żeście z jakiego leniwego rodu, niewiedzący co praca rzetelna.

Praca nasza, oj praca uczciwa przy Bożej pomocy daje nam człeku chleb i zaopatrzenie! Że pracować trzeba, to ani mowy; ale któżby sobie za to krzywdował?... kiedyć wiadomo każdemu, że nie na to mu dano ręce obie aby je za pazuchą trzymał, ale do zarobku na życie. Gdzie pan Jezus mnoży gęby w rodzinie, tam i rąk przybywa w dwójnasób. I miałżeby się człek markocić za to że mu nieba błogosławią na dzieciach?... Nie, dziadu, nie taki to u nas po wsiach zwyczaj! u nas to nazywają błogosławieństwem niebieskiem, im liczniejsza staje się rodzina. I nie zaboli cię głowa jak to wyżywić, jeśli tylko całe a zdrowe, boć takie małe ledwo co nieledwo urośnie od ziemi i na nogach się jako tako utrzyma, już musi do pracy nawykać i wedle sił swoich maleńkich przyczyniać się do chleba którego

spożywa. A tak, tak dziadu! kiwaj głową albo nie kiwaj, taki to prawda jest co ci mówię. I nie za to ja taki miał smutek na sercu iże mi dziecka przybędzie na głowę, bo za to Bogu chwała i Matce najświętszej — tylo mię mocny doimał strach przed tem, aby się co mojej kobiecie w tym razie złego nie stało, że taka się biedna nie czuje na siłach. Ale skoroście mię pocieszyli mądrem słowem, to jakoś teraz i spokojniejszy o nią jestem.

Tak prawił chłop, a dziad sparty na kiju słucha, ta czasem pokręci siwą głową jakby się czegoś dziwował, a znowu czasem na mówiącego chłopa popatrzy oczyma — a miał oczy żywe i piękne jak gdyby nie dziad o siwej brodzie ale jaki młodzieniec.

Tymczasem ogień przygasał na kominie, dziatwa posnęła w kątach gdzie które legło, jeno jedna dziewuszka czuwała wraz ze starymi. A dalibóg! tadże to nasza znajoma już od wczoraj, Marysienka, co toś my ją widzieli hen pod lasem trzy wieńce wijącą: ta jeden dla Matki Boskiej, ta drugi dla Pana Jezusa, ta trzeci dla siebie samej. Jej to więc rodzina, którąśmy oto poznali, jej chata gdzie jesteśmy, a z dziadem mówiący chłop — to jej ojciec, a na łożu leżąca — to jej matuś, a śpiący teraz po kątach — to siostry i bracia.

— Ale za co ty Maryś nie idziesz spać?... zagada zaraz gazda, uwidziawszy ją krzątającą się Bóg wie czego po izbie — Ej, dziewucho!

— Ta trudno spać, tatulu, kiedy się oczy nie kleją — powiada dziewczę, podchodząc bliżej na izbę i strasznie ciekawie pozierając na dziada.

— Maryś, to niedobrze! prawi znów ojciec — możeś co nabroiła przed świętym aniołem, że ci spać nie daje?...

— E, gdzie ta nabroiła, tatulu — tylko tak... nie mogę! wymawia się dziewucha, a ciągiem na dziada patrzy aże dziwno

A dziad siedzi sobie milczący, oparty na kiju i także tak poziera na dziewczynę jak ona na niego.

— Ej, dziadku mój! zawoła pierwsza Marysia — sama nie wiem co takiego, ale odkąd was widzę i słucham, tak mi się coś wszystko zdaje, że ja was skądsik znam...

— Mnie dziecko?... zapyta dziad nie ruszając się z miej-

sca, tylko mu się poruszyła broda ledziuchno jak kiedy by się w sobie uśmiechał.

— A was, was dziadku! jeno mi sobie ani rusz przypomnieć, zkąd ja was znam — prawi dziewucha.

— Oto może ci się której nocy przyśnił taki dziadek z siwą brodą jak ja, ta ztąd ze mną znajomość.

— Oj, że nie ztąd to nie! koniecznie ja was gdziesik widziała, ale nie takiego jak dzisiaj.

— Spać dziewko! rozkazał ojciec, — pleciesz nie wiedzieć po jakiemu... spać, spać!... A potem się do dziadka odwróci: Pono i nam już pora spocząć — jak myślicie? —

— Bogu was polecam do jutra — odrzeknie dziad, ruszając się z miejsca i już nic więcej nie mówiąc, rzucił się tak jak był, na swoje gościnne pościelisko.

Niebawem pozasypiali wszyscy. Z każdego kąta słychać było smaczne chrapanie spiących i kiedy niekiedy ciężkie odetchnienie chorej. Na kuchni do reszty wygasł ogień — i stała się noc ciemna na izbie, zwłaszcza że miesiąc był za chmurami i burza nie ustawała na chwilę. Dopiero nad ranem przetarło się niebo i zakazało się na piękną pogodę. Nad ranem też i w chacie naszej radosne było wszystkich przebudzenie. Gazdyni szczęśliwie powiła chłopaka. Chłopaczek zdrów zakrzyczał żwawo do słonka co się miłym gościem ukazało na izbie i poprzebudzał spiących. Zerwie się chłop, podejmie się i dziad na nogi, i dziatwa rychło poprzeciera oczy — ta jak uwidzą matkę uśmiechniętą i w zdrowiu a usłyszą malca nowonarodzonego... trudno powiedzieć co tam była za radość.

Dziaduś nas z siwą brodą stał sobie nie opodal i ciekawie przyglądał się temu. Na widok tyla szczęścia w ubogiej ludzinie, chociaż sam bardziej zdał się być ubogim, łzy mu podstąpiły do oczu z radości. I płakał człeczyna choć mu się dusza śmiała.

— Zostańcie miły dziadu! nalegał gospodarz gdy się już stary wybierał w drogę — zostańcie, proszę was, wy co takie szczęście wnieśliście mi do chaty! — ot, choćby z dzień jeden jeszcze.

— Nie, nie mogę — wykręcał się dziad. Bóg zapłać za gościnę przez noc. Ale — powiada dalej — wiecie co gospodarzu, kiedy się gotujecie na chrzciny z waszym chłopcem?...

— Najpóźniej za dni trzy, albo co?... zapyta gazda.

— Ta to, rzeknię dziad, że chciałbym was prosić, abyście się przez te trzy dni koniecznie zatrzymali z kumami. Radbym się z wami pokmotrzyć, miły człeku, jeślibyście i wy i wasza nic przeciw temu nie mieli, że taki ja biedny.

— Słyszysz Jaga, a co ty na to? — zagadał chłop zwracając się do swojej.

— Podajcie, mężu, gościowi rękę w zaprosiny — odpowie gazdyni z posłania.

— Więc zgoda! na to chłop; czekamy was radzi oboje, kiedyć taka wasza łaska.

I podali sobie oba dłonie w serdeczności. A potem dziad się już żegnał. I wywiedli go wszyscy na pole, aż na drogę. A na odchodnem raz jeszcze zaczepi go nasza Maryś:

— Taki gadajcie sobie co chcecie, ja was gdzieś znam dziaduniu i wy mnie.

— A jaka uparta! rozśmieje się dziad mówiąc — znam i znam... ta zkąd dziecko ty mnie znasz?...

— Otoż właśnie, żem sobie zabyła.

— No, no obaczymy za dni trzy, może ty sobie i spomniesz; — powiada dziad i pogłaska ją ojcowską ręką po rumianem liczku, ta już potem jeno kijem stuknął o ziemię... i poszedł precz drogą przez wieś. A Maryś wracała do dom pokręcając główką:

— Ej głowo moja, niedobraś ty głowo, ta że mi nie powiadasz zkąd ja znam tego dziadka.

(Dokończenie nastąpi.)

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Składka włościańska.

Juścić nie wszystkim wiadomo, zwłaszcza wam co mieszkacie w dalekości od miasta Krakowa, co za nieszczęście padło przed laty dziewięciu w biały dzień na to królewskie miasto. A śliczności to miasto, ten Kraków nad Wisłą, co ma taki zamek królewski na skale, gdzie leżą pomarli królowie polscy w grobowcach, co ma tyle kościołów że od mnóstwa krzyżów złocistych zda się niby jaśniej na świecie, a gdzie okiem rzucisz,

to zobaczysz coś ciekawego, a gdzie krokiem stąpisz, to usłyszysz coś cudownego z dawności. Toć z czasem powoli jak Bóg da, opowiadać wam będziemy nie jedną rzecz o tym Krakowie, czego posłuchać będzie warto. Dziś że o tym nieszczęściu mowa, posłuchajcie jak było. W Lipcu się działo, kiedy lato było gorące a kropli deszczu nie stało od kilku tygodni, i ziemia pryskała od słońca i kamienie parzyły jak z ognia, a na gontowe dachy, Boże broń — małej iskierki, to i gotowe nieszczęście. Nikt zaś o tem nie myślał, bo już bardzo dawno jak powiadali — może z jakie lat kilkanaście — nie było żadnego ognia w tem mieście, dlatego i na baczności nie mieli się ludzie. Aż tu jednego dnia, prawie w samo południe, dzwonią na gwałt z wieży Marjackiej, że ogień. Co żyło wybiegło postraszone z domów. Gdzie ogień? pytają jedni — Na Piasku — co się tak zwie jedno przedmieście — Dolne młyny się palą! słychać drugich. Tam więc wszyscy biegli na ratunek, nie myśląc aby z tak daleka ogień miał dostać się aże do miasta. Tymczasem kiedy tam ludzie ratują i już prawie myślą że koniec, wstał wicher niesłychany i po nad domostwa, ogrody i drzewa przerzucił nieszczęsny ogień do miasta. Dopieroż to było na co się patrzyć a ręce łamać od zgrozy — co tam się działo! Z dachu na dach przeskakiwały nieszczęsne płomienie, niby węże czerwone, a tak im pilno było, że za nic wszelki ratunek. Więc stali ludzie ta jeno się patrzyli na to nieszczęście a ręce przed sobą łamali, widząc jak wszystka ich praca w żywe oczy na marność idzie. Od palących domów i kościołów taki huk, łomot słychać, jak gdyby pioruny biły po piorunach, i czarne chmury gorącego dymu zakryły słońce nad miastem, że prawie z dnia białego stała się ciemna noc. I trzebaż wam jeszcze mówić ile tam rodzin wtenczas zostało tylko z tym całym majątkiem, co go miały na sobie!... Gdybyż nie ludzkie miłosierdzie i poratunek z którym dla poszkodzonych braci powinniśmy być zawsze gotowi, to niejednemu z tych nieszczęśliwych na onczas w Krakowie przyszłoby albo z głodu umierać, albo szyć torbę dziadowską i gdzieś światami iść o żebranym chlebie.

Tymczasem ze wszystkich stron na pierwszą o tem wiadomość, ruszyli się uczciwi ludzie z braterską pomocą dla po-

gorzelców krakowskich. Nadto w samym Krakowie zebrała się piękna gromada takich dobrodziejów, którzy nie dość że swej kieszeni dla nieszczęśliwych nie żałowali, ale jeszcze po wsiach i miastach okolicznych jeździli, zachęcając ludzi do składki. Owóż zdarzyło się, iż jeden z takich panów zjechał do pewnej wioski w Krakowskiem; a właśnie żniwa miały się ku końcowi i we dworze gotował się pan, wyprawić swoim ludziom suty obżynek za ich pilną pracę w polu. Tegoż dnia rano zeszła się gromada do dworu na tygodniowy obrachunek. Po obrachunku wdał się pan z ludowiną w rozmowę.... więc gadu, gadu i o tem i owem, aż przyszła kolej na Kraków i na to krakowskie nieszczęście. — Mój Boże! zawoła dziedzic żałośnie — kiedy my tu dzisiaj stroimy się na wesoły obrzynek, iluż tam braci naszych w tym czasie, popadłych przez ten ogień w srogą niedolę, nie wiedzą co się jutro z nimi stanie, czy będą mieli gdzie głowę złożyć pod dachem i czem głód swój zaspokoić?.. Ot gdyby te wszystkie pieniądze które w całej Polsce wydadzą za wódkę i piwo przy obżynkach, złożyć w jedną sumę—jakże by to Bogu było miło! a dla onych nieszczęsnych co za pociecha!... Na te słowa pańskie widocznie cała gromada w sercach była poruszona. A w tem sołtys z siwą głową, widno człek niedzisiejszy, wystąpi naprzód i rzeknie:

— Przecie i my, proszę jegomości, mamy Boga w sercu! kiedy się panowie składają, i my nie będziemy od tego. Więc za wszystką wódkę i piwo co się nam dzisiaj z łaski pańskiej znaczyło — dziękujemy; co miało kosztować, niech to będzie dla pogorzelców. Prócz tego kiedyśmy od pana za robotę pieniądze odebrali, to jeszcze czyja wola, proszę dać, a więcej, dla nieszczęśliwych się zbierze. Panowie gromada! czy zgoda?..

— Zgoda! zawołano jednym głosem. I nuże do składki aż niebawem 29 reńskich i jeszcze coś nadto zebrało się na stole. Nadszedł wreszcie do dworu i on pan z Krakowa co zbierał pieniądze dla biednych, i wielce się z tej składki włościańskiej ucieszył. I kiedy już miał odjeżdżać, przez dworską bramę zachodzi mu w drogę chłopek kulawy z tej samej wsi, prawie co żebrak taki biedny, bo dla kalectwa swego trudny miał zarobek. Zasłyszał on był na wsi o składce gromadzkiej, i przy-

kro mu się zrobiło, że z całej gromady on miał być jeden, który nic nie dał. Dla tego zebrał się co tchu, i oto niesie biedne sześć groszy co ich namacał w kalecie.... do składki dla nieszczęśliwych Krakowian. Taka uczciwość bez wyjątku w całej gromadzie, wielce przypadła dziedzicowi do serca. I choć to niby te pieniądze za dożynkową uciechę złożył był z wolą gromady do składki, taki nie mógł z wielkiej radości przenieść na sobie, żeby nie sprawić ludowinie niejakiego obżynku i tak ich bez niczego puścić do domu. Kazał więc cichaczem posłać po muzykę, i beczkę piwa wytoczyć z piwnicy, i nagotować w kuchni wszystkiego po uszy — i tak poczciwi ludziska co się zrzekli byli zabawy dla miłości bliźniego — zażyli jej niespodzianie dnia tego i ucieszyli się wszyscy aż miło. —

DOBRA GOSPODYNI.

Choćbyś się jak to mówią na głowie postawił, dnia nie zmitrężył, nocy nie dospał, chleba sobie uskąpił i z całych sił zabiegał w gospodarstwie, — przy złej niewieście wszystka twoja praca za nic! Bo jako to drzewo pięknego owocu, skoro ma jedną gałęź zabolałą albo uschniętą, a zawczasu temu nie zaradzisz, zatem powoli i całe zmarnieje, — tak samo właśnie i w gospodarstwie: za nierządną kobietą wszystko idzie na marność. Dobra żona, to niby słonko wiosenne, tak ci wszystko z pod ręki jej rośnie, prawie w oczach przybywa, mnoży się dostatku, pociechy.... iż sam nie wiesz kiedy. Zaś zła niewiasta, to jak gradowa chmura, nie dość że ci chleba nie przysporzy, ale go jeszcze zmarnuje. Niechże was Bóg zachowa, gospodarze, od takiej opłakanej godziny! — a was, gospodynie, niech Matka najświętsza broni, byście miały być takiej złej woli dla swoich mężów!... Dosyć oni mają nieraz i bez was turbacyi, aż głowa nieborakowi potrzeszcze; — trzebaż jeszcze aby i ta, którą brał sobie na pociechę do pożycia, gorącego sadła za kołnierz mu lała?.... Owóż posłuchajcie jaką to my gospodynię uważamy za dobrą.

D o b r a g o s p o d y n i przedewszystkiem — będzie d o b r ą ż o n ą. I jakże jej być inszą! kiedy za taką ślubowała się swo-

jemu mężowi w oczach ludzi, na klęczkach przed wielkim ołtarzem, i przed księdzem proboszczem, i przed Bogiem, który z wysokiego nieba sam baczył na ten ślub. A sprzeniewierzyć się ślubowi swojemu — to krzywa przysięga, a krzywoprzysięstwo — to grzech srogi, a za grzechem już idzie kara od Boga i od ludzi pogarda. To też w takim domu: krzyk, swar, zabijatyka z dnia na dzień, ni ładu ni składu, ni zgody ni urody, wszystko na wywrót się dzieje — a za piecem już diablik się śmieje, a do drzwi i do okien bieda szturmuje... takie to widowisko gdzie zła żona panuje. Jakże inaczej patrzy gospodarstwo przy dobrej żonie!... od rana do zmroku piękna praca wywija się jak z płatka, bez krzyku, bez hałasu, bez Bożej obrazy, wszędzie widać porządek, na twarzach ludzkich pociechę, o biedzie ani słychu dychu, bo we drzwiach domu stoją Anieli co chronią ludzi dobrej woli, w Boskiem imieniu od niedoli.

Dobra gospodyni po raz drugi — będzie dobrą matką. Pod jej okiem chowa się mała dziatwa, ta jak ją sobie wypielęgnuje, taką będzie miała na starość pociechę. Więc daje na to baczenie by dzieci nie miały złego przykładu, ani w słowie, ani w uczynku. Nicbo snadniej jak dziecko popsuć i uczynić złem. Drzewko gdy młode, łatwo się podaje na tę i na ową stronę; taki właśnie umysł giętki jest u dziecka — więc jak go nakierujesz za mała, takimci wyrośnie na potem, — a stare mówi przysłowie: „czem skorupka zawrze za młodu, tem i na starość trąci." Niechże, czego Boże broń! podchowa się taki malec co to nie do Boga ani do ludzi — jakież ztąd zmartwienie dla ojców, jaki żal, jaka z tem męka, co za nieporadna godzina! a to wszystko przyszło z nieuwagi złej matki, która nie miała na niego pilnego oka za maleńka. I nieraz wtedy radziby naprawić, sprostować co się skrzywiło, ale najczęściej już bywa za późno, zmocniał on w swojej złości, jak drzewo krzywe wyrosłe, i prędzej byś go przełamał niżli wyprostował. I będzie dla nich hańba na starość, a na gospodarstwo padnie klątwa Boża, bo przy złem dziecku nie masz błogosławieństwa.

Dobra gospodyni po raz trzeci — przykładną będzie niewiastą dla całej gromady. Nie wda się ona w babskie plotki, bo z plotek człek sobie tylko nieprzyjaciół mnoży; sąsiady nie

obgada, bo obmówisko niepiękna rzecz; niczyjej sławy nie naruszy, bojąca się o swoją własną; kuma czy niekuma, dla wszystkich z równą będzie przyjaźnią, bo taki lepiej mieć stu przyjaciół jak jednego nieprzyjaciela. Kiedy czas do kościoła, to ona najpierwsza, a do zabawy ostatnia, gdyż dla dobrej niewiasty kościół i modlitwa najpiękniejsza zabawa. Masz bo ona o co się modlić, o dla Boga!.... to dziatwa żeby się jej zdrowo chowała, ta iżby miała z tego pociechę; to znów za męża, to za siebie żeby im Bóg sił użyczył do pracy; to na polu, to w domu by nie doznali jakiego nieszczęścia.... i tyle innych rzeczy o które winniśmy pana Boga prosić. Od karczmy ucieka gdyby od złego ducha, kieliszka się nie tknie za nic w świecie, bo jako niepięknie widzieć chłopa zapitego, tak sto razy gorzej pijaną babę. A zdarzy się gość w chacie, przyjmie go jak należy — bo z gościem, mawiali nasi ojcowie, pan Bóg wchodzi do domu; ubogiemu chleba nie uskąpi, bo i „któż tak mądry że zgadnie, co nań jutro przypadnie?“... miłoż by jej było w złym razie nijakiego poratunku nie znaleźć u ludzi?....

Dobra gospodyni nareszcie ta, co w gospodarstwie mężowi, z bacznem okiem, pilną ręką i z dobrą radą stoi wiernie ku pomocy. Idzież gospodarz w pole albo gdzie na zarobek, gospodyni w domu czasu tego nie zmitręży, nie wygrzewa się na słonku w lenistwie, nie idzie do sąsiady na plotki — ale to wedle izby porządkuje, zamiata, myje, szuruje aż się wszytko szkli od czystości, taki sam porządek robi przed chatą i na oborze, potem wedle kuchni się uwija, skoczy do ogrodu na grządki jeśli potemu czas do roboty, to biegnie z płachciną i z sierpem po trawę krowom do podoju; a gdy słonko zejdzie na południe, a mąż kazał sobie przynieść jeść w pole, czy tam gdzie na zarobku, pilnoż mu niesie, a i tam nie próżnuje, lecz owszem ile tyle przez ten czas chłopu dopomoże. Nie uwidzisz tam dzieci zamurdzane, z rozczochranym włosem, w podartej i brudnej bieliznie; i wedle męża czysto i wedle niej samej ochędożnie aż miło. Z roku na rok ma ona swoje przędziwo i w zapasie bielonego płótna w komorze. Na podwórzu wodzi kwoczka wesołe kurczątka, a opodal na trawie pasie się całe stadko gęsiąt naszej zaradnej gosposi. Da Bóg, w jesieni jaki piękny

grajcar za to kapnie i ot.... będzie zaraz czem opłacić gwałtowniejsze potrzeby, nie oglądając się na zarobek męża, ani też potrzebując wysprzedawać się z ziarna.

I oto podziwują ludzie, zkąd temu chłopu tak się cudnie darzy w gospodarstwie. Ni on taki z rodu bogacz, ni z bogaczką się żenił, a dziś popatrzcieno, do jakiego przyszedł dostatku! Zda się że mu wszystkiego przybywa jakby na drożdżach, ani mu w polu chybnie, ani grosza nie zabraknie, i chleba po uszy, i bydełko rozkoszne gdyby na opas, i chata przestronna i Bóg wie do jakich nie przyszedł porządków. Au!... chybaż on się dobrał do skarbu wielkiego i tem stanął tak rychło na nogi.

A na to on gospodarz któremu ludzie szczęścia zawidzili: — Prawdę powiadacie, żem się dobrał do skarbu, za co Bogu dziękować!

Ale skarb ten, skarb mój drogi, dziwnej on własności!
Nie ze śrebra, nie ze złota, lecz z ciała i kości;
Rąk ma dwoje, oczów dwoje, jak matka i ojciec —
Jak się zowie? niechaj powie, kto potrafi dociec.

— Owa! jaka mi sztuka, rzeknie ten i ów — waszą macie na myśli. I prawda że walna z niej gospodyni.

— Ano, to nie szukajcie u mnie innych skarbów, boć lepsza nad wszystkie bogactwa d o b r a g o s p o d y n i!

RÓŻNOŚCI.

S z t u k a d r u k a r s k a. Wielu już z was, dzięki Bogu, umieją sobie przeczytać na książce, aleć zapewne mało komu wiadomo: kto był ten pierwszy co wymyślił sposób drukowania takich książek. Bo jużcić pan Bóg tego nie stworzył, jak nie stworzył pług, bronę, i te nowe młocarnie i one wozy co ich sama para pogania, i tyle innych rzeczy na świecie. Wszystko to ludzkie są wymysły — z natchnienia Boskiego. Powiadają: „nie odrazu Kraków zbudowano“ — takci i we wszystkiem się dzieje. Zwolna człek nabywa rozumu, doświadczenia, nauki, poznaje w czem ma niedostatek i jakby temu zaradzić, przemyśla. To też im starszy świat, tem jest bardziej przemyślny i poradniejszy sobie. — Przed pięciuset laty nikt jeszcze nie znał książki drukowanej. Biblija święta, Świętych pańskich nauki, zgoła wszystko cokolwiek ludzie kiedyś przemyśleli, i dla przykładu, i dla wiadomości światu podali, było mozolną ręką spisane na papierze. I takich książek pisanych nie mogłeś za lada jaki grosz nabyć —

jak oto dzisiaj, gdzie byle kto choć i ubożuchny człek, taki się przy dobrej woli zdobędzie na jaką książczynę. Siła trza było wtedy pieniędzy łożyć, komu czytanie do smaku przypadło, i niejedna książka kosztowała tyle, coby dziś za nią dobrą wieś można kupić. To wszystko dla tego że druku nie znali, jeno pisaniem ręką musieli nadrabiać. A przecie wiemy że ręka ludzka nigdy temu nie podoła co potrafi maszyna. Ot na ten przykład i młocarnia jeśli udała... co to ona w jednej godzinie zboża nie nasypie! to choć najtęższy chłop nigdyby cepem tego nie dokazał za cały dzień. Z tej to przyczyny takie drogie były książki pisane przed wynalazkiem druku. Co zaś drogie, to nie każdemu przystępne; więc nie lada kto rwał się do czytania, chyba pan wielkiego majątku i ksiądz jaki uczony. I było tak długo na świecie, że kto znał pisać a czytać, miano go za wielkie dziwowisko. Dopiero znalazł się taki człek, któremu Bóg dał zostać dobrodziejem ludzkości. Był nim Jan Guttenberg, urodzony przed 400 laty w Moguncyi nad rzeką Renem. Już w dwadzieścia cztery lat po swojem urodzeniu przemyśliwał on nad sztuką drukarską. Ale zrazu szło mu jakoś cale niepomyślnie. Brał się zaś do tej rzeczy w ten sposób: na tablicy drewnianej wyrzynał litery tak jak były napisane w tej książce, którą chciał drukować. Mozolna to była praca i co gorsza, wcale nie pożyteczna. Bo litery na drzewie wyrzynane nie dobrze wybijały się na papierze, i zresztą w taki sposób do każdej nowej książki musiał inną tablicę z literami przyrządzać. Tedy myśli sobie — nie dobrze! trza to się inaczej wziąć do tej rzeczy. Więc począł wyrzynać litery chociaż z drzewa ale już nie na tablicy, jeno każdą literkę z osobna, żeby ją mógł do woli postawić tam gdzie było potrzeba. I to już był sposób lepszy, ale jeszcze nie najlepszy. Bo drzewo słaba rzecz, pod prasą drukarską prędko niszczało, przytem druk od takich liter drewnianych strasznie był niewyraźny i brzydki. Kazał więc sobie nareszcie odlać z ołowiu litery i temi już mając 55 lat życia, wydrukował pierwszą Biblę t. j. stary i nowy zakon Pisma świętego w języku łacińskim. Dopieroż sława jego gruchnęła po całej ziemi! — Pomocników jakich miał do tej sztuki, dużo rozjechało się po świecie, zakładano wszędzie drukarnie i tu u nas w Polsce także, a najsamprzód w Krakowie jako w pierwszem mieście państwa. Od tego też czasu książki coraz mniej kosztowały im lepszą stawała się sztuka drukarska, coraz więcej ludu garnęło się do pięknej nauki i niemało pożytku urosło ztąd dla świata. Dziś przyszło do tego, że prawie wstydno się robi człowiekowi co czytać i pisać jako tako nie umie. Otóż moi kochani! że się modlicie piękną modlitwą na książce do nabożeństwa w kościele, że sobie wyczytacie niejedną powieść zabawną o ludziach i niejedną radę przyjacielską i pożyteczną dla siebie — podziękujcie za to naprzód Bogu, a potem onemu najpierwszemu z majstrów sztuki drukarskiej, co się zwał Jan Guttenberg.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 3.

21. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KRÓL W KUMACH.

(Dokończenie.)

III.

Mija dzień jeden i drugi — dziad stary przepadł jak kamień w wodę. Kto go zna gdzie jest i czy się stawi w słowie. Ej, bieda z nim! a tu i na dzień trzeci już słonko świta. Tedy gospodarz nie mówiący już nic, pójdzie z pięknym ukłonem na sioło, ta poprosi tego na kumę, tamtą na kumoszkę do syna — jak kogo miarkował. Nikt się nie drożył z przysługą taką, owszem z ochotą szedł pokumać się chociaż z biedniejszym od siebie Jankiem, bo już taka była chrześcijańska miłość między wszystkimi.

A był to dzień nieroboczy, w święto niedzieli. Za potokiem na starych lipach we wszystkie zadzwoniono dzwony. Na to dzwonienie wnet z chałup wysypała się czujna gromada, spiesząca ku kościołowi. I nasi z chaty Jankowej ruszyli tą drogą — na przedzie baby z dzieckiem, za niemi gospodarze sproszeni na chrzciny, ta i reszta rodziny.

Po mszy świętej ksiądz Franciszkan miał właśnie piękne kazanie do ludu, kiedy naraz na dworze wstał niesłychany szum

i takie drzenie ziemi, aż się ściany drewnianego kościółka otrzęsły gwałtownie i wielki postrach padł między ludzi, nie wiedząc co by to było. Więc ten i ów co stali bliżej proga, wychylą głowy na pole. I cóż tam oni uwidzą?... ano kupę jeźdców, że trudno było na razie ich wszystkich policzyć, w takiem mnóstwie zalegali przed kościołem murawę. A pod nimi konie bystre, cudnego kształtu, w złocistem ubraniu; a na nich stroje przecudne, krasne od karmazynu, złota, srebra i przeróżnych drogości, a najkraśniejszy w stroju i najpyszniejszy z miny ten co na przedzie pan. Jeszcze nasi patrzący na to z kościoła nie wyszli z podziwu, kiedy oni dziwni goście pozsiadali z koni i prosto walą na kościół. A byłoż ich było! aż się wszyscy pomieścić nie mogli w tym tłumie. Więc jedni już byli u wielkiego ołtarza klęczący, kiedy drudzy przed kruchtą na zielonej poklękali murawie, nie mając dla siebie miejsca w kościółku.

Ksiądz Franciszkan zrazu, miarkując gromadę w takiem poruszeniu, zaprzestał był kazania. Ale wnet, skoro się jeno owi dziwni goście uporządkowali i zrobiło się cicho na kościele, po dawnemu wziął kazać do ludu aż póki nie skończył i nie pobłogosławił swojej słuchającej gromadki. Już potem schodzi do ołtarza i poczynie na oko brać gości swoich a rozpoznawać z bliska, ażali mu znani są albo nie. Więc idzie sobie zwolna i patrzy — aż ten co na przedzie był, on z panów pan najpyszniejszy, na raz powstanie ze ziemi i całą twarzą ku niemu się zwróci. Dopieroż ksiądz się zadziwi i na cały kościół zawoła:

— Król jegomość, nasz gospodyn najmilejszy!

— Król! król! — przeszło po ludziach błyskawicą. Wszystkich oczy rozwarły się szeroko i nuż się cisnąć młodzi i starzy do stóp króla, pana ich miłościwego, którego chociaż nie znali, ale siła dobrego o nim czuli. Więc kołem go serdecznem otoczą, niby dziatwa miłego ojca, oni w chodaczkach łyczanych, w zgrzebnej odzieży, z ciemną twarzą od słońca, prostaczkowie ubodzy, — on król, pan nad pany, w królewskiem ubraniu od złota i srebra, a rad się z nimi wdaje i w takiej jest dla nich dobroci, iże nikt lęku przed nim nie uczuwa ani zawstydzenia żadnego, jeno tak sobie twarzą w twarz przed królem radowali jak gdyby u siebie doma byli.

Powiada król do księdza Franciszkana: — Ojcze duchowny! dziś pono macie chrzciny w waszej parafii?...

— Tak miłościwy panie! odrzeknie ksiądz Franciszkan, robiąc wielkie oczy na króla. Jankowi Trzasce przed trzema dniami narodził się syn... owo temu tam chłopu.

I wskazał ręką w stronę gdzie stał właśnie Janko, znany nam gospodarz, a wedle baby z dzieckiem, kumy, kumoszki i dziatwy sześciorgo.

Tedy król się tam odwróci piękną twarzą i powie z uśmiechem do chłopa:

— Niepięknie sobie Janku poczynasz, skoro u ciebie słowo dane niczem, jak widzę.

— Na rany Chrystusa! jakże bo znowu, miłościwy panie?... zawoła gospodarz, zgryziony tym królewskim zarzutem.

— O, o... a niby nie wie! a któż to trzeci dzień temu przyrzekał staremu dziadu iże mu chrzestnym ojcem dozwoli być do syna, he — czy nie wy?

— Iście tak, miłościwy królu, ale co ja mogę za to, że dziada nie widno.

— Jakto nie widno! zawoła król — człeku! upamiętaj się i popatrz lepiej.

Na to nie sam już Janko, ale wszystko co żyło, poziera w około siebie za dziadem o którym mowa. I kiedy tak wszyscy pozierają naprzód po za siebie a potem zdziwieni po sobie, rzeknie znowu król:

— I cóż Janko powiadasz, nie widno?

— Tadże nie, miłościwy królu.

— Ale przepatrz jeno lepiej!

— Darmo, miłościwy panie, nie widzę — powiada coraz bardziej zakłopotany chłop.

— Tabo w nieswoje miejsce patrzysz, człeku! prawi król z twarzą coraz weselszą. Tadże dziad tu... tadże przed tobą... tadże się z nim rozgadujesz.

Na takie królewskie gadanie już nikomu nie stało rozumu. Ksiądz nawet sam choć jaki wyuczony na książkach, patrzał i i patrzał, i bił się z myślami a taki w ciemności był nie mniej jak drudzy. Dopieroż król inaczej się ozwie:

— Ojcze duchowny! powiada do księdza — bierzcie czego wam potrzeba i chodźcie do chrzcielnicy, ochrzcić nowonarodzonego. Ja mu będę ojcem chrzestnym, bo mam na to słowo od ojca i matki. Ja dziad z siwą brodą, com przed czterma dniami pod wieczór stukał kijem po drodze w tem siole, ciekawym będąc, kto mię też zaprosi nieproszony w gościnę. I Jankowe dzieci oto zabiegły mi w drogę, i Janko powitał serdecznie, i dał mi schronienie przed burzą i nocą. I gdy nazajutrz ja dziaduś z torbami zapraszał się w kumy do niego, to on ze swoją nie zważali na moje ubóstwo i radzi mi na to podali rękę.

Teraz dopiero się wszystkim zrobiło jasno w głowie, kogo to król rozumiał pod owym dziadkiem. Chłop Janko rzucił się jak długi do kolan pańskich i wziął całować ze łzami te stopy królewskie, które się nie wachały przestąpić za próg ubogiej chatki wieśniaczej. Za nim i reszta gromady, sławiąc miłościwego pana, całowała krańce szat jego królewskich. Zaś tym, którzy widzieli w on czas dziadka na drodze a nie spieszyli z gościną — dziś wstydno i żałośnie im było na sercu.

Wtem Maryś, jak wiemy średniaczka Jankowa, która dotąd choć rada była, nie mogła się przycisnąć do osoby królewskiej, zajrzawszy miejsce wolne, przypadnie z wesołą twarzyczką i króla za ręce pochwyci z śmiałością dziecka:

— Aj, miły królu! powiada — nie mówiłaż ja dobrze że was znam, jenom sobie była na śmierć zabyła gdzie?... Toć to wy mię złapali na świętej gruszy, strojącą Matkę Boską i Pana Jezusa we wianki!...

— A ja! dobre dziecko, odrzecze król po główce ją gładząc — prawdziwie że ja.

— A takeście się królu spierali, kiedym was poznawała w dziadku! — zarzuci dziewczyna.

— Ba spierał, moja Maryś, bo to nie sztuka było powiedzieć znam i znam, ale gdzieś go zaznała... tego mi nie powiedziałaś.

— Ej, kiedym sobie zabyła.

— No widzisz, powiada król wesoło — to niekoniecznie i dobrze żeś takiej krótkiej pamięci. Ano i dziś już mnie znasz, a jutro kto wie jak będzie?

— Nie bójcie się, miły królu, o to — zawoła dziewucha i pokraśniała rumieńcem jak różowy kwiat o wiośnie — już ja was póki życia nie zabędę... o, dalipan, do samej śmierci! A jeszcze i drugim o was rozgadywać będę, ażeby i po śmierci ludzie nie zapominali o was, coście tacy dobrzy.

Potem król ucałował mowną dziewuchę w głowę i przystąpili do chrztu świętego. Chłopak na imie dostał po królu, swoim chrzestnym ojcu, Kazimierz. Boć to był król polski, nasz Kazimierz wielki. Dla czego wielki popytacie?... czy może że nad innych głową przerastał?.... o nie, moi ludkowie! nie żadna ztąd sława być w ciele wielkim jak drąg, ale w rozumie być wielkim i wielkim w serca dobroci.... toć sława po wieki. A takim był nasz Kazimierz wielki, inaczej jeszcze królem chłopków zwan, dla miłościwych rządów swoich i opieki nad biednym ludem. —

Ta żeby już niczego nie pominąć w tej prawdziwej historji, dopowiem resztę. Więc naprzód chrześniaka swego wziął król na własną opiekę do Krakowa. Tam go wyuczyć kazał na książkach, a że chłopak był pojętnego rozumu i całe do książki ochotny, wnet też księdzem został, a później i kanonikiem przy kapitule Poznańskiej.

O rodzinie jego pamiętał do śmierci, kmotr miłościwy z królewskiego zamku. Wydzielił Jankowi więcej gruntu, zaopatrzył w bydło robocze i tak polepszył dolę ubogiego chłopka na roli. A innego też szczęścia nie pragnął Janko, nawykły do pracy rzetelnej, jaką mu przekazali ojcowie jego na roli.

A Maryś, Marysienka, średniaczka Jankowa po dawnemu wiła wianuszki dla Maryi i Pana Jezusa na gruszy. Aż przyszedł czas na nią.... druchny uwiły wieńce z rozmarynu i ruty, przystroiły Marysienkę, pannę młodą do ślubu, i zawiodły do kościółka.... i ślubowała Maryś: Ołtarzowi wielkiemu i Jasiowi swojemu.

Ale co rzekła była miłemu królowi za onych młodych lat swoich, to już do śmierci dochowała wiernie. Zawsze o nim pamiętała i o jego dobroci rozpowiadała dzieciom swoim ta i drugim na okolicę. A tak wieść ona od jej wdzięcznego

serca poczęta, szła z kraju w kraj, z pokolenia w pokolenie, aż się po całej polskiej rozniosła ziemi, kwitnąca wieczystym kwiatem.

SYN.

Jedzie, jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiej wojny,
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.

„Gdzieżeś matko! Wracam z boju,
Matko miła, wyjdź z pokoju,
Niech uściskam twoje nogi;
Wyjdź przywitać syna z drogi!“ —

— „Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie!
Pokój w ziemi ma zrobiony.
I kamieniem przyłożony.“

„Jam ten pokój dla niej sprawił,
Długom się na wojnie bawił!
Żyjcie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie.“

Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał tak odjechał....
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny. *W.*

CIEKAWY WOJTUŚ.

Klasztor na Jasnej-górze w Częstochowie.

Gdzie stoi zamczysko w Przemyślu na wysokiej górze, tam po prawej stronie na pochyłości tej góry ku Sanowi zobaczysz kilkanaście ubożuchnych domków, kryjących się skromnie po za gałęzie gęstej sadowiny. Miejsce to nazywają Podgórzem w Prze-

myślu. Owóż w jednem z tych domków mieszkał do niedawna pewien majster rymarski, Walenty — człek bywały po świecie, co nie z jednego pieca chleb jadał, wiele widział, dużo zapamiętał i to wszystko pięknie opowiedzieć umiał. Miał on żonę niebogatą z rodu, ale rządną i uczciwą niewiastę, i z nią jednego syna Wojtusia. A ten Wojtuś to była jego cała pociecha! Nie duży bo ledwo ośm latek mógł liczyć, a już taki zmyślny był chłopczyna i taki ciekawy do nauk, że się ojczaszek z ostatniego ściągnął, aby tylko synka posyłać do szkoły na naukę. Było to jakoś w dzień Matki Boskiej, bo w sobotę pod wieczór. Walenty miał gdzieś pod Przemyślem robotę i powracał właśnie do domu. Otwiera drzwi... na izbie ciemno i cicho jak makiem zasiał.

— Hola! jest tu kto? zagadał Walenty wszedłszy do izby i począł się rozpatrywać w ciemności.

— To wy tatko! zakrzyczało coś cienkim głosem, i duchem z pod pieca wyskoczył mały chłopczyna i na piersi się ojcu obwiesił — Dobry wam wieczór po robocie! —

— Jak się masz, Wojtusiu! a gdzie matka? i czego tak ciemno na izbie? przecie to dzisiaj dzień Matki Boskiej — a o świeczce jak widzę ani du-du.

— Nie gniewajcie się tato! właśnie matula poszła za świeczką do miasta — jeno co jej nie widno.

— Nie można to było w dzień o tem pomyśleć? dopiero na ostatni czas się opuszczać... oj, to nie dobrze!... gderał majster, który, że był sam we wszystkiem akuratny, chciał żeby i drudzy takiemi byli.

— Ale tatulu! tłómaczył chłopiec... ot i mama! słyszycie jak pilno bieży przez ogród?...

Prawdę gadał chłopiec, boć zaledwo skończył, już się drzwi uchyliły od izby i zadyszana wpadła Walentowa. Nie wybyło i Zdrowaś Marja, już świeczka płonęła w drewnianym lichtarzyku przed świętym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wprost drzwi na ścianie zawieszonej. Już też i majster się udobruchał i z twarzą wesołą, jak zwykle, rozsiadł się na ławce po za czerwonym stołem, a wziąwszy Wojtka na kolana i ucałowawszy go w czoło, powie:

— I cóż mi powiesz, Wojtusiu?...

— Ja nic — odpowie chłopczyk, obejmując ojca za szyję — co by ja wiedział! ale wy, tatusiu, coście tyle świata zwiedzili, powiedzcie-no mi coś o Częstochowie, bo nie bez tego żebyście tam nie byli.

— Oj byłem, synu i powiem, boć słusznie żeby o tem każde polskie dziecko wiedziało co w takiej sławie było, dotąd jest i po wieki pozostanie u naszego narodu.

I począł tak prawić majster Walenty: — Na drodze między Krakowem a Warszawą leży miasto Częstochowa. Przy tem mieście jest góra wysoka, którą przy pięknej pogodzie można widzieć na kilka mil w około, dla tego zowie się Jasną-górą. A na tej Jasnej-górze stoi klasztor księży Paulinów i kościół z pyszną wieżycą, w którym znachodzi się obraz Najświętszej Panny, jeszcze przez Ś. Łukasza ewangielistę na cyprysowem drzewie malowany a znaleziony przed laty w Nazarecie w domku, gdzie się Chrystus Pan rodził. Jak tylko do Polski był przywieziony — a powiadają ludzie że już temu będzie lat 500 zpełna — wnet o tem sława wielka gruchnęła po całym kraju i począł się naród co roku licznie w to miejsce święte gromadzić tuląc się w każdej przygodzie jak wierna dziatwa pod opiekę Boskiej Rodzicielki. Jakoś niedługo potem wpadli byli poganie do Częstochowy a słysząc o wielkich skarbach w klasztorze, uderzyli na księży, pomordowali ich srodze i co było w klasztorze i w kościele, świętokradzką rabowali ręką. Nie dosyć na tem; — gdy im już srebra i złota nie stało, wzięli się do ołtarzy i do świętych obrazów jako niewierne psy, i nuż szablami rąbać i niszczyć co im wpadło w oczy. I wtedy to jeden z rabusiów przypadł do cudownego obrazu Najświętszej Panny i machnąwszy szablą, rąbnął dwa razy po ś. twarzy.

— O dla Boga! zawoła Wojtuś — i nie ukarałże go Bóg za to?...

— Gdzie tam, synu! — ukarał, bo mu obie ręce uschły od jednego razu i grzeszne żelazo wypadło z brzękiem na posadzkę kościoła, a wszystkich co na to patrzali taki strach zdjął, iż co rychlej zemknęli w nogi. Zaś on zbrodniarz nowym cudem uczuł wielką skruchę w swem sercu, upadł na kolana i skoro

się swoim językiem pomodlił szczerze do cudownej Pani którą tak srodze obraził, odzyskał na powrót siłę w rękach. I nie wracał już do swoich, ale się dał ochrzcić i pozostał w Polsce do śmierci. Od tej to przygody Matka Boska ma te dwie szramy, jak widzisz, w poprzek twarzy. I chociaż później Bóg wie nie zkąd zwoływali malarzy aby zamalować te rany, na nic się to wszystko nie przydało, bo żadna farba nie chciała się czepić świętego obrazu.

Po tym napadzie niewiernych wnet się klasztor opamiętał, odbudowano kościół jeszcze pyszniej jak przedtem był, a iżby go raz na zawsze zasłonić przed rabunkiem chciwych nieprzyjaciół, co jak drapieżne wilki czychali u nas każdej pory na zdobycz, królowie polscy kazali wystawić mocny mur do koła, opasali go wałem i pobudowali wieże do obrony. Nadto utrzymywali księża Paulini kilkadziesiąt uzbrojonych żołnierzy, mieli armaty, proch i kule aby się mogli od nieprzewidzianej obronić napaści.

I było tak aż do czasów pierwszej wojny Szwedzkiej, która 200 lat temu tyle biedy narobiła w Polsce. Już Szwedzi zagarnęli byli cały kraj, wszystkie miasta i zamki, nawet sam Kraków, stolica nasza, poddała się pod ich władzę — jeden tylko klasztor Częstochowy pozostał wierny królowi i ojczyźnie. Nareszcie wzięli się i do niego Szwedzi. Zasłyszeli oni o mnogich skarbach jakie się tam znajdują i nie dbając jako niewierne lutry na to że to miejsce święte, podsunęli się w 17 tysięcy wojska i 20 armat pod dowództwem jenerała Millera pod Jasnągórę. Nie myśląc żeby się takiej sile biedni księża opierać śmieli, jenerał Miller jak tylko przyszedł do Częstochowy, posyła do nich jednego od siebie z wezwaniem, aby się zaraz poddali królowi Szwedzkiemu, bo inaczej cały ten „kurnik“ — jak nazywał luter święty klasztor — rozwali kulami a upartych mnichów wywieszać każe. Na taką bezwstydną mowę księża Paulini, głównie zaś przełożony ich ks. Augustyn Kordecki, odpowiedzieli: „iż bojąc się pana Boga nie lękają się żadnych Szwedów i gotowi są umrzeć w obronie religii i króla polskiego.“ Siły ich były maleńkie ale wiara wielka! Na całą obronę mieli wszystkiego 160 żołnierzy, 68 mnichów i 50 szlachty, która się tu schroniła przed szwedzkimi rabusiami wraz z żonami i dziećmi. Po takiej odpowiedzi zaraz zaczęli Szwedzi rzucać ogniste kule,

któremi zapalili gumna klasztorne ze zbożem. Nie dali się tem zastraszyć księża, bronili się dzielnie i we trzy godziny zmusili napastników do odwrotu. — Ha! myśli Miller, poczekajcie mnichy! sprowadzę ja sobie większe armaty i temi wam dopiero dojadę końca. Za kilka dni przyprowadzono te wielkie armaty i w sam dzień Ofiarowania Najświętszej Panny straszny przypuścili szturm. Kościół i wszystkie budynki zdawały się gorzeć od ognia — ale Najświętsza Panna cud pokazała: kule odskakiwały, inne przelatywały za klasztor, nikomu szkody nie czyniąc. Co widząc Szwedzi, mocno się tem potrwożyli, a nawet sam Miller, choć taki heretyk, powiadał że widział Matkę Boską w niebieskiej sukni jak osłaniała płaszczem swój klasztor. Sześciu znowu żołnierzy co zapalało armaty, od prochu który się na nich obrócił, oślepło, a armaty się roztrzasły na drobne kawałki. Mimo tego nie dał się jeszcze odstraszyć zawzięty Szwed — szturm przypuszczał po szturmie, choć zawsze nadaremnie a ze swoją stratą. Raz nawet zdarzył się taki przypadek jenerałowi, że gdy jadł obiad i zębami zgrzytał ze złości, odgrażając: że klasztor do góry nogami przewróci, w tej chwili wpada kula, stół i potrawy wywraca, a Millera w ramię trafia aż go ledwie otrzeźwiono. Dopiero w czterdzieści dni, przypuściwszy jeszcze ostatni szturm o Bożem narodzeniu, gdy i ten raz nadaremnie — nie skurawszy nic, poszli sobie z kwitkiem i już się drugi raz nie kusili o klasztor. Po takim cudzie Najświętszej Panny wstąpił duch w naród polski, każdy sobie pomyślał: hej! nie taki to straszny djabeł jak go malują! — ta i dalejże gromadzić się na Szwedów. I niebawem wykurzyli het lutrów z polskiej ziemi aż do ich kraju za morzem.

— O to, to! zawołał Wojtuś, radośnie klaskając w ręce.... Jakże ja też się teraz bardziej modlić będę do Najświętszej Panny Częstochowskiej, kiedy się taką dobrą matką okazała dla naszych.

A Walenty przycisnął chłopca serdecznie do piersi i prawił dalej: — Były i później różnemi czasy kuszenia się nieprzyjaciół o ten klasztor, ale mając taką opiekunkę za sobą, zawsze on był górą i z każdej sprawy zwycięzko wychodził. Oprócz ołtarza w którym umieszczony jest on obraz cudowny Maryi Panny, jest ich jeszcze 20 innych. Skarbiec przy kościele niezmiernie

bogaty, choć tam już i połowy tego nie ma, co przodkowie nasi przed laty hojnie byli ofiarowali. — Lat temu, synu, dwadzieścia kiedy byłem w Częstochowie z krakowską kompanią w czasie wielkiego odpustu na Zielone świątki — ludu ze wszystkich stron kraju było jak nabito. Większe jeszcze bywają zgromadzenia od Zielonych świątek do Wszystkich Świętych; najliczniejsze zaś w rocznicę koronacyi Matki Boskiej Częstochowskiej, która to uroczystość na dzień 8. Września przypada. Zresztą każdego dnia według postanowienia Ojca ś., kto tylko przybywa w szczerej i pobożnej myśli, dostępuje odpustu. Jak mi cokolwiek podrośniesz, chłopcze — to kiedy zabierzemy się wraz z matką na piechotę do Jasnej-góry, byś na własne oczy zobaczył ten obraz cudowny, od którego cała Polska tyle doznawała dobrego. Tymczasem bądź dobry, módl się co dnia pilnie przed tym obrazem Maryi Panny, a jeśliby kiedy matka zapomniała kupić świeczki zawczasu do świętego obrazu, to jej przypomnij Wojtusiu.

— Oj przypomnę, mój tato! i bodaj sam pobiegnę za świeczką do miasta.

Przeciw dręczeniu zwierząt.

Ujechawszy milę, postój koniom chwilę:
Ujechawszy trzy, czoła koniom potrzej;
Ujechawszy sześć, dajże koniom jeść.
Stara przypowieść.

Uderzmy się w piersi i przyznajmy do winy, gospodarze, ta że strasznie licho dbamy o naszą chudobę którą nas pan Bóg opatrzył. Nieraz aż serce się kraje, patrzyć na biedne konięta jak to ostatnich sił dobywa ażeby uciągnąć wóz, przez nielitościwego człeka nad ich siły przeładowany. A co bicia, co przekleństw nie dostanie im się przez drogę!.... to o tem i nie gadać. Ileż to razy zdarzy się widzieć w przydrożnej karczmie chłopa, dogadzającego sobie przy kieliszku, podczas gdy jego chudoba w szczerem polu wystawiona na paskudę, o głodzie i chłodzie, smutno, z opuszczonemi łbami wyczekuje, rychło się jej pan wygramoli z karczmy, i późno w nocy po złej drodze nagoni do dom na spoczynek. To tak gospodarze, niedbający o własną pracę. Cóż dopiero powiedzieć o sługach! tu jeszcze

gorzej się dzieje i każdy sobie prawi: „głupi-by mu ta poszanował, kiedy to nie moje.“ Po innych krajach już oddawna postanowione jest na to surowe prawo aby się nikt nie ważył, bydlęciu chociażby i swojemu własnemu, krzywdy uczynić. U nas jeszcze nie przyszło do tego, ale daj Boże, iżby nasi ludzie, nim nastąpi takie prawo, sami z dobrej woli w sercach swoich postanowili, nie srożyć się i nie pastwić nad żadnem Boskiem stworzeniem a choćby i nad marnym robakiem.

Właśnie też czytamy w jednej książce o tem piękne słowa, które wam tutaj podajemy dla tem większej zachęty i dla dobrej pamięci.

— Bóg, który stworzył świat i człowieka, stworzył także i zwierzęta wszystkie; a nie ma pod słońcem robaczka żadnego, któryby był wyjęty z pod jego opieki.

I ziemia jest na kształt stołu ogromnego, który codzień Bóg nakrywa żywnością wszelaką, i do którego porówno idą ludzie i wszystkie zwierzęta, i zlatują się wszyscy ptacy napowietrzni.

A Bóg jakoby wielki gospodarz świata, oddał ludziom niby czeladzi swojej, moc nad wszelkiem stworzeniem jak nad dobytkiem swoim. Więc jako czeladź czyniłaby krzywdę gospodarzowi, krzywdząc dobytek jego, — tak ludzie stokroć gorzej grzeszą naprzeciwko Bogu, dręcząc choć najmniejsze stworzenie, które jest dziełem jego ręki. Bo Ojciec niebieski, w miłości swojej na wszystek świat wylany, pragnie też, ażeby każde, choć najdrobniejsze żyjątko co przez niego żyje, miało szczęśliwość i zachowanie swoje.

Dzieci, jako same są też maluczkiemi, i jako się one jeszcze swego cienia boją, i jako one zapłaczą gdy na nie palec kto zakrzywi, — tak niechże też nie czynią krzywdy trwożliwemu zwierzątku, które słabsze od nich, ani robaczkowi, który jest w ich mocy. Bo i dzieci już winny miłosierdzie czynić; a komuż one słabe i ubożuchne uczynić mogą miłosierdzie jakie, jeśli nie słabszemu i mizerniejszemu od siebie stworzeniu? Które zaś wyrządzają małe złe zwierzątkom, będąc maluczkiemi, — będą wielkie złe wyrządzać bliźnim, stawszy się dużymi.

Tak i wy ludzie, którzy w pocie czoła pracujecie, jako też porówno z wami pracuje bydełko robocze; — a którzy też

jesteście drugim ludziom podwładnymi; — a którzy też nieraz oblewacie łzami gorzki chleb służebny, — a którym też jest oddane w rękę jarzmo na woły i bicz na konie; użalcież się nad każdem biednem stworzeniem, które jest pod wami, i co wam niemiło — onym nie czyńcie.

I wy, jako te dziatki, będąc ubogimi, kiedy macie jedną suknię — jakże ją macie oddać bliźniemu, co prawie jest nagi? — I jakże wam podobno jest łamać chleb na jałmużnę, kiedy go czasem sami nie macie? A więc czyńcie przynajmniej miłosierdzie zwierzęciu, kiedy go często ludziom czynić nie jesteście w stanie; bo Bóg i od was chce dobrych uczynków, a i ku zwierzęciu miłosierdzia żąda.

Ludziom w ucisku i krzywdzie dana jest przynajmniej mowa, ku wypowiedzeniu krzywdy, — dany jest przynajmniej płacz, ku uproszeniu litości, — dane jest i prawo, i sąd postanowiony na ziemi, który wymierza każdemu według sprawiedliwości jego. Ale udręczonego zwierzęcia nikt nie pożałuje, ani się ujmie za wyrządzoną mu krzywdę, chyba tylko jedyny Bóg, który w ciszach niebieskich słyszy wszelkie gwałty ziemskie.

Bywa często, że człowiek mający złość na człowieka, mści się i pastwi nad niewinnem bydlęciem jego. A biada psu, który wejdzie w drogę człowiekowi takiemu! I biada koniowi, na którego on wsiądzie w złej godzinie gniewu!

Sromota też ludziom, którzy w opilstwie straciwszy rozum, nie tylko uderzają na nieżywe kamienie i drzewa przydrożne, ale w zapamiętaniu swojem katują jeszcze i niewinne bydlątka, któremi się wiozą do dom.

A jeżeli kto naśmiewa się z żyda, co pod górę siedzi na wozie, choć konikom ciężko, a z góry zesiada z woza, choć się letko jedzie, to niechże też sam nie czyni takim obyczajem, iżby pamiętał tylko o sobie i o bezpieczeństwie swojem, ale każdy jak może niech w drodze ulży bydlątku.

Z tamtej strony Warszawy jest lud Podlaski, na swoje bydełko taki łaskawy, że furki ze zbożem pcha za konikami, a prawie nie zna, co to jest bicz na nie. Bierzcie go sobie za piękny przykład.

U kogoby koń zasłużony i spracowany miał poprzecinaną

od bicza skórę, albo u kogoby stary pies powieszony był na wierzbie; tam pewno i starzy rodzice w poniewierce będą u takich dzieci, i staremu żebrakowi nie ma po co wstępować do takiego domu.

A kto prowadzi bydlę na zabicie i dla pożywienia swego jakiemukolwiek zwierzątku życie odbiera, ten niech mu nie da długo się męczyć, i niech mu bolu srogiego nie przymnaża daremno. Jakoż też między naszym ludem dobre w tem okazuje się serce, że nie pozwalają dzieciom patrzyć, kiedy bydlę zabijają, bo mówią, że bydlę czuje, kiedy kto żali się nad niem, a przez to jeno dłużej żyje i jeno się dłużej męczy podaremnie. A dobry to obyczaj jeszcze i dla tego, że niewinnym dzieciom, które się na mękę bydlęcia zapatrują, zatwardza się tylko onych serce, i potem też zapatrywać się będą suchem okiem na wszelkie udręczenia bliźnich swoich.

Ale bo też każdy niech to ma na uwadze, że i zwierzęta mają swoje czucie i swoją litość, a litość lepszą nawet czasem od samego człeka. Bo czyliżto bydlę nie ryczy, kiedy znajdzie miejsce, gdzie się krew bydlęca była rozlała? Albo czyliżto pies wściekły nie ucieka z domu, w którym był chowany, i nie umija tych, którym wiernie służył? — Albo czyliżto wojacy nie opowiadają, jak konie na wojnie trupów przeskakują? — Albo czyliżto nie poświadczą tacy, co we wojnie ranni leżeli na ziemi, że konie w boju i ciemnej kurzawie przekraczały ich ostrożnie aby nie udepnąć?

Miłosierdzie nad zwierzęciem wszelkiem jest w każdym człowieku jawnym już znakiem i dobrego serca i prawdziwej miłości chrześcijańskiej: — bo miłosierdzie takowe nie bywa czynione ani dla chluby, ani dla wdzięczności, ani dla oka przed ludźmi, — jeno dla samego sumienia własnego, jeno dla samej zasługi przed Bogiem, od którego też zesłany nam jest z Nieba przykazanie takie: *„Bądźcie miłosiernymi, jako i Ojciec wasz w Niebiesiech miłosiernym jest!“*

RÓŻNOŚCI.

Przygoda z rozpusty. Jedno z pism krakowskich donosi nam o smutnym wypadku jaki się zdarzył w Krośnie w d. 23. czerwca. W pobliżu kościoła ś. Wojciecha stoi stara wiśnia, na którą wdrapywały się dzieci. Po południu tego dnia starsze nawet wyrostki obsiadły drzewo żeby owoc objadać. Spruchniała gałęź załamała się pod ich ciężarem i czworo dzieci spadło na trawnik, a dwoje na drogę pod drzewem idącą. Z tych ostatnich dziewczyna 9letnia na miejscu żyć przestała, a chłopiec 18 lat liczący obie ręce połamał, głowę sobie pokaleczył i w niebezpiecznym znajduje się stanie. Z pierwszych czworga dzieci, dwoje jest znacznie potłuczonych a dwoje innych zupełnie jest zdrowych.

Rodzice! nie pozwalajcie nigdy dzieciom swoim rozpustować, jeśli wam ich zdrowie i życie na sercu leży.

Tego roku często doświadczamy burze. Grady jak słychać w różnych okolicach kraju znaczne poczyniły szkody na polu. Toż samo i pioruny nie w jednem miejscu stały się przyczyną nieszczęścia. Niedawno temu w Uhrynowie w obwodzie Żółkiewskim uderzył piorun w stajnię i zapalił. Mimo spiesznego ratunku, ogień przerzucił się na pobliskie budynki. Spłonęło 15 domów, przyczem zginęła jedna sztuka bydła i wszystkie sprzęty gospodarskie poszły z dymem.

Dziwne zwyczaje. Co kraj to obyczaj — powiada nie nadarmo przysłowie. Gdy komu u nas umrze ojciec, matka, mąż, żona, dziadek, babka, to noszą żałobę. Ta żałoba u nas jest koloru czarnego. Czy myślicie że tak wszędzie?... Idźcie tam daleko na wschód słońca a zajdziecie do kraju Japończyków; tam kolor biały oznacza żałobę. My się witamy, całując się w ramie albo w usta, ściskając za ręce, kiwając głową, i zdejmując czapkę albo kapelusz. A tam w Japonii to się witają nogą; a w innych krajach zdejmują bót i kładą na głowę; jeszcze gdzieindziej ocierają się nosami na znak przyjaźni, dmą w ucho albo po brzuchu ręką głaszczą. U nas gdy koń przypadkiem nogę sobie złamie że już wcale nie jest do roboty, albo z wielkiej starości osłabnie, wołają oprawcę ażeby się dłużej konisko nie męczył, każą zdjąć skórę a ścierwo zakopują do ziemi. W Niemczech oddaliby go na rzeź do jatek, i rozsprzedali jak gdyby wołowe albo krowie mięso na funty. Cóż dopiero mówić o kotach albo szczurach! a przecie u Włochów uchodzą one za wielki przysmak...

Trzymamy się swoich zwyczajów, bo taki to najlepsze co nasze.

Rybołostwo. W dawnych czasach stanowiło rybołostwo ważną gałęź dochodów w Polsce. Księża Cystersi zakładali swe klasztory zwykle w borach nad wielkiemi jeziorami i słynęli jako doskonali rybołowcy. Ryby przynosiły wielkie korzyści i dla tego książęta i królowie dawali rybakom różne przywileje, a nawet w miastach były cechy rybackie. Oprócz jeziór było bardzo wiele stawów; a w nich

pielęgnowano szczupaki, karpie, okonie, karasie, pstrągi, liny i inne. Gdy stawy miano zarybniać, spuszczano je i obsiewano makiem i rzepą. A gdy kwiat maku miał się zawięzywać w owoc, wtenczas wpuszczano wodę i zarybiano stawy i tym sposobem miały ryby gotowy pokarm dla siebie.

Szewc oszukany a złodziej ukarany. Oszust na wszystkie cztery nogi kuty, targował pewnego razu na jarmarku buty. Obuwszy je, że mu wraz były, nie wyzuł ale zapytał szewca: „Majsterku! czy też już kiedy uciekł kto majsterkowi z butami?“ Szumny szewc, poprawiając rogatywki, odpowiada miniasto: „oho, nigdy! nigdy!“ „Co? nigdy?“ zawoła oszust, „to sprobójmy;“ i dalej w nogi. Szewc za nim krzyczy: „Łapcie, trzymajcie, to złodziej!“ Ten zaś pryskając, woła z uśmiechem: „Z drogi, z drogi ludkowie, bo to zakład.“ — I uszedł kary ludzkiej ale nie Boskiej: boć pono jeszcze tej samej nocy, kiedy wracał z karczmy na piękne ścięty do domu, a miał przechodzić przez potok po mostku, tak nim rzuciło, że spadł na głowę do wody, i w niej wraz z kradzionemi butami utonął. A gdy nazajutrz mocno się nad tem dziwowali ludzie, jak taki chłop mógł w wodzie utonąć, co jak to mówią była nie ledwie żabie po kostki, — wtedy Stach najstateczniejszy między nimi, zawoła: Nie dziwujcie się temu gospodarze! Jak pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści — więc i na złodzieja przyszła raz kara Boża.... i ot po wszystkiemu....

Czyja prawda? Spierał się Szymek z Maćkiem o to: czy wódka daje moc człowiekowi albo też nie. Szymek przeklinał ją, Maciek zawzięcie bronił. Gdy tak wadząc się ze sobą idą, aż tu od karczmy nie opodal widzą setnego chłopa na drodze, któremu nogi jak u małego dziecka ani daj Boże statkować, tak mu się podginały i zawracały na wszystkie boki. — A temu biedakowi co, — zawoła Szymek, — że taki niemocny? — Ba, niemocny! rzecze Maciek, — chybaś ślepy! upił się jak nieboskie stworzenie i nie może dalej. — Co mówisz! pijany?... zapyta Szymek, — odże dopiero co spierałeś się ze mną, że wódka mocy dodaje... czyjaż tu prawda?.... Na te słowa Maćkowi jak by kto nieprzymierzając w twarz dał — stanął jak trusia i podobno już nigdy nie zaczepiał Szymona o tę prawdę.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Zły ptak, co gniazdo swoje plugawi.
2. Więcej tonie ludzi w kuflu, aniżeli w morzu.
3. Grzech bardziej trapi duszę, niż choroba ciało.
4. Łgarze, pan Bóg karze, jeśli nie mrozem, tedy powrozem.
5. Nie zawsze uderzy, gdzie kto mierzy.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 4.

1. Sierpnia 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śmierć króla Popiela

i Ojciec Piast.

W mieście Kruszwicy nad Gopłem jeziorem stał się wielki rejwach. Bo czy to słychana rzecz aby kogo żywcem myszy zjadły... te drobne i lękliwe stworzeńka! A tu właśnie obiega między ludźmi pogłoska: że króla Popiela na śmierć myszy zagryzły.

I prawda była — Bóg taką straszną śmiercią ukarał króla za jego niesprawiedliwe rządy i pomordowanie stryjów, którzy go jako swego synowca surowo napominali, chcąc na lepszą naprowadzić drogę. Jeszcześ król sam może się był i opamiętał, ale miał on żonę Ryxę, cudzoziemkę z rodu, wielce niepoczciwą i dumną niewiastę. Jej to głównie nie przypadały do smaku rady stryjów mężowskich, bo się lękała o swoją własną skórę — więc na nich podbudzała swego, który że był słabego dla niej serca, wnet też ją i usłuchał. Na ten koniec udał on śmiertelnie chorego i napisał piękne listy do stryjów, prosząc aby przyjeżdżali czemprędzej, posłuchać jego ostatniej woli. Nie spodziewali się stryjowie żadnej zdrady, więc wszyscy na jeden raz przybyli do królewskiego dworca w Kruszwicy. A jak przybyli,

tak w rzeczy samej zastali króla prawie umierającego w łóżku, a przy nim żonę okrutnie zapłakaną i wyrzekającą. Wszystko to było jeno udanie na ich szkodę, ale oni tego nie zmiarkowali i w dobrej wierze, litując się nad obojgiem, pozostali na wieczerzy przez noc. Dopieroż to cudzoziemka głaska ich udatnemi słowy, a gości, a częstuje, a podaje wino i miód pełnemi dzbanami. Słodkie wino, słodszy miód, król zaprasza, królowa aż po rękach całuje... jakże tu nie pić! — więc pili i dopili się śmierci jeszcze tej nocy, bo i to wino, i ten miód były zaprawione trucizną. Jak tylko pomarli, król kazał ich ciała co rychlej wytaszczyć z zamku i do jeziora wrzucić rybom na pastwę. Ale pan Bóg inaczej dopuścił! — z stryjowskich trupów wylęgły się ich mściciele. Zaledwie świtać poczęło, hurma zajadłych myszy wpada na zamek do pokojów królewskich. Zrazu król i jego żona śmieją się z tego; ona kopnie nogą, on kijcem żelaznym uderzy, myśląc że tak ich duchem napędzą do dziury. Ale niebawem widzą że to nie przelewki — myszy rwą się do nich obcesowo, a co zbiją którą na śmierć, zaraz z jej ciała dziesięć innych wyrasta. Tedy oboje jak niepyszni w nogi — myszy za nimi; wybiegają z pokojów na pole — myszy tuż za nimi; więc dalej do brzegu gdzie była łódź królewska, i halo na wodę — ba i myszy w pław za nimi przez jezioro. W pośrodku tego jeziora stała na wyspie wysoka wieżyca, cała z kamienia; — tam łódź skierował król, wyskoczyli oboje i do wieżycy za żelaznemi drzwiami się skryli. — Teraz, myślą sobie, już jesteśmy bezpieczni! — Gdzie tam! przed Bożą pomstą nie masz bezpieczeństwa! — przez kamień, przez żelazo przegryzły się myszy i póty nie spoczęły, aż króla Popiela i królowę Ryxę na śmierć nie zajadły. —

Do dziś dnia, choć temu już tysiąc lat będzie zpełna, pokazują ludzie w Kruszwicy to miejsce, gdzie stała ona „mysza wieża“ nad wodą. Podobno ją jakiś Prusak zakupił na browar i teraz piwo tam warzą; — tak to on umiał poszanować naszą pamiątkę... bodaj go myszy zagryzły!...

A w mieście Kruszwicy, jak powiedzieliśmy, stał się wielki rejwach. Nikt wprawdzie króla nie żałował, tem mniej jego żony cudzoziemki. Ależ to o nowym królu wypada pomyśleć! byle nie taki był jak pierwszy.

I zjechał się naród polski na naradę: kogoby sobie obrać na króla. I długo radzono a zgody nie było; jedni trzymali za tym, drudzy za onym — a tymczasem coraz mniej chleba starczyło na wyżywienie tak mnogiego ludu i głód poczynał dokuczać na piękne. A był tam w tej Kruszwicy stary kołodziej, nazwiskiem Piast, człek dobry, sprawiedliwy i gościnny. Temu niedawno przed tem urodził się był syn, więc zabił wieprza i podsycił beczkę miodu, aby odprawić obrządek pogański postrzyżyn — gdyż wtedy, kiedy to się działo, ludzie nasi nie znali jeszcze ani Chrystusa ani Matki Najświętszej. Wtem zachodzą do niego dwaj podróżni, a znać z dalekiej podróży bo osypani kurzem i potem oblani, a dziwnie pięknych lic i miłego wejrzenia byli oba. A jak przyszli, tak przystojnie pokłonią się gospodarzowi, prosząc o gościnę. Z otwartemi rękami przyjął ich Piast u siebie, posadził za stołem, nakarmił i napoił — a oni mu obyczajem chrześcijańskim ochrzcili syna, któremu dali na imię Ziemowit. Co uczyniwszy pożegnali go i w dalszą zabrali się drogę. Zaledwo co wyszli za bramę, wpada Rzepicha, niewiasta kołodzieja do izby i dziwne opowiada rzeczy: jako że nie wiedzieć zkąd w kadziach przybyło im dużo miodu a w spiżarni mięsiwa. Nie chciał kmieć temu wierzyć aż się na swoje własne przekonał oczy. I podziwuje stary Piast i jego niewiasta Rzepicha: co by w tem było! czy jakie czary, czy Boski cud?... I kiedy sobie to dziwne zdarzenie w głowie rozbierają — drogą od miasta wali się do nich gromada ludzi, dopytując czyby nie mogli dostać tutaj żywności za zapłatę, bo strasznie byli głodni. A na to Piast: — Nie jestem ja żaden kupiec ani szynkarz, iżbym miał za pieniądze sprzedawać chleb i miód; ale miło mi będzie, podejmować was u siebie, panowie bracia, i tem usłużyć czem łaskawa Opatrzność dom mój obdarzyła, — więc proszę!.... To mówiąc prowadzi wszystkich do stołu, karmi i poi należycie, a oni mu za to powiedzieli Bóg zapłać i powracając podali innym po drodze: jakiej gościny doznali u Piasta. Wnet całe miasto dowiedziało się o tem; — kto był głodny chleba i spragniony miodu, szedł sobie wprost do gościnnego kołodzieja i bywał syty, bo Piast przed nikim drzwi nie zapierał, a wszystkich raczył hojnie cudownym miodem i jadłem, którego mu nigdy nie uby-

wało. I nie czary to były! ale to był cud święty, którym pan Bóg pobłogosławił dom miłego sobie kmiecia Piasta przez onych dwóch podróżnych, a raczej dwóch Aniołów swoich, zesłanych z nieba na Polską ziemię. Tym cudem chciał pan Bóg wskazać narodowi: kto wart być jego królem—i czem się stanie mocnym na przyszłość: „że skoro będzie cały naród jak on Piast dobry, pracowity, gościnny, sprawiedliwy i między sobą w zgodzie żyjący — będzie miał wszystkiego dostatek i widoczne błogosławieństwo Boże spłynie na niego; skoro zaś kiedy tych cnót się pozbawi — natenczas Bóg go odstąpi i popadnie on w srogą niedolę.“

Takim cudem świętym kołodziej Piast wnet pozyskał sobie wszystkich serca. I nie łamali sobie już dłużej głowy nad tem: kto miał zostać ich królem. — Bo i po co tu — prawi każdy — daleko szukać za tem co mamy pod bokiem? Piast nasz król i ojciec.... niech żyje! On co taki dobry gospodarz u siebie, będzie i nami dobrze gospodarzył i nikomu krzywdy nie uczyni. —

I tak kołodziej Kruszwicki, ojciec Piast po strasznej śmierci Popiela został królem, a ród jego potem blisko 500 lat panował na tronie polskim.

O Zosieńce, sierocie.

W chacie siedzi Zosieńka spłakana,
Ciągle płacze i zimą i latem;
U ciemnego tam płacze tapczana,
Gdzie jej matka żegnała się z światem;
  Oj, na wieki żegnała się z światem.

Siedzi ciągle z zgasłemi oczyma,
Siedzi w zimnie, głodzie i ciemnocie,
„Oj! biadaż mnie, mateńki mej niema,
Oj! biadaż mnie, oj biada sierocie,
  Samej jednej, biada mnie sierocie!“

Trzy tak lata płakała Zosieńka,
Trzy miesiące i trzy dni płakała:
Aże przyszła do niej w śnie mateńka,
Która z grobu na płacz dziecka wstała,
  Na płacz dziecka, oj! z trumienki wstała.

Więc Zosieńka podniosła rączęta
I wołała do niej tak miłośna:
„Czemuś smutna taka, matko święta!
O czemu ty matko tak żałośna,
  Taka smutna matko i żałośna?

Jakie niesiesz ty dwa wiadra wody,
Że cię ciężar aż do ziemi gniecie?
Małoż miałaś ty tutaj roboty,
Że na tamtym musisz dźwigać świecie,
  I na tamtym musisz dźwigać świecie?“

„Oj córeczko, oj córeczko miła!
Zosiu moja z czarnemi oczami
Toś ty płaczem twoim mi zrobiła:
Toć to twoje łzy dźwigam wiadrami,
  Wszystkie twoje łzy dźwigam wiadrami.“

I staruszka przeszła pochylona,
Wiadra ciężko gniotą ją ku ziemi,
A Zosieńka próżno, przestraszona,
Chciała pomódz rączęty białemi,
  Rączętami swemi miłośnemi.

Lecz już odtąd Zosia nie płakała,
Ani w kącie już siedzić dziewczynie,
Ale w polu pilnie pracowała;
I zajaśniał ogień na kominie,
  Ogień jasny zabłysł na kominie.

Przez dzień cały u żniwa na czele:
Toć zawitał dobytek do chatki;
A co wieczór i w każdą niedzielę
Modliła się za duszę swej matki,
  Za duszyczkę swej kochanej matki.

Trzy miesięce przeszło i trzy roki,
Nocy trzeciej usnęła Zosieńka,
Gdy u czółka znowu w sen głęboki
Stanęła jej bieluchna mateńka,
  Jako żywo! bieluchna mateńka.

Aleć dziwnie była uśmiechniona,
I w chędogą przyodziew ubrana,
I podniosła bez wiader ramiona —
Aże Zosia: „Mateńko kochana“
  Zawołała „mateńko kochana!“

„Córuś moja, dziecię moje drogie!
Toć ja teraz u Boga szczęśliwa,
I na sobie mam szaty chędogie,
I me ciało spokojnie spoczywa —
O! w trumience spokojnie spoczywa.

A dusza ma nad tobą się śmieje,
Czyli uśniesz na moim tapczanie,
Czyli wstajesz, gdy rano zadnieje,
Czy na łące zielonej lub łanie,
Przy robocie na łące lub łanie.

A gdy w chacie ozdoby przybywa,
Gdy się mnoży w maleńkiej chudobie,
To ja cieszę się — taka szczęśliwa,
Jakbym była tutaj, tuż przy tobie,
O! przy tobie, córeczko, przy tobie!

A gdy idziesz ubrana w kwiatuszki
Do kościoła, o moje ty dziecię!
To ja chlubię się pomiędzy duszki,
Że mam taką córeczkę na świecie,
Taką dobrą córeczkę na świecie!...“ *J. Sz.*

Każdy stan sobie dobry.

Zły rozum u tego człeka,
Który na stan swój narzeka.

Od Żuławieckich łąk szli stary Maciej ze synem pod wieczór szeroką miedzą ku wsi, co tam opodal z zielonych sadów widniała. Po kośbie oni wracali do dom, pomęczeni setnie że to trawsko na tych tam łąkach niepoczciwe i upał tego dnia był nieznośny, a zresztą że praca była gwałtowna, bo stary Maciej się uparł, we dwóch pokosić wszystką trawę na łące, co ją był dla siebie na ten rok od dworu wynajął. Właśnie z miedzy schodzili na drogę, gdy zadzwoniono na Anioł pański z dzwonicy. Gospodarz duchem obnażył siwą głowę, uczynił krzyż święty i jął się do modlitwy nabożnie. A z jego głowy bieluchnej jak u gołąbka ociekał rzęsisty pot na czoło i na lica stare, a kosa co ją miał spartą na ramieniu, łyskała w zachodniem słońcu ogniście niby od złota szczerego, a oczy jego spokojnie i wesoło patrzyły przed siebie. Zaś wedle starego

idący syn, chłop spory i silny niby dąbczak młody, czegoś strasznie chmórny był na licu i w oczach niby gniewny. I ten do pacierza zdjął wprawdzie kapelusz i ustami poruszał, ale widocznie było że mu ta modlitwa nie szła od serca.

— Amen! zakończył stary na głos modlenie, przejechał raz i drugi rękawem po twarzy spotniałej i wesołem okiem obejrzy się na syna. Tej chwili właśnie syn zamiesił ręką w powietrzu niby to żegnając się, poczem kapelusz z mocą wmiętosił na głowę, zsunął go na same czoło i pochmurny gdyby sum idąc, wodził okiem po kamieniach na drodze.

— Walku! zagadnie gospodarz — czyś ty muchy łapał przed nosem?

— Właśnie muchy! — odburknie parobek. Przecie widzieliście że się żegnałem.

— To ty się żegnał, chłopcze?... podziwuje stary, Patrzajcież! nigdybym tego nie rzekł.

— Cóż znowu! bąknie Walek w gniewności — czy sobie ojciec żartują ze mnie albo co? żegnałem się, powiadam raz.

— Gadajże sobie zdrów i sto razy — na to ojciec — ale mnie się nie widzi, aby to takie przed nosem machnięcie, miało krzyż święty znaczyć. Nie, jako żywo chłopcze! ani ja twój ojciec, ani twoja matusia nie uczyli cię takiego krzyża. Ale cóż tobie synu że tak okiem szyjesz po ziemi, jakby ci wstydno było na świat popatrzyć?...

— E tatusiu! pryśnie syn z gniewu. Co wam to wadzi, jak ja sobie tam patrzę.

— Au, synal mi się sroży jak byk do bodzenia! wara malcze! — krzyknął na ostro Maciej, bo ja cię wnet rozumu nauczę, jak masz powiadać do ojca.

— Ta-bo mi dojadacie żartami, tatusiu! rzeknie na pół z płaczem parobek — a tu człeku właśnie żarty na myśli, co taki niby koń spracowany i głodny jak pies. Oj! Boże mój Boże, co takie życie warte! pracuj i pracuj od świtu do nocy aże kości trzeszczą... a toć prawdziwa niewola ta nasza dola chłopska!

— Cha, cha, cha! zaśmieje się stary całą gębą. To mu dzisiejsza kośba tak dogryzła!... otóż macie! chłop nie uroko, jak się patrzy, młody, silny, zdrów jak rydz i na pracę się

krzywi lada jaką. To ja stary grzyb, cobym za swoje lata ze czterech takich kupił jak ty, ja twój ojciec ani krzty nie mam żalu do pracy, jeno sobie oto jak widzisz wesół Boga chwalę i na spoczynek rześko idę w nadziei że mi go pan Jezus na noc dzisiejszą dozwolić raczy tem pewniej, im mocniej nań zapracowałem, — a ty nicponiu iż tak cię nazwę po imieniu, krzywisz się jak nieprzymierzając niezdarny dzieciak, kiedy go komar ukąsi... żeć się zdarzyło dzień jeden odrobinę więcej kosą pomachać?...

— E tatusiu! powie znowu Walek i znać było że się już wstydził tego mazgajstwa — to tak niby niekoniecznie... za dziś, na tę pracę się użalam... to-by jeszcze po prawdzie powiedziawszy i fraszka była;.. ale bo to dzień w dzień haruj a haruj jak bydle a nie człowiek, i tak przez całe życie... to powiedzcie sami, że niekoniecznie pocieszno dla serca.

— A jakżeś ty myślał, synu! zawołał Maciej. To widzę, chciałbyś miodu bez zachodu i bez pracy kołaczy — he? O nic z tego! póki świat światem, jeszcze nikogo próżnowanie nie nasyciło. Uważ to sobie synu, co mówię, żeby nie było na wiater to moje gadanie. Kto na życie nie pracuje, Tego bieda pomorduje — pamiętaj!...

— Takci tam zaraz pomorduje! wtrąci się Walek. Na, patrzcie oto, tatusiu, jako ich strasznie morduje... o! o!...

I wskazał ręką przez bramę na dworski dziedziniec, wedle którego właśnie im wypadała droga do domu. Na ganku przed białym dworem siedzieli pan z panią. Pan sobie fajkę kurzył na długim cybuchu, a pani jakąś tam letką robótkę trzymała w ręku. Zaś na dziedzińcu do koła zielonego trawnika przejeżdżał się panicz na żwawym koniku i przed okiem rodziców cudności na nim dokazywał, że aże każdą razą pani krzyknie z przestrachu, taka bojąca o syna, a pan jeno głową kiwa z upodobaniem że takiego ma chwata.

— No, i cóż powiecie tatusiu! — prawi dalej Walek — albo to znać na nich pracę, tak oto jak po nas?...

Stary Maciej nic w to nie rzekł. Widać że nie słyszał, tak się cały zapatrzył na panicza, dokazującego po dziedzińcu na koniu. Poczciwy starowina! ukryty z po za płotu patrzy

a patrzy, aże mu łzy postąpiły do oczu z radości, że taki panicz do konia chwat. O! bo Maciej to były wojak, a że sługiwał konno, więc sam w tem był praktyk nie lada i strasznie za koniem przepadał. A tu mu młode lata na widok panicza w pamięci się odezwały... młode lata z dawnej wojenki... hej! mój Boże! takie piękne lata! aż stary jak małe dziecko zaszlochał, taki mu żal po nich ścisnął za serce.

Tymczasem Walek że ciągiem miał sobą nabitą głowę, nie zważał jakoś na ten dziwny płacz ojcowski, a iż mu ojciec nic nie rzekł na jego mowę, którą miał sobie za coś bardzo mądrego, więc znowu starego zaczepi i tak niby pokpiwając rzecze;

— Powiedzcież raz, tatusiu — to i oni pracują — he?...

Na te słowa Maciej jakby go żmija użarła, tak skoczy i jak nie popatrzy na syna od gniewu, a nie krzyknie: — Milcz błaźnie! — to Walkowi aże ciarki przeszły od głowy do pięty i omal co na oba kolana nie bęcnął ze strachu przed nasrożonym ojcem. A stary Maciej raz jeszcze zwrócił się twarzą ku dworskiemu dziedzińcu, uczynił krzyż święty w powietrzu niby na błogosławieństwo i mówiąc sam do siebie: — Daj mu Boże zdrowie! — puścił się dalej drogą ku domkowi.

W drodze dopiero zagada do syna lepszym głosem:

— Walek! durnyś ty, oj strasznie durny!

— Durny albo nie durny! — odetnie się parobek śmielej, miarkując że już starego gniew ominął. Może to nie prawda że panowie nie znają co praca, jeno sobie baraszki stroją — a taki nijakiej biedy nie mają, owszem rozkosz.

— Aleś durny chłopcze! mocniej powtórzy Maciej, — jak bót dziurawy, aże mi wstydno że takiego osła mam w domu, co go nazywają moim synem.

— Niechta! bąknie do żywego urażony parobek — wyście ojciec, to i wymyślać wam wolno na mnie co się spodoba.

— Wymyślać?... nie synu! nie ja wymyślam na ciebie, ale ty na niewinnych ludzi wymyślasz. Wiemci ja że to nie ze złego serca było, co rzekłeś, jeno tak potrochu z niedobrego humoru iżeś się dzisiaj nieco w pracy przeciągnął, a reszta na to mówiąc z głupoty. Ale i to już niedobrze, bo człek w każdym razie powinien być jednaki i nikomu krzywdy nie czynić.

Krzywda każda to grzech wołający o pomstę do nieba, od czego broń ciebie Boże! Powiadasz że we dworze nie pracują a po ucha mają rozkoszy?... Durny chłopcze! toż to u ciebie jedna tylko praca na świecie... ta co z kosą, siekierą, z pługiem i z cepem ma do czynienia? — To i nasz dobrodziej u ciebie nie pracuje, dla tego że sam nie młóci w stodole, nie orze na polu i drwa sobie do kuchni nie narąbie?... Widzisz jakiś ty głupi co tak właśnie jak ślepiec o kolorach sądzisz! Owo i na dwór wskazujesz, jakoby tam nijakiej pracy nie było a roszkoszy wiele, dla tego żeś widział państwo siedzące na ganku i panicza figlującego na koniu... i już ci ztąd zazdrość. Oj! nie zazdrościłbyś ty panu, gdybyś choć z jeden dzień posiedział w jego skórze i potrzebował popracować głową rozumnie, aby ład w tak wielkiem gospodarstwie utrzymać, na wszystkie strony się opłacić, każdemu dogodzić i tyle smutnych nieszczęść przenieść na sobie. Oj! nie zazdrościłbyś ty i paniczowi że sobie czasem na koniku pohasa, gdyby ci przyszło tak jak jemu dzień po dniu kilka godzin z tym panem dyrektorem, co to go wszystkie nasze dzieci we wsi znają że taki chudy i wysoki, prześlęczyć nad książkami w różnej nauce, iż się małemu główka popoci bardziej niż tobie, któryś cały dzień kosił trawę na łące. Dla tego nie pokrzywdzaj ich, chłopcze! twojem nierozumnem gadaniem, nie zawidź drugiemu stanu w którym go pan Bóg chciał mieć, ukochaj pracę twoją rolną do której ci pan Jezus użyczył siły, zdrowia i prostego rozumu, a nie będzie ci ona przyciężką, jak nie jest mnie staremu, i twojej matuli i naszym sąsiadom dokoła, co żyją z pracą w zgodzie i szczęśliwości.

Tak mówił stary Maciej do syna. Tymczasem słonko już dawno zapadło za góry i zrobiła się noc na piękne. A oni obaj idą drogą milczący i dumkę sobie dumają: ta syn pewno nad tem przemyśla co mu tatuś prawili przed chwilą, a znowu Maciej pewno w duchu się modli iżby to jego mówienie synowi do serca trafiło. I tak zadumani oba, omal co nie pominęli własnej chaty, gdyby nie wierny Bryś, który czując swoich w bliskości, zagłosił radośnie. Wtedy się dopiero ocknęli i skierowali ku chacie. Z proga zawołała na nich gospoś niespokojna:

— A chodźcież raz, mitrężniki, chodźcież! o dla Boga!

dyć już strachałam się w duchu, czy was jaka zła dola nie spotkała po drodze.... Co wy sobie myślicie, włóczący się tak do późna w nocy?

— Ano, myślicie sobie, moja stara — odetnie się Maciej — żeś my dziś zapracowali na dobrą wieczerzę a nie na próżne gadanie.... nieprawda synu? —

— Oj jeść, matulu, gwałtu jeść! bom głodny jak nie wiem co — zawoła parobek stawiając kosę wedle ojcowskiej na miejscu i rzucił się na ławę umęczony, aże pod nim zatrzeszczało.

— Jezus Marja, chłopak! krzyknie kobieta — połamiesz mi ławkę.

— Nie to, matusiu! to tak jeno z pracy ociężałem potrochu. Jeść, jeść! bo mi aże mdło od głodu.

— Samiście se winni — powiada matka, podając pilno na stół kopiastą misę ziemniaków i drugą z kwaśnem mlekiem. — Na, na.... pożywajcie zdrowi!

— A ty matko? — zapyta Maciej.

— O! właśnie czekałabym na was do tak późna — prawi gosposi i przysiędzie się do starego, i miłem okiem nań spojrzy, i zapaską mu czoło mokre obetrze, ta rzeknie: — Ej stary! taki ty się z tą twoją nagłością w pracy, wczesnej — czego Boże chroń — śmierci dobroisz.... zobaczysz!

— Poczkaj, matko! powie wesoło gospodarz — jeno sobie podjem, to pogadamy o tem.

— A tak, tobie żarty na myśli, ale nie mnie. Cóż kiedy ja swoje, a on swoje! powiadam: szanuj swoje kości, stary, i nie próbuj się z młodym na siłę! a on po swojemu: chociaż stary ale jary! i dalej fiukać sobie pod nosem, ta i po dawnemu.... halo do pracy.

— Przyganiał ci kocioł garczkowi — zaśpiewał Maciej — Matko! a jak tam dalej?...

— E, krętaczu jakiś! żachnie się niby w gniewie kobieta. — Tobie jeno w mieście siedzieć i pisać supliki do sądu.

— Odże widzisz, moja babo! nie wdawajże się ze mną w procesa bobyś na pewne przegrała. Ale — powiada, kładąc łyżkę na stole — oto, dziękować Bogu, pożywiło się należycie. Dokładajże i ty chłopcze co żywo a nie zabawiaj się bo jutro

równo ze świtaniem trzebaby się wybrać do siana, żeby go jeszcze za pogodę uchwycić i bodaj wieczorem poskładać w kupicy, — bez tego nocy suche.

— Na to parobczak, wybrawszy do ostadka z misy, oblizał jeszcze łyżkę ze wszystkich stron, przeciągnął się raz i drugi aż wszystkie kości w nim zachrobotały, ziewnął na głos i krzywiąc gębą gdyby po kwasie, pełną garścią poskrobał się w głowę.

Zauważał to ojciec, więc swoją potrąci w bok: — Patrzajno matko, jaki nasz synal krzywy! możeś ty mu przypadkiem kwasku nasypała do mleka?....

— Strasznieś mądry! ujmie się Maciejowa za synem; czy cię dzisiaj co nie ukąsiło żeś taki niedobry?....

— Ta gdzie ja niedobry, kobieto!.... zawołał stary Maciej wesoło. — Pójdź babuś do tańca! niechaj ci przy miesiączku na dobranoc zaśpiewam.

I zanim się jego spodziała, już pociągnął ją z ławy na środek izby, uchwycił jedną ręką w poły a drugą odgarnął siwego włosa z czoła i stając na przeciwko syna, zaśpiewał żywo:

Za góreczką, za niwą,
Ożenił się z leniwą,
Ożenił się, sam zleniał —
Jabym się z nim nie mieniał.

I dalejże, potupując nogą, zawinął tanecznicą kilka razy gracko po izbie, mimo jej woli i chęci, podczas kiedy chłopak za stołem rozruchany śpiewką, z śmiejącem okiem wesoło poklaskiwał w ręce.

— A co! zawołał Maciej, puszczając z rąk zadychaną niewiastę; niedobry ja, matko?.... patrzaj, jakem ci synalka rozweselił!...

— A bodajeś!.... bąkała gospoś, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie — niech że cię.... czy ty mię chcesz zdrowia pozbawić albo co?...

— Widzisz ją, jaka mi delikatka! pożartuje chłop; nie bój się! nic ci nie będzie za Boską pomocą. Na, spij teraz zdrowa! dodał, klepiąc kobiecinę po ramieniu. Ja jeszcze obejdę gospodarstwo, czy się tam co złego nie stało.

A kiedy brał kapelusz na głowę i wedle syna przechodził, poszepnął mu na wychodnem do ucha:

— Chłopcze! spisz mi się jutro dobrze przy robocie, to ci wieczorem opowiem bardzo piękną historję o Kazimierzu Korsaku — a to żebyś się na dalsze lata, mój synu w dobrem życiu utwierdził i nie krzywdował sobie w naszym chłopskim stanie.... Boć każdy stan sobie dobry!...

Dwa piękne przykłady wdzięczności.

Znaleść wdzięczne serce u ludzi, więcej znaczy niż największe pozyskać majątki. Takiej pociechy doświadczyło tego lata u nas dwóch panów: jeden dziedzic z Tarnowskiego od Mielca; a drugi z Sanockiego z Bażanówki dzierżawca.

Pierwszy, doznawszy niejednego nieszczęścia, które jak wiemy że nie po kamieniach ani po drzewach, ale często i po dobrych ludziach chodzi, zmuszony był nareszcie tej wiosny opuścić wieś rodzinną i pożegnać gromadę, której prawdziwym był ojcem i dobrodziejem. Wiadomość ta mocno wszystkich pomartwiła. Wzięli więc radzić w gromadzie, czyby się to jeszcze nie dało przerobić. I uradzili iżby kilku ze starszych gospodarzy poszło do dworu i pomówiło o tem ze samym dziedzicem. Dopieroż we dworze dowiadują się, że wieś już komu innemu sprzedana, że dobry pan nieszczęśliwie podupadł na majątku i że chcąc niechcąc pożegnać ich musi. Co tu począć?... niedługo się namyślano!... żal puścić kochanego pana może na zawsze od siebie; — więc wszyscy ofiarują składkę na wykupienie tej wsi, choćby i po sto reńskich wypaść miało na każdego. Naturalnie że pan nie przyjął; bo nie na to on ich pokochał aby miał kiedyś z nich korzystać!... ale jakiej pociechy doznał w duszy na widok takiej wdzięczności i przywiązania gromady!... to i wypowiedzieć trudno.

Wtym samym prawie czasie okazali się włościanie z Bażanówki podobnież względem swego dzierzawcy. Około św. Jana rozeszła się tam była mylna pogłoska, jakoby dzierzawca Bażanówki, pan dla swojej dobroci powszechnie lubiony między tamtejszym ludem, stracić miał w trzech latach cały majątek na tej dzierzawie tak, że na ten rok nie mając z czego dziedzicowi czynszu zapłacić, rad nie rad precz od nich zabierać się musiał, aby sobie gdzie indziej chleba poszukać. Na taką wiadomość wnet cała gromada z sołtysem na czele zachodzą w drogę panu dzierzawcy, który właśnie był wtedy na polu. Tam Bogiem go pozdrowiwszy, opowiadają co słychać na wsi i że oni go proszą bardzo pięknie aby ich nie porzucał. Co zaś do pieniędzy, których będzie potrzeba na czynsz, niech sobie o to głowy nie łamie, bo ile tam tego wypadnie, gromada się złoży i chociażby, mówią, przyszło każdemu sprzedawać po krowie... dla miłości jego to zrobią bez żadnego żalu. Co słysząc dzierzawca, tak się poruszył w sercu od onej wdzięczności ludu, że właśnie jak dziecko zapłakał, a to z wielkiej radości. Potem podziękował im ślicznie za ich dobre serce, ale powiedział że chwała Bogu! żyjąc oszczędnie i bez żadnych wymysłów, jeszcze nie taki on biedny, żeby aż od nich biedaków potrzebował jakiego wsparcia. „Cześć wam szlachto Bażanówki w płótniankach!...“ Słusznie wyraził się on pan, głosząc przed światem to zdarzenie. A my z naszej strony dodamy: że najpiękniejsze to szlachectwo co idzie od serca!—

BYDŁO ROGATE.

— Nie ma to, kumotrze (rzekł Bartek do Grzeli), jak bydło rogate; i tacy gospodarze, jak na przykład ja, co nie mają wiele roli i łąk, to zawsze lepiej wychodzą na rogaciźnie, aniżeli na koniach. Zestarzeje się wołek, lub krówka, to je mogę jeszcze spieniężyć, a za stare szkapsko, kto mi co da? Te pare ćwiartek zboża, to i wołami na targ zawiozę, a rolę to niemi i uprawię i umierzwię doskonale. Kobiety, toć one to wolą do miasta bardziej końmi jeździć, aniżeli wołami; ale ktoby tam zawsze na

ich kaprysy uważał. — Grzela: Moja toby była dawniej wołami do miasta nie jechała, choćby jej kto był płacił, a dziś krowami jedzie i dobrze wszystko. Ale mnie to wiele pracy kosztowało, i gdyby mi szkapska nie były pozdychały, to nie wiem, czybym był jej upór przełamał. Na konie pieniędzy nie było, wołów nie miałem, tylko trzy krowy; dalej ja jarzemka na nie. Nie przepędziłem pracą, pasłem dobrze, i wystawcie sobie, Bartłomieju! krowy nawet lepiej doiły i ładne miały cielęta. — Bartek: To nie nowina; tylko nieszczęście, że u nas mały chce się równać wielkiemu gospodarzowi i nuże do koni. Gałgana kupi, nie ma temu co dać, miechemby zabił, Ale ma konie i krzyczy na kobietę, gdy mu zaszmerze w głowie: Matko, trzymaj się drabki, a tu chetki jak muły leżą. No, czy nie prawda? — Grzela: Jużcić nie inaczej, miły kumotrze; wiele to jednak jeszcze upłynie wody, niż te dziwaki przyjdą do rozumu. —

Gdy tak owi gospodarze gwarzyli sobie na zapłociu, nadszedł dziedzic z książką i pochwaliwszy Pana Boga, nie dla oka, ale z duszy, zapytał: O czem tedy sąsiedzi? — Powiedzieli mu, o czem gadali; a on im na to:

— Jużcić że to dziwactwo, moi ludzie — to więcej jak pewna. Jest wprawdzie u nas przysłowie: że kto ma żonę Barbarkę, sieje samą tatarkę, a krowami orze — temu dopomóż panie Boże! I ztąd to zapewne nabrali nasi ludzie tego nierozumu, którego i do dziś dnia pozbyć się nie mogą. Ale czas wielki aby się raz opamiętali z tego przesądu. Nie mówię przy wielkich gospodarstwach, gdzie dużo roboty, zwózki i wywózki, tam koń prędzej przydać się może jak wół albo krowa; ale przy takich gospodarstwach jakie wy macie, najlepsze są krowy. Nie trzymając koni ani wołów, możecie natomiast więcej krów nakupić. Mając ich więcej, będziecie w stanie częściej przeprzęgać, nie zbijecie bydełka przy robocie, i mleka wam nigdy nie zabraknie w chałupie i nareszcie doczekacie się własnego przychowku. Tylko o przychowku trzeba zaraz z początku pamiętać żeby się dobrze miał. Bo jak się z młodu zabiedzi, to go zaś potem i owies nie rozciągnie. Za granicą, moi kochani, choć bardzo piękne mają bydło, a taki najwięcej krowami orzą, nawet zamożniejsi gospodarze i dziedzice. I takie

krowy ani co do mięsa, ani co do mleka nie ustępują krowom niezaprzęganym. Czyliż by nam to jaką krzywdą czyniło, nauczyć się od obcych tego, coby i tobie i krajowi wyjść mogło na pożytek?

— Oj prawda, świętą prawdę powiadają jegomość! — przyznali wraz Bartek i Grzela, żegnając się z panem — Bóg zapłać za dobre słowo! —

RÓŻNOŚCI.

Ofiarowanie chleba nowego polskiemu królowi. Polski kraj nie bogaty był w srebro i złoto, ale za to miał chleba do zbytku. Nasze zboże dorodne słynęło po wszystkim świecie, a jako dziś o przednowku biedni ludzie garną się za zbożem do dworu, tak właśnie do naszego Gdańska zjeżdżały się głodne narody ze wszystkich krajów, aby się zaopatrzyć w polski chleb, który im bardzo smakował. Toć święta ziemia była nam najmilszą matką, rolnictwo najprzyjemniejszą zabawą, a chleb największem bogactwem kraju. I dla tego od dawien dawna, może jeszcze od ojca Piasta, był taki piękny w Polsce obyczaj, który się aż do ostatnich czasów króla Stanisława Augusta zachował, że co roku z początkiem żniw pierwszy chleb upieczony z świeżego ziarna, ofiarowano królowi w podarunku. W Krakowie to, sławnem mieście odbywał się ten piękny obyczaj. Wójt miasta na czele Radnych i całej gminy miejskiej niósł bochen świeżego chleba, kosztownie okryty, i na śrebrnej tacy do zamku królewskiego na Wawel. A kiedy później z Krakowa przenieśli się królowie do Warszawy, wtedy Krakowski wójt albo który z Radnych miasta wysyłany bywał na rozstawnych podwodach z onym bochenkiem nowego chleba aż do Warszawy, aby doręczyć królowi, jako miłemu ojcu wdzięcznego narodu, ten pierwszy owoc naszego wielkiego bogactwa.

Nie był-że to piękny obyczaj!...

* Przychodzę w odwiedziny do kumoszki, a ona z córką szyje.

„Cóż robicie?“ zapytuję się.

„My szy jemy“ odrzekły.

„Aj! mam ja ich ta dosyć w komorze i w stodole; — na drugi raz zapraszam do siebie.“

Kobiety w śmiech, gdy się dorozumiały o co idzie — i podziękowały ślicznie za taką smaczną gościnę.

Lisie cnoty.

Wiadomo całemu światu,
Jakiego lis jest warsztatu,
Jak się układa, jak liże,
Chytrze oczyma strzyże,
Jak łże, a gdzie jeno wpadnie,
Kradnie. —

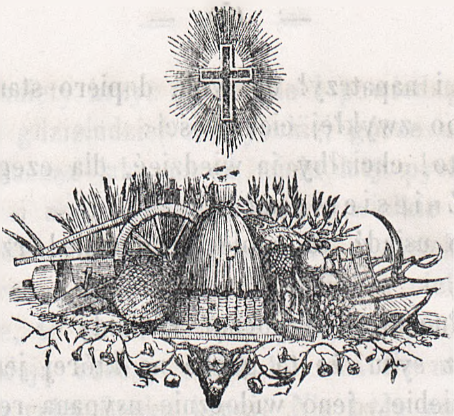
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 5.

11. Sierpnia 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Tatarzy.

Jednej niedzieli w południowy czas wybrał się nasz majster rymarski Walenty ze swoim Wojtkiem na przechadzkę za miasto. Majster wystroił się dzisiaj od święta w granatową kapotę, długą aż po same kostki i o świecących guzikach, na szyi miał chustkę czerwoną, zawiązaną na wielki fontaź, a na głowie wysoka rogatywka ze siwym barankiem spadała mu z fantazją na ucho. W prawej ręce trzymał sporą laskę z głogowego drzewa, pomalowaną na czarno i z przywiązanym rzemieniem u grubszego końca, zaś lewą prowadził synka, który skacząc jak wróbelek na nitce, z wesołą, rumianą twarzyczką i z śmiejacemi oczki drepcił niedużym krokiem wedle ojca. Przeszedłszy ulicę franciszkańską, zboczył Walenty na lewo na Dobromilski gościniec. Za rogatką znowu w bok na prawo od drogi poszli wąską dróżyną wedle nowego cmętarza pod górę i niebawem wydostali się na wysoki kopiec, zwany Zniesieniem, zkąd taki piękny widok na dalekie i równe pola ku Lwowu. Tu dopiero Walenty, że był setnie zmęczony, rozścielił chustkę na trawniku, zdjął z siebie kapotę i wypoczywał na ziemi, gdy tymczasem Wojtuś kręcił się jak jaka furkawka do koła, przyglądając światu, który mu się teraz taki cudny wydawał być z wysoka. Aż kie-

dy się zmachał i napatrzył do woli, dopiero stanie przed ojcem i zagadnie go po zwykłej ciekawości:

— Mój tato! chciałby ja wiedzieć, dla czego tu ludzie nazwali tę górę Zniesieniem?

— No, to usiądź tu sobie przy mnie! rzeknie ojciec — a powiem.

Wojtuś usłuchał — i począł Walenty:

— Widzisz synu, że ta górka na której jesteśmy, nie jest taka sama ze siebie, jeno widocznie usypana rękami ludzkiemi. A było to dawno, bardzo dawno temu, jak niesie podanie. Dzikie Tatary najechali kraj nasz i jako brzydka szarańcza, niszcząc wszystko po drodze, już byli do samego Przemyśla dotarli. Tu im dopiero nasi dojechali końca. W imie Chrystusa i Najświętszej Panny uderzyli na nich odważnie, choć byli w mniejszej liczbie. Długo zwycięstwo się chwiało na obie strony; aż któryś z naszych dopatrzał był na tej górze, gdzie oto stoi kopiec, wielkiego Chana, tatarskiego wodza co siedząc na pysznym koniu, dowodził z tamtąd swojemi wojskami. Tedy nasz chwat, nie myśląc długo, uczyni krzyż święty i jak się zmierzy do niego od oka, tak w samo serce ugodzi Tatara, że na miejscu padł z konia i ani ziewnął. Śmierć wodza sprawiła wielki popłoch między poganami, zaczęli się mieszać i dali w nogi tam i sam, gdzie który mógł. A wtedy nasi jak nie wpadną im na karki i nie wezmą rąbać od ucha, tak posiekli i całe wojsko tatarskie znieśli do szczętu. I na tę pamiątkę usypali potem w tem miejscu, gdzie był on wielki Chan zabity, wysoki kopiec i nazwali go Zniesieniem.

Cóż? wiesz teraz synu jak to było?...

— Ta niby wiem; odpowie Wojtuś — ale jeszcze nie ze wszystkiem. Bo i co to byli za jedni, te brzydkie Tatary którym nasi taką kurtę skroili, tego nic a nic nie wiem.

— Prawdę mówisz! należałoby cię i w tem pouczyć — zawoła ojciec, głaskając chłopca po głowie i patrząc w jego ciekawe oczka miłośnie. Nieraz-bo, synu, zdarza ci się w życiu słyszeć o tych Tatarach, zwłaszcza gdy się z całym naszym krajem zapoznasz. To znajdziesz błonia szerokie, które ci ludzie miejscowi nazwą: Tatarskiem polem; tam zobaczysz

przy drodze zatknięty krzyż na mogile i powiedzą: że to krzyż po Tatarach; gdzieindziej na wysokiej górze ukażą ci szczątki murów, tłumacząc jako przed wielu laty pyszny to był zamek co go jednej nocy ubiegli Tatarzy, wielkie skarby ztamtąd zabrali, mieszkańców pognali w niewolę a zamek spalili. Każde miasto, każda prawie wieś u nas ma jakieś o nich podanie, a co posłuchasz które, to aż ci mrowie przejdzie po ciele, takie tam straszne opowiadają rzeczy. Daliż-bo oni się naszej Polsce we znaki — ta niech ręka Boska broni! Nie było ani dnia, ani nocy spokojnej przed nimi, każdej godziny musiałeś się mieć na baczności, żeby cię nie opadli z nienacka, zwłaszcza gdzie Ukraina, Wołyń, Podole i Czerwona Ruś, tam nasi ludzie najbardziej od nich cierpieli. To też w tych stronach najwięcej nasłuchałbyś się o Tatarach, których smutną pamięć zachował biedny lud do dziśdnia w pieśniach swoich i podaniach żałobnych. I była Polska przez długi, bardzo długi czas jako ten mur graniczny, który strzegł resztę świata od dziczy pogańskiej. A nie z kamienia był ten mur, ale z naszych piersi żywych co dla sławy Boskiej i dla miłości kraju stały się takie twarde... jako mur.

Posłuchajże synu, jak wyglądał taki Tatar, jaki ich był kraj i jaki obyczaj. Tatar był to chłop niewielkiego wzrostu, o krótkich nogach, które mu się w kabłąk zwijały i dla tego właśnie do konia jakby stworzony, głowę miał wielką i niekształtną, twarz szeroką bez żadnego włosa, uszy duże, małe oczka krzywe i świecące niby u wilka, w piersiach szeroki i w ciele silny. Ojczyzną tatarską był kraj co leży na południe wedle morza czarnego, zwany Krymem. Niewielki to kraik, ni tam chleba ni soli, ziemie puste i nieuprawne, porastały jeno trawą tak wysoką i grubą, że wozami jeździć tam było niepodobna. Na tej trawie bydła chodowali dużo z którem się po całym kraju włóczyli. Nigdy-bo Tatar na jednem miejscu długo nie posiedział, owszem kiedy chciał na drugiego rzucić przekleństwo, powiadał: Bodajeś na jednem miejscu mieszkał jak Chrześcijanin! — bo sam był poganinem z religji. Żywił się on mlekiem kobylem, surową szkapowiną i gotowanem prosem z końską juchą. To też do dziśdnia jest u nas przysłowie: Obejdzie się Tatarskie wesele bez marcypanów, —

a to zapewne ztąd że tacy byli niewymyślni w jedzeniu. Gdy który z nich zaniemógł, właził w rozpruty brzuch żywemu koniowi i póty tam siedział, póki go ciało zwierzęcia grzać mogło. Najstarszy ich król i pierwszy na wojnie dowódzca nazywał się Chanem, rodzinę jego mianowano Sułtanami. Po nich w starszeństwie następowali Kerimbejowie, którzy byli jakoby Xiążęta i razem stróżami prawa; ich naczelnik nosił tytuł Bega. Od tych niżsi stopniem byli Mirzowie, którzy w radzie państwa zasiadali, a podczas wojny dowodzili mniejszemi oddziałami. Tatar jako poganin każdego Chrześcijanina za psa miał, a że nie potrzebował domu ani gospodarstwa pilnować, bo nie miał ani jednego ani drugiego i że już taki był z natury srogi, chciwy krwi ludzkiej i ludzkiego mienia, więc chętnie dosiadał konia i wypadał do obcego kraju na rabunek. Owóż Polski kraj był mu najbliżej; tam więc prawie co roku w licznej gromadzie skradał się zrazu niby lis chyłkiem, cichaczem aż gdy upatrzył porę potemu, rzucał się jak wilk na swoją zdobycz, i często zanim się jeszcze nasi spodzieli i do obrony zerwali, już całe wsie spłonęły w ogniu przez Tatarów i zboża na polu wytratowane były kopytami końskiemi, a mieszkańce jedni poszli w kraj daleki na tatarską niewolę, a drudzy pomordowani srodze, i mienie ich poniszczone, i dobytek wszystek pognany na zieloną trawę tatarskiego kraju. Zaraz w domu co lepszego niewolnika słali na sprzedaż do dalszych krajów, zaś starców i kobiety słabsze dawali dzieciom swoim do zabawki jak zajęcy chartom.

Przed złodziejem i zdradą jak wiadomo, nikt się nie ustrzeże. A jako złodziej był Tatar i zdradliwie nachodził ziemie nasze manowcami po nocy. Najmilszą dla niego rzeczą było wpaść na bezbronnego; zbrojnemu niechętnie zazierał w oczy. Zwłaszcza przed naszymi kozakami niemałego miał stracha, bo to był lud dzielny, wytrwały na zimno i głód, znający się doskonale na wybiegach tatarskich i umiejący ich wszędzie wytropić choćby się nie wiedzieć gdzie skryli. Każdy taki kozak siedział na zwinnym koniu, miał szablę krzywą u boku, łuk z kołczanem przewieszony przez plecy i długą dzidę, która się poganom strasznie nie podobała. Podobnież pancernych naszych wojaków co to byli chłop w chłopa, siedzący na pysznych koniach i

prawie całkiem ubrani w żelazo — gorzej diabła się bali. Najbardziej zaś ich strzelba nie przypadała im do smaku, o czem tak między sobą gadali: Altur puk, dusza jok — co znaczy po naszemu: Gdy strzelba huknie, dusza w ciele stuknie. Zdarzyło się tedy, że im nasi jeszcze rychło w czas zabiegli w drogę i zmusili do walki, wtedy rad nie rad stawili im czoło, rozpoczynając swój taniec Tatarski. A był to taniec niewesoły, bo na śmierć albo życie! Tatar na szybkim koniu zgięty w pół, zwijał się jak kula, a zawsze kołem, a zawsze z dala niby korowodem obiegał naszych, wypuszczając na nich śmiertelne strzały gdyby błyskawice. To znowu zmyślał ucieczkę.... i wtedy dopiero lękaj się Tatarzyna! w ucieczce najniebezpieczniejszy on wróg, bo w każdej chwili gotowy do zwrotu, a wprawny do łuku, a strzały ma ostre i nimeś się spodział, już ci on, dopiero przed tobą umykający, któremu jak się zdało dusza była na ramieniu, jak wściekły zwierz siedzi na karku. Aleć jak to dobrze mówią: że póty się pies nie nauczy pływać, póki mu się do uszów nie naleje woda! — tak też i nasi doświadczając niejedenkroć tego Tatarskiego tańca, tak się z czasem wprawili do niego, że w kąt przed nimi choć i Tatar rodowity! — Toć prawie zawsze, chociaż mniejsi liczbą, gdy go tylko dochwycili — już było po nim. Cóż z tego! kiedy to pogaństwo zaciekłe było jak nieboskie stworzenie i krwi chrześcijańskiej nadewszystko łakome. Więc chociaż mu nasi nie raz dobrą dali nauczkę, którą z jakie ruskie lato popamiętać był winien — nic z tego! ledwie jaki taki stał się spokój, oho! już znowu lezie na to mówiąc jak uparta nierogacizna w naszą szkodę i broi po dawnemu.

— O paskudniki jakieś! przerwie Wojtuś — a bodajże ich pan Bóg ukarał!.... mój tato! i cóż się dziś z nimi dzieje? czy zawsze tacy jak byli rabusie? —

— Gdzie tam, synu! na to ojciec — do czasu dzban wodę nosi, jak ci wiadomo. Toć i im przyszło raz na koniec. Niespełna sto lat temu, popadli oni w ręce rosyjskiego rządu i dzisiaj jużbyś ich nie poznał, Wojtusiu!... taka to teraz ludowina cicha, potulna, a poczciwa i gościnna — ani mu w myśli wojna

i rabunek. I kto wie, może już tam między nimi i pamięć wszelka zaginęła o tem, czem ich ojcowie względem Polski zawinili.

— Ale my popamiętamy ich tatulo! zawoła chłopak nadając sobie srogą minę — oj popamiętamy! zwłaszcza co chodzimy do niższej szkoły. —

— Jakto! podziwuje Walenty, powstając z ziemi i zawdziewając kapotę na rękawy.

— Ta tak, mój tato! prawi Wojtuś, rozkładając z rezonem obiema rękami, — że pan nauczyciel dzień w dzień przypomina nam o tych Tatarach.

— Tak? to pięknie....

— A niech Bóg broni! żeby to było pięknie. Ja się przynajmniej tego strasznie boję.

— Czego, synu! Tatarów?

— A Tatarów pana nauczyciela! Bo to widzi tato, kiedy który chłopiec co zbroi, wtedy pan nauczyciel zaraz: Dajcie mi go tu! niech mu wytataruję skórę, ażeby sobie popamiętał.

Na to majster Walenty w śmiech: To takie wasze Tatary! prawi — no, to jeszcze ujdą, Wojtusiu! skoro tylko niedobrym i swawolnym we znaki się dają.... Ale, oto i do domu już czas bo słonko jeno co się nie schowa — chodźmy!

Chłopiec żywy jak iskra, piorunem stoczył się z góry na dół, za nim powoli, spierając się na lasce, Walenty. Kiedy już byli na równym gościncu, znowu ojciec zagada:

— Słuchaj-no synu! kiedyć mowa o Tatarach, warta i o księdzu Szykowskim coś powiedzieć, który przed dwustu blisko laty, będąc tu w Przemyślu gwardjanem w klasztorze OO. Reformatów, przy zdarzonej okazyi panom Tatarom porządnie skórę przetrzepał. A właśnie przypominam sobie o tem piękną powieść, ułożoną wierszem przez niejakiego pana Podoleckiego. Posłuchaj!....

Krystyn Szykowski.

A któżto jest? do stu katów —
Na łbie kaptur, w ręku krzyż;
Jak go widzisz tak go pisz.
Sługa to Boski — Krystyn Szykowski
Gwardjan ojców Reformatów.

Ano patrzcie! Przemyśl stary
I budowny i warowny;
Lecz się niebo zaczerwienia,
Po za Wiarem [1]) tlą pożary,
I głos woła od Zniesienia:
To Tatary! to Tatary! —
W mieście rozruch niewymowny,
Pan starosta zamku strzeże,
Kwarcianymi, garstką małą
Zamkowe obsadza wieże,
Więc na zamek wszyscy biegą,
Księża, pany i mieszczany
Co przedniejsze z mnóstwem gratów;
W mieście nic nie pozostało,
Krom narodu ubogiego
I ubogich Reformatów.

Kiedy trwoga — to do Boga!
Więc w kościele Reformatów
Lud pobożny mostem leży.
Ojciec gwardjan mszę odprawił,
Przeżegnał, pobłogosławił,
I z krzyżem z kościoła bieży:
— Pan Bóg z nami, za mną wiara!
Co pod ręką: czy szablica,
Czy samopał, czy rusznica,
Choćby jeno i kół z płota,
Wszystko dobre na Tatara. —
Wysypała się hołota,
Zeszła tabor niespodzianie,
Jednym rzutem, pod Pnikutem [2])
Wpakowała go w parowy.
Tamto bili — Chryste Panie!
Krew zgnoiła pola puste,
Żaden nie mógł unieść głowy;
Tatarzyna, poganina
Het wysiekli na kapustę —
I samego wzięli chana.
A chan wołał: hej, Polaku!
Pokaż mi swego hetmana. —
— Poganinie płaskonosy,

---

[1]) Wiar, rzeka wpadająca do Sanu.
[2]) Pnikut, mała wioska w Przemyskiem.

Ot nasz hetman tamten bosy...
Wytrzeszcz ślepie nieboraku! —
A chan z brody targał włosy
Że go pobił hetman bosy.

Zaledwo ojciec skończył, chłopiec do niego:

— O mój tatusiu! jakież to cudne a składne, cóż kiedy ja tego nie spamiętam sobie od razu.

— To ci przepowiem drugi i trzeci raz, póki się nie nauczysz — rzeknie ojciec, a taki rad był z tej ciekawości swojego Wojtusia, że ktoby nie chciał, toby mu to z oczu wyczytał.

— Dobrze, tatulko! powiada syn — ale nie! jeszcze ja wiem coś lepszego. Tatuś mi powie słowo po słowie, a ja to sobie powoli, jak umiem, spiszę na papierze — a to dla lepszej pamięci. Nieprawda że tak będzie najlepiej?...

— Jak sam zechcesz! odpowie Walenty — tylko, Wojtek! nie pędź tak prędko, bo nie nadążę za tobą.

— Kiedy mi bardzo pilno do pisania!

— Co się odwlecze, nie uciecze! powolej, synu! ta czy słyszysz... au! — napominał ojciec niecierpliwego chłopca, który jakby go co gnało, tak zbierał drobnemi nóżkami przez miasto do domu.

Historja o Kazimierzu Korsaku.

Z opowiadania starego Macieja.

Bogu dzięki! nie poszła w las wczorajsza nauka Macieja. Od świtu do zmroku pracował synal wedle ojca ochoczo, i ani razu nie użalił się na ciężką pracę. Więc kiedy wieczorem wrócili do domu, i było już po wieczerzy, przypomniał sobie ojciec obietnicę, jaką był dał wczoraj synowi. I wyszli wszystko troje przed chatę na świeże powietrze, i usadowili się jedno wedle drugiego na przyśpie. A wtedy stary Maciej począł opowiadać:

— Za dawnych czasów na Litwie żył niejaki Korsak, pan wielce zamożny. A miałci on syna, któremu było na imię Kazimierz i jedną córkę.

— Ba, tato! zagada parobek; powiedźcie no mi pierwej, co to była ta Litwa, bom ciemny jak w rogu.

— Dobrze synu! cieszy mię żeś taki ciekawy. Ciekawość to piękna cnota! jeno broń Boże, nie ta ciekawość, co ją mają nasze kobiety do lada czego.

— Ot, milczałbyś lepiej, stary! przerwie gosposia i ręką mu usta zatyka. Patrzajcie go, jeszcze czego nie stało! będzie mi na niewiasty wymyślał za ciekawość, jak gdyby już całe chłopu na niej zabrakło! — o!

Ale Maciej nie pyta nic, gębę sobie uwolnił i prawi dalej: — Bo taka babska ciekawość, to jak wiadomo: pierwszy stopień do piekła. Dopiero staje się ona cnotą, gdy ją masz do pracy rzetelnej i pięknej nauki. Litwa, mój synu! to taki kraj polski, jak i nasz, bo i tam Boga chwalą po naszemu i polskim rządzą się obyczajem. Później ona wprawdzie nawróciła się do Chrystusa niż my, miała niegdyś swoich własnych książąt i królów, i była nawet za czasów pogaństwa swego Polsce nieprzyjaźną. Aż kiedy się nasza cudna królewna, imieniem Jadwiga wydała za ich wielkiego księcia Jagiełły i na to królewskie weselisko cała Litwa wraz z księciem swoim przyjęła chrzest święty, wtedy już Litwin i Polak stali się braćmi sobie, jedną wiarę mieli za matkę i jednego króla za ojca. Litwa leży ztąd het na północy, bliżej morza Bałtyckiego. Kraj to zimny, nie najlepszej ziemi, ztąd chleba tam nie do zbytku; zo to ryb i grzybów co niemiara, i miodu słodkiego po pasiekach obfito, i huk zwierzyny po leśnych puszczach. A lud litewski dzielny sobie, Boga miłujący, pracowity i nieutratny, to też rzadko kiedy zazna ciężkiej biedy. Przytem szczery jest i wielce w swoim domu gościnny.

Owóż w tej Litwie był za dawnych czasów pan Korsak, jak powiedziałem, wielkiego bogactwa pan, co miał syna Kazimierza i jedną córkę. Oj! byłoż tam starania i zachodu wedle tych pańskich dzieci, co i wypowiedzieć trudno, zwłaszcza wedle syna jedynaka, przyszłego dziedzica imienia i majątku. I wyrósł Kazimierek na ładnego młodzieńca, i pokończył wszystkie nauki jak na pańskie dziecko przystało, i kiedy stary Korsak umarł, on stał się panem wszystkiego po ojcu. I chyba już ptasiego zabrakło mu mleka!... a przecież pan Kazimierz nie był w sobie szczęśliwy. Bywało nie raz siostrzyczka pyta: — Braciszku mój, co ci takiego, że tak się w sercu gryziesz?... To

znowu krewniacy i przyjaciele: — Kazimierzu! nalegają nań; wypowiedz nam twój smutek który ci z oczu patrzy, a może się znajdzie w naszych rozumach na niego lekarstwo. — Wtedy pan Kazimierz: — kochana siostrzyczko! mili przyjaciele! — powiada — co by mi było! nic, nic!... I uśmiecha się do nich i prosi do wesołej zabawy. Ale niechno go tamci z pod oka wypuszczą, oho! już pan Kazimierz zmyka do swojej izdebki w pałacu i rzuca się na kolana w gorącej modlitwie przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, co go miał po matce zawieszony nad łóżkiem.

I zgadujże, chłopcze! za co pan Kazimierz taki smutek miał na duszy i o co tak gorąco modlił się do Pana Boga?... czy może przez kogo srodze był urażony?... a może tego majątku nie dosyć mu było?... lub też chyba pragnący był sławy wielkiej u świata, a dostąpić jej nie mógł?... jak myślisz?

— Co by ja myślał! odpowie parobek, ruszając ramionami. Może i tak było jak tatuś powiadają — albo ja wiem!

— Nie, synu! rzeknie ojciec — urazy tam żadnej nie było; bo i któżby miał serce, uczynić jakąkolwiek krzywdę tak dobremu i kochanemu panu?... za majątkiem też nie gnał, owszem już od maleńkości okazywał wielką dla niego pogardę. Nareszcie pięknej sławy u świata, gdyby tylko chciał, mógł był jej łacno dostąpić, jako mąż rycerskiego stanu.

— Ej, stary gaduło! wtrąci się Maciejowa — ta bo strasznie nudzisz! to nie, i tamto nie... tedy cóż było prawdziwego w onej pańskiej zgryzocie?

— Matuleńko! powoleńko! zawoła Maciej i pogrozi palcem kobiecie. Co nagle to po diable — więc język za zębami a uszy do góry! bo to nie dla zabawki historja. — I prawił dalej: — Nałamali też sobie głowy nie pomału wszyscy, którzy pana Kazimierza kochali, ciekawi będąc: co się tam w nim działo tak smutnego?... ale naprożno! Sam nie wyjawiał się z tem przed nikim, a znowu z własnego domysłu niepodobna było dociec prawdy. Bo zresztą, któżby się spodział, aby on, który się tak wysoko urodził i wychował w dostatkach, patrzący z okien pałacu na szerokie pola do koła, zatęsknił całem sercem do ciężkiej pracy przy roli i do stanu chłopskiego?...

— Aj, co słyszę! podziwuje parobek — toć to chyba nieprawda być musi! gdzieżbo znowu — o!

— Szczera prawda, mój synu!... tak stoi w książkach podane przez wiarogodnych ludzi, którym wierzyć potrzeba.

— No, to dobrze! przerwie syn po raz drugi. — Ale proszę was tato! o co to było frasować się tak bardzo? wielka rzecz! kiedy już była taka jego wola, mógł sobie kazać wystawić chałupę porządną, wydzielić spory kawał gruntu do tego i ot! byłoby już po całem zmartwieniu.

No to ojciec: — Wiemci ja, przemądra główko! że ty byś sobie zaraz poradził, byle do gotowego. Tymczasem pan Kazimierz, właśnie dla tego że był pan z dziada pradziada, nie mógł sobie tak prędko poradzić. Bo najprzód, nie wiedział on jeszcze doskonale, czy się takowa chęć jego zgadza z wolą Boską — powtóre miał na to uwagę, ażali takie postępowanie syna nie zaboli ojca za grobem, który go na tej ziemi zostawił jedynym potomkiem szlachetnego imienia — po trzecie myślał sobie: jak tu będzie porzucić siostrzyczkę kochaną, krewnych i przyjaciół swoich — a nareszcie, któż wie! czy nie nawykły do tego od małości, podołał by tak ciężkiej pracy?... I oto, co go wprawiało w smutek. Modlił się też gorąco do pana Boga aby go w tym razie oświecić raczył, jak ma sobie postąpić.

Tymczasem kiedy się tak sam ze sobą mocuje, nieprzyjaciel najechał Litwę, ojczyznę jego. Wojska gotowego po tamte czasy nie było — ale skoro wypadło stanąć wobronie kraju, wtedy każdy odbiegał pługa, przypasowywał szablicę do boku, dosiadał konia, zabierał ze sobą synów dorosłych i służbę jaką miał, i z takim pocztem wyruszał w pole na wojnę. Owóż i nasz Kazimierz na pierwszą wiadomość o nieprzyjacielu porzuca wszystko, gromadzi czeladź zbrojną wokoło siebie i nie tracąc drogiego czasu, jedzie na wojnę.

A na tej wojnie wysłany on był razu pewnego ze swymi ludźmi na podjazd. Wieczorem przybył do jednej wioski, a że w pobliżu nie słychać było o żadnym nieprzyjacielu, rozłożył więc żołnierzy swoich po chałupach na nocleg, kilku ustawił na straży i sam nareszcie udał się na spoczynek. Wtem w głęboką noc przypadł nieprzyjaciel. Czujna straż dała znak na trwogę,

Kazimierz piorunem się zrywa, łapie za pierwszą lepszą odzież jaką mógł po ciemku namacać w izbie i z bronią w ręku wypada na pole, aby swoich uszykować i poprowadzić do boju. Pan Bóg dopomógł i pobił nieprzyjaciela, właśnie gdy świtać poczęło. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy spojrzy po sobie i uwidzi się nie w swojej sukni, jeno w prostej chłopskiej sukmanie.

— Widoczny palec Boży!... powiada — sam pan Jezus mię tak ustroił; niechże i na dal pozostanę w tej barwie dla miłości jego.

Skoro też było po wojnie, pan Kazimierz posprzedawał wszystko co miał z kosztowności przy sobie, pieniędzy rozdał między ubogich, czeladź rozpuścił do domu, a sam nic nie mówiąc nikomu, poszedł na głęboką puszczę. Tam żyjąc samemi korzonkami i ziółkami, czas wszystek na gorącej modlitwie trawił, niejako gotując się do stanu nowego, który sobie za Boską wolą miał obrać. A kiedy się już czuł mocnym na duszy, i wszelką prawie naturę w sobie przełamał, dopiero wyszedł z puszczy i do pewnej wioski się udał, wycieńczony postami, spalony od słońca i wiatru, zarosły i obdarty niby dziad jaki ostatni, i tam u pewnego chłopa wstąpił na służbę. Zrazu krzywiłci się chłop po trochu że sobie takiego sługę przyjął, którego w najmniejszej rzeczy trza było pouczać; aleć niebawem przy dobrej chęci umiał on się do wszystkiego nałożyć. Każda robota szła mu jak to mówią od ręki, i nie miał się już gospodarz za co krzywić, bo chociażby prawdę mówiąc, i cały świat zeszedł, nie znalazłby lepszego sługi nad niego. Nie dosyć na tem! z czasem on chłop, upatrując w nim coraz to więcej zalet i mając dziewkę jedyną w domu, chciał mu ją oddać za żonę wraz z całem dziedzictwem. Ale Kazimierz na wszystkich zdziwienie co w nim tylko biednego sługę widzieli, nie przyjął ręki bogatej jedynaczki. Co się chłop nie naprosił! tak by go rad widział swoim zięciem!... nic to wszystko nie pomogło. Zostawszy raz z możnego pana ubogim sługą dla miłości Boga, nie chciał się już wyżej podnosić. Służebny chlebek choć ciężko zarobiony, smacznym mu się wydawał przy Boskiej opiece i dla tego do końca życia nie myśli on go porzucić. Po skończonym

roku podziękował za służbę u gospodarza, któremu tak bardzo był przypadł do serca, i na tem większe upokorzenie szedł do ojczystej wsi, gdzie stanął za parobka u jednego z swoich własnych poddanych. I choć ze swoich, nikt go nie spoznał; wszyscy mieli go już dawno za straconego, a dziedzictwo ojcowskie zagarnęła siostrzyczka, opłakawszy stratę po miłym bracie. Nieraz on na pańszczyznę do dworu chodził, niejednego guza od dworskich oberwał — a nie usłyszałbyś skargi od niego, choćby na marne słówko. Takci na tej służbie całych siedm lat przetwarł, aż nareszcie podupadł na siłach i zaniemógł śmiertelnie. Wtedy skazał gospodarza do siebie:

— Gospodarzu mój! rzecze, — służył ja ci wiernie przez siedm lat, usłuż-że ty mi przy ostatku życia mego. Oto wyjdź na publiczny gościniec, tam napotkasz księdza którego zabierzesz ze sobą i przywiedziesz go do mnie chorego.

Uczynił to chętnie gospodarz, wybieżał duchem na drogę i właśnie jak przepowiedział Kazimierz, nadybał tamtędy jadącego księdza, niejakiego Dominika Podolca, którego też poprosił i przywiódł do chorego, a sam wyszedł z izby. Tedy chory, leżący na grubem posłaniu, zagada po łacinie do księdza. Ksiądz się zdumiał: zkąd znowu u chłopa taka nauka! a jeszcze bardziej gdy go ten powitał po imieniu i nazwisku. Dopieroż na spowiedzi dowiaduje się, kto jest — że to były uczeń jego. Kazimierek syn możnego Korsaka, że z własnej woli obrał sobie ten stan ubogi i pracowity, i jakie za to od pana Boga miewał na duszy pociechy. Wszystko to zeznał umierający Kazimierz pod tajemnicą spowiedzi, żądał aby imienia jego i co się z nim działo ksiądz światu nie ogłaszał, a nakoniec prosił go, iżby go na cmentarzu wiejskim bez nijakiej parady, po prostu obok innych chłopków pogrzebano. Na to otrzymawszy słowo od księdza, czysty on młodzian w ubogiej chateńce, pod bokiem własnego pałacu Bogu miłego ducha oddał. Ksiądz Dominik póki żył, święcie tajemnicy dochował; dopiero po śmierci jego znaleziono w papierach tę cudowną historję, którą sobie na pamiątkę był spisał, — i ztąd rozeszła się ona po świecie na naszą pociechę i naukę:

— Ta żebyśmy sobie nie krzywdowali w ciężkiej pracy,

bo praca panu Bogu najmilsza; żebyśmy nie zawidzili drugim ich stanu i majątku — gdyż każden stan sobie dobry, a znowu złota niekoniecznie do szczęścia i do zbawienia duszy potrzeba; nareszczie abyśmy żyli uczciwie i rzetelnie w służbie czy na własnym zagonie i Boga nadewszystko kochali, bo tylko na tej jednej drodze uczciwości i Boskiej miłości żyć możem szczęśliwie i nie lękać się śmierci gdy przyjdzie.

— Masz tedy nauczkę synalu mój! kończył stary Maciej — a niech cię Pan Jezus i Matka Najświętsza broni! byś mi jeszcze raz kiedy miał się krzywić na swój stan i wskazywać nie dobrą ręką a okiem zawistnem na pański dwór; bo chociaż ja stary, synu! ale jeszczebym ci, słyszysz, taką frycówkę sprawił, iżbyś po niej dobrze pamiętał lato.

— Jezu ukrzyżowany! zakrzyczy matka — co to ma znaczyć! albo co zbroił, ojcze?

— At! rzeknie Maciej, zabierając się do chaty... na teraz spać! dobrej nocy wam życzę.

— Ale przecie! naciera na męża ciekawa niewiasta.

— Spać! huknie jej stary nad uchem, że na trzy kroki w tył odskoczyła.

— Co ty sobie myślisz, chłopie! tak wrzeszczeć aże mi w uchu zadzwoniło.

— Aj matko, a w którem?

— Ta w lewem.

— Chwała Bogu! będzie na moje sianko pogoda; rzeknie śmiejąc się Maciej i wszedł do izby.

— O! o! patrzcie go!... jeszcze sobie pokpiwa — ej staruchu! — pogrozi na żart kobieta, przymykając drzwi od sieni na zasuwę.

RÓŻNOŚCI.

K o m i n i a r c z y k k r ó l e w s k i. Król Stanisław August Poniatowski zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu za szklannym parawanem leżenie wygodne, gdzie niewidziany od nikogo spoczywał. Kiedy się zabierał do tej drzymki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi, i składał to wszystko na małym stoliczku przy marmurowym kominie.

W dniu jesiennym, pochmurnym, po obiedzie już się król położył i zaczął drzymać, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem pokoju, który się coraz więcej zbliżał, i stawał wyraźniejszym i głośniejszym. Król podnosi głowę: słysząc łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, i patrzy zza szklannego parawanu, co to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściło, i z czeluści jego wyskoczył mały, zawalany kominiarczyk, dziecina mająca może siedm lat lub ośm najwięcej. Chłopczyk skoro przetarł oczy z sadzy, ujrzawszy tak pięknie pokój przystrojony, najprzód zdjął czapkę, potem się przeżegnał, myśląc że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł, i z uśmiechem poglądał, co będzie dalej robił kominiarczyk. Ten oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmielej, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole; powkładał więc sobie pierścienie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, włożył zegarki za koszulę, i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiem zwierciadłem. Jak się przejrzał, tak był rad, że się sam sobie ukłonił, poczem zaczął z lekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie, i patrzał z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, po chwili spoczynku, zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki. Wszystko na dawnem miejscu ułożył, a gdy się spojrzał, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena, kazał się zaraz dowiedzieć o chłopcu, i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto go i ubrano czysto. Z pod czarnej sadzy wyjrzała twarzyczka czerstwa i wesoła, z rozumnem spojrzeniem. Król się go spytał: czy to on co się przebierał w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do tej winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłej ze strachu twarzy, dał mu piękny podarunek i kazał go uczyć w szkołach; bo ośmielony łaską monarszą, oświadczył był wielką chęć do nauk.

Nazywano go odtąd kominiarczykiem królewskim; w szkołach nawet nosił ten tytuł i wcale tego się nie wstydził, owszem to sobie za chlubę miał. W kilkanaście lat potem wszedł do wojska; służył przy armatach w **1792** roku, w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działo, od kóli armatniej poległ.

Król dowiedziawszy się o śmierci kominiarczyka królewskiego, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny jak waleczny. (z Cz. N.)

Wielkie burze w dawnych latach. Nie masz już dzisiaj u nas ani tych lasów odwiecznych, ani tych puszcz nieprzebytych, ani tych jezior i stawów tak gęstych, z jakich słynęła dawna Polska; toż za to powoli zmieniła się i natura kraju naszego. Po dziś dzień nie słychać już ani o takich mrozach, ani o burzach tak gwałtownych, jakie dawniej bywały. Wprawdzie nie bez tego, żeby i po te czasy nie poczyniły jakie szkody grady, pioruny, zawierzuchy... ale to

wszystko ani się nie umyło do dawnego. I tak roku 1687 na dniu 3. lipca, a więc temu już będzie 171 lat — kiedy w okolicy Warszawy, a nawet i w samem mieście, burza niesłychane sprawiła szkody. Grad padał tak wielki jak kurze jaja, a wicher w jednem miejscu do dwa tysięcy wierzb, sporych na trzy chłopy, powalił na ziemię, a w drugim większą połowę jodłowego lasu wyłamał i powyrywał z korzeniem. Zaś w samej Warszawie, na jednem tylko przedmieściu ze trzydziestu domów pozrywał dachy, powykręcał belki, i krokwie połamał na drobne drzazgi. — W dziewięć lat potem w warownem mieście Smoleńsku jeszcze sroższa panowała burza. Prawie nie do uwierzenia, co ona tam nie nabroiła!... Działo się to w miesiącu sierpniu o godzinie 6. wieczorem. Od południa okazała się na niebie jedna strasznie czarna chmura, a druga jakoby ognista. Obie te chmury gwałtownem wichrem gnane, zetknęły się potężnie z sobą nad samem miastem. Wnet też szmaty nakształt ognia z obłoków na miasto padały i piorun bił po piorunie. Przytem wicher dziwności tam dokazywał: 26 setnych baszt obalił, murów wielkich mocno naruszył, zniósł 500 murowanych zubców czyli strzelnic, 10 cerkwi niektóre z fundamentem wywrócone, innym krzyże, dachy poznosiło, dzwon jeden aż za wały ostatnie wyniosło, bydła wielką moc pobiło, ludzi 17 na śmierć i niemal dwie części miasta mniej więcej, uszkodziło.

W e t z a w e t. Pewien kmieć prawując się z sąsiadem, oddał sprawę pisarkowi pokątnemu w pobliskiem mieście. Po ukończeniu procesu trza było zapłacić pisarzowi. Kmieć w głowę się poskrobał, bo mu pan pisarz bardzo wielką sumę naliczył za to swoje pisanie. — E, proszę jegomości!—prawi; toć to tam strasznie rozwlekło pisane, nie mogłoby to być odrobinę ściślej, hę?... Tego wy, miły człeku, nie rozumiecie — odpowiedział pisarz; to jest właśnie urzędowne pisanie. Jeżeli nie macie pieniędzy, to mi możecie za to zorać kilka mórg roli.— Ha! powie kmieć — co mam z panoszkiem robić! kiedy trzeba to trzeba. — Nazajutrz chłop z pługiem zajechał na pole i wziął orać, ale skiba od skiby na dwie stopy. Około południa nadchodzi pan pisarz, i jak popatrzy na taką orkę, skoczył jak oparzony: — Coś zrobił człeku! zawołał—czyś oszalał? toć to na podziw szeroko zorane! — za nic cała robota! — Ciekawym dla czego? odrzekł kmieć spokojnie; albo to się pan na tem rozumiesz?... ta to właśnie urzędowna orka... Kłaniam się uniżenie!... I odjechał z pługiem do domu.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają.
2. Czapką, chlebem i solą, ludzie ludzi niewolą.
3. Grzechy młodości, karze Pan Bóg na stare kości.

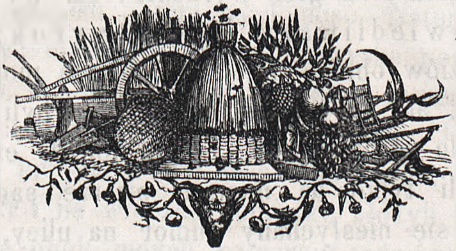
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. **Nr. 6.**

21. Sierpnia. **1859.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podanie o wizerunku Zbawiciela

w izbie sądowej.

W pewnem mieście, w izbie sądowej do dziś dnia pokazują spory kamienny krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, nad którym wielkiemi literami stoi wypisano po łacinie; *będę sądził sprawiedliwość waszą.* Krzyż ten zwykle sobie jak każdy inny; ale dziwny na nim obraz Chrystusa Pana, który jak gdyby ze zgrozy precz po za siebie twarzą się obrócił, tak, że jej nic a nic nie widno. Jednakże nie myślcie, żeby to jaki majster — dziwak z umysłu tak zrobił!... Nie ludzka to robota, ale cud boski — o czem takie jest między ludźmi podanie.

Prawowała się razu jednego uboga wdowa z bogaczem, który jej nieusłusznym sposobem wydarł był cały majątek. Że wdowie stała się krzywda, o tem cały świat wiedział; ale bogacz złotem sypnął między sędziów i wygrał sprawę. Gdy ten wyrok głoszono publicznie w izbie sądowej, biedna wdowa z razu nie chciała wierzyć własnym uszom, aż kiedy jej ten i ów prawi,

że tak a nie inaczej, i że już na piękne przegrała z bogaczem, wtedy za oną niesprawiedliwość tak srogiej doznała boleści, aż się zapamiętała i na głos wyrzekła: „Zeby mię tu diabli sądzili, sprawiedliwszy byłby wyrok!“ Sroga to była dla panów sędziów obraza i według prawa mogli ją byli za to surowo ukarać, ale że właśnie nieczystego byli sumienia, udali więc jakoby nic nie słyszeli i popochodzili czem prędzej do domów. Zostali tylko na miejscu pisarze sądowi. Aż tu na jeden raz robi się niesłychany rumor na ulicy, zajeżdża mnóstwo karet przed trybunał i wysiadają jacyś panowie dziwnie ustrojeni, bo niby to w paradnych, w poważnych sukniach, jakie były po tamte czasy w używaniu, ale z rożkami na głowie i z długiemi ogonami, które im wystawały z pod długich sukień. A wszyscy walą sobie wprost po schodach i na górę do izby sądowej. Przyszedłszy tam, zajmują krzesła sędziowskie i jak gdyby nigdy nic, wygodnie rozpierają się na nich, podczas kiedy pisarze temu przytomni aż potruchleli ze strachu, miarkując, że tu z czartem sprawka, i że ci panowie sami szatanowie. W tem diabeł, co siedział na pierwszem miejscu jako najstarszy sędzia, kazał wprowadzić sprawę biednej wdowy. Na ten rozkaz wystąpiło dwóch diabłów nibyto adwokatów; jeden obstawał za wdową, drugi za bogaczem — a oni w krzesłach siedzący, słuchali z wielką powagą. Skoro oba skończyli, poczęła się reszta ze sobą naradzać, co krótką chwilę trwało. Potem znów on najstarszy przywołał jednego z prawdziwych pisarzów, kazał mu siadać za stołem i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna dygocąc na całem ciele i prawie na pół umarły z bojaźni, ledwo się przywlókł do stołu i zaczął pisać wyrok słowo po słowie jak mu diabeł powiadał. I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa była przy prawie.

Wtedy to pan Jezus, widząc że czarci sprawiedliwszymi się okazali aniżeli sędziowie tamtejsi, ze zgrozy twarz zasmuconą odwrócił, i już jej nie pokaże — jak miał o tem objawienie świętobliwy jeden człowiek — aż się nie stanie święta sprawiedliwość po wszystkim świecie.

A ten wyrok szatanowie podpisali po swojemu, i złożyli go na wielkim stole sądowym! poczem jednej chwili znikli.

Pisarze zaś, którzy na to własnemi patrzali oczyma, opamiętawszy się co nieco z przestrachu, drapnęli w nogi co sił, i po całem mieście roznieśli o tem wiadomość. Naturalnie że nikt im nie dawał wiary; myślano, że się pisarzyska popili lub co gorsza powarjowali. Aż tu nazajutrz w rzeczy samej widzą na stole on wyrok, podpisany przez diabłów, a pana Jezusa z odwróconą twarzą na krzyżu. Tedy chcąc nie chcąc, uwierzyli wszyscy w cud Boski i na wieczną pamiątkę złożyli to sprawiedliwe pismo szatańskie obok innych papierów sądowych.

Cztery spiewki.

(*Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.*)

I.

O tęgim parobku.

Ni ja roli, ni ja chaty —
Mówią że ja nie bogaty!
A ja bogacz nad bogacze —
Dziecko w domu mi nie płacze,
A na dobrym, na ostatku
Nie chcą odemnie podatku.

Ni ja roli, ni ja chaty —
Mówią że ja nie bogaty!
A ja bogaty parobek!
Pójdę sobie na zarobek...
Mam do pracy ręce zdrowe,
Będzie kożuch, buty nowe,
Będzie, chociaż się nie chwalę,
Dla Marysi na korale.

II.

Na pijaka.

Ty pijasz wódkę, ja pijam wodę —
Ja mam wygodę, ty niewygodę;
U mnie sukmana, czapka barania,
A ciebie bieda z chaty wygania.

Ty pijasz wódkę, ja pijam wodę —
Ty masz gorącość, a ja ochłodę;
Rozum od wódki u ciebie krótki —
Oj, za tą wódką przychodzą smutki.

III.

Ojtem, która żona najlepsza.

Oj, rają mi ludzie trzy ze wsi dziewczęta:
Pierwsza ma urodę śliczną jakby święta —
Druga dziesięć morgów i dwa worki złota —
A trzecia uboga po ojcu sierota...

Oj, nie dla mnie ładna — za chłopcami lata —
Nie dla mnie leniwa i pyszna bogata;
Dla mnie sieroteńka dobra choć uboga,
Nie boi się pracy, a boi się Boga!

IV.

O leniu.

Słonko w górze wysoko —
Leń w pościeli głęboko;
Niosą obiad dla ludzi —
A leniuszek się budzi;
Słońce za las zachodzi —
Leniuch w pole wychodzi:
Przyjdzie bieda na lenia —
Zczesze go bez grzebienia!

Trafiła kosa na kamień.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

W karczmie w Zachliśnicach, w niedzielę po nieszporach ludu jak nabił.

W pierwszej izbie trzech muzykantów rzępoli od ucha, a młodź chasa, chichocze, swawoli, że omal same ściany nie puszczą się w koło.

Nie tak huczno i gwarno, ale równie ochoczo i wesoło idzie zabawa w przyległym alkierzu. Rzędem około stołu zasiedli tu starsi gospodarze, ojcowie hasającej młodzi, i przy lulce i kufelku piwa gwarzą, bają, rozprawiają to o tem, to owem, jak to mówią: wnet z takiej, wnet z siakiej zaczerpując beczki.

Jeden przypomina sobie ucieszne chwile swej młodości, drugi opowiada o różnych rzeczach zasłyszanych, ten wszystkich jakąś układną rozweseli przypowiastką, tamten zabajdurzył się o rzeczach gospodarskich, ale już to bądź jak bądź, nad wszystkimi przewodzi zwinnym językiem Grześko Kwik, co to dawniej służył w wojsku, a teraz zawsze z pańskiemi wołami chodzi do Ołomuńca.

Poznać pana po cholewach, mówi przysłowie, Grześka Kwika poznać po nosie! Aż bo też to i nos u niego, niech go Pan Bóg ma w swojej opiece! Żeby sześć innych nosów złatał do kupy, a siódmym nadsztukował, toby jeszcze nie sporządził coś takiej wielkości, takiego kalibru, jak jego nos rodzony.

Ale nie dość na tem, że sobie tak zamaszysty i gospodarski, toć jeszcze czerwony na końcu, że w kąt węgiel rozpalony.

Trzeba jednak wiedzieć, że to nosisko nie na swojskim urosło chlebie. Dopóki Grześko Kwik siedział we wsi, to miał sobie nos jak inni ludzie. Ale jak poszedł do wojska, a potem z wołami zaczął się wyprawiać za granicę, przyswoił sobie wiele cudzoziemskich obyczajów, a między innemi jął zażywać tabakę, której ani jego dziad, ani pradziad nie widział nigdy na oczy.

Ktemuż mówiąc między nami, zanadto lubował w trunkach, a wszystko to: i trunki i tabaka skrupiły się na biednym nosie, który po ostatniej podróży do Ołomuńca tak się już rozrósł potężnie, że matki straszyły nim oporne dzieci, a jeźli który z parobczaków przyrzekał swej dziewusze kupić wstążkę, to ją nie mierzył na łokcie, ale na nosy Grześka Kwika. Mówił naprzykład: Kupię ci wstążkę jak cztery nosy Grześka Kwika — a to już był podarunek nie lada.

Aliści niecnota ten Kwik! Dziwili się ludzie jego nosowi, a ten nos w kąt przed jego językiem.

Aż to posłuchać tylko jak bywało zacznie opowiadać. Godzinę miele jak na pytlu, a ani razu nie chlipnie powietrza i jeszcze zabuńczuczy się jak indor, niechli mu tylko kto przerwie na chwilę.

A że sobie przy tem bywalec, czyli jak to mówią bywał po dworach, i wie jak w piecu palą, toć nie było rzeczy na tym bożym świecie, o którejby nie podjął się rozprawiać od świtu do zmierzchu.

Biada zasie temu, ktoby mu nie zechciał uwierzyć na słowo. Zaperzył i zcietrzewił się zaraz, jakby chciał jeża połknąć a potem sapnął nosem jak kowal miechem i powtarzał raz po raz:

— Ja to wiem, ja tam był!

Przecież choć tak dobitnie zaręczał wszystko co mówił, znachodzili się ludzie, co niekoniecznie wierzyli jego słowom. Ba, stary przysiężny Czurma, co także bywał w świecie, powiedział mu nieraz w żywe oczy, że uczciwszy uszy, nibyto łże jak z rejestru.

Wszakoż z tem wszystkiem nie żal było posłuchać Grześka Kwika, bo choć skłamał, to skłamał sprytnie i kunsztownie, że się można było i uśmiać i ubawić.

Toż właśnie i teraz zaczął coś opowiadać, a wszyscy słuchają z rozdziawionemi gębami i sam poważny i stateczny wójt pokiwuje głową, a czasem mruknie coś jak hm, hm, albo hum, hum.

— Co wy wiecie! — wykrzykuje Grześko i z takim łoskotem pociągnął z rożka tabakę do nosa, że żyd arendarz co właśnie szedł częstować swych gości, aż pełny kufel upuścił z przestrachu, i zawołał coprędzej: na zdrowie wam Grześku — bo myślał nieborak że Kwik kichnął.

Ale on ani podziękował nawet, jeno prawi dalej:

— Powiadam wam, w Wiedniu to jest taki wielki kościół, że jakeśmy raz z całym batalionem maszerowali na kirchparadę, tośmy musieli r o s z t o k trzymać, nimeśmy doszli od progu do ołtarza.

— A cóż to jest r o s z t o k ? zapytał wójt, który jak każdy człek uczciwy i rozumny szanował wielce czystą i nieska-

żoną mowę swych ojców, i nie lubił, aby do niej mieszać obce słowa jak plewę do pszenicy.

Grześko Kwik łysnął oczyma, i całą dłonią pogłaskał się po nosie.

— Rosztok to znaczy to, żeśmy dwa dni maszerowali ciągle, trzeci musieliśmy wypoczywać, a dopiero czwartego dnia doszliśmy do wielkiego ołtarza.

Gospodarze na to pokiwali głowami i uśmiechnęli się zwyczajnie jak ludzie, co widzą kłamstwo jak na dłoni.

A Kwik bojąc się, aby mu kto nie wpadł w mowę, zaczął co tchu ciąć dalej:

— Abo wy wiecie zresztą jakie tam w Wiedniu mają krowy! wam się zdaje, że takie jak u nas. Ba i bardzo! Tam u każdej krowy nie płynie jak u nas proste mleko ze wszystkich dójek.

— A cóż płynie?— zapytał Maćko Drzazga, człek wielce ciekawy.

— Co? zawołał Kwik, i dla większej dobitności rękę wzniósł do góry — oto słuchajcie! z pierwszej dójki idzie już gotowa słodka, a z drugiej gotowa kwaśna śmietana.

— Hm, hm, mruknął wójt.

— Owa — poszepnęli gospodarze.

— A cóż idzie z trzeciej — zapytał Drzazga.

— Z trzeciej maślanka a z czwartej serwatka, zakończył Kwik i pociągnął spory niuch tabaki.

Znowu wszyscy niewierni pokiwali głowami, a Kwik prędko na nowo zabrał głos.

— Ale co tam już gadać o Wiedniu — rzekł machnąwszy ręką, powiem wam co mi się stało, kiedym ostatnią razą szedł z wołami do Ołomuńca.

Wszyscy uważnie nadstawili uszu, a Kwik prawił dalej:

— Owóż tedy w drodze zaszedłem wam na nocleg do jednego gospodarza. Aż to był człek setny! Chryste panie! Ja jak mię tu widzicie ręką nie mogłem mu dostać do ramienia. Powiadam wam taki był wysoki, że jak chciał rękę zapchać do kieszeni, to musiał przyklęknąć na oba kolana, bo inaczej nie byłby dostał.

— Owa! — wtrącił się ciekawy Drzazga, bo jak znów łyżką chciał sięgnąć do gęby, to musiał chyba podskakiwać.

— Gdzie tam, drabinę sobie przystawiał — odezwał się na to niski i chudy człowiek, który dotychczas milczący siedział przy końcu stołu, ani należał do Zachliśnickiej gromady. Był on z sąsiedniej wsi, z Kociorubiec, a tylko idąc gościńcem wstąpił na chwilę do karczmy i teraz z żartobliwym uśmiechem przysłuchiwał się całej gawędzie.

Grześko Kwik pomieszał i zakłopotał się cokolwiek z początku, ale prędko się opamiętał napowrót i odgryzł się jakby urażony.

— Otóż macie! jeden i drugi powiedział co wiedział! Spojrzyjcie tylko po sobie, a przekonacie się, że kieszeń dalej od ręki niż gęba.

— Diabła tam dalej — wtrącił się stary Czurma — każdemu prędziej coś wyleci z kieszeni niż wleci do gęby.

Kiwk niekontent machnął ręką, i z łoskotem zażył tabaki.

— Nie przerywajcież proszę, niech skończę — zawołał i ręką uderzył po stole.

— No i cóż tedy ten wysoki człek? — zapytał pobłażliwie wójt.

Kwik coprędziej podchwycił za słowo.

— Wyobraźcie sobie, ten niecnota lada czego tak się okrótnie pocił, że wam aż z jego cienia na ścianie lał się pot jakby woda z dzbana.

Na to nuż śmiać się wszyscy, Kwik namarszczył czoło, ale jak się tylko uciszyło jął opowiadać dalej.

— Ten gidyasz chciał mię poczęstować w swoim domu, ale że był niecnota okrutnie skąpy, więc wam postawił taką słabą wódkę, że niech mię diabli porwą! nie mogła o własnej sile lać się z flaszki.

Aż tu wszyscy w śmiech, że aż szyby zatrzęsły się w oknach, a ów niziutki gospodarz z Kociorubiec imieniem Jędryk Łachetka wtrząsł niecierpliwie głową, i jakby już nie mógł powstrzymać się dłużej, zawołał żywo:

— At, furda wszystko co mówicie!

— Jak to furda! dla czego furda? — wrzasnął Kwik i nos mu jeszcze więcej poczerwieniał, a gębę rozdziawił żeby nie jedna wrona, ale całe stado wleciało mu do środka.

— Wszystkie osobliwe cuda, coście widzieli, odpowiedział Łachetka, to gdzieś hen hen za górami i lasami, między cudzymi ludźmi; ja bym wam większy dziw pokazał bliżej.

— Owa bliżej! Rychtyg! — krzyknął Kwik, i ze wzgardą pokręcił głową.

Łachetka uśmiechnął się, i jakoś dziwnie łypnął oczyma.

— Ot ja sam, — rzekł prędko, nie o takim umiałbym wam powiedzić dziwie.

— Ho ho, podchwycił skwapliwie ciekawy Drzazga.

Kwik zaśmiał się z lekceważeniem, przekonany z góry, że obok niego nikt już nic osobliwego nie mógł wiedzieć na świecie.

Łachetka palcem przydusił tytoń w fajce, puścił spokojnie kłąb dymu przed siebie, i odezwał się z prostotą, jakby mówił coś cale zwyczajnego.

— W zeszły czwartek kupiłem sobie konia na targu.

— Konia, uf? powtórzył Kwik przydrwiwając sobie.

Łachetka nie zważał na to, ale dalej prawił swoje.

— Koń ten stoi w mojej stajni i dziś go można zobaczyć.

— Owa — przerwał znowu Kwik — I cóż w tym koniu jest osobliwego? Ma może cztery głowy a jedną nogę, ha?

— Ba i bardzo — odpowiedział Łachetka — mój koń ma tam głowę, gdzie inne konie ogon, a ogon tam, gdzie inne konie głowę.

Kwik zaśmiał się na całe gardło, bo jak sam kłamał na urząd, toż innemu znowu nie pozwolił na włosek zboczyć od prawdy. Pierwszy każdego chwytał na kłamstwie, wołając zaraz: Ho ho! gdzie to może być! to bajka czysta!

Toż i teraz śmiał się z drwinami, i powtarzał raz po raz:

— Aleź to skłamał jak z bicza trzasł!

Łachetka wzruszył tylko ramionami.

— Smiejcie się jak chcecie, ale koń mój stoi w stajni i choćby dzisiaj może się każdy przekonać, że ma ogon tam, gdzie inne konie głowę, a głowę tam, gdzie inne konie ogon.

Gospodarze w milczeniu potrzęśli głowami i spojrzeli po sobie, nie wiedząc co myśleć o tem wszystkiem.

Ale Kwik śmiał się i śmiał jak opętany.

— Ma go w stajni powiada! — kpił sobie dalej.

— Tak mi Boże daj zdrowie! — zaręczał Łachetka.

— I powiadacie, że można u was widzieć tego cudownego łoszaka? — zapytał Drzazga.

— Ojoj, choćby i dzisiaj! przyznawał Łachetka.

— Dobrze, dzisiaj. Do Kociorubiec tylko ćwierć mili! — podchwytywał prędko Kwik.

— Ha jeżli chcecie, to wam i zaraz pokażę mojego osobliwego konia, ale niechaj się Kwik naprzód założy ze mną że nie prawda.

— Dobrze, choćby o mój nos! — przystawał Kwik.

— Co mi tam po waszym nosie w lecie — odpowiedział Łachetka — w zimie toby się człowiek przynajmniej zagrzał przy nim.

Wszyscy w śmiech, a Kwik krzyknął z partesem:

— Założę się o co chcecie!

— O dziesięć reńskich na wosk do kościoła, radził wójt.

— Stoi! — krzyknął Łachetka.

— Stoi! — zawołał Kwik, i z za pasa dobył banknot na dziesięć reńskich, bo właśnie w tym czasie sprzedał był rocznego prosiaka.

I Łachetka dobył takoż dziesiątkę, i obadwaj złożyli zakład w ręce wójta, a potem wszyscy jak byli, wybrali się zaraz do Kociorubiec, bo każdy był ciekawy widzieć konia, co miał ogon w miejscu głowy.

Łachetka wyprzedził gospodarzy, aby się w domu przysposobić na ich przyjęcie, a kiedy przyszli nareszcie do jego zagrody, zastali go zupełnie przygotowanego.

Przyjął najsamprzód swych gości w chacie, jak staropolska nakazywała gościnność. Bo już to przedewszystkiem Łachetka był dobrym Polakiem i wiedział, że ziemia polska jest równie dobrą i szczerą matką chłopków jak i panów.

Nikomu jednak nie było ani w myśli jeść i pić w tej chwili, wszyscy się rwali do stajni, a szczególnie Kwik tam już

sobie rady nie mógł dać. Sapał i trąbił nosem, że aż lęk zbierał dzieci, i koniecznie chciał zaraz iść do stajni.

— Ha, niech i tak będzie — ozwał się Łachetka i poprowadził za sobą swych gości.

I wszyscy cicho na palcach posuwali do stajni, każdy oddech zapierał w sobie, mając widzieć tak cudowne zwierzę.

Nareszcie stanęli wszyscy przy drzwiach stajni. Kwik wystawił naprzód swój nos zawiesisty, jakby pierwszy chciał przewąchać osobliwego konia.

Ale wtem Łachetka otwiera drzwi z nienacka, a wszyscy w śmiech, że się aż za boki biorą.

W stajni w prost drzwi stał sobie koń zwyczajny jak każdy inny, tylko że ogonem był przywiązany do żłobu; w taki sposób miał po prawdzie tam ogon, gdzie inne konie głowy, a głowę tam gdzie inne konie ogon.

Kwik rozdziawił gębę, wybałuszył oczy i okrutnie zatrąbił nosem.

— Owa — zawołał ; ja myślał że to prawda, a to, ot sobie figiel jakiś! tfy do licha! Oddajcie mi moje dziesięć reńskich!

— Hola mospanku, rzekł Łachetka, dziesiątka wasza idzie na kościół! Oto widzicie mego konia, nie maż tam ogona gdziem mówił?

— Ja się na figle i krętasy nie zakładał — wykrzyknął Kwik, a nos mu jeszcze więcej poczerwieniał z gniewu.

Łachetka znowu na to spokojnie:

— Wierzyłci ja w wasze krowy wiedeńskie, co są tak osobliwe do podoju, trza wam było wierzyć w mego konia.

Kwik zaczął się rzucać, fukać i sarkać. Aż w tem wójt przytłumiwszy śmiech rzecze z powagą:

— Nie dąsajcie się Grześku, boście przegrali Bogiem a prawdą i wasza dziesiątka pójdzie na kościół, panu Bogu na ofiarę, żeby wam przebaczył, że tak często rozmijacie się z prawdą. Widzicie jakieście wpadli sami w łapkę, tylko przez to, żeście nam duby smalone chcieli prawić o cudzych krajach, ludziach i obyczajach. Trafiliście dziś na swego, a on z was zakpił setnie i fortelnie ukarał was za wasze kłamstwo. Poprawcie się na przyszłość, a jeźli znowu kiedy cudze zechcecie

chwalić kraje, to sobie przypomnijcie naprzód przysłowie waszych ojców: Wszędzie dobrze! ale w domu najlepiej!

Wszyscy gospodarze pochwalili głośno sąd i słowo wójta, a Grześko Kwik spuścił uszy po sobie i widząc że przegrał sprawę, wyniósł się milczkiem jak zmyty. Niektórzy ludzie utrzymywali, że od tego czasu nos jeszcze na cal stał mu się dłuższy niż przedtem, ale to pewna że na przyszłość nie kłamał już tak nielitościwie!

T y t o ń.

Jaka była o tem rozmowa między nauczycielem a kmieciem Bartłomiejem.

N a u c z y c i e l. Witajcie Bartłomieju!

K m i e ć. Bóg zapłać.

N a u c z y c i e l. Widzę, ani rusz wam bez fajki?...

K m i e ć. Ha, co robić! taka już niepoczciwa natura ludzka, żeć każdy do czegoś pociąga: ten do szklanki, tamten do hulanki, inny do karteczek... ja zaś do fajki.

N a u c z y c i e l. I to złe i tamto niedobre. Bo choć i ta fajczysko, proszę ja was! potrzebnyż to taki dla gospodarza wydatek?.., nieraz rozstąp się ziemia... nie znajdziesz odrobiny soli w chałupie... taka bieda bez grosza; ale na tytoń musi być, choćby przyszło tego grajcara z pod serca wydobyć.

K m i e ć. Ta prawda! ale jakże temu poradzić, panie nauczycielu, kiedy bez fajki, kto się raz do niej nałożył, to już mu potem tak prawie jak bez ręki.

N a u c z y c i e l. Wierzę temu! n a w y k n i e n i e s t a j e s i ę n a m d r u g ą n a t u r ą — powiedziano nie darmo. Ale cóż za tem — czy przez to złe jakie będzie już dobrem, że do niego ludzie nawykli?... powiedzcież sami.

K m i e ć. No, jużci że nie! ale cóż bo znowu w tej biednej fajczynie widzicie tak złego? nie rozumiem.

N a u c z y c i e l. Chcecie więc, to wam opowiem ile mi wiadomo o tym tytoniu, którego zażywacie z taką chciwością bez miary i bez uwagi.

Kmieć. I owszem, bardzo proszę.

Nauczyciel. Otóż na początek muszę wam powiedzieć że przed 300 laty, to jeszcze nikt u nas w Polsce nie wiedział jak tytoń wygląda.

Kmieć. Hej! to mi dopiero nowina! chybaż oni nie znali Węgrów co tyle tam za górami mają swego tytoniu?...

Nauczyciel. Gdzie-ta nie znali! ale wtedy i na Węgrach nikomu się o tem nie śniło, aniteż Niemcy, Francuzi, Anglicy, Hiszpanie, Włochy, Turki i Moskale, nikt zgoła z tych wszystkich narodów nie znał tytoniu, więc go i nie używano.

Dopiero pierwsi Hiszpanie, naród mieszkający od Włochów na zachód a od Francuzów na południe, sprowadzili przed 360 laty tę roślinę z dalekiego kraju od Ameryki, co leży hen aż za morzem, tam gdzie słońce zapada. Od Hiszpanów niebawem dostała się ona do Francuzów, ztamtąd do Anglii, Niemiec, nareszcie do Turków, którzy dopiero nam w Polsce podali ten zwyczaj palenia fajek. Ztąd dawnemi czasy nie znano u nas innego tytoniu nad turecki.

Wiadomo, że gdy się co ludziom podoba, to radziby mieć jak najbliżej przy sobie a nie szukać go gdzieś za światami. Więc i na tytoń że im przypadł bardzo do smaku, poszukali tego sposobu i wnet po wszystkich krajach uprawiać go poczęli na polach jak inne rośliny. U nas do dziś dnia jeszcze Bukowina i Podole zajmuje się uprawą tytoniu. Mozolna to praca i zachodu wedle tego co nie miara!... rola pod tytoń ma być dobrze uprawna, tłusta, równa a nie mokra; najlepiej udaje się na nowinie. Im który kraj cieplejszy, tem liście delikatniejsze, i tytoń lepszy; dla tego u nas nie taki jak na Węgrach, Węgierski znów ani się umył do Tureckiego a i Turecki nie wyrówna Amerykańskiemu, gdzie właśnie jego ojczyzna. Jak się go używa, wiadomo: że albo z fajki się kurzy, albo żuje w gębie jako prymka, lub pali jako cygaro, albo też w proszku zażywa się jako tabaka do nosa.

Taka jego w krótkości historja. Teraz chciałbym was jeszcze zapoznać z naturą tytoniu, abyście nie byli tak właśnie jak to dziecko, które widząc jagody piękne, pachnące i słodkie, łakomie je zrywa, bo nie zna o tem, że to trucizna na jego zdrowie. Zrazu zdaje się on niby człeka ostrzegać: „nie ruszaj mię, bo ja niedobry!“ — Po pierwszem paleniu dostajesz mdło-

ści, zawrotu głowy, a nawet i często i womit. Mimo tego niewielu się tem odstrasza; więc skoro odchorują, nawracają się znowu do niego, i póty krzywią gębą i spluwają z niesmaku, póki nie przełamią swojej natury, i nie zaprzyjaźnią się już na piękne z fajczyną. Wtedy tytoń już nie jest dla nich taki nieprzyjemny, jakim się zrazu wydawał, owszem gdy w miarę użyty, pobudza do wesołości i czyni skorszym do pracy. I to jest jego druga natura, dla której właśnie tak mocno pokochali go ludzie. Aleć jak trudno zachować w tem miarę, co nam do serca przypadło — któż nie wie!... Pijakowi raz wraz gardło wysycha, że go musi skrapiać ulubioną wódczyną; tak samo fajczarzowi zapamiętałemu bez fajki jakoś tęskno i nudno, więc co jedną skończy, drugą nakłada, i tak idzie przez cały dzień, że mu się wali dym z ust niby z jakiego komina.

Bartłomiej. Widzę, do mnie pijecie, panie nauczycielu!...

Nauczyciel. I do was i do innych. Ta bo mi żal was, moi ludzie, że samochcąc zatruwacie sobie życie i za swoje własne a ciężko zapracowane pieniądze nieraz przedwczesną śmierć sobie kupujecie.

Bartłomiej. Ej, bajki to, panie nauczycielu! nie słyszał ja jeszcze żeby kto miał z tytoniu umierać.

Nauczyciel. Wierzę wam, żeście nie słyszeli, bo jużcić śmierć nie będzie się przed wami spowiadać, na co kogo zabiła. Ale żeć sobie to z palca nie wyssałem co gadam, za to wam ręczę. Tytoń jako roślina należy do trucizn i to nie lada jakich. Hotentoci, naród dziki, mieszkający hen na południe w gorących krajach Afryki, robią z tej rośliny taki olejek, którego jedna kropelka już wystarczy, aby najtęższego węża odrazu zabić. Wprawdzie w takim stanie, w jakim my go używamy, nie jest on zabijający odrazu, ale powoli podkopuje nasze zdrowie, podobnie jak ten czerw który gdy się znęci do drzewa, nieznacznie i niewidomie toczy go i marnuje, aż z czasem w niwec obróci. Jeszcze jak powiadam w stateczniejszym wieku, przy silnem zdrowiu i z miarą użyty, nie wiele on tam uszkodzi; ale gdy się kto porwie do niego ze słabem zdrowiem, albo zbyt wcześnie — o co zwłaszcza po miastach nie trudno, gdzie lada kiepski chłopczyna już sobie ćmi cygaro pod nosem,

— lub też kto bez pomiarkowania oddaje się temu nałogowi... dla tych już tytoń staje się prawdziwą trucizną. Wszak powiedzcie sami Bartłomieju! czy okurzywszy się kiedy fajki nad miarę, nie czuliście w sobie tak jakby gorączkę? przytem język był obłożony, głowa ciężka, w gardle sucho że ino co się z niego nie pokurzy jak w czasie posuchy na gościncu, a w ustach taki jakiś niesmak, żeć tylko ztąd wasza ma kłopotu co nie miara, tak wam niczem w jedzeniu dogodzić nie może.

Bartłomiej. Prawda, prawda żeć tak było nie raz, ale nie myślę, iżby to miało być z tytoniu...

Nauczyciel. A z czegożby innego?

Bartłomiej. Ba, alboż ja to godzien wiedzieć?... chory ta chory... dość z tego biedy! jeszcze sobie głowę łamać nad tem: a zkąd?

Nauczyciel. To też właśnie najgorzej, mój gospodarzu, że taki wasz cały rozum: jest ta jest, nie ma ta nie ma, przyszło niech będzie, poszło bierz go licho! i na tem się wszystko u was kończy. A nie tak być powinno, aby się wam dobrze działo!... ale o tem po tem. Tymczasem wróćmy do naszego. Otóż nie może wam się to w głowie pomieścić, aby tytoń był taki szkodliwy na zdrowie — wiecież dla czego? dla tego właśnie, żeście tak mocno pokochali te liście, ztąd straszno wam uwierzyć w ich niedobrą naturę i zatykacie uszy wasze przed prawdą. Ależ nie myślcie! żebym was, starszych gospodarzy, chciał już koniecznie odwodzić od tego! Kurzcie sobie wasze lulki, kiedyć wam z tem błogo, jeno na miłość Boską, nie używajcie naprzód sami tego dobrego zbyt wiele, a potem synom waszym nie pozwalajcie za młodu imać się do fajeczki, jeśli wam ich zdrowie na sercu leży.

Bartłomiej. Hm, hm... miły nauczycielu! wyczytaliście prawdę ze mnie, chociażem jej nie powiadał. Bo i rzeczywiście przykro mi było słuchać tyle złego o tytoniu, który mi się tak bardzo spodobał. Aleć że to prawda być musi, ztąd widzę, iżeście mi tak o tem gorąco prawili, a potem myślę, że cóżby wam z tego przyszło uczyć mię nieprawdy? — Ja stary już ta podobno przy fajczynie i umrę, chociaż posłucham waszej rady i nie będę jej więcej tak mocno zażywać; ale co do chłopców

moich, to jeszcze dzisiaj przepowiem im waszą naukę o tytoniu na przestrogę, niechaj znają, co to za ziółko zdradliwe. A teraz Bóg wam zapłać, miły nauczycielu!

RÓŻNOŚCI.

Wróble w dalekiej podróży. Może słyszeliście już kiedy o kraju, w którym dużo złota kopią a nazywa się Australją. Daleko o kilka tysięcy mil od nas leży ten kraj, ze wszystkich stron głębokiem morzem oblany, a ktoby się tam chciał dostać, toby musiał samą wodą płynąć i płynąć aż by mu się na śmierć sknęło bez ziemi. Otóż właśnie w tym czasie puściło się w tak daleką podróż z Anglii do Australii 300 wróbli. Wprawdzie nie z własnej oni ochoty płyną do tego złotego kraju, bo i co tam wróbla złoto obchodzi, milszy jemu kłos naszej pszeniczki niż cały cetnar tego złotego kruszczu; ale zmuszono przez moc nieboraków, zapakowano na okręt i dalej z niemi na przesiedlenie za dalekie morza aż tam na południe. Trzeba nam teraz powiedzieć dla czego?... W Australii od niejakiego czasu bardzo dużo pokazało się gąsienic i innych robaków, niszczących zboże na polu i jarzyny po ogrodach. Nie wiedziano jak sobie z tem psiarstwem poradzić; aż znalazł się ktoś, co im narail wróbli, jako srogich nieprzyjaciół wszelkiego robactwa. A że w tym całym kraju od końca do końca na śmiech ludzki jednego nie znalazłbyś wróbla, więc musiano zatem pisać do Anglii, aby im takich zuchów choć z kilkaset na pomoc przysłano. Szczęśliwej podróży! za jakich lat kilka, spodziewać się należy, będą ich mieli Australczyki do syta, i jako my po dziś dzień zastawiamy sidła, stroimy strachy, i Bóg wie jakich jeszcze nie używamy sposobów, aby tych paniczów od naszych stert i stodoł w przyzwoitem utrzymać oddaleniu, podobnież może i oni będą musieli wkrótce poszukać stracha na tych swoich skrzydlatych gości. A przecie jak się pokazuje, potrzebne to ptasze! za jeden kłos popsuty zachowa ci sto innych w bezpieczeństwie od brzydkiego robactwa, które gdyby nie miało w ptactwie takich nieprzyjaciół, stałoby się dla nas największem nieszczęściem — od czego zachowaj nas panie Boże!

Dawne przysłowia i przypowieści.

— Grzegorz: — Czegoż? — Pójdź robić! — O nie mogę chodzić!
— Pójdźże jeść! — Toć muszę poleść.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.

Tom I. **Nr. 7.**

1. Września **1859.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mieczysław i Dąbrówka.

Umarł ojciec Piast, doczekawszy się pięknego wieku, bo jak mówią, miał żyć sto i dwadzieścia lat. Po nim Ziemiowit objął panowanie nad Polską. A był to właśnie ten sam Ziemiowit, którego aniołowie jak wiemy, jeszcze w mieście Kruszwicy nad Gopłem jeziorem, gdzie ojciec był kołodziejem, z czystej wody ochrzcili. Ale iż nie miał później nikogo, coby go w św. wierze chrześcijańskiej pouczył i objaśnił, pozostał więc jak i jego ojcowie przy pogańskiem wyznaniu i modlił się swoim Bogom.

Ziemiowit zostawił po sobie Leszka, który niedługo pożywszy, zdał rady państwa na pierworodnego swego Ziemomysła. Temu narodził się był syn M i e c z y s ł a w albo jak pod ten czas nazywano M i e s z e k, który go zrazu nabawił srogiego zmartwienia; przyszedłszy bowiem na świat, ślepym był. A to zrozumiecie, że dla ojca nie lada jakie nieszczęście! podobnież i w całym narodzie była z tego żałość wielka i nieukontentowanie. Spodziewano się bowiem kiedyś nieszczęsnego bezrządu, gdyby księcia z takiem kalectwem dostali na pana. Same już nawet nazwisko M i e s z e k, jakoby ten który mięsza porządek w kraju, zdawało się wróżyć coś niedobrego po tym księciu.

Tymczasem cóż było robić! chłopię chowało się cudnie i rosło jak na drożdżach — gdybyż nie to kalectwo, mój Boże, jaka by to była pociecha dla wszystkich!... Tak mijał rok po roku. A po upływie siódmego lata myśli ojciec chłopięcia w rocznicę jego urodzin starodawnym obyczajem sutą wyprawić ucztę. Przekazał więc po całym kraju, aby na ten dzień pozjeżdżali się co przedniejsi panowie i książęta do Gniezna, królewskiego miasta o siedmiu wzgórzach. Tam bowiem na początku mieszkali królowie nasi, zanim się do Krakowa nad Wisłę przenieśli. Tłumnie zgromadzili się goście na zamku królewskim, książe raczył ich hojnie — ale podczas kiedy wszyscy inni podochoceni byli, i według tamecznego zwyczaju przy biesiadzie w dłonie klaskali z uciechy, ojciec, mając na sercu ślepotę syna swego, sam jeden siedział pochmurny i nic niemówiący.

Wtem nowina, ucieszna nowina! wpada na pokoje królewskie poseł od żony, donosząc, iż dziecko cudownym sposobem przejrzało. Jeszcze nie wierzy książę posłowi, aż tu matka dziwnie uradowana przypada do godowego stołu ze synem, który jasnemi jak niebo oczkami powitał ojca miłego i gości biesiadujących.

Dopieroż to było wesele, co i wypowiedzieć trudno!...

Radował się ojciec pan, radowali się i dostojni goście temu przytomni.

Pytał się potem król wieszczków pogańskich: coby oznaczać miał ten cud, sprawiony na jego chłopięciu? Ale wieszczkowie nie umieli mu na to odpowiedzieć. Wtedy ktoś poraił królowi, aby się zapytał pustelników, ludzi chrześcijańskich, mieszkających pod ten czas w Polsce ku nawróceniu pogan do wiary Chrystusowej. Dopieroć oni oświecili go w tej mierze, powiadając: że jako wszechmocna ręka Opatrzności dziś temu chłopięciu otworzyła ciemne oczy, tak kiedyś on, jako król wybawi naród swój z ciemnoty i otworzy oczy jego ku wiekuistej prawdzie. —

Po śmierci Ziemomysła, Mieczysław pierwszy tego imienia zasiadł na tronie polskim. Był on sobie poganinem jak i drudzy, miał nawet siedm żon, ale choć ich miał tak wiele, pan

Bóg nie pobłogosławił go na dzieciach. Na próżno bogate czynił Bogom swoim ofiary, nic mu oni na to poradzić nie mogli, jako że byli fałszywi Bogowie. Cóż tedy robi! oto niemyślący długo, udaje się on jak niegdyś ojciec jego Ziemomysł do onych świątobliwych mężów na puszczy, wzywając ich rady. A oni mu radzą: — Mieczysławie! poniechaj twoje niewiasty, z któremi żyjesz nie wedle zakonu Bożego, ale zwyczajem pogańskim, i zwróć serce twoje ku jednej, której na imię Dąbrówka, królewskiego rodu dziewicy. Tę gdy pojmiesz za żonę, Bóg ci pobłogosławi, i będziesz miał syna po sobie wielkiej sławy. —

Królowi przypadła ta rada do serca. Wiedział on że w sąsiedniem państwie u Czechów, król ich Bolesław miał córkę Dąbrówkę — więc duchem napędził siedm niewiast swoich, i do króla czeskiego słał posły z darami, dopraszając się jego dziewki bogobojnej dla siebie na żonę. Posłów polskich z darami przyjął Bolesław z otwartemi ramionami, i córki nie odmawiał bynajmniej, byle jeno, powiada, król polski porzucił Bogów pogańskich i dał się ochrzcić. Czeski bowiem kraj już natenczas wyznawał wiarę chrześcijańską.

Mieczysław chętnie na to przystał. Wtedy Dąbrówka z okazałym dworem świeckich i duchownych panów wyprawiła się do Polski. W Gnieźnie, stolicy państwa, powitał narzeczoną król w towarzystwie starszyzny narodu. Nim zaś przystąpił do ślubu, pierwej zrzekł się pogaństwa i przyjął chrzest święty — jak stare księgi o tem piszą, z rąk Bochowida kapłana czeskiego na dniu 5. marca 965 roku, więc blisko 900 lat temu. A za przykładem ukochanego pana swego wnet też i cały naród nakłonił się ku wierze chrześcijańskiej. W niwecz poszły bożnice pogańskie, w miejsce których na prędce stawiano krzyże święte, zaś Bogi fałszywe wnet rozbijano siekierami na proch, albo je na stosie palono, lub też w głębokich jeziorach i rzekach zatapiano. Długo jeszcze potem był taki u nas po wsiach i niektórych miasteczkach zwyczaj, że na białą niedzielę w poście ubierano snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze, który wszystka wieś prowadziła gdzie było najbliżej jakie jezioro albo kałuża; tam dopiero zwlekano z niego odzienie i spiewając za-

łobliwie, wrzucano do wody; poczem każdy co tchu umykał do domu. Tym sposobem święcili ludzie pamiątkę nawrócenia swego do Chrystusa a pogańskich bożków zniszczenia.

Drugi zwyczaj w tym czasie przyjęty był, iż w kościele podczas Ewangelii dobywali nasi szabel do połowy z pochew, a co znaczyło że gotowi są umrzeć każdej chwili za św. wiarę.

I takci stało się po prawdzie, co byli rzekli oni świątobliwi mężowie z puszczy ojcu Mieczysława Ziemiomysłowi, o cudownem syna przejrzeniu: iż kiedyś on jako król wybawi naród swój z ciemnoty i otworzy oczy jego ku wiekuistej prawdzie.

Dotąd Polska rozdzielona była na małe cząstki, przez co nie miała żadnej mocy opierać się groźnym nieprzyjaciołom z zachodu, którzy się gwałtem wdzierali w jej granice. Dopiero za Mieczysława połączyła się ona w jedno wielkie królestwo i już wtedy lada komu przewodzić nad sobą nie dała. A trzeba wiedzieć, że na nieprzyjaciołach nigdy nam nie brakło, choć Bogiem a prawdą, radzi byliśmy żyć z całym światem w spokoju i z nikim nie zadzieraliśmy pierwsi. Kiedyśmy jeszcze nie wyznawali Chrystusa, wtedy obce narody na zachodzie, będąc już Chrześcijanami, zbroili się przeciwko nam, udając iż to dla krzyża św. czynią, aby nas do niego nawrócić. Tymczasem pokazało się, że to było wierutne kłamstwo, i że im nie chodziło o wiarę naszą, ale o nasz kraj chlebny i bogaty. Bo chociaż już cały naród się ochrzcił i staliśmy się wyznawcami tej samej religii co i oni, mimo tego nie zaniechali pierwej napaści, aż im się raz i drugi dostało setnie po skórze. To znowu później jako Chrześcijan napastowało nas srogie pogaństwo, i musieliśmy się znów temu przez wiele lat odgryzać. Jednem słowem byliśmy w ustawicznych obrotach, jeśli nie z tej, to z tamtej strony, każdej chwili trza było się mieć na baczności, aby nas kto nie opadł z nienacka — a k r z y ż i m i e c z, to było godłem naszego życia: w krzyżu szukaliśmy zbawienia duszy, w mieczu ciała naszego, i naszej ojczyzny zbawienia.

Skoro się św. wiara przyjęła na polskiej ziemi, król z królową poczęli fundować kościoły. Za ich to panowania powstały świątynie pańskie: w Gnieźnie, w Krakowie, w Poznaniu, w Kruszwicy i po innych jeszcze miejscach. Także hojnie zaopa-

trzyli je w potrzebne sprzęty i dochody, i posprowadzali na początek księży z za granicy, aby było komu nauczać lud świeżo nawrócony, i utwierdzać go w tej nowej dla niego religii. Także wyposażył Mieczysław pierwsze w kraju biskupstwo, którego siedzibą był Poznań, a pierwszym biskupem niejaki Jordan, kapłan wielce gorliwy w pozyskaniu wiernych pracowników do uprawy winnicy niebieskiej.

I owóż jak wielkie były zasługi Mieczysława króla i Dąbrówki bogobojnej żony jego. Nazywamy go zaś królem, chociaż mu obcy nie przyznawali tego tytułu, bo godzien on był choćby i najpierwszej korony, zwłaszcza kiedy go własny naród kochał i szanował.

Sprawdziła się też na nim i druga przepowiednia onych świątobliwych pustelników — i urodził mu się syn Bolesław, który po śmierci ojca, objąwszy panowanie nad Polską, stał się królem tak sławnym na cały świat, że go nazwano Bolesławem Chrobrym, czyli Wielkim.

A o tym Bolesławie powiemy wam za drugą razą.

Trzy spiewki.

(*Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.*)

I.

O pokrzywianym wieńcu.

Któż to weźmie Zosiu ten z pokrzywy wieniec?
— Weźmie go Jasienko, prześliczny młodzieniec —
Weźmie go za pracę, o! bo też pracuje:
Jak siędzie do kaszy, gęby nie żałuje —
Weźmie za pływanie, o! bo ślicznie pływa:
Oj! pływa po rzekach gorzałki i piwa!

II.

O wielkim zuchu.

A nasz Antek wielki zuch —
Upił się, taj żyda buch,
Buch żydówkę, polowego —
Wszyscy uciekli od niego.

A nasz Antek wielki zuch,
Skok do ławy, ławę buch —
Nie zabił ławę na szczęście,
A pokrwawił sobie pięście.

III.

O tem, jako nikt nie chciał pijaka i kłótnika.

Pójdziesz za mnie Kasiu? mówże jeno prędzej —
Tobym na zapowiedź zaraz dał pieniędzy!
— A chybabym Franku rozumu nie miała,
Abym sobie ciebie za męża wybrała:
Pierwszyś ty do szklanki, pierwszy i do bitki —
A tobyś ty ze mną robił sobie zbytki!

WIERNY KOŃ.

(Z pogadanek starego rolnika.)

Bardzo temu dawno, kiedy więcej było stepów i odłogów niż uprawnej ziemi, i stada koni prawie dziko latały po łąkach i pastwiskach, był jeden gospodarz co się nazywał Przybysław, i mieszkał w Krakowskiej ziemi. — Miał on gospodarstwo i w niem śliczności stadko koni, wedle którego sam chodził, doglądał, ale najlepiej upodobał sobie gniadego ogiera, bo go wychował od maleńkości jakby psiaka i przezwał go białonóżką dlatego, że tylną jedną nogę miał białą po pęcinę. — Otóż bywało przyszedł do stada na łąkach, to jak ino się odezwał, zaraz białonóżka wychodził, podnosił głowę do góry, chrapami zaczął wietrzyć, i jak poczuł, że to pan jego, zawdy zarżał radośnie, ochotnie wierzgnął w górę nogami, i szust! jużcić przy swoim panie. — To go wtedy Przybysław głaskał, klepał, całował, a on go wąchał dokoła, i szukał chleba po kieszeniach. — W owym czasie nie było takiego wojska jak dzisiaj, ino każdy co miał zdrowe ręce był sobie oraz wojakiem, a kiedy wypadła potrzeba szedł i bił nieprzyjaciół; — więc Przybysław często z drugimi wychodził na wojnę, i zawdy pod siebie brał białonóżkę, bo powiadał, że jak na nim siedzi, to pewny jest, iż mu się nic złego nie zrobi.

I udało mu się cosić tak dwa razy; ale za trzecią razą, jak go zaczęli kłuć i rąbać, Przybysław pomiarkowawszy, że wiela złego na jednego, dał raptem w bok, i chlust przez pole do swoich. — Tatary za nim, ale gdzie ta gdzie, ani rady białonóżkę było zgonić, i jak dopadł równej drogi, to ino szumiało, ino dudniło, co tak leciał, że wszyscy het daleko się pozostawali, i wreszcie popowracali do swoich. Ale Przybysławowi poczęła krew ranami uchodzić, bo nie lada jako pogany go pokłuły; trzymał się ta jakiś czas jeszcze na koniu, ale wreszcie przymknął oczy, zsunął się z siodła, i padł jak nieżywy na ziemię, nie mogąc z siebie głosu wydobyć. — Białonóżka choć już luźny, także się zatrzymał, owąchał swego pana na wszystkie strony, jakby chciał zmiarkować, czy żyje jeszcze? a potem podniósł łba do góry, i oglądając się na wszystkie strony, zarżał raz, drugi i trzeci, jakby chciał kogo zawołać do pomocy. — Kiedy nikt się z ludzi nie pokazywał, poczciwe konisko znowu z wąchaniem do swego pana, i dalej znowu rżyć, i gdy tak cosić kilka razy powtórzył, z lasu, bo to się wszystko stało pod samym lasem, wyszedł pustelnik z długą białą brodą.—Białonóżka jak go zobaczył, tak zarżał radośnie, tak się zaczął cieszyć, że aż Przybysław oczy otworzył. — Pustelnik zwyczajny ludzkiej nędzy, miał przy sobie różne leki, wziął rannego do swojej pustelni, wygoił, wyleczył, i dopiero po wojnie puścił do domu. Ale w gospodarstwie Przybysław zastał same pustki, gruzy po budynkach, pola poniszczone, i całe stado koni zabrane tak, że biedaczysko został ino przy ogierze swoim, co go lubował jakby własne dziecko, bo on mu prawie życie uratował — i przy karabeli, co rani i kaleczy a chleba nie daje. Tak co robiący Przybysław, zafrasował się strasznie, i w tym żalu, w tem zmartwieniu przysunął się do białonóżki, i rzekł:

— „Oj! ty mój przyjacielu, po co przywołałeś rżeniem pustelnika, bo byłbym już zakończył mój nędzny żywot.“—Ogier wyciągnął się, zastrzygł uszami, i groźno spojrzał w swego pana, jakby się gniewał, że zabaczył o Bogu i przestał ufać Jego dobroci.

— „Gniewasz się na mnie?“ — mówił dalej Przybysław, a ogier zarżał raz jakby chciał powiedzieć — „tak, gniewam się.“

— „I ty już na mnie?“ — znowu odezwał się Przybysław, a ogier trząsnął łbem jak kiedyby mu mucha usiadła, i liznął swego pana po ręku, niby chcąc mu powiedzieć, że zawdy dla niego z jedną jest przyjaźnią. Wtedy Przybysław widząc w tem wszystkiem tak dziwne składanie się, że z koniem swym zupełnie jak gdyby się rozgadywał, rozrzewnił się w sercu, zdjął czapkę z głowy, i padając na kolana, zawołał wznosząc ręce do nieba:

— „Ojcze i Panie wszechmocny! który nie zapominasz o najmniejszym robaczku, ratuj mnie i wspomóż.“ Zaledwie te słowa wymówił, mój białonóżka jak nie skoczy, jak nie bryźnie pośledniemi nogami, jak nie zacznie różne wyrabiać susy, to skakać, to przysiadać na ziemi niby pies, to znów rżeć i przypadać do swego pana, że aż Przybysław rozweselił się, i nabrał otuchy, że przy pracy i modleniu się Bóg go wesprze i nie opuści. — Jakoż od tego czasu już Przybysław nie desperował, zabrał się do pracy, do orania roli, do siewu, do ściągania z lasu materjału na nowe budowle, w czem wszystkiem ogier był mu prawą ręką, bo choć koń nienałożony był do takich robót, ale równie wszystko nim robił Przybysław. — I przez to wszystko koń z człekiem stali się jakby jedność, i tak nawykli do siebie, że Przybysław ani na krok nie odstąpił białonóżki, a jeżeli czasem przez jaki czas nie widzieli się z sobą, to potem jak się zobaczyli, z uciechy ledwo się nie pozagubiali, bo koń rżał i rżał, lizał po rękach i owąchiwał swego pana, a ten klepał go, głaskał, całował, przykładał głowy do mordy, i przyciskał do piersi, obejmując za szyję. — Ludzie znali to wszystko, i strasznie zazdrościli mu takiego konia, bo to i piękny był i robotny. I raz jak się Przybysław zeszedł z jednym z sąsiadów, jak zaczęli przypominać stare dzieje a popijać miodem, bo wtedy jeszcze tej nieszczęśliwej gorzałki nie było, tak pociągnął sobie więcej jak wypada i do domu nie wrócił, aż dopiero z rana. — Biegł szybko i z wielką niespokojnością, bo przeczuwał, że go czeka jakieś nieszczęście, a jak zobaczył drzwi od stajni wyważone, zadrżał, przystanął, i zawołał żałośnie:

— „Koniku mój, koniku kochany! czyś chory, co się nie odzywasz?“

Ale wedle stajni cicho było i pusto, ino czasem drzwi zaskrzypiały od wiatru, co wisiały na jednej zawiasie. — Przybysławowi aż się włosy na głowie najeżyły, oczy stanęły kołem, serce zadrgało; wpadł do stajni, i omało nie zemdlał... stajnia była pusta. — Cały potem dzień zeszedł mu na szukaniu to po lesie, to po polu, po pastwisku, ale o koniu ani słychu dychu, przepadł jak kamień w wodę, i jak zaczął rozważać, tak poznał że mu ogiera skradziono.

Oj! ciężka też potem była dola Przybysława, bo przez wojnę stracił żonę, stracił dziatki, całe mienie, zdrowie, postarzał się, posiwiał, przygarbił, i wreście stracił takie poczciwe bydlę, co prawie było mu drugim przyjacielem i pomocnikiem we wszystkich robotach. — Strasznie więc posmutniał, a jak sobie wspomniał wszystko z dawności, tak często choć staremu łzy pociekły po twarzy, bo czuł, że sobie żadnej nie da rady, i na stare lata czeka go nędza, a może i kij żebraczy. — Często więc siadał pod krzyżem, modlił się, spiewając pieśni nabożne rankiem i wieczorami, a pomiarkowawszy że nieszczęście go spotkało przez opicie się, wyrzekł się na całe życie picia, i znowu wziął się do pracy. — Ale w gospodarstwie co poradzi bez jakiej takiej szkapiny? Więc ciężko mu było strasznie w robocie, nieraz aż ustawał, a jednak w gospodarstwie mało co przybywało.

I tak przechodził tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, i coraz cięże) było już niemłodemu Przybysławowi, aż wreszcie postanowił pójść na piechotę do krewniaków swoich, co może jakie ze trzydzieści mił od niego mieszkali, i prosić o przytulisko na stare lata. — Rano więc ubrał się schludnie, przepasał szablę do boku, małe zawinięcie przerzucił na plecy, obszedł wszystkie kąty, przy każdem drzewie, przy każdym krzaku zapłakał, jak sobie przypomniał różne rzeczy z dawności, a najbardziej w stajence, gdzie stawał białonóżka, i przeżegnawszy się, i pożegnawszy się z ojcowizną, ruszył drogą pod krzyż, co stał pod lasem okryty drzewami, aby jeszcze tam zdala od ludzkiego oka pomodlić się na drogę. Kiedy się tak modli, płacze i bije w piersi, żałując za dawne grzechy, i prosząc Boga o zmiłowanie i błogosławieństwo

na drogę, zda mu się usłyszyć jakby daleki szum w lesie, jakby jakie tętnienie czy dudnienie po twardej drodze.

Nadstawił uszu, tętnienie się coraz powiększało i zbliżało ku niemu, że wyraźnie poznał iż pochodzi od wielkiej liczby koni, co lecą gościńcem.—Nie mogąc zmiarkować coby to było, a zwyczajny napadów tatarskich, bo w owych latach od czasu do czasu, jak jacy zbójcy cichaczem wpadali Tatarzy do naszej Polski, i napaliwszy wiosek, narabowawszy i nabrawszy ludzi w niewolę, uciekali potem do swego kraju; w pierwszej chwili zdało mu się, że to pewnikiem muszą być Tatary. — Więc wydobył szablę, zrobił znak krzyża Śgo, westchnął nabożnie, i odmawiając pacierz, przygotował się do obrony, bo dziki ten naród nikomu nie folgował. Kiedy tak stoi myśląc, że już przyszła jego godzina, a tu już tuż tuż dochodzi do niego szumienie, rżenie koni, tętnienie kopyt — bo Tatarzy zawsze się wielkiej kupy trzymali — niedaleko niego mignęło się cosić między krzakami. — Spojrzał z za krzaków ostrożnie żeby go nieprzyjaciel nie dojrzał, patrzy, a to jakiś gniady koń bez siodła i uzdy zupełnie luźny, i prawie podany na jego białonóżkę, stoi na polu obrócony przodem do lasu, i łeb trzyma górą, strzyże uszyma i kiedy niekiedy cichaczem ale radośnie porżywa. Kiedy Przybysław nie mogąc pokalkulować, co to wszystko znaczy i bojąc się wyjść z ukrycia, myśli i to i owo, aż tu z lasu, moi ludzie, jak się zaczną sypać konie, wszystko luźne bez żadnej wyprzęży, i kare, i gniade, i bułane, a wszystko śliczności, może po sto dukatów każdy; tak Przybysław myślał że to sen jaki, bo wiedział, że w okolicy nikt tyle koni pięknych nie miał. — Więc przetarł oczy i het patrzy! a tu co który koń wyleci z lasu to przypadnie do tego najpierwszego gniadego, owącha go, zarży, przeciągnie się, i stanie wedle niego. — Dosyć moi ludzie, że Przybysław narachował cosić z piędziesiąt takich koni a że już miał od młodości upodobę wielką do koni, tak wspomniawszy sobie białonóżkę i stadninę, zabaczył i o Tatarach i o swojem nieszczęściu, z radością wyskoczył z za krzaków, i poszedł ku stadu wołając: — „Koniki, moje kochane, moje poczciwe koniki! nie macie tam między sobą mego białonóżki?“

Jak to Przybysław wyrzekł, w stadzie między końmi tylko się zakotłowało i ten najpierwszy gniady, co wszystkich za sobą przyprowadził, zarżał radośnie, wyskoczył ze stada i we dwóch susach tuż stanął przy Przybysławie.—Ten spojrzał i nie chciał swoim oczom uwierzyć, bo w gniadym poznał swego ukochanego ogiera białonóżkę, — Jak go też nie złapie za szyję, jak go nie zacznie całować, to tak jakby z radości w głowie mu się co popsuło. — A gniady stał, rżał, owąchiwał swego pana, lizał go po twarzy, po rękach, a reszta koni chodziło dokoła, przypatrywały się, i jaki taki machnął ogonem, wierzgnął pośledniemi nogami, i bryznął po polu z uciechą.

Kiedy się Przybysław już nacieszył ze swoją zgubą i z gniadym powracał, ten wyskoczył naprzód, i prościutko wyruszył ku domowi, a za nim całe stado. — I wszystkie te konie zostały przy Przybysławie, bo one były nie z naszego kraju, tylko z dalekiego, za górami, za lasami, jakich nawet nie ma w naszej Polsce. Tam to złodzieje co ukradli białonóżkę, zaprowadzili go i przedali, a że z Przybysławem tak przestawał gdyby człowiek z człowiekiem, więc jakoś był rozumniejszy od innych koni. — Dlatego jak go wpędzili do stada, tak pomału wszystkie go konie polubiły i gdzie się ino obrócił, tak całe stado za nim, że nieprzymierzając był nad niemi jak jaki starszy. Jak więc zatęsknił do domu i do swego pana, tak wyprowadził całe stado za sobą, i przez pola, góry, lasy, ze wszystkiemi doleciał do Przybysława właśnie wtenczas, kiedy ten zabierał się w daleką drogę. — Stado to rozprzedane między panów zbogaciło go bardzo, i był potem szczęśliwy, a białonóżkę jeszcze lepiej kochał. Żył potem długo, a ludzie na pamiątkę, żeby się inni nauczyli, co to za poczciwość jest w koniach, i jak się należy z niemi obchodzić, zapisali to wszystko w książki; ja jak czytałem, tak wam opowiedziałem.

Jan Kanty Gregorowicz.

O PÉRZU.

Gawęda gospodarska.

— Tak, tak, wy swoje, ja zaś swoje! mówił Maciek do Wacha, wracając z jarmarku z Gostynia. Pérz, zwyczajnie pérz, jak się już gdzie zaweźmie, to go się trudno całkiem z roli pozbyć. Ot na ten przykład ja sam, com go już z swego pólka, co go mam na zagumienku, nie nawywalał — na fornalski wóz byś tego nie zabrał, a przecie rok w rok jak był, takci tam i jest. Widzicie, miły Wachu, to już rolą idzie.

— O! jużci mi tego nie gadajcie, miły sąsiedzi! rzekł Wach, że to rolą idzie; ja wam powiadam że to nie rolą idzie ale uprawą. Gdybyście byli wasze pólko dobrze, wcześnie i za pogodę uprawili, tobyście tyle pérzu nie mieli, jak was kocham — tak prawda. Idźcie tylko zobaczyć, a będziecie widzieć, że się pérz na niem lepiej zieleni jak Szymkowa ozimina.

— Prawda że były słoty, kiedym rolę uprawiał, padało i padało jak na uwzięcie — to cóż było robić! zwlekać było niepodobna, bo i tak się dobrze opóźniłem ze siejbą: więc chcąc nie chcąc musiałem uprawić jak bądź i zasiać na to mówiąc w błoto.

— Toż i na drugi rok, da Bóg doczekać — przerwie Wach, znowu nic nie będziecie mieć na roli, tylko pérz.

— A no, jużcić że będzie, bom go w miejscu zostawił a nie zwoził do domu tak jak wy; na kiegoż bo mi licha po pérzu!...

— Ha, jak sobie kto pościele tak się i wyspi — rzekł Wach; wolna wola każdemu robić jak się mu spodoba.

— Ależbo, miły Wachu! zagada pilno Maciek — rzeknijcie mi też szczerą prawdę: co wy z tym pérzem w domu robicie? wszak do niedawna jeszcze zapamiętam, żeście go tak samo nie potrzebowali jako ja dzisiaj.

— Prawda! na to Wach — dawniej, to jakem pérz pozbierał z roli, tom go na drogę wyrzucił, ale od dwóch lat to go suszę jak siano i do domu zwożę. Mój cioteczny służył był za dawnych lat u Francuza, co to z całym światem wojował. Jak się wojna skończyła, nie wrócił nazad do domu, ale został

gdzieś we Francyi, ożenił się, i było mu z początku nie źle. Potem żona mu bezdzietnie umarła. On też nie wiele myślący, poprzedał co miał, i wrócił do kraju, bo to powiadają: wszędzie dobrze a w domu najlepiej. Przed trzema laty spotkaliśmy się ze sobą w naszem mieście, w sam dzień Matki Boski siewnej. Nie gadać wam, jaka była z tego uciecha i dla mnie i dla niego. Zaprosił mię potem na św. Marcin do siebie na kiermasz, bo się już był znowu ożenił; pojechałem z moją i ze starszym chłopakiem. Otóż tam przy gawędce o tem i owem, zgadało się coś i o pérzu. I powiadał mi, że we Francyi gdzie on był, gospodarze pilnie zbierają pérz, suszą go, potem w stodołach młócą i dobrze wytrząsają, aby go zupełnie ze ziemi ochędożyć, i tak go potem bydłu dają jako paszę. Dziwno mi się to zdawało, ale nic nie mówiący, myślę sobie: poczekaj! nie wielka rzecz spróbować, a zobaczymy jaka w tem prawda. Skoro też w domu, zaraz się zabrałem do próby — i przakonałem się, że wszystko prawda co gadał mój cioteczny o pérzu. Od tego też czasu już go nie marnuję, ale osuszywszy na słońcu, zwożę do domu i bydło nim karmię.

— Hm, hm, mój sąsiedzie! zaczął bąkać Maciek, to mi się jakoś w głowie nie może pomieścić.

— Czemu? zapytał Wach, alboście to jeszcze nie widzieli że bydło, gdy się je pędzi przez ugor, a napotka na kupę pérzu suchego, to stawa i żre.

— Ba i nie raz.

— No to i czegóż więcej chciecie! kiedy w lecie choć przy trawie, a nie kole go pérz w język jeno sobie w nim smakuje, cóż dopiero mówić o zimie. Przytem zaręczyć wam mogę, że jako smaczny jest, tak i zdrowy dla bydła, bo dzięki Bogu już od dwóch lat pasę nim moją chudobę, i nie widzę żeby jej miało co szkodzić. Ale, ale, właśnie też przypominam sobie co mi łońskiego roku opowiadał Jędrzej z Ostrowa; podobno i wam on znajomy?...

— O! taże go znam.

— Owóż, powiadał mi on, jako przed rokiem na jarmarku w Odolanowie kupił był krowę od biednej komornicy. Zaręczono mu że zdrowa była i dobra dójka. Skoro ją przygnał do

domu, zawołał na swoją, aby ją wydoiła. Więc żona biegnie ze skopkiem, rzuca krowie dobrej trawy, że to było latem, i dalej zabiera się do dojenia. Tymczasem krowa ani żre, ani mleka dać nie chce. Dziwno im to bardzo, ile że krowa miała wielkie i nabrane wymię, i zresztą komornica za nią ręczyła iż dobra. „Co to jest, zdrowo wygląda; czy czary jakie czy co?“... powiada Jędrzej. — Ale, czary! zawoła jego wybuchając gniewem — nieponiaś kupił, teraz sobie dój. „O moja matko, rzekł gospodarz, tylko się zaraz nie rzucajcie; poczekajmy do jutra, a jeżeliby nie chciała dawać mleka, toć ją odprowadzę komornicy, bo wiem gdzie mieszka i kto ona jest.“ Nazajutrz sama gospoś poszła do sadku, nażęła świeżej trawy i znowu ze skopcem do krowy. I znowu takie same historje co i wczoraj; krowa ani trawy się nie tknie na prawdę, ani mleka dać nie chce. Rozgniewana gospodyni wyhałasowała swojego: „a ty taki, a ty owaki!“ tak że biedny Jędrzej spuciwszy uszy po sobie, i nie mówiąc już nic, łap czemprędzej za krowę, i odprowadził ją do komornicy, od której był kupił. — A wy co chcecie, zdziwiona zawoła komornica, gdy jej przed chałupę przyprowadził krowę. „Ha moglibyście się też i wstydzić, oszukiwać ludzi — powiada Jędrzej, macie waszą krowę a oddajcie mi pieniądze. Powiedzieliście że ta krowa dobrze doi! pięknie to tak, kiedy nie prawda.“ — Co wy gadacie! na to jemu ona niewiasta; ta krowa mleka nie chce dawać?... „A jużci że nie, kiedy powiadam, rzeknie Jędrzej; przecie się nad wami zdziwiać za durno nie przychodzę.“ — Czy oszalał czy co? mówiła sama do siebie komornica, i nie wiele myśląc pobiegnie po skopek do izby a potem zarzuciwszy krowie naręczko wysuszonego pérzu, zaczęła doić. Krowa przegłodzona, ledwo się nie udawiła, tak żarła; a komornica musiała drugi skopek przynieść, bo jeszcze jej była do połowy nie wydoiła, a już pierwszy skopek był pełny. „No, mój ty miły Boże! zawołał Jędrzej, patrzący na to wielkiemi oczyma; toć jej moja dawała jak najlepszą trawę a żreć nie chciała, a tu pérz żre aż się prawie dławi, i mleka jak daje tak daje.“ Na to komornica z uśmiechem: Nie dziwno mi teraz, kiedy was tak słyszę mówiących, że moja krówka nie dała waszej mleka, boć u biedniej komornicy nie nawykła ona do tra-

wy, jeno się na pérzu chowała. „Ho! kiedy tak moja kobieto, to mi darujcie, żem was posądził. I u mnie pérzu nie braknie, może go żreć ile jej się będzie podobało." Poczem Jędrzej odprowadził krowę nazad do siebie i powiedział żonie jak się rzecz miała. Nie chciałać ona z początku wierzyć temu wszystkiemu, ale się potem sama naocznie przekonała, że krowa tylko do pérzu przyzwyczajoną była. Dawała go jej codziennie, mięszając po trosze z trawą. Krowa wybrała perz, a trawę zostawiła; później jednakże powoli i do trawy nawykła.

A co, miły sąsiedzie! przyznacie mi teraz, że pérzu marnować się nie godzi?

— Hm, hm.. bąknął sobie Maciek pod nosem, pokręcając tędy i owędy głową.

— Jeźli zaś mnie nie wierzycie, zakończył Wach — to popytajcie o tem samego Jędrzeja

RÓŻNOŚCI.

Niedobre lato. Rzadko którego roku uwinęli się ludzie tak pilno ze żniwami jak tego lata. Cóż, kiedy podobno jak słychać ze wszystkich stron niekoniecznie dobrze urodziło, zwłaszcza na ziarno. Wydatki oziminy prawie wszędzie kiepskie, ziarno mizerne; zato wprawdzie słomy obfito, więc niby dla bydła pociecha, jeno że postna, strasznie postna ta słoma, bo co było w niej ziela i trawy, to się na słońcu starło ze wszystkiem, prawie na tabakę. Ziemniaki jak dotąd, powszechnie sobie chwalą; daj Boże, żeby choć one nie zawiodły i nie zechciały się psuć jak po inne lata. Dziwneż bo i to lato! upały jakich dawno nie zapamiętano; po wielu miejscach za granicą padali ludzie przy żniwie, słońcem na śmierć porażeni; na naszem Podolu pastwiska, kędy po inne czasy bydło brodziło w trawie po kolana, teraz na piękne wyprzały, siana przez pół mniej zebrano niż zwykle, a o otawie ani myśleć. Jeżliż się znowu gdzie w której okolicy zebrały chmury, to nie na dobrodziejstwo ale na strach i na nieszczęście ludzkie, bo zaraz zrywała się burza, grad bił na pola, i pioruny trzaskały, zapalając domostwa i często zabijając ludzi. Na ten przykład weźmy jeno jedną cząstkę kraju na uwagę, tę co leży po za Lwowem ku wschodowi; i posłuchajmy ile to w tych ostatnich czasach zdarzyło się smutnych wypadków z przyczyny piorunów i gradu. I tak:

W okolicy Wołosowa, w obwodzie Stanisławowskim srożyła się na dniu 9. lipca straszna burza z gradem, który znaczne poczynił szkody w tamtejszych ogrodach i na polach. Ta sama burza nawiedziła dwie inne wsie tego obwodu, Majdan średni

Glinki i dała się tam setnie ludziom we znaki. W dwa tygodni później w Brzeżańskiem spadł grad tak wielki jak kurze jaja, toć zrozumiecie ile tam pracy ludzkiej w niwecz poszło Najbardziej ucierpiały wsie: **Jaszkowce**, **Jadwiegi**, **Dziewiętniki**, **Kniesioło** i **Berteszew**, gdzie wszystkie łany tak dworskie jak i kmiece zmłóciło na piękne. Tegoż dnia w okolicy **Szczerca** w Lwowskim obwodzie taką samą burzę doświadczyli ludzie, ponosząc wielkie szkody w zasiewach. Ale właśnie najsmutniejszej doli doznały wsie w obwodzie Samborskim: Łomna Berecko, Żukotyn, Jasienica i wiele innych. Tam bowiem nie dość że grad był, ale się jeszcze chmura na dobitek urwała. Co grad nie wybił, to woda zalała, bo wszystkie strumyki jednej chwili wezbrały tak mocno, że daleko do koła, gdzie były najżyzniejsze pola i łąki, nie widziałeś nic jeno woda i woda, gdyby jakie morze. Żaden się też mostek nie ustał przed tą falą, nawet dom jeden włościański zabrało, przytem kilkoro ludzi utonęło i także wielka moc bydła.

W tymże miesiącu lipcu na początku zabił piorun w *Wierzbowcu*, w obwodzie Czortkowskim *pięć kobiet*, trzy zaś innych uszkodził. Znowu 20. lipca we wsi *Jabłonicy* w Stanisławowskiem zginął jeden gospodarz tamtejszy od piorunu. Pracując na polu, schronił się on był w czasie burzy pod drzewo, co właśnie było najgorzej, i tam nieboracze doczekał się niespodzianej śmierci. Podobnież od piorunu zginęła niewiasta z *Bałuczyn* w obwodzie Złoczowskim. Zaś w Milnie, wsi tegoż obwodu o godzinie 2. zrana wśród strasznej burzy uderzył piorun w topolę przy plebanii i niebawem po raz drugi w pomieszkauie plebana, które ze wszystkiem spłonęło; ale szczęściem jakoś nikt przytem nie zginął. Dwa inne pożary od piorunu zdarzyły się przy końcu lipca, w obwodzie Kołomyjskim: pierwszy w *Albinówce*, gdzie zgorzała stodoła z młocarnią i dwie szopy; drugi w *Rusowie*, tam znowu trzy chałup, stodoła i dwie szopy poszły z dymem. W *Sławsku* w Stryjskiem zapalił piorun chałupę i zabił czteroletniego syna właściciela. W tym samym czasie w sąsiedniej wsi *Wołosiance* spalił piorun całe obejście jednego kmiecia. Nareszcie 6. sierpnia zginął czternastoletni chłopak z *Nowosiółek kardynalskich* w obwodzie Żółkiewskim od piorunu. Jechał on sobie po konopię na łąkę, gdy go w tem burza zaskoczyła na drodze a zarazem i śmierć.

Owóż w tak krótkim czasie ileż to nieszczęść sprawiło naszym ludziom to lato! a toć zato *niedobre lato!*

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kto pod kim dołki kopie. sam w nie wpada.
2. Komu Bóg pomaga, ten wszystko przemaga.
3. Dobre daleko słychać, a złe jeszcze dalej.
4. Nosił wilk, nosił niedziel kilka;
   Za niedziel kilka, nieśli też i wilka.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 8.

11. Września 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kalwarja Zebrzydowska.

Wróciwszy co jeno z tego św. miejsca, gdzie dużo pięknych i pożytecznych rzeczy widzieć i usłyszeć można, wzięła mnie szczera chęć, o nich teżta mało wiele opowiedzieć. Bo choć i prawda że to nasza, ta św. kalwarja Zebrzydowska, przecie są tacy, mieszkający daleko ztąd gdzieś na drugim końcu Galicyi, którzy zgoła nic, albo mało co o niej wiedzą; ba, sąć ta i bliscy, co znowu tacy leniwi i nieciekawi, że o bliskich, a ślicznych, a drogich bo swojskich pamiątkach dowiedzieć się wszystkiego jak się patrzy nie chcą i nie lubią.

Więc i dla jednych i dla drugich rzeknę ja słówko o tej św. kalwarji, co leży nieopodal starego Krakowa — a to *leniwcom* na zachętę, a znowu *nieświadomym* gwoli miłej wiadomości.

Otóż tak: Przybyłam ja do św. kalwarji dnia 13. sierpnia, to jest w sobotę. Za dwa dni wypadało wielkie święto **Wniebowstąpienia Maryi Panny.** Tymczasem dzisiaj zwyczajem tamtejszym odbywał się pogrzeb Najświętszej Panienki. Leży ona w ślicznej trumience, którą dwanaście dziewic wystrojonych żałobnie dźwiga na ramionach, a znowo dwunastu kawalerów

także w żałobie idą wedle trumny ze świecami, a co kaplica to spoczną, i ksiądz kazanie prawi, a potem muzyka przegrywa i strzelają, a ludek się modli. — I ktoby wtedy miał co niemiłego na myśli, na śmierć o tem zabaczy, i sam nie będzie wiedział, zkąd mu się jakoś tak dziwnie rado zrobiło na duszy, a to od cudu Najświętszej Panienki, która nas zawsze pociesza, skoro się tylko do niej udajemy w szczerości serca.

Tak zeszedł dzień pierwszy. Nazajutrz idą ludkowie na dróżki, t. j. takie obchody po wszystkich tam kaplicach, co wszystko bez mała więcej jak milę uczyni, a co się obchodzi na pamiątkę, jako pan Jezus w swej okrutnej męce taką samą daleką drogę, jeno z krzyżem jeszcze na domiar obchodzić musiał. Idę więc i ja, a wszystko się cieszę tą pobożnością naszych, ba i obcych — bo tu rozmaitego narodu zewsząd bywa co nie miara. Gdyby jeszcze nie jeden zły obyczaj, co jest między wami ludkowie, byłoby już zgoła przyzwoicie i dobrze. Rzecz to mała, ale nieładna, nadewszystko zaś iż może być szkodliwa, a to jest ta, że ten nasz dobry ludek, zwłaszcza też górski, z tej swojej prostoty to się tak ciśnie jeden na drugiego, że pożal się Boże dostać się tu między nich, ba nawet choćby i patrzeć na to z daleka. A przez to cóż się dzieje? oto niedosyć że w takim ścisku nie ma żadnej chwały, owszem obraza Boska, ale jeszcze często gęsto nie trudno prawie o straszną zbrodnię. Bo i gdyby też na ten przykład kogo udusili? jak się to tam może już i nie raz stało — no i moi kochani! mielibyśmy też na tedy odpust od pana Jezusa, jakby taka dusza stanęła tam przed sądem przeciw nas? A potem jak to widzą inni krajowcy, oto się dopiero z nas naśmiewają! bo gdzieindziej to ludzie przy takich okazjach idą sobie ślicznie, pięknie, parami, a wszędy zajdą, i dobrze się pomodlą, i wszystko uwidzą, choć się ta nie gniotą, nie duszą, i nie ma obrazy pana Boga.

Więc patrzę ja i z bolem serca widzę, jak aże żandarmy bronią ludzi od ścisku, bo ani daj Boże dobrem słowem nakłonić ich było do porządku. Tymczasem na drugiej stronie, na niewielkim pagórzu stał ksiądz, a dokoła mała garstka ludzi. Idę więc do nich; wtem jakiś zda mi się gospodarz od Wisły, podchodzi bliżej do księdza, i skłoniwszy mu się przystojnie do

kolan, daje na mszę św., aby mu też Bóg pobłogosławił na jego rodzinie i jego całym dobytku. Dobrodziej przyjął ofiarę, wieśniak zaś powtórnie ujął pokornie księdza za kolana, i rzeknie w nieśmiałości:

— Bez urazy, ojcze dobrodzieju! miałby ja też jeszcze jedną prośbę do niego, jeno nie wiem czyby to było na czasie?

— Proszę, co będę mógł to zrobię, więc gadajcie jeno otwarcie — odezwie się ksiądz dobrotliwie.

— A no, więc ja zapytam dobrodzieja, jako że jestem strasznie tego ciekawy: kto też to tę św. kalwarję założył? bo jużcić dobrodziej o tem doskonale wiedzieć musi, jako znający się na piśmie i tutaj zamieszkały. Ale ja przepraszam jeszcze raz ojca dobrodzieja! może się wyrwałem w nie swój czas z taką prośbą.

— Owszem — powie ksiądz — nie macie za co przepraszać z ciekawości waszej, miły gospodarzu, rad jestem i chętnie was zaspokoję w tej mierze.

Wtedy oprócz onego gospodarza z nad Wisły i myśmy reszta zbliżyli się do księdza, również ciekawi tej opowieści.

— Będzie lat temu dwieście pięćdziesiąt i coś — opowiadał ksiądz — kiedy na tej tam okrągło szpiczastej górze, co to ją ot zaraz naprzeciw nas widać, gdzie jeszcze sterczą ruiny zamczyska, na tej tam Lanckoronie, mieszkała rodzina bogatych a bogobojnych panów, co się zwali Zebrzydowscy. Owóż tam przed tylu i tylu laty, pewnego dnia wieczorem siedzieli sobie oboje państwo, to jest pan z panią w oknie pysznego zamku i patrzyli przed siebie, więc prosto na tę górę, na której my teraz stoimy. Wtedy była ona jeszcze wielkim lasem zarosła i zwała się Zar. A jak oni się tak patrzą i patrzą, naraz dziw, co się stało! śliczny błyszczący krzyż pokazuje się im nad oną górą. O! i strach ich wziął z razu, ale że byli rzetelni w miłości i służbie Boga, to się wnet upamiętali i jęli rozmyślać, coby to znaczyło? jakoż tejże samej nocy oboje mieli sen, z którego dowiedzieli się: iż wolą wszechmocnego Boga jest, aby na onem miejscu, gdzie krzyż jasny ujrzeli, była założona św. kalwarja na podobieństwo tamtej prawdziwej kalwaryi, kędy pan Jezus cierpiał. I tak się też stało; państwo

Zebrzydowscy wysłali zaraz niejakiego pana Hieronima Strzałę do dalekiego kraju Azyi i do Jerozolimy miasta, aby się tam na miejscu, gdzie Chrystus pan wycierpiał śmierć krzyżową, przekonał i zapamiętał sobie doskonale, co tam jest i jak to wszystko wygląda. I był tam Hieronim Strzała, rozumny człek, opatrzył wszystko jak się należy, i przekonał się nad podziw, że nasza góra pod Lanckoroną takuteńka sama, jak św. kalwarja Jerozolimska. Tedy uradowany mocno, iż tak się to pięknie składa jedno do drugiego, zdjął pilno rysunek z tego wszystkiego, co tam widział, i z tem powrócił szczęśliwie do domu. A skoro wrócił i pokazał państwu rysunek, ci nie zwlekając, powołali majstrów doskonałych i jęli się do budowli. Naprzód stanęła kaplica ukrzyżowania, którą w obecności wielebnego biskupa krakowskiego Maciejowskiego, i wielu panów poświęcił uroczyście ksiądz poseł Ojca św. z Rzymu, mieszkający natenczas w Polsce Klaudiusz Rangon.

W trzy lata potem kosztem tego samego dziedzica z Lanckorony założono fundamenta na kościół pod imieniem Panny Maryi Anielskiej, a zarazem i na klasztor naszych OO. Bernadynów. Oznaczone też zostały drogi Jerozolimskie, według pomiaru uczynionego na miejscu przez onego, jak go wam nazwałem, Hieronima Strzały. I tak dalej szło, a co roku na tych tu wszystkich pagórkach przybywało coraz to więcej kaplic i kościołów, aż ich się razem zebrało na 45. Wprawdzie nie wszystkie one stanęły jeszcze za życia tego pana z Lanckorony, ale zawsze pierwszym i głównym fundatorem był on bogobojny Mikołaj Zebrzydowski, za co też mu niech pan Bóg w niebiesiech nagrodzi!...

Otóż, miły gospodarzu, będziecie sobie już teraz pamiętać, kto wyfundował naszą św. kalwarję?

— O będę, będę! odrzekł chłopek nadwiślański; a wam ojcze dobrodzieju, Bóg zapłać, żeście sobie tej chwili nie ważyli i nam taką piękną rzecz opowiedzieli. Ale bez urazy, mój ojcze wielebny! zkąd to się też po tamte czasy tacy panowie zamożni, tacy bogacze brali, że takie straszliwe fundacje mogli robić? a wszakby to teraz na taką fundację, gdyby na to mó-

wiąc i z połowy kraju panowie się złożyli, nie wiem czyby temu dali radę, co zaś na tedy jeden potrafił.

— Dużoby o tem gadać, mój człeku, odpowiedział na to sługa Boży — i z resztą nie pora po temu. Na teraz dosyć ci będzie wiedzieć: jako niezbadane są wyroki przedwiecznego Pana! — dał ci on nam niegdyś bogactwo, dopuścił też teraz na nas i ubóstwo — dziej się jego wola święta! nam jeno modlić się w szczerości serca i Boga prosić o lepsze.

Tu ojciec duchowny przyklęknął nabożnie, i począł w głos odmawiać modlitwę pańską: „Ojcze nasz który jesteś w niebie“ Za nim i my reszta uczyniliśmy to samo.

Po modlitwie dobrodziej nas jeszcze pobłogosławił i rozeszliśmy się już wszyscy pocieszeni na sercu, każdy w swoją stronę. Ja zaś wróciwszy szczęśliwie z odpustu do domu, jakem sobie to wszystko zapamiętała, tak wam też w szczerości opowiedziałam — jednym na zachętę, drugim gwoli miłej wiadomości.

Ludka z Myślenic.

WYBÓR.

I.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Weź moja córko, górala, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę ja, matko, górala, nie chcę jako żywa!
Góral w górach nadto śmiały,
Łatwo skręci kark ze skały.

II.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Weź, moja córko, pasterza, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę ja, matko, pasterza, nie chcę jako żywa!
Bo pasterze w lasach siedzą,
Tam ich łatwo wilcy zjedzą.

III.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Córko moja, idź za kupca, będziesz z nim szczęśliwa.
— Nie chcę, matko, iść za kupca, nie chcę jako żywa!
Bo gdy kupiec dom porzuci,
Bawi długo lub nie wróci.

IV.

Sen mię dręczy, sen mię męczy,
Z nocy do rana myślę stroskana,
Za kogo z chatki pójdę od matki?
— Córko moja, weź rolnika, będziesz z nim szczęśliwa.
— Matko, matko! chcę rolnika, chcę go jako żywa!
Bo choć rolnik ogorzały,
Ale za to chleb ma biały.

K. B.

Jak zezowaty Mosiek wyszedł na spółce z Walkiem Kuternogą.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Nie małoć wprawdzie na świecie ludzi wesołych i żartobliwych, alić drugiego takiego figlarza, psotnika i szałowiłę, jakim był Walek Kuternoga z Uściołubia, to już jak to mówią chyba szukać ze świecą.

Dość było tylko spojrzeć na niego, na jego twarz i postawę całą, ani ztąd ni z owąd mimo chęci i woli na śmiech się zbierało.

Bo też po prawdzie dziwnie pocieszne było to stworzenie. Niziutki, pękaty, na krótkich nogach, miał głowę wielką a okrągłą jak arbuz, oczy wybałuszone na wierzch jak cebule a nosek maluczki zadarty w górę a podobny kubek w kubek do bąbla na łodydze kartofli. Włosy miał kędzierzawe jak wełna na niestrzeżonym baranie, a rzadkie i białe zęby nawet we śnie ciekawie wyglądały mu na świat.

Pocieszny i zabawny byłci już z swojej postawy, ale

niechli no zaczął przypowiadać, gawędzić, bajdurzyć a przyśpiewywać, to już przepadłeś z kretesem i choćby cię jak mrowie obsiadły frasunki a na sercu było ciężko jak nieprzymierzając żydowi w kieszeni, musiałeś się chcąc nie chcąc za brzuch trzymać od śmiechu.

Niecnota co gębę roztworzył, to jakiś żart wypalił, co krok zrobił, to jakiegoś figla spłatał, a nawet jak się spać położył, to tak jakoś ucieszniе przegrywał swym nosem, że w kąt organista z swemi dudami. I gdzie się pokazał to już śmiechy, chichoty, żarty i figlasy, że aż się głowa zawracała.

W karczmie nie było hulanki i zabawy bez Walka, na weselach, chrzcinach, kiermaszach popłakaliby się wszyscy bez Walka, a na tłokach i obżynkach prędzej obeszłoby się bez wódki i muzyki niż bez Walka Kuternogi.

Z tem wszystkiem trzeba wiedzieć, że nigdy nie zapominał o uczciwości i przyzwoitości, i z jego figlów i żartów nie było nigdy jak to przyznawali starsi ani uszom obraza, ani oczom zgorszenie.

Nie z jednego, co spłatał swem życiu, śmieją się ludzie po dzień dzisiejszy, ale jużto pono najdłużej zostanie w pamięci, jak w pewnej spółce wystrychnął na dudka Uściułubskiego arendarza Moszką Bigelberga, co go nazywali zezowatym, bo zawsze prawem okiem patrzył do lewej, a lewem do prawej kieszeni.

Było to już w późnej jesieni, a jeszcze za czasów pańszczyzny.

Walek Kuternoga miał młócić na pańskiem gumnie, tóż jeszcze przed świtem wybrał się z chaty, a jakby go coś natchnęło, obrał sobie drogę na folwark wedle stawu, co ciągnął się daleko i szeroko między wsią a dworem.

A staw to był nie lada, od pięciu lat nie spuszczany, miał ryb co niemiara, a wodę czystą i przejrzystą jak w źródlanej krynicy.

Walek pospiewując przez zęby idzie ścieżką koło brzegów, i przypatruje się z góry jak ryby igrają i pluskają spodem.

Aż też nagle przystanął jakby przykuty do ziemi, bo dziwne przed sobą ujrzał widowisko.

Ogromny szczupak, prawie na pół sążnia długi zwolna i

poważnie wypłynął do samego brzegu, i jakgdyby się chciał zagrzać do promieni wschodzącego słońca, wyciągnął się cały, i goły grzbiet wychylił na wierzch, a ogonem pluska w prawo i w lewo, jakby innym rybom bronił do siebie przystępu.

A w tej chwili nagle, niespodziewanie, chyłkiem, milczkiem wymyka się młody lis z za szuwaru, gdzie zapewne nastawił się na kaczki, i jednym susem poskoczył ku szczupakowi.

Szczupak nie miał czasu uciekać, otworzył tylko najeżoną ostremi zębami paszcz, i capnął za mordę lisa w tej samej chwili, kiedy lis chwycił jego za górną szczekę.

Stało się też jak w owej przypowieści: Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma. Lis chwycił za górną szczekę szczupaka, a szczupak dolną szczekę lisa trzymał w swych zębach.

I nuż tedy cisnąć i ciągnąć jeden drugiego. Lis szarpie szczupaka, szczupak z całej siły lisa, ten chce na brzeg, tamten do wody. Lis mocna bestja, ale i szczupak nie słaby. Więc też rwie i szarpie jeden drugiego, a żaden żadnemu nie może dać rady.

Co lis o kilka kroków wydrapie się tyłem wzwyż brzegu, to szczupak nagle plusnie ogonem i szarpnie z całej siły, a biedny lis po kolana skąpie się w wodzie, i znowu z wielką biedą rwie i pnie się do brzegu.

I tak kilka minut ciągną i szarpia się wzajem, lis chętnieby już puścił na cztery wiatry swoją zdobycz, ale szczupak trzyma go jak w kleszczach, a niecnota uparta nie ustępuje ani na włosek.

Walek patrzy na to wszystko i za boki się trzyma od śmiechu, a nareszcie nie wiele myśląc, skacze z brzegu. Lis ostatnich wydobywa sił i rwie się jak wściekły, ale szczupak trzyma i ani rusz popuścić.

Walek miał na plecach obok cepa i grabi także spory wór, więc cożywo chwyta lisa za ogon i pakuje go do wora, a potem jak szarpnie z całej siły, to i szczupaka wyciągnął na brzeg i zapakował do kompanii.

Zawzięty szczupaczysko i w worku nie popuścił przeciwnikowi, ba nawet jeszcze silniej zacisnął szczekę.

Walek zarzucił swój ciężar na plecy, i dźwiga obudwóch, a w duchu cieszy się i raduje, bo wie, że za taki figiel wielka nagroda czeka go od pana.

Trzeba bowiem wiedzieć, że dziedzic, jaśnie wielmożny kasztelan, wielce się kochał w wszelkiego rodzaju figlach, a jak wpadł w dobry humor, to był hojny i łaskawy, prawdziwie po pańsku.

Walek już sobie naprzód układa i oblicza, jaki to podarunek weźmie od pana i jak to wszyscy we dworze będą podziwiać to niesłychane cudowisko, ale tymczasem ciężko mu strasznie było na plecach, jakoś czczo w żołądku, a tu właśnie karczma o kilka kroków.

Myśli sobie: ot wstąpię na kieliszek wódki do zezowatego Moszka i wypocznę na chwilę; i w samej rzeczy też skręcił do karczmy.

Zezowaty Mosiek w patynkach, w lisiej czapce na głowie chodził po karczmie, i trzęsąc się na wszystkie strony, pokiwując głową i rozmachując rękami, odmawiał głośno pacierze.

Z początku ani spojrzał na Walka, ale jak zobaczył tak ciężki worek na jego plecach, więc coprędzej skończył modlitwę, i ciekawie zaczął oglądać naszego Kuternogę od stóp do głowy.

— Nu, jak się macie Walku, a co tam niszecie w worku, a zkądiści to wżęli, a do kogo z tem idziecie? — zapytywał prędko i obchodził Walka na około.

A jak Walek w milczeniu spuścił worek na ziemię, a wewnątrz zaczął się i szczupak trzepać i lis szamotać, to żydzisko mało ze skóry nie wyskoczył z ciekawości.

— Ajwaj! co tam takiego?

Walek nadął się i napuszył, i z powagą pokiwał głową.

— Ho, ho — rzekł — żebyśto ty wiedział żydzie, co tam jest!

— Ny! może ja bym to kupił! czemu ni?

Walek zamiast odpowiedzi zaświstał sobie pod nosem.

Żyd nuż pokłapywać patynkami i biegać i tańczyć koło worka.

— Ny, bez żartu Walku, co tam takiego jest? może to ten mały wół, co się narodził od waszej boczastej?

Walek tylko machnął ręką.

— At, co tam będziesz zgadywał na durno, ozwie się po chwili, daj mi lepiej kieliszeczek mały i kwita.

Mosiek chciał naprzód choć pomacać worek, ale jak na nowo strzepnął się szczupak a szarpnął lis, to aż pod ścianę odskoczył z przestrachu.

A Walek zaśmiał się i pokiwał mu palcem.

— Nie tykaj żydzie, bo to trefne — zawołał.

— Ajwaj! może to wieprzowego żona z prosiętami — krzyknął żyd i strzepnął palcami.

A twardy Walek długo się jeszcze dał prosić, nim roztworzył worek i pokazał żydowi co się w nim znajdowało.

Mosiek oboma rękami chwycił się za głowę, i jak warjat zaczął cmokać językiem.

— Ajwaj! a grojse, grojse dziwo!

A jak się opamiętał z pierwszego podziwu, nuż zapytywać Walka, gdzie znalazł takie cudo, i co chce z nim zrobić?

— Ny wiecie co, ja wam za to co dam, rzekł i zezem łypnął na Walka.

— A figa — odpowiedział Walek i nazad zakrył worek. — To dla jaśnie pana, nie dla ciebie żydzie.

— Ny, niech i tak będzie! Przezemnie, będziemy pójść do jaśnie wielmożnego pana kasztelana — zawołał żyd i w jednej chwili gotów był do drogi.

A po co ciebie! — zawołał Walek — alboż to ja sam nie trafię do dworu?

Żyd niechętnie pokiwał głową:

— Aj Walku, Walku — zawołał — wy co macie taki glimboki rozum a takiście głupi jak cielę. Cóżby wy zrobili bezemnie, bez arendarza!

— A cóż to wy takiego? — zapytał Walek.

— Ny! nie bądźcie no takim Walku! Ja będę chodzić z wami do jaśnie wielmożnego pana, ja będę mu gadać, że to my obydwa we spółce nałapiwali tej chudoby, ja będę jemu tak rozumiecie podkadziować do humoru, a jak nam co potem da, ny, to uchowaj Boże, ja nie chcę wszystkiego, ja się z wami będę podzielić.

Walek patrzy na niego, i śmieje mu się w oczy.

— Czyś ty zwarjował żydzie — zawołał nareszcie — tfy! Ja miałbym się z tobą dzielić Bóg wie za co? Albożto ja chcę naszego pana oszukać czy zedrzeć? Ot kontent będę jak mu sprawię przyjemność, a da mi jaki podarunek, to jego łaska pańska.

Ale Mosiek nie dał mu skończyć.

— Co wy gadacie, jakbyście spali! *ajwaj!* jaki to z was twardy człowiek, ja wam radzę jak rodzonemu wojcu, a wy jeszcze sobie krzywdujecie. Jak wy nie zrobicie ze mną spółki, to wy ani *zlamany szelung* nie dostaniecie! Hihihi! wam się zdaje że to tak łatwo można bezemnie przichodziować do jaśnie wielmożnego kasztelana. *Ojwaj!* a tu ekonom, a tu pisarz, a tu lokaj, a tu furman, a tu kucharz, a tu kuchta, a każdy przybiegnie, i każdy szarpie i powie pokaż! i powie daj, i każdemu trzeba zapchać coś do ręki, bo ten będzie wypichać za drzwi, tamten poszturkować za plecy, jeden klapnie po zębach, drugi *potarguje* za włosy. *Achwaj!* uchowaj Boże od takiej publiki!

Walek na to wszystko zaśmiał się tylko wesoło i zarzucając napowrót wór na plecy, rzekł bez obawy:

— Niech cię tam o to głowa nie boli, już ja sobie jakoś dam radę, obejdę się bez spólnika.

Żyd zaperzył i zabuńczuczył się jak jendor.

— Co ty głupi, durny goj nie chcesz ze mną spółki! — zawołał z gniewem — to ja ciebię nauczę, ja tobie pokazę, ja pójdę do jaśnie wielmożnego pana, ja powiem jaśnie wielmożnemu panu, że ty chodził kraść jego *rybów*, ja powiem, że ty sam wpakował *tego* mordę lisa w tego *paszczekę* szczupaka, ja powiem, że to lis nie prawdziwy, ja powiem że ty chcesz tylko oszachrować jaśnie wielmożnego pana! a jaśnie wielmożny pan mnie uwierzy, bo ja znaczę wszystko u jaśnie wielmożnego pana, a ty cham jeszcze będziesz brał kilka pięć kijów i musisz zapłacić *akcyzów od tego bydlętów.*

Walek wysłuchał do końca, a potem przygryzł wargi i zachmurzył czoło, a oczy mu się zaświeciły jak zawsze, kiedy miał spłatać jaką psotę.

— Ha, bierz cię licho! niech i tak będzie — ozwie się nareszcie. — Przystaję na spółkę.

Żyd aż mało nie poskoczył do powały, tak się ucieszył setnie. I nuż Walka traktować wódką i kuglami, i głaskać go po brodzie i przymilać mu się wszystkiemi sposobami.

Nareszcie wybrali się obadwaj do dworu.

O dobrą staję, na małym pagórku stał dwór okazały, a na ganku o ośmiu kręconych słupach przechadzał się tam i nazad przed śniadaniem sam jaśnie wielmożny kasztelan, pan już w podeszłych latach, dobrej tuszy, wspaniałej postawy a twarzy łagodnej, wesołej i dobrodusznej.

Palił fajkę na długim cybuchu i snać myślał nad czemś wesołem, bo uśmiechnął się sam do siebie, i ani spostrzegł, kiedy żyd i Walek zbliżyli się do ganku.

Mosiek lisią czapkę wsadził pod pachę a berłydkiem od samej bramy wymachiwał na wszystkie strony. Walek kapelusz z uszanowaniem zdjął z głowy, i w milczeniu postępował z swym ciężarem.

Aż też spostrzegł ich pan kasztelan:

— A co mi to powiecie tak rano? — zapytał uśmiechając się do Walka łaskawie.

A żyd na palcach wysunął się naprzód, i kłaniając się berłydkiem do nóg kasztelana, zaczął cmokać językiem i potrząsać pejsami.

— A grojse, grojse dziwo przynieśliśmy jaśnie wielmożnemu panu — prawił zwinnym językiem — niesłychanego rarytnych bydlętów nałapiwaliśmy dla jaśnie wielmożnego pana, ajwaj! takiego cud jeszcze nigdy nie buwało!

— A cóż to takiego? — zapytał kasztelan ciekawie.

— Ny, ja nic nie będzie powiedzieć jaśnie wielmożnemu panu, ale jaśnie wielmożny pan będzie sam oglądować, i jaśnie wielmożny pan powie sam: Moszku! ty wart czegoś!

— Ny, Walku, wysypujcie z worka tego chudoby.

Walek otworzył worek, i wytrząsł na ziemię szczupaka i lisa przed nogi kasztelana.

Dziedzic wypatrzył się ciekawie na tę dziwną parę zwierząt, a Mosiek wyciągnął się na palce, i cały wygiął się naprzód, a ciągle cmoka językiem, potrząsa pejsami i wymachuje rękoma.

— Ajwaj! jasnie wielmożny panie a grojse grojse cudo! Takiego nie biwalo jeszcze nigdy na świecie, a my tego umyślnie nałapiwali dla jaśnie wielmożnego pana. Ajwaj gdyby my tego bydlętów powieźli na targ do miasta! aches mir jak na licytacjów zbiegiwaliby się ludzie, a cobyśmy utargowali bim bim bim! Ale my wolimy to przynieść jaśnie wielmożnemu panu, jaśnie wielmożny pan nie zechce naszej krzywdy, a takiego rarytnego chudoby to nie ma i nie będzie u nikogo tylko u jasnie wielmożnego pana!

I ciągle podryguje i kłapie patynkami i chlipnie ślinę a cmoka językiem.

Walek nic nie mówi tylko się uśmiecha po swojemu, a to coś niedobrze znaczy dla żyda.

Nareszcie kasztelan nasyciwszy się dziwnym widokiem zwierząt, kazał je lokajowi zanieść na pokaz pani kasztelanowej a obracając się do Mośka i Walka, rzekł:

— Dziękuję wam moi dobrzy, żeście się udali wprost do dworu a nie gdzieindziej. Ale powiedźcie mi, któż to złapał właściwie?

A Mosiek nie dając przyjść do słowa Walkowi, znowu wysuwa się naprzód, i kłaniając się do stóp jaśnie pana, zawoła prędko:

— Niby ja niby won, ot tak umyślnie dla jaśnie wielmożnego pana!

— A to niby w spółce obydwaj? — zapytał kasztelan.

— A tak w spółce — potwierdza Walek.

— Hihihi, jasnie wielmożny pan zgadł od razów — potakuje żyd.

— No a cóż chcecie za to? — pyta dalej kasztelan.

Żyd śmieje się i łypnie oczym i cmoka językiem.

— Hihihi już tam jasnie wielmożny pan za takie rarytne bydlęta nam krzywdy nie zrobi.

Ale teraz Walek wysunął się naprzód, i ściskając dziedzica za kolana, ozwał się pokornie.

— Tać ja bym tam miał o co prosić jaśnie wielmożnego pana, tylko bym chciał, aby jaśnie wielmożny pan przyrzekł mi naprzód na słowo swoje, że wypełni moja prośbę.

Kasztelan zaśmiał się łaskawie.

— Ho ho! może zechcesz z jedną wieś całą?

— O nie — powiada Walek — ja będę coś takiego prosił co jaśnie wielmożnego pana nie będzie nic a nic kosztowało.

Mosiek niekontent pociągnął go za połę, ale Walek na to nie zważał wcale.

Tymczasem rzecze kasztelan:

— Mniejsza o to, masz moje słowo, proś czego chcesz.

A Walek skłonił się do kolan jaśnie wielmożnego pana i rzekł pokornie:

— Suplikuję o pięćdziesiąt kijów, jaśnie panie.

— Co? — zawołał kasztelan zdziwiony.

A żyd przestał podrygiwać i udając że się śmieje, zawołał prędko:

— Ny, to on taki figlarz, on sobie tak żartuje.

Ale Walek na prawdę obstawał przy swojem.

Nadaremnie upominał i przedstawiał kasztelan, który nie lubił bić nikogo i z swymi poddanymi obchodził się jak z dziećmi rodzonemi. Walek uparł się przy swojej prośbie, a kasztelan związany swojem słowem szlacheckiem musiał chcąc nie chcąc zgodzić się na kije.

Przywołał też dwóch kozaków i kazał wynieść ławkę.

Mosiek przestał już podrygiwać i cmokać językiem i okrutnie klął w duchu na głupiego Walka, co zamiast nagrody domagał się kijów.

— No kiedy chcesz, to kładź się — rzekł nareszcie kasztelan, kiedy stanęła ławka.

A Walek ukłonił się do nóg kasztelanowi i wskazując na Moszka rzekł:

— Ja bo mam wspólnika, jaśnie wielmożny panie.

Mosiek pobladł jak ściana i zaczął krzyczeć w niebogłosy.

— Co h e r s t y jak? j a k i e g o s p ó l n i k, co za spólnik! bodajeś tak zdrów b u ł!

A kusa rada! Walek obstawał przy swojem, a kasztelan nie mógł złamać swego słowa.

Kozacy porwali zawodzącego w niebogłosy Moszka, a nim byś zliczył jedno Zdrowaś Marja, wlepili mu dwadzieścia pięć

odlewanych kijów, że za każdym razem mało wraz z ławką na sążeń nie zapadł się w ziemię.

— A teraz na ciebie kolej! — zawołał kasztelan kiedy miały się zaczynać drugie dwadzieścia pięć.

Walek znowu się ukłonił do kolan kasztelana i rzekł pokornie:

— At ja tam nie taki chciwy, jaśnie wielmożny panie! ja jemu i moją połowę odstępuję.

Kasztelan zanosił się od śmiechu, a chciwy Mosiek otrzymał i drugą odlewaną połowę.

Dopiero potem wyjaśniło się wszystko kasztelanowi i aż zapłakał się ze śmiechu.

— Dobrze ci tak łotrze — rzekł do żyda, na pół zemdlałego z bolu i przestrachu. Masz za twoją chciwość! Chciałbyś się niesłusznie wszystkiem dobrem dzielić z biednym chłopkiem, bierzże i wszystko złe za karę.

Walek dostał parę wołów za swój figiel, a zezowaty Mosiek cały tydzień lizał się w betach i smarował wódką, a do samej śmierci nie zapomniał nigdy, jak wyszedł na spółce z Walkiem Kuternogą.

RÓŻNOŚCI.

Niezaradni ludzie. Jak u nas między Galicją a Węgrami stoją **Karpaty** na granicy, tak samo pomiędzy Francją a Hiszpanią ciągną się granicą wysokie góry **Pireney.** W naszych Karpatach mieszkają Bojki, Huculy, Górale tatrzańscy lub też po prostu zwani Górale; — Górale zaś pirenejscy w Hiszpanii nazywają się **Baskami.** Owóż między tymi Baskami mają być ludzie strasznie niezaradni, których tam **Olojderos** zowią. Kiedy się któremu z nich wóz wywróci, będzie go obchodził, biadał i wyrzekał, wołając: Oloja! Oloja! a nie dołoży rąk ani starania, by wóz nazad postawił. Takich **Olojaderów** co wyrzekają w przygodzie i myślą, że im się samo co zrobi, znalazłoby się pono i między nami nie skąpo, gdyby ich tylko poszukać...

— **Trzech wędrowców** odbywało społem daleką podróż. Pewnego wieczora idąc wedle wielkiego lasu przydybali spory worek pieniędzy. — Podzielimy się z sobą — rzekli, i coprędzej skryli się w las, aby ich kto nie podejrzał z nienacka. Nim jednak zaczęli się dzielić, wyprawili jednego z pośrod siebie po wódkę i przekąskę do pobliskiej karczmy. A kiedy ten odszedł, ci dwaj co zostali sami, rzekli sobie: Hej, hej, gdybyto te pie-

niądze przypadły tylko na nas dwóch, tożto opływalibyśmy w bogactwo i dostatki. I zaślepieni chciwością, dalej się uwodzić pokusie złego ducha.—Zabijmy tamtego jak wróci, a cały skarb dostanie się nam samym — rzekł jeden, a drugi bez sumienia przystał na ten zamiar okrutny. Aliści tymczasem tamten, co poszedł po wódkę i przekąskę, myśli sobie w drodze: coby tu zrobić, żeby cały skarb należał do mnie? A że także nie miał Boga w sercu, więc i on wpada na grzeszną chęć i nuż przemyśliwać jakby tamtych chyłkiem zgładzić z tego świata i cały skarb zagarnąć do własnej kieszeni. I przypomniał sobie, że od swojej starej babki nauczył się poznawać jedno ziele, w którem tak okrutna znajduje się trucizna, że byle człek liznął tylko jego soku, zaraz słabnie i umiera jak mucha. Dalejże szukać tego ziela, i napuszczać jego soku do flaszy z wódką. Dokonawszy tego, cieszył się już w duchu, że posiędzie cały skarb znaleziony; aliści zaledwie zbliżył się do swoich towarzyszy w lesie, aż też oni z pałkami rzucili się na niego, i zabili go w mgnieniu oka. A potem obadwaj zabrali się do wódki, i ochoczo jeden i drugi kilka łyków pociągnał z flaszy. I tuż zaraz spadła kara na nich! Pokurczyli się, posinieli w okropnych bolach i za kilka minut obadwaj oddali ducha. Zbyteczna chciwość popchnęła ich do grzechu, tażsama chciwość ściągnęła im karę zasłużoną. Dobrze to mówili nasi ojcowie: *Kto łaknie wołu naraz, udławi się makowem ziarnkiem.*

— *Żyje Maćku ciele? żyje, ale się nie rusza.* Znane to nam z dawności przysłowie, taki miało początek. Wychowałci sobie chłop jeden syna drągala, ale strasznego *niezdarę*. Z nim jechał on razu jednego na jarmark do miasta, wioząc ze sobą na pół żywe ciele rzeźnikom na sprzedaż. Troskliwy o nie gospodarz, raz po raz obraca się poza siebie, pytając synala: „Maćku, żyje ciele?“ syn odpowiadał: „żyje“ Aż nareszcie już prawie przed rogatką ciele zdycha. „Maćku, żyje ciele?“ pyta znów ojciec. Na to chłopiec on, niezdara: „żyje tatulu, żyje, ale się nie rusza.“ I od tego to czasu weszło w używanie, że jeśli komu chcemy powiedzieć: iż jest do niczego, ot takie sobie chłopczysko niezdarne, wtedy powiadamy: *Żyje Maćku ciele? żyje, ale się nie rusza.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Biednemu zawsze wiatr w oczy.
2. Żeby kto był wieszczy, toby był bogaty.
3. Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą.
4. Kto pacierz mówi leżący, tego pan Bóg słucha spiący.
5. Krowa co wiele ryczy, mało mleka daje.

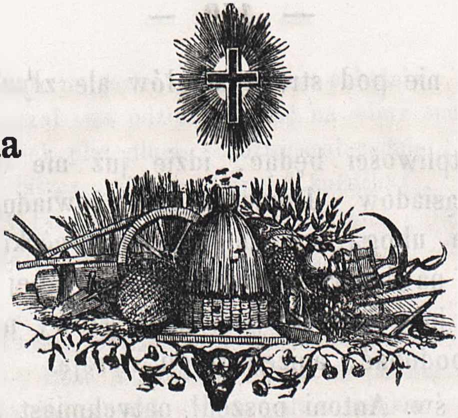
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 9.

21. Września 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półr ocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Straż niewidzialna.

Razu jednego szedł sobie św. Antoni ulicą pysznego miasta Florencyi we Włoszech, gdzie właśnie był Arcybiskupem, i kiedy przypadkiem podniósł oczy do góry, zajrzy na dachu ubożuchnego domku bawiących się aniołów.

Zdziwiło go to niepomału i zarazem rozciekawiło: kto-by tam mógł mieszkać?

Tedy rozwiera drzwi i wchodzi. I zastał na izbie ubogą wdowę z trzema córkami, pannami, jako wszystkie obdarte i bose były, a krzątające się pilnie około kądzieli i przędziwa na chleb i wyżywienie swoje. Czuły na taką nędzę mąż święty, hojnie wsparł ich jałmużną, a gdy się jeszcze dowiedział od sąsiadów o ich życiu przykładnem, przyrzekł i na dal o nich nie zapominać.

I było tak jakiś czas. Aż tu razu pewnego idzie sobie znowu św. Antoni ulicą miasta i koło onego domku. I podniósł znowu przypadkiem oczy na dach, i zajrzy tam już nie aniołów bawiących się, ale złych duchów.

— O Boże! cóż to się stało? zapyta sam siebie w duchu, zgrozą przejęty. — Miałyżby się moje ubogie pogorszyć i Boga

odstąpić, że już nie pod strażą aniołów ale złych duchów mieszkają?...

W tej wątpliwości będąc, idzie już nie do wdowy, ale wprost do jej sąsiadów. Dopieroż tam dowiaduje się z bolem serca: jako ona uboga wdowa i jej trzy córki, popsute jego hojną jałmużną, na śmierć zapomniały o pięknej pracy i uczciwości, i teraz już jeno strojami mają głowy nabite i bardziej się światu przypodobać, aniżeli Bogu starają.

Co słysząc św. Antoni poszedł natychmiast zgromić słowami wdowę i jej trzy córki, i napomnieć do życia lepszego. A że dobry byt sprawił taką zmianę w ich sercach przedtem tak czystych, uszczuplił dochodu, i odtąd tyle tylko dodawał, ile im przy najpilniejszej pracy z zarobku do życia nie dostawało.

Z tej powieści piękna dla nas nauka: Któremu panu służymy, pod tego strażą jesteśmy. Jeżeli panu Bogu, aniołowie niebiescy czuwają nad nami; — jeżeli zaś piekłu, złe duchy w niepocieszną opiekę nas biorą.

Baczmyż więc pilnie na siebie, iżby anielska straż nigdy nie odstępowała progu naszego domostwa.

Cudze nie grzeje.

Gawęda starego Macieja.

Cudze nie grzeje, prawda jak Bóg w niebie!
Lecz nie chcą wierzyć przysłowiu ludziska;
Ten w cudze dobro, jak za piec się wciska,
Ów niby szubę ciągnie je na siebie;
A prawda prawdą, i śród tego ciepła
Już niejednemu nędzna dusza skrzepła.

Ot macie przykład we smutnej przygodzie,
Co Bartłomieja spotkała przed laty:
Marniał nieborak o chłodzie i głodzie,
A tuż przez drogę żył sąsiad bogaty,
Co w przyodziewku, w sprzęcie i w chudobie
Miał aż do zbytku — i panował sobie.

Raz, na jesieni, w pogodne południe,
Kazał swą odzież wynieść na wiatr suchy,
I jak płot długi, porozwieszał cudnie
Płaszcze, żupany, kurty i kożuchy;
A tyle tego na słońcu się grzało,
Żebyś ustroił choćby wioskę całą.

Patrzy Bartłomiej pożądliwem okiem:
— Boże mój drogi, cóż to za parada!
A ja nieborak świecę gołym bokiem,
Gorzej nędznego pod kościołem dziada!
I na co jemu taki tego zbytek?
Ot, leży tylko dla moli pożytek.

— Ej! byłbym głupi jak prawdziwe cielę,
Gdybym z dogodnej nie korzystał chwili..
Rzekł w grzesznej duszy, i nie myśląc wiele,
Czai się w chwastach, po pod płot się chyli,
Skrada się, kędy wiszą piękne szaty,
Porywa kożuch, i zmyka do chaty.

Cudze nie grzeje! szepnie mu sumienie;
Tyś złodziej bratku! — Ej, Pan Bóg przebaczy...
Nie grzech korzystać z niedobrych bogaczy,
Co nie chcą patrzyć na bliźnich cierpienie.
Mniej jeden kożuch niewielka mu szkoda,
A mnie i zdrowia i życia on doda.

Paradny kożuch, przepyszne barany!
Włos czarny, lśniący, kręty i obfity,
I granatową sajetą pokryty,
I jakąś wonią zamorską oblany,
Że pachnie odeń jakby z kadzielnicy —
Nie ma równego w całej okolicy. —

Zawinął w płachtę, skoczył do stodoły,
I w stertę słomy zagrzebał nieznacznie,
I czekał wesół i trwożny napoły,
Rychło-li sąsiad zguby szukać zacznie.
Niedługo czekał, przed wieczorem jeszcze
Hałas posłyszał, i przeszły go dreszcze.

I pot mu zimny wystąpił na czoło,
Gdy rwetes wszczął się po całym zaścianku,
Gdy trząść zaczęli wszystko naokoło,
Klnąc i wołając pomsty bez ustanku.
Darmo szukali — lecz nie było ducha,
Coby już nie znał ze słychu kożucha.

I wszyscy we wsi strzegąc swojej części,
Gorąco wziąwszy do serca tę sprawę,
Rzekli: niech zguba w koło się obwieści,
A złodziej musi wpaść w końcu w obławę!
I rozgadali, i niebawem cała
Już okolica o futrze wiedziała.

I jaka długość, i szerokość jaka,
I jakie runo, jakie sukno na niem,
Jak nawet pachnie — trzeba skrzydeł ptaka
Było, by umknąć z kożuchem baranim;
I nasz Bartłomiej na zimę, choć z szubą,
Jak dawniej dzwonił zębami aż lubo.

Bo wdziać nie sposób, ni dać do kuśnierzy,
Gdyż zdjąwszy sukno, jeszcze zapach wyda;
Kożuch gdzieś w słomie jak leżał tak leży,
A Bartoszowi jak bieda, tak bieda.
Darmo się wpisał pomiędzy złodzieje,
Daremnie zgrzeszył, bo *cudze nie grzeje.*

A zima praży mrozem bez litości,
I nieustannie zawierzuchą miecie —
Trudno wyjść z chaty z kapotą na grzbiecie,
Gdy w szubę wlazłszy jeszcze krzepną kości...
A Bartoszowi, choć zgiń, w las potrzeba
Po drwa, bo marznie bez strawy, bez chleba.

W kradzionej szubie ruszył nocką ciemną,
Pewny, że wróci póki rozednieje;
Ciepło mu było, z radością tajemną
Rzekł sobie w duszy: patrz! *cudze nie grzeje!*
Przecież mi ciepło w kożuchu sąsiada,
A w swej kapocie, człek nędzny przepada.

Żwawo się zwinął, nabrał w sanki drzewa,
I do dom spieszył; lecz w polu wiatr srogi
Snieżną zamiecią szumi i zawiewa
Wszystkie dokoła i ścieżki i drogi.
Darmo się Bartosz kręcąc, tropi ślady,
Wszystkie zawiane... zgoła ani rady.

A tu już dnieje, i niedługo pono
Czekać, jak licho kogoś przyprowadzi.
Co na nim szubę zobaczy kradzioną,
I jak złodzieja do kozy go wsadzi;
Zrzuci więc kożuch, drwami go przywali,
I drżąc, w kapocie starej rusza dalej.

Dzień cały błądził, kostniejąc na chłodzie.
Skulony na drwach, siedząc na kożuchu
Pod niemi skrytym: a gdy przy zagrodzie
Stanęła szkapa, to już był bez ducha.
Zgubił i duszę i grzeszne z nią ciało,
Bo koniec końcem: *cudze nie ogrzało.*

A. Pług.

Historja o kowalu Matjasku

i jako ten za dopuszczeniem Pana Boga ukarany został za bardzo wielką pychę.

Onego czasu, kiedy Czersk był jeszcze potężnem miastem, a Warszawa małą mieściną, na drodze z Czerska do Warszawy stała wielka kuźnia, a w niej mieszkał kowal, któremu miano było Matjasek. — Matjasek był to sobie majster całą gębą, taki jakich teraz ani poświeć. — Szeroki w plecach, krzepki w barkach, obrośnięty jak niedźwiedź, czarny jak cygan, a taki zuch do młota, że jak na kowadle palnął po sztabie żelaznej, to się bez ognia spłaszczyła niby blacha, a taki silny w ręku, że bez obcęgów najtęższe gwoździe i haki wyrywał z drzewa i muru, a taki osadny w piersiach, że jak dmuchnął na węgle, to się obyło bez miecha, i żelazo rozpalało się do czerwności.

Nikt nie wiedział, zkąd Matjasek przybył na Mazury, bo to był sobie człek wędrowny; a że przyniósł z sobą grosza, to obrał plac przy drodze, i wybudował tam ową kuźnię, która była dziwowiskiem dla ludzi, tak wszystko pięknie i dogodnie tam było urządzone. — A nie było co mówić, Matjasek dobre sobie obrał miejsce, i widno że nie tylko miał ręce zdrowe do pracy, ale i sens wielki w głowie, bo na tej drodze mnóstwo ludu zbrojnego uwijało się co chwila, przejazd był ciągły, gdyż w Czersku mieszkał potężny książę, który utrzymywał dużo rycerstwa, i dużo przyjmował w gościnę.

A jak któremu po drodze szkoda się jaka zrobiła, to podkowa spadła koniowi, to kółko, albo gwoźdź jaki w zbroi się obluzował, albo żelazko wyszczerbiło się w włóczni, to zajeżdżał zaraz do Matjaska, bo on był znany i sławny na całą okolicę, a nietylko w kowalskiej, ale i w płatnerskiej robocie, to jest w robieniu broni, doskonały.

Więc Matjasek miał zawsze wiele gości i roboty po uszy, bo jedni go drugim zalecali. — A czeladź z dalekich stron schodziła się do niego na naukę, bo słynął na całuteńką okolicę, ba, nawet na kraj cały. I chociaż tylu miał pomocników i czeladzi, to jednak nie mógł nadążyć z robotą, bo kiedy bywało czasem wojsko książęce szło na wyprawę, albo wracało z wojny, albo fest jaki w zamku się odbywał, to przed kuźnią Matjaska widziałeś czysty jarmark, tak się to tam wszystko do niego cisnęło z robotą, i płacili mu słono, bo było za co.

Więc Matjasek, jako był człek zarozumiały, i wiele o swej mądrości kowalskiej trzymający, wzrósł wielce w pychę, i zaufał sobie. I żeby każdy wiedział, jaki to on mądry w swojej sztuce, kazał przed kuźnią na tyce wystawić wielką tablicę, a na tablicy podróżny malarz wymalował mu ogromny szyld, na którym wyobrażoną była kuźnia: sam majster stał w pośrodku, a w około niego wszystko mu się kłaniało, i gwoździe, i podkowy, i młoty, i kowadło, i miechy, i czeladź cała, Polacy, różni Niemcy, a pod spodem napisano złocistemi literami: „Matjasek, wielki majster nad majstrami, przychodźcie wszyscy i uczcie się od niego mądrości kowalskiej.“

Owóż zdarzyło się, że pewnego czasu zajechał przed ku-

źnię pewien rycerz. — Zbroję miał na sobie całą od złota i śrebra, przyłbicę spuszczoną, a koń pod nim biały bez żadnej odmiany — ale teżto cudo nie koń! Nóżki, karczek, łeb, wszystko jak utoczone. — A taka fantazja była w tem zwierzęciu, iż zdawałoby się, że jeno mu tylko wyskoczyć ze skóry, chociaż widno, znał rękę rycerza, i dał mu się we wszystkiem jak należy powodować.

Więc rycerz ów zsiadł z konia, i zastukał żelazem od włóczni w krążek mosiężny, zawieszony tuż pod szyldem. Był to znak, żeby zaraz kto wyszedł, bo jest potrzeba jakaś.

I wyszedł sam Matjasek, bo wyjrzawszy z przed sklepu, i zobaczywszy złocistą zbroję rycerza, i czerwoną kitę na hełmie, i konia z taką ognistą fantazją, poznał on odrazu, że to nie lada gość, i że trzeba mu będzie najlepszym usłużyć towarem.

A jak skoro wyszedł Matjasek, rycerz ukazał mu konia, któremu u tylnego kopyta brakło podkowy, co mu była w drodze odpadła. — Więc Matjasek zbliżył się do konia, żeby go obejrzeć i wziąć mu miarę na podkowę. Ale lichać tam przystąpić do niego, kiedy za każdym razem koń, niby jaka dzika bestja, zżymał się i parskał i wierzgał nogami, tak, że niepodobieństwo było Matjaskowi nic z nim poradzić.

Majster popróbował jeszcze parę razy, aż nareszcie mruknął pod nosem, machnął ręką, i zawołał do kuźni:

— A chodźta no Jurku i Kuba! a weźcie z sobą powrozy, trzeba przywiązać to licho do pieńków przede drzwiami, bo tu widzę inaczej z nim nie uradzi.

I dwóch czeladzi z powrozami ukazali się na progu kuźni.

A rycerz ów, który jakoś z uśmiechem patrzył na to wszystko, widząc, że już nie na żarty myślą się koło konia zabierać, zapytał:

— A dlaczego ty chcesz wiązać mojego konia?

— A juści, proszę waszej wielmożności, trzeba obejrzeć kopyto, i wziąć miarę na podkowę — odrzekł Matjasek; a wasza wielmożność sam widzi, że ta uparta bestja nie da ani przystąpić do siebie.

Rycerz pokiwał głową.

— Oj, majster ty majster, rzekł, chwalisz się, że masz sławę i zachowanie w swojem rzemiośle, a nie wiesz, jak koniowi brać miarę na podkowę. — I po co takie różności malować, i sztyftować takie napisy! mówił dalej, pokazując na szyld — kiedy się marnej rzeczy nie potrafi dokonać? — Ot patrz jeno jak się to robi.

I to mówiąc zbliżył się do konia, wziął go za nogę, a koń stał jak trusia i ani drgnął z miejsca.

— Łatwo to waszej wielmożności mówić — mruczał Matjasek pod nosem, obcierając kopyto — ale przecież i ja człek nie dzisiejszy, i nie pierwszyna mnie taka robota, a jeszcze tak narowistnego bydlęcia jako żywo na oczy nie widziałem. — Z waszą wielmożnością on obyły jakoś, ale ja cudzy człowiek, a on widno cudzych ludzi nie lubi.

— Poprawdzie tak jest — odrzekł rycerz — ale kto się tak chwali ze swojego majsterstwa, powinien umieć trafić w setno każdemu koniowi. — No, ale kiedyś już obejrzał kopyto, jak sam chciałeś, to spieszże się z robotą, bo mi pilno.

Matjasek wrócił do kuźni, wybrał najlepszą sztabę, włożył do ognia, zadął miechem, że aż żelazo do białości się rozpaliło, wziął ostrożnie w obcęgi, wyjął z żaru, położył na kowadle, przyciął, jak przynależy i zaczął klepać z wielką pilnością.

Nie wyszło pół godziny, a już podkowa leżała gotowa i ochłodzona. Matjasek podjął ją z ziemi, wziął ostrożnie w palce, zważył na ręku, obejrzał jeszcze, czy gładko obrobiona, i czy nie ma żadnego feleru, popróbował na tę i ową stronę, aż zadowolony z roboty wyszedł z nią na dwór.

A rycerz tymczasem przechadzał się przede drzwiami kuźni, brząkając koncerzem i gwizdając niecierpliwie przez zęby.

— A co, czy już skończone? zapytał.

— Już, odrzekł Matjasek, pokazując mu podkowę — ale jak to będzie z przybiciem, bo ja z przeproszenie waszej wielmożności, nie mam ochoty kopytem w łeb dostać!

— No, już ja go potrzymam, rzekł rycerz, biorąc konia za nogę — ale co to? widzę twoja robota panie majstrze na licho się przydała, bo podkowa nie pasuje wcale, gdzież jej brzegi,

a gdzie kopyto? trzeba drugą zrobić; widzę, żem się dobrze udał, no, ale cóż czynić, tylko pospieszcie z robotą.

— Tfu! czy wciurności nadali — mruczał Matjasek, powracając do kuźni z odrzuconą podkową — czy mnie bies jaki oślepił? A dyć to on ma prawdę, i cała robota niepotem.

— Ale przecież teraz powinienem utrafić, bom doskonale wymierzył.

I jeszcze usilniej niż przedtem zabrał się do roboty.

Ale mu jakoś nie szło, i widno napisano było, że się Matjaskowi żadna podkowa dla białego konia nie uda. — Zrobił ze dwie albo trzy, ale każdej coś brakło: jedna była za wielka, druga za mała, inna nareszcie taka słaba, że jak się zabierał do przybijania jej, pękła mu w palcach, i kawałki ze złości odrzucił na ziemię.

— A to utrapienie Boże! rzekł opuszczając ręce — już sam nie wiem, jak sobie począć, chyba ktoś na mnie urok rzucił.

— Oj! nie urok to — powiedział rycerz — ale nieumiejętność twoja, żeś człek ciemny w swojem rzemiośle, i nie wiesz nawet jaki jest najlepszy sposób dopasowania koniowi podkowy.

— A ciekawym, jak mnie wasza wielmożność nauczysz tego sposobu — zapytał hardo Matjasek — bo ja z nie jednego pieca chleb jadłem, i w niejednej kuźni klepałem na kowadle, a przecież robię tak, jak pan Bóg przykazał, i jak nasza reguła kowalska uczy.

— Ja nie wiem, jak tam uczy wasza reguła — rzekł rycerz; ale u porządnych majstrów to się tak robi.

To mówiąc, zbliżył się do kulbaki, wyjął ze skórzanej pochwy toporek stalowy u kuli zawieszony, zamierzył się, ciął, i noga odjęta koniowi u kolana jak raz upadła na ziemię, a biały stał prosto na trzech nogach, ani się pochylił, tylko krew z okaleczonej tak srogo nogi, czerwoną strugą tryskała na ziemię.

Matjasek patrzał na to wszystko jak osłupiały.

Rycerz podjął obciętą nogę z kopytem, i wszedł z nią do kuźni.

Matjasek poszedł za nim.

Rycerz sam wybrał sztabę żelazną, włożył ją w węgle,

kazał chłopcu miechem dmuchać, potem rozpaloną sztabę wyjął z węgli, położył na kowadle, i zaczął obrabiać młotem.

Kiedy już żelazo zaczynało nabierać formę podkowy, rycerz położył na kowadle ową końską nogę, przypasował do niej podkowę, przybił, a ona przystawała tak, że nigdzie nie było najmniejszej szczeliny, najmniejszej nierówności.

Matjasek i cała czeladź, która przez ten czas porzuciła swoję robotę, przypatrywali się temu z najwyższym podziwem, prawie jak skamieniali, a kiedy rycerz wyszedł z gotową już podkową, wszyscy ruszyli za nim, żeby zobaczyć, jak on zaradzi z przyprawieniem koniowi uciętej nogi?

A koń przez ten czas stał jak najspokojniej, nie przywiązany nawet, tylko krew ciągle ciekła z rany.

Rycerz zbliżył się do niego, przystawił uciętą nogę do kolana, wnet jedno spoiło się z drugiem, krew przestała płynąć, i koń zarżał radośnie, podrygując na czterech nogach, jak gdyby nigdy nic, a po przecięciu ani śladu nawet nie było.

— Widzisz tedy — rzekł rycerz, obracając się do Matjaska, który patrzył, nie wierząc swoim oczom — jak to trzeba umieć przypasować koniom podkowy; teraz więc pamiętaj, żebyś już nie robił na fuszerkę, tylko jak porządny majster, którym udajesz, że jesteś. — A za to, co ci się zmarnowało, ot masz zapłatę.

I to mówiąc, rzucił Matjaskowi sztukę złota, wsiadł na konia, i ruszył tęgim kłusem.

Matjasek stał na miejscu jak wryty, bo mu się to w głowie jakoś pomieścić nie mogło. — Wróciwszy jednak do kuźni, obiecał sobie, że za pierwszym razem sprobuje tej praktyki rycerza, bo się dokładnie wszystkiemu przypatrzył i zdawało mu się, że już potrafi tym nowym sposobem podkowy koniom przybijać.

Nie minęło dwóch godzin, aż tu nowy rycerz przyjechał przed kuźnię, i zażądał podkowy.

Matjasek nic nie mówiąc, zabrał swój najpotężniejszy topór, i zanim nowy rycerz obejrzał się, a koń mógł się spodziewać co go czeka, machnął nim po swojemu, i noga gładko obcięta

przy kolanie, padła na ziemię. Koń jęknął z boleści, pochylił się i upadł, a krew lunęła strumieniem.

Nie zwracając na to uwagę Matjasek, porwał obciętą nogę, i zabierał się z nią iść do kuźni.

— A ty rozbójniku! co ty robisz! zawołał rycerz porywając go za kołnierz od kapoty — czyś oszalał! zabijasz mi najlepszego konia, ja ciebie zaduszę na miejscu!

— Niech wasza wielmożność będzie spokojnym — odpowiedział Matjasek z najzimniejszą krwią, starając się wydostać z rąk rycerza — to jest nowy sposób kucia koni, mnie samemu wiadomy, to bardzo robotę ułatwia, a podkowa będzie pasowała jak ulana.

— Co ty pleciesz łotrze? przecież widzisz, że koń zdycha, czy ty mu potrafisz nogę zwrócić? — Ja ci łeb o twoje kowadło rozbiję.

— Ale proszę waszej wielmożności, przecież ja kowal z kowalów, i nie robiłbym nic tak na wiatr. — I podkowa będzie przybita i rana się zagoi, i koń będzie zdrów. — Wtem właśnie mój sekret, tylko cierpliwości trochę.

Matjasek prawił to z taką pewnością siebie, i uśmiechającą miną, że rycerz pomyślał w sobie: „A nuż on ma jakiś sekret! przecież zdaje się że nie od rzeczy gada, a ci ludzie prości, to oni zawsze mają jakieś swoje uroki.“

Popatrzył się trochę to na konia tarzającego się we krwi, to na Matjaska spoglądającego nań z uśmiechem, i trzymającego w ręku nogę odciętą, pomyślał chwilę, nareszcie puścił kowala, którego przez cały ten czas trzymał za kapotę i rzekł:

— No, zobaczymy, idź waść do roboty, ale jeżeli mi koń nie będzie zdrów i okuty w prędkim czasie, to się na sucho z rąk moich nie wydostaniesz.

Matjasek nie dał sobie dwa razy powiedzieć. Poszedł do kuźni i począł majstrować tak, jak widział u tamtego rycerza. A wszystko udało mu się wyśmienicie, podkowa przystała dowodnie do kopyta, i nie dziwota, bo można było przymierzać na kowadle. Powbijał więc gwoździe gdzie przynależało, przypatrzył się raz jeszcze czy nic nie brakuje, i wyszedł z kuźni

w zamiarze dokończenia roboty, i przyprawienia napowrót koniowi nogi jak u tamtego widział.

A biedne zwierzę ledwo zipało, krew wprawdzie zaschnęła już prawie u rany, ale koń leżał na boku, i tylko od czasu do czasu drgał konwulsyjnie, a rycerz stał nad nim z osmutniałą twarzą.

Matjasek zbliżył się do konia i przyłożył odeszłą nogę do rany; ale gdzie tam, ani weź, i chwytnąć nawet nie chciało. — Owszem kiedy Matjasek wszelkich sił dokładał, żeby kolano spoić, koń zaprzestał zupełnie ruszać się, widno zdechł na prawdę.

To widząc rycerz, porwał się do Matjaska.

— A ty podły chamie! zawołał — także to mię zdurzyć chciałeś? — Poczekaj, już nie będziesz szkodził drugim, i pastwił się nad niewinnemi zwierzętami.

A to mówiąc, wyjął z pochew zakrzywioną szablę i zamierzył się na Matjaska, który nad trupem konia stał nieruchomy jak drewno.

Wtem zatętniało na drodze, i ukazał się przed nimi ów rycerz na białym koniu, który w sam czas przytrzymał rękę drugiemu rycerzowi, bo byłoby się stało to z głową Matjaska, co on z nogą końską zrobił. Potem zsiadł z białego, przystawił do rany owe pół nogi, i nagle trup koński się poruszył, kopnął się raz i drugi na ziemi, nareszcie porwał się na nogi, i jak gdyby nigdy nic nie było, zarżał radośnie, żując wędzidło niby w gotowości do drogi.

A wonczas pierwszy rycerz ozwał się do Matjaska w te słowa:

— Widzisz człeku! jaki to nizki twój rozum i głupia nauka. — Wiedz, że ja jestem święty Marcin. — Mnie pan Jezus umyślnie tu zesłał, żebym cię ukarał za twoję pychę i przekonał cię że nietylko nie jesteś majstrem nad majstrami, ale że cała twoja mądrość kowalska, w którą tak dmiesz, jest niczem. Pan Bóg jeno jest doskonale mądrym, a wszyscy ludzie winni się przed Nim korzyć i uznawać, że wszystko mają z Jego łaski a bez tej łaski niczego im dostąpić i z niczego puszyć się nie wolno.

I to powiedziawszy, znikł.

A Matjasek pomodliwszy się Panu Bogu, i pożałowawszy grzechów, kazał zdjąć szyld ów z tyki, i od tego czasu skromnie, jak przynależy pełnił swoje rzemiosło, nie nadymając się już ze sprawności w rzeczach ludzkich, która tak małą jest zasługą przed Panem.

(Cz. N.) *W. Szymanowski.*

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Prosty sposób wygubienia szczurów.

— Co ja też to biedny człowiek pocznę z temi przeklętemi szczurami! narzekał Rabura przed Łopatką, swoim kumotrem, wracając z jarmarku; — powiadam wam, tak się u mnie tego robactwa namnożyło, że już stadami, jak owce, biegają; a żrą się, a kwiczą, że aż strach.

— Jeszczeście to na nie nie zakładali? zapytał Łopatka.

— Taże nie; odpowiedział Rabura. Chciałemci ja dzisiaj kupić trucizny w aptece, ale mi nie chcieli przedać, chociażem się zaklinał na Boga, że to na szczury.

— Trucizna, mój kumotrze! rzekł Łopatka — to rzecz niebezpieczna, i dla tego jej też każdemu nie sprzedadzą, bo i słusznie; ale się tu bez niej obejdzie! Ja wam dam na szczury sposób, a ręczę, że wszystkie wyginą.

— No, no gadajcie jeno! kumotrze — odezwał się Rabura, co to za sposób.

— Oto moi mili, mówił dalej Łopatka — pokrajcie kilkanaście korków na drobne krążki, jakby na złotówki, obmaczajcie je dobrze w tłuszczu, w jakimkolwiek bądź, a potem je na pokrywce, albo w tygielku na węgielkach ususzcie. Gdy ostygną cokolwiek, porozkładajcie je tu i owdzie, gdzie najwięcej szczurów się zbiega. Pożrą je za miód, a że ich nie będą mogły strawić, pozdychają od nich.

— Co wy gadacie! zawoła Rabura — toby od takich opiekanych korków miały te gadziny pozdychać?

— Wy się dziwicie, rzekł Łopatka, a ja wam powiadam, że pozdychają, bo ja tego przecie nie mam sam ze siebie, tylkom to słyszał od ludzi, co też byle czemu nie uwierzą.

— Bodajście wy z waszym sposobem! przerwał mu Rabura; ludzie zwyczajnie, jak ludzie, podają sposoby na różne rzeczy, a to wszystko diabła warto.

— O! co wy to pleciecie, mój kumotrze — odezwał się Łopatka — za ten sposób to wam już ręczę, bo ten, co mi o nim powiadał, wyczytał to z książki drukowanej. Przecie nie zubożejecie, że spróbujecie.

— Jużcić to prawda, rzekł Rabura, spróbować nie zawadzi.

Przyszedłszy do domu Rabura, opowiedział to swojej Basi. Ta wyszukała w szafie kilka korków, porznęła na krążki, umaczała w tłustem, ususzyła na patelce i porozkładała tu i ówdzie. W kilka dni kot nawywłóczył z chlewów kilkanaście zdechłych szczurów. Ucieszyła się z tego gosposia, przyprawiła więcej korków i pozbyła się szczurów.

Czem się można pozbyć wołków w zbożu.

Poprawdzie powiedziawszy, rzadkie to u was goście, te wołki — bo gdzie co Maciek zrobił, Maciek zjadł, tam i nie w porę wołkom gospodarzyć. Ale jak to mówią: od przybytku głowa nie zaboli — więc dobrze wiedzieć i o tem, choćby tylko aby drugiemu poradzić, który-by tego nie wiedział. Zresztą i u was może się kiedyś za Boską pomocą zmieni na lepsze i nie będzie zawsze tak pusto w stodołach i spiechrzach, jak po dziśdzień bywa; to wtedy może i tych nieproszonych gości doświadczyć wam się zdarzy. I byłby zaraz kłopot, kto by nie wiedział: czem się takich paniczów wyprasza za drzwi, aby świętego chleba nie marnowali, na który człek tak ciężko pracować musi.

Pierwszy na nich sposób jest: zwyczajna smoła. Sam zapach smoły albo je zabija, albo też przed nim uciekają. Doświadczyć tego można, wsadzając wołki w naczynie, w którem się smoła znajduje; skoro się to naczynie szczelnie przykryje,

wołki w kilkunastu godzinach wyzdychają. Zmiarkujesz tedy, że w sypaniach gdzie zboże jest, znajdują się wołki, nasmaruj kilka tarcic smołą, i tak je w rozmaitych miejscach w sypaniu rozstaw, ażeby ten zapach smolny dał się czuć po całem sypaniu. Nie zcierpią tego zapachu wołki, i zobaczysz jak pilno a swoim własnym kosztem wyniosą ci się one szkodniki ze spiechrza. Jeno aby się ich pozbyć na piękne, musisz od czasu do czasu kilka razy powtórzyć to samo. —

Drugi sposób wygubienia wołków: weź prześcieradeł konopnych, umocz je w wodzie, potem wilgotne jak są, nakryj niemi kupy zboża. Wołki najdalej w dwóch godzinach poprzyczepiają się do mokrych prześcieradeł; wtedy zbierz je lekko, aby onych nie spłoszyć, i zatop w wodzie na jakiś czas, niech sobie pływają jeśli umieją.

Potrzecie: dobre jest na nich ziele Bielun, albo Szalej. Tego ziela trzeba pozatykać w każdę kupę zboża i pilnować, kiedy wołki umykać będą, aby je pognieść.

Poczwarte: kilkanaście zdechłych raków porozrzucaj w tem miejscu, gdzie się wołki znajdują — a wszystkie ci niebawem wyzdychają co do łaby.

Nareszcie jako ostatni sposób bardzo na nich skuteczny, mają być konopie niemłócone. Kiedy się sprząta konopie, weź póki za świeża kilkanaście pręcików tychże, i pomieć je w miejscu, gdzie masz zboże na składzie. Mocny zapach świeżych konopi nieznośnym jest dla wołków, dlatego z tamtąd chąc nie chcąc uciekać muszą. Jeno potrzeba aby te konopie, których chcemy użyć dla wołków na straszaka, wcześniej niż zwykle były siane, więc przy końcu marca, lub z początkiem kwietnia, bo im się wcześniej sprzątają, tem mocniejszy mają zapach, a tem samem skuteczniej działają.

RÓŻNOŚCI.

— *Nietrudno o nieszczęście.* Będzie z trzy tygodnie temu, kiedy u niejakiego mieszczanina Kuby Z... z Kozowej, co leży w obwodzie Brzeżańskim, trzyletnie dziecko, zostawione samo bez żadnego dozoru w izbie, dopadło gdziesik siarników, i zaczęło się niemi bawić. Jak na to nieszczęście nieopodal leżały paździerze konopne — te się duchem zajęły od za-

palonych siarników, i powstał jasny płomień. Nim jeszcze dziecię zalęknione zdołało zemknąć, jużci i jego sukienkę płomień chwycił. Na krzyk i wielki lament nadbiega matka ze stajni—ale niestety! już po niewczasie; okropnie poparzone od ognia nieboraczę, w kilka godzin potem skonało. — *Nietrudno o nieszczęście*, rodzice! dla tego powtarzamy zawsze: miejcie się na baczności!...

— *Trzęsienie ziemi.* Dobra ta nasza polska ziemia, co niby matka kochająca żadnej nam krzywdy nie czyni, po której bezpiecznie stąpać możemy i żyć sobie spokojnie—byle przy dobrem sumieniu. Nie masz u nas ani tych gór ziejących strasznym ogniem, jakie po innych krajach się znajdują, a które nazywają *Wulkanami*—ani też doznajemy takiego nieszczęścia, jakie innym narodom sprawia *trzęsienie ziemi.* Właśnie też niedawno, bo oto w miesiącu sierpniu tego roku, było takie trzęsienie ziemi w mieście *Norice.* A to miasto należy do Ojca św. jako że leży w państwie kościelnem we Włoszech. O godzinie 2giej z południa nagle, niespodzianie zatrzęsła się tam ziemia, i zanimbyś jedno Zdrowaś Marja wymówił, już całe miasto ze wszystkiemi domami i kościołami stało się jakby jedna kupa kamieni. Sądnyż to był dzień! kto został żyw, umykał co tchu za miasto, nie wiedząc sam co się z nim dzieje, a z miejsca tego, gdzie oto jeszcze przed chwilą stało miasto, i było życie wesołe między ludźmi, słychać było teraz jęki umierających i srodze poranionych od walących się domów i pękających murów. Nie wiedzieć jeszcze dotychczas, wielu tam wszystkich zginęło, ale już 69. odgrzebano nieżywych. Inni jeszcze leżą pod gruzami. Pokaleczonych jest co nie miara; tych wywożą do najbliższych szpitalów. A dla tych biedaków, co pozostali przy życiu, Ojciec św. wyznaczył wielką summę, aby na razie mieli jaką taką pomoc i nie potrzebowali z głodu umierać.

Okulary. Widząc Staszko w kościele jak pewna babka, wsadziwszy na nos okulary, modliła się na książce, zaraz sobie w głowie ułożył, kupić i książkę i okulary. W tej myśli poszedł na jarmark, kupił książkę do modlenia, a potem zażądał i okularów. — Tylko mi waćpan daj dobre, ja zapłacę; rzekł do kramarza. — Masz cały tuzin—odpowiedział tenże—wybierz które ci się spodobają. Staszek bierze jedne po drugich, wkłada na nos, roztwiera książkę: — Niedobre! niedobre — i wszystkie nicpotem! — Co niedobre! zawołał kramarz; ty pewnie czytać nie umiesz?—Ha jużcić! odpowiedział Staszek; gdybym umiał czytać, tobym waszych okularów nie potrzebował.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kocie oczy, wilcze gardło, co zobaczy toby żarło.
2. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.
3. Nie ciągnij psa za ogon, bo cię ugryzie.
4. Lepiej kotu na ognisku, niżeli psu na wiorzysku.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. **Nr. 10.**

1. Października. **1859.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

MIŁOŚĆ PRAWDY.

Powołany był razu jednego św. Jan Kanty do chorej staruszki, która gdzieś opodal Krakowa na wsi mieszkała. Wracając ztamtąd późna już była godzina. Po obu stronach drogi ciągnęły się gęste lasy, a w tych lasach od niejakiego czasu pojawiła się banda rabusiów, o których rozpowiadano straszne rzeczy. Ale św. Jan nie wiele na to dbał, choć był sam jak palec, wśród ciemnej nocy, i na pustym gościńcu — jako że człek przy czystem sumieniu nie ma się czego strachać ani ciemności nocnej, ani też złości i nieprawości ludzkiej. Szedł więc sobie powoli gościńcem, odmawiając pacierze. I był już w połowie drogi, kiedy nagle z za gęstych krzaków wypada kilku srogich mężów, zbrojnych od stóp do głowy. Zatopiony w modlitwie mąż św. nie spostrzegł się pierwej, aż już dokoła był przez nich otoczony. Nietrudno też było odgadnąć, kto oni byli: każdemu zbój patrzył z oczu, a każdy miał długi nóż zatkany za pasem, łuk do rzucania strzał przewieszony przez plecy, i ostry miecz w dłoni. Nie przeląkł się ich przeto Jan Kanty, i miłem okiem patrząc dokoła, zapyta:

— Czego chcecie, moi ludzie! jeśli wam w czem biedny ksiądz usłużyć może, rzeknijcie, to i owszem.

— Ho, ho, nie z tej beczki nam śpiewaj księżuniu! zawołał jeden ze zbójców, pokpiwając sobie — modłów nam twoich nie potrzeba, a spowiadać się nie myślimy. Pieniędzy dawaj, i wszystko co masz, bo inaczej z tobą źle będzie.

Na to rzekł Jan spokojnie: — Śmierci się nie boję, bo ta jest w ręku Boga; lecz aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko co posiadam.

To mówiąc, złożył w ręce zbójców cały swój niewielki majątek, jaki miał na ten czas przy sobie.

Zapytał znowu zbójca: — I to już wszystko co masz? przysiąż nam na Boga...

— Tak mi Bóg świadkiem, że nie zataiłem ani marnego grosza przy sobie! — zaklął się mąż św.

Wtedy złoczyńcy puścili go wolno, usuwając się w gęsty las. I szedł sobie Jan św. dalej drogą do domu, domawiając przerwanych pacierzy — gdy w tem, sięgnąwszy przypadkiem ręką do kieszeni, widzi że w niej jeszcze jeden pieniążek pozostał.

— Panie Jezu przebacz! zawoła strwożony — iże mimo mojej woli popełniłem kłamstwo. I nie wahając się ani na chwilę, wraca spiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy. Po długiem szukaniu po lesie sobie nieznanym, znalazł ich wreszcie przy wielkim ogniu siedzących i wesoło ucztujących.

— Darujcie, powiada — skłamałem mimo chęci: oto jeden jeszcze pieniądz, który mi się jakimś dziwem zaplątał w kieszeni i pozostał, weźcie go!...

Taką miłością prawdy zdziwieni złoczyńcy, stanęli na razie jakby ich kto w kamienie poprzeobrażał. Aż przyszedłszy do siebie, padli wraz wszyscy na kolana przed sługą bożym i wracając mu zabraną sumkę, prosili na wszystko w świecie, aby ją przyjął napowrót do siebie i między ubogich rozdzielił, a czasem też i za nich się pomodlił.

Co się z nimi po tem stało, nie stoi napisano. Ale że Jan św. często w modlitwach swoich polecał ich grzeszne dusze miłoserdziu Boskiemu, to spodziewać się należy, że nie zginęli marnie i w późniejszem życiu pokutę czynili.

Śpiewki Jasia i Zosi
przed ślubem.

(*Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.*)

Jasio.

Chwałaż Tobie Jezu, co jesteś nad nami,
Żeś mi nie dał zginąć pod karabinami,
Dał siłę i trochę tej tam świętej ziemi,
I sprowadził oczy moje z Zosinemi!

Zosia.

Najświętsza Panienko, chwała ci chwała,
Żeś wianek do czasu donosić mi dała,
Do czasu donosić, zawiesić w kościele,
Drugim pannom na znak, świętym na wesele!

Jasio i Zosia.

1.

— Ładnaś mi Zosieńko jakby malowana —
Oczka jak tareczki, gębusia rumiana,
Gębusia rumiana, całe ciałko białe —
Wyjdzie-że mi taka żoneczka na chwałę!
— Ej zkądbym tam Jasiu taka ładna była?
Tak się tobie jeno zdaje bom ci miła:
A jeżeli trochę jest tam tej ładności,
To mnie to raduje dla twojej radości!

2.

— Stroją basy skrzypiciele na nasze wesele —
Czego płaczesz moja Zosiu? powiedz-że mi śmiele!
— Płaczę sobie mój Jasieńku, bo różnie gadają,
Bo się boję takiej doli jaką drugie mają; —
Umrę ja ci, jeśli będziesz po karczemkach chodził,
Mnie bił kijem i za włosy po podłodze wodził!
— A cóż ci moja Zosiu przyszło dziś do głowy,
Jażbym nie czcił cię za wianek twój rozmarynowy?
A niechżeż mi z wolą Boską złego coś się stanie,
Niżbym cię nie poszanował za twoje kochanie!

3.

— Dwa ogródki pełne rudki na nasze wesele —
Czemuś smutny mój Jasieńku? powiedzże mi śmiele!

— Jakżeż ja się nie mam smucić, Zosiu życie drogie,
Kiedy muszę cię wprowadzić w obejście ubogie;
Oj nie będzież wypoczynku dla ciebie ni święta,
Popękająż ci od pracy bieluchne rączęta!
— Ej, nie plótłbyś mój Jasieńku, nie plótł jak na męce:
Czyż ja pani, abym miała delikatne ręce?
Patrząc na się, będzie jedno i drugie robiło,
Będzież nam się robić będzie roboteńka miło!

Bolesław Chrobry.

A był ten król Bolesław — jak stare księgi piszą — chłop setny i ciężki, że aż się koń pod nim uginał, a chrobry co znaczyło waleczny na wojnie, i zmyślny jak nikt w świecie, a pobożny i sprawiedliwy, a gościnny i hojny nad wyraz, jednem słowem: był to *król nad króle*.

Skoro też objął po swoim ojcu Mieczysławie panowanie nad Polską, a tu na Polskę cisną się wrogi z wszystkich czterech stron świata, tak ci ani chwili nie zwlekał, ani się też zabawom oddawał, ale zapłonął srogim gniewem jako ten rodzic, któremu zbójce chcą dom zrabować i miłą dziatwę zabrać w niewolę, i na królewskie ciało przywdział żelazną zbroję, i przypasał ciężki miecz do boku, i z całego kraju powołał rycerstwo, które się posłuszne i ochotne wnet na głos swego króla stawiło. Hej! byłoż to wtedy na co patrzyć, jak taki król stanął na czele takiego wojska — toć kiedy z miejsca ruszyli i hura na wroga! pod kopytami końskiemi zadudniła ziemia jak gdyby sto na raz biło piorunów, a od chrzęstu żelaznej zbroi, w jaką po tamte czasy ustrojony był każdy wojak od stóp do głowy, powietrze się głuszyło i z daleka już od tego strach imał słuchającego człeka. Owóż gdzie się pokazał nasz Bolesław, na zachodzie czy na wschodzie, na północy czy na południu, nigdzie mu placu nie dotrzymali wrogi, wszędzie ich pobił i niedość że precz napędził od polskiej granicy, ale jeszcze za karę wpadł do ich własnego kraju i tam ich dopiero uczył rozumu: jak to boli kiedy biją — i jak niebezpiecznie zadzierać z polskim narodem, zwłaszcza kiedy taki chrobry Bolesław trzyma nad nim

opiekę. Niebawem stał się on dla nich prawdziwym postrachem, na samo imię jego każdy cudzoziemiec dostawał drząozki, a w duchu i naturalnie poza oczy, jak każdy tchórz, klął na czem świat stoi i przezywał króla polskiego: to lwem ryczącym, to gadem jadowitym, to okrutnym Polakiem, i Bóg wie jeszcze jak inaczej, że im się tak bardzo dał we znaki. Ale któż im był winien? — Nie wywołuj wilka z lasu! mówi przysłowie; pocóże go sami wywołali?

Tymczasem wiele narodów, które do tych czas nie należeli do Polski, widząc jaki to walny król był ten Bolesław, sami mu się prawie poddawali i połączyli się z polskim narodem. I tak Polska, co dotąd nie wielkim była krajem, stała się naraz pod Bolesławem państwem obszernem, możnem i bogatem, jak rzadko które inne. Tabo też niedość że Bolesław był taki zuch do miecza, taki chrobry na wojnie — był on takoż jak wam już powiedziałem i Boga szczerze miłujący, toć za to miał błogosławieństwo od niego. Ojców duchownych wielce szanował, nazywał ich „księżami“ co tyle znaczyło jakoby „książę“ — i choć to był pan nad pany, przecie jeśli miał księdza u siebie w gościnie, nie usiadł ci pierwej, póki ksiądz tego nie uczynił — tak wiele znaczył u niego sługa boży. Kościoły i klasztory licznie po kraju zakładał i hojnie wyposażał, a wiara święta, którą był zapalił król Mieczysław i jego bogobojna żona Dąbrówka w narodzie polskim, największej od ich syna doznawała opieki.

A był ci on i gospodarz nieladajaki w królestwie swojem, i sprawiedliwy bez różnicy dla wszystkich, jako że wszystkich kochał zarówno: panów i chłopków, ubogich i bogatych, i nikomu żadnej krzywdy czynić nie dał. To też ilekroć jaki włościanin, chudzina, białogłowa uboga żałowali się na kogo, choćby ten nie wiedzieć jak wysoko stał, nic to — król skargę wysłuchał i natychmiast musiała się stać sprawiedliwość pokrzywdzonemu. Żeby zaś łatwiej mógł tej sprawiedliwości dokonać, miał on przy sobie dwunastu panów „rajców,“ których używał do rady. Z nimi jeździł po kraju, a ludzie ze wszystkich stron się schodzili, i każdy wtedy śmiało przedkładał co miał na sercu, wiedząc że mu się stanie zadość. Był on również sprawiedliwy i sur wy na urzędników swoich — broń Boże, żeby który co

przeskrobał, nie uszło mu to na sucho, owszem zaraz „sprawiał mu król gorącą łaźnię“ — jak mówi przysłowie. A to przysłowie właśnie z tamtych czasów pochodzi; miał bowiem Bolesław taki zwyczaj, iż tego co zasłużył na karę, brał ze sobą do łaźni, czyli gorącej kąpieli, i tam go dopiero sam swoją ręką porządnie ociął różgami. Prawdziweż to było ojcowskie napomnienie!...

Pod rządami takiego króla-ojca i przy Boskiem błogosławieństwie nie dziw, że kraj polski miał wszystkiego podostatkiem: więc złota i srebra, chleba i mięsa, miodu i ryb aż do zbytku. — I było tam powietrze zdrowe, i rola nad podziw urodzajna, a rycerstwo bojowe, a włościaństwo pracowite, i konie wytrwałe, i woły robocze, i krowy dojne, i owce wełniste — a rzeki nasze spławne dźwigały statki ładowne przeróżnemi towarami, a miasta nasze handlowne wszystkiego ci dostarczały, czegoś jeno żyw zapragnął. I nie było ani tak pięknej, ani tak rzadkiej rzeczy na świecie, którejbyś nie dostał po tamte czasy w Polsce... tak tam wszystkiego było podostatkiem.

Słusznie tedy gruchnęła sława po całym świecie o rządach Bolesława. I znalazło się wielu takich ciekawych, co to byli radzi poznać tak wielkiego króla i państwo polskie tak bogate. A że wiadomo było, jako chętnie widział u siebie król polski każdego gościa, którego z wielkiej szczerości zwykł był nie gościem ale raczej synem swoim mianować — więc ze wszystkich stron świata tacy ciekawi kupami zjeżdżali się do Polski i na dwór królewski, gdzie ich zawsze raczono z wielką hojnością.

Owóż do takich ciekawych należał także i cesarz niemiecki Otto III.*) Ale zdało mu się, że wprost jechać w odwiedziny do króla polskiego, od którego miał się niby za coś lepszego, to jakoś nie wypada. Ogłosił więc, że myśli odprawić pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha, męczennika i patrona naszego, który właśnie za czasów Bolesława, nawracając pogan w sąsiedniem

*) Ta liczba III. oznacza, że to był trzeci z kolei cesarz tego nazwiska, co panował nad Niemcami. I kiedykolwiek wam się zdarzy, napotkać taką liczbę przy jakim cesarzu albo królu, będzie ona zawsze to samo oznaczać.

państwie Prusaków do wiary Chrystusowej, srodze był od nich umęczony; zaś ciało jego przez Bolesława wykupione, złożone było w Gnieznie, polskiem mieście i królewskiej pod ten czas stolicy. Kiedy indziej przepowiemy wam coś więcej o tym św. mężu i o jego śmierci męczeńskiej; tymczasem posłuchajcie dalej, jako się ten cesarz Otto wybierał niby to na św. pielgrzymkę do Gniezna, a więcej pono z ciekawości poznania naszego chrobrego Bolesława i przypatrzenia się naszej pięknej Polsce. Skoroż się Bolesław o tem dowiedział, jako gospodarz w swoim domu chciał przyjąć cesarza uczciwie i gościnnie. Więc zgromadził co najprzedniejsze rycerstwo w koło siebie, w pięknej zbroi i na pysznych koniach, i w tym poczcie zabiegł drogę cesarzowi na granicy państwa swego. Dopieroż to cuda dokazywał na cześć przybycia tak dostojnego gościa!.. Na rozległej dolinie zebrało się mnóstwo luda strojnego i pięknego wojska na koniach, w świecącej zbroi, i to wszystko stało po obu stronach drogi, kędy cesarz przejeżdżał ze swoim licznym dworem a obok niego król polski z przedniejszymi pany i dworzany. Obaczywszy z daleka miasto Gniezno, zdjął cesarz obuwie i szedł już bosą nogą do samego miasta. A Bolesław kazał tę całą drogę wysłać cienkiem suknem, aby sobie gość jego podczas tej bosej pielgrzymki nóg nie poranił. Po skończonem nabożeństwie w kościele Bogarodzicy, gdzie był właśnie grobowiec św. Wojciecha, cesarz jeszcze na pamiątkę swojego tam pobytu poczynił kościołowi drogie dary, a potem już szedł z całym swoim dworem na zamek królewski, gdzie mu król polski wyprawił gody. A były to gody nad godami! Niemcy aże za głowy się brali z podziwu, widząc wszędzie takie niezmierne bogactwa. Izby królewskie wysłane cienkiem suknem, to cudnemi kobiercami obite — na stołach godowych same złote i śrebrne naczynia, w których gościom podawano smaczne nad wyraz potrawy, zaś na boku stały konwie takoż ze szczerego złota i śrebra, a pełne słodkiego miodu i bardzo po tamte czasy lubionego piwa. Każdy kto chciał, czy to pan, czy mieszczanin, czy kmiotek ze wsi przychodził sobie śmiało, jadł i pił co mu się żywnie spodobało a zarazem z cesarzem i królem, i nikt go tam za drzwi nie wytrącał, bo to już takie były dobre czasy wtedy, że się jeden

drugiego nie wstydził — czy on w złotogłowiu był, czy w prostej siermiędze.

Tak przez całe trzy dni raczył Bolesław swoich niemieckich gości, a podobno nigdzieby im już na świecie lepiej nie było. Jako że sami potem powiadali, kiedy popowracali do swoich: „iż niepodobna ani wyrazić, ani uwierzyć, jak suto przyjmował ich u siebie król polski.“ A po tych trzech dniach wszystko co jeno było cudnego na pokojach królewskich, jako to: ze złotych i śrebrnych naczyń, i z drogiej materyi — kazał Bolesław pozbierać i podarował cesarzowi to wszystko na pamiątkę, że aż się onemu dziwem zdały tak hojne dary. Ale jeszcze nie dosyć na tem! cały dwór cesarski, jak liczny on był, został od Bolesława obdarzony hojnie na drogę, tak, że nie było żadnego, choćby najpodlejszego ze sług cesarskich, któryby z tej gościny nie wziął jakiego drogiego upominku do domu.

Widząc tedy cesarz, jaki to był człek tęgi, ten Bolesław, jakie miał wojsko, jakie skarby, i jaki był miły dla swoich poddanych — a chcąc mu się także ze swojej strony czemś przysłużyć za tak sutą gościnę, ostatniego dnia przy obiedzie zdjął sobie z głowy koronę, i włożył ją Bolesławowi — i odtąd go już nie nazywał hrabią, ale królem, co i sam papież w Rzymie niebawem potwierdził. Bo tylko przypomnijcie sobie, com był rzekł przy królu Mieczysławie: że go obcy nie chcieli uznawać królem, jeno hrabią — choć on nie wiele tam o to dbał — tak samo i z Bolesławem było do tych czas. Aż dopiero cesarz ten Otto III. przy owych godach za króla go uznał, i odtąd już go inaczej i za granicą nie nazywano, jeno królem polskim.

A działo się to wszystko roku pańskiego 1001 — więc 858 lat temu. Nareszcie cesarz wrócił do swoich, i wkrótce jakoś potem umarł. Z jego następcą Henrykiem II., któremu się nie podobało, że Bolesław w takiej był sławie u ludzi, i że się tak bardzo wzmógł w siłę, musiał znowu król nasz wojować, aż pobiwszy go należycie kilka kroć, zmusił nareszcie do zawarcia pokoju — przyczem zyskała Polska dwa kraje: Morawją i Luzacją. Zaledwo się tu uspokoił, aliście znowu ze wschodu pokazał się nieprzyjaciel. Więc duchem zwraca się w tę stronę — i przetrzepawszy wroga po swojemu, zapędził się za nim daleko

aż do wielkiego i bardzo bogatego miasta Kijowa, które też niebawem, widząc że krucha rada, i że tu niema co żartować z takim chrobrym królem, samo mu się w ręce oddało. Była tam złota brama w tym Kijowie, przez którą wjeżdżając Bolesław do miasta, na znak zwycięztwa uderzył w nią ciężkim mieczem, a tak silnie, aż się tenże wyszczerbił. Odtąd też nazywał się ten miecz „Szczerbcem“ — a po śmierci Bolesława złożono go w skarbcu królewskim na krakowskim zamku, i każdy z krolów polskich, skoro na tron wstępował, przypasywał go sobie podczas tej uroczystości do boku. Zabawiwszy czas jakiś w Kijowie i nakazawszy wbić słupy żelazne w rzece Dnieprze, co płynie pod Kijowem, na oznakę polskiej granicy, wyruszył potem wesół sobie do Polski. I miał już nadal Bolesław nasz spokój, bo nieprzyjaciele zwąchali pismo nosem i nie zadzierali z nim więcej, on zaś nie był taki chciwy, ani znowu okrutny, żeby miał dla jakiejś swojej zabawki i dla próżnej sławy wystawiać ludzi na śmierć, i bez potrzeby w bójki się wdawać.

Było to roku 1025 — w miesiącu czerwcu nagle zaniemógł nasz chrobry król. Przeczuł on bliski swój koniec, więc przywołał radę państwa i polecił im synka Mieszka — którego miał z trzeciej żony swojej a najukochańszej Konildy, córki zacnego pana imieniem Dobromira — na króla. A kiedy zapytano go, jak długo trwać ma po nim żałoba, odpowiedział smutno: „Nie miesiąc ani lata naznaczam wam do tego, lecz ktokolwiek mnie znał i łask moich doświadczał, długo, codziennie płakać mnie będzie. I nietylko ci co mnie znali i łask moich doznawali, płakać mię będą; lecz nawet ich synowie i synów ich synowie zgonu króla Bolesława, słysząc ludzkie o nim powieści, pożałują.“

Po śmierci króla wyglądała cała Polska jakby jedna rodzina, opłakująca miłego ojca. Zaniechano wszelkiej zabawy, skocznych tańców i wesołej muzyki na cały rok. — I było na polskiej ziemi siła płaczu i szczerego smutku a nie przez jeden rok, bo i tyle lat i tyle już wieków minęło, a po dziś dzień jeszcze opłakują go polskiej ojczyzny synowie, i płakać będą ich synów synowie, słysząc ludzkie powieści o Bolesławie Chrobrym — co to był król nad króle.

Piękny przykład.

Włościanie Bieržańscy na Żmudzi — jako poratowali bliźnich swoich z Wołożyna w nieszczęściu.

Przed trzema laty pojawiła się straszliwa zaraza na bydło w niektórych okolicach naszej Polski. Między innemi doznali tej klęski gospodarze z Wołożyna, włości należącej do niejakiego pana hrabiego Tyszkiewicza. A ten pan hrabia mieszka sobie zwyczajnie w Birżach, co także jest jego dziedzictwem a leży na Żmudzi. Piękny to kraj, ta nasza Żmudź, a daleko ztąd ku północy i nad morzem położony. Lud tameczny pobożny, uczciwy i pracowity, ma się bardzo dobrze i na niczem mu przy Boskiej pomocy nie zbywa.

Skoro się pan hrabia dowiedział o nieszczęściu swoich kmiotków z Wołożyna: jako im tam wszystko bydło wypadało, robocze i nierobocze, i zostali tak prawie jakoby bez rąk — opowiedział to zaraz gospodarzom Birżańskim na naradzie włościańskiej, która się tam zwykle co tydzień odbywa. Poczciwi ludziska, dowiedziawszy się o tem, aże się mało nie popłakali, tak sobie to nieszczęście bliźniego wzięli do serca. Ale niedość na tem — myślą oni sobie: kto żałuje bliźniego, ten dopiero w połowie wypełnia chrześcijański obowiązek; aby go całkowicie dokonać, wypada nieszczęśliwemu podać rękę w nieszczęściu, iżby się podźwignął na nogi. Tedy rada w radę między sobą — i uradzili: że każdy z nich — a było ich tam siła, bo dobra Birżańskie to nie ladajakie dziedzictwo — bierze do siebie po jednym cielaku na trzyletni przychowek, a po trzech latach już podchowanego oddaje na własność onej poszkodowanej gromadzie z Wołożyna. Cielęta kupił sam dziedzic, włościanie zaś karm' i zachód wszelki wedle tego ofiarowali na trzy lata. A trzeba wiedzieć, że ci ludzie ani nawet znali tamtych z Wołożyna — bo gdzie Birża a gdzie Wołożyn! to jedno od drugiego strasznie daleko; ale czynili im dobrze naprzód dla tego, że ich uważali po chrześcijańsku jako bliźnich swoich, a potem dla tego, że jedni i drudzy byli polakami, więc godnie aby swój swego ratował.

A od tego czasu właśnie w tym roku trzy lat minęło. Z cieląt porobiły się już spore woły, tak że jeno je brać w jarzma, i zaprzęgać do pługa. Aleć znowu bieda z tem, jak to będzie takie stado wołów, co tysiąc i dwieście sztuk liczyło, zagnać aż do Wołożyna, tak daleko?... Więc dziedzic im radzi: czyby nie było dobrze rozsprzedać to stado na miejscu, i to w ten sposób, ażeby każdy zapłacił za swoją sztukę po 10 rubli, co znaczy mniej więcej 15 naszych reńskich. Rada była niezła, to się i nikt temu nie opierał, i każdy złożył chętnie swoje dziesięć rubli na ręce dziedzica, z czego się zebrała suma znaczna, bo dwadzieścia tysięcy rubli śrebrem na korzyść chłopków Wołożyńskich.

I będzie temu dwa miesięcy, kiedy do Wołożyna zjechał dziedzic z rublami gospodarzy Birżańskich, przeznaczonych na poratowanie tamecznego ludu. Zaraz też powołał gromadę Wołożyńską do siebie, powiedział im jak się cała rzecz ma, i jaką miłość znaleźli tam u nieznanych sobie braci na Żmudzi, a potem ile na kogo po słuszności wypadło, wypłacił i oraz im przekazał, ażeby tak samo, jako dzisiaj od bliźniego swego doznali pomocy, kiedyś w nieszczęsnym razie drugiemu pomocnej nie żałowali ręki. Co też mu wszyscy przyrzekli święcie, błogosławiąc miłosiernych gospodarzy z Birży.

Tego samego dnia odbyły się nieszpory w kościele OO. Bernadynów w Wołożynie. Był tam dziedzic i dużo gości z sąsiedztwa, a zresztą cała gromada zapełniła dóm boży, prosząc pana Boga o szczęście dla onych dobrych ludzi, co im takie wyświadczyli dobrodziejstwo. Odśpiewano pieśń dziękczynną: „Ciebie Boga chwalimy.“ A po nieszporach każdy z chłopków oddał jakąś cząstkę z tych pieniędzy, co dostał ze składki, na szpital ubogich dziatków i kalek, którzy tam przy kościele Wołożyńskim mają swoje zaopatrzenie.

Tak to jeden dobry uczynek mnoży wiele innych — i ręczę że nie jeden z tej gromady w Wołożynie, jakkolwiek przed tem był może serca twardego i nieuczynnym dla drugich, doznając dziś na sobie samym tak piękny przykład miłosierdzia pobożnych i uczciwych Żmudzinów, stał się już na dal uważniej-

szym i tkliwszym na ludzkie nieszczęścia, i w razie potrzeby chętnieby podał pomocną rękę bliźniemu.

O drzewie opałowem,

w jaki sposób oszczędzić go można.

Rozmowa dwóch gospodarzy.

Mikołaj. Co to będzie robić, Jędrzeju! zima na karku, a tu nie wiedzieć zkąd już tych pieniędzy brać na drzewo, co go tyle u mnie wychodzi do roku, że aż strach. Oj, trza to pono będzie i tej zimy biedować; żeby choć jaka łagodna była.

Jędrzej. Takci tam właśnie łagodna! ani się radujcie na próżno, bo byście się, jak mi się wszystko widzi, srodze na niej zawiedli. A to właśnie wczoraj byłem ja w naszem mieście za sprawunkami. Wedle ratusza na rynku, kogo spotykam? zgadujcie! ano Antka, wójtowego chłopca co to się ma na księdza uczyć, i podobno nie na żarty do książki się przykłada. Tak zaraz on do mnie: „Jak się macie Jędrzeju? a co tam tatuś porabia? a czy wszyscy zdrowi doma?“ ja mu na to wszystko odpowiadam i idziemy sobie tak oba wraz przez miasto. Nareszcie zagaduję ja go znowu ze swojej strony: co tam słychać po świecie nowego? żeby mi powiedział. No, to i Antoś powiadał mi co tam piszą w gazetach, jeno że mi się to wszystko jakoś ani rusz głowy trzymać nie chciało, to i powtórzyć wam tego nie mogę. Jednej tylko rzeczy nie zapomniałem, jako nas z bliska obchodzącej; była to mowa o tegorocznej zimie. Owóż powiadają ludzie i tak nawet piszą po gazetach: że tego roku sroga nas zima czeka.

Mikołaj. Owa, że tak piszą, to jeszcze nie racja. Abo to zaraz i prawda ma być? ja temu nie wierny!

Jędrzej. Bo byście nie radzi takiej zimy doświadczyć — to dla tego. Zawsze człek radziej w dobre uwierzy, a niżeli w złe. I toć właśnie niedobrze! bo jak to mówią: „Strzeżonego pan Bóg strzeże“ — więc lepiej spodziewać się złego i wcześniej zapobiegać temu, aby się nam nie dało we znaki, a

niżeli dufając w dobre, opuścić ręce po sobie i dopiero stać się mądrym po szkodzie. I ciekawym też dla czegoby ta zima, jak powiadają, nie miała być ostrą? Jużcić tego mi nie powiecie: jakoby zima waszej woli była posłuszną, i dla tego mrozem nie prażyła waszych kości, że się to wam nie podoba — co?...

Mikołaj. A jużcić, taki głupi nie jestem, żebym miał zimie rozkazywać. Ale kiedy już tak mądrze gadacie, mój Jędrzeju, że wam nareszcie i wierzę, podajcież mi jaką dobrą radę na tę zimę — ma się wiedzieć taką: co by to i wilk był syty i koza cała — to jest: żeby i na kieszeń moją nie było przyciężko i w chałupie ciepło jak się patrzy.

Jędrzej. I owszem poradzę, byleście mię usłuchać chcieli. Powiadacie że drzewo drogie, co i prawda, zwłaszcza w naszej stronie, gdzie mało lasu — zaś grosza u was skąpo, co także prawda, jako że po te czasy nikt go nie ma do zbytku i na wyrzucenie. W takim razie prosty nasz rozum nakazuje oszczędność. Szanuj drzewo, które cię tak drogo kosztuje, a poszanujesz i kieszeń twoją...

Mikołaj. Widzisz! to mi dopiero piękna rada: — Szanuj drzewo, a zębami dzwoń! — i bez waszej rady ja to umiem, bom tego już od maleńkości nawykły.

Jędrzej. Ale powoli, sąsiedzie! nie łapcie mię za słowo, bo jeszcze nie wiecie com chciał powiedzieć. Jeżeli mówię: szanuj drzewo — to dobrze mówię, bo nie każę go marnować niepotrzebnie, tak jak to wasze kobiety a jeszcze lepiej wasze sługi umieją. Kiedy jest, to już go przez cały boży dzień noszą a noszą, sęk nie sęk, mokre nie mokre, wszystko to u nich jedno, byle się tylko kopciło i trzaskało na kuchni.

Mikołaj. Prawda, ale trudno im za to przykre słowo powiedzieć, bo jak tu nie palić, kiedy mróz chodzi po kościach?...

Jędrzej. A to właśnie w tem sztuka, aby jak najmniej drzewa spalić a ciepło było. Dawniej u nas w Polsce nie uważali na to, jako że prawie w każdej stronie było lasów aż gęsto, więc i drzewa prawie za pół darmo można było dostać. Ale dziś i te lasy mocno się u nas przerzedziły, i w wielu miejscach — jak na ten przykład w naszej wsi — całe ich już nie ma, dopiero o kilka mil trzeba gdzieś jechać po drzewo i na

dobitek jeszcze dobrze zapłacić — więc już nie wypada tak brykać jak dawniej bywało, i drzewem szastać niepotrzebnie, kiedy drogo kosztuje. Dość się jeno przypatrzyć po innych krajach, albo posłuchać, jak to tam umieją drzewa opałowego oszczędzać. Sposób w jaki to czynią, cale nie jest trudny, i łatwo się go można nauczyć.

Mikołaj. No proszę, i wy to znacie? a to bym rad posłuchać.

Jędrzej. Tylko naprzód was proszę, abyście mi nie przerywali i spokojnie do samego końca wysłuchali co powiem.

Aby drzewa jak najmniej wyszło a przecie ciepło było na izbie, potrzeba mieć przedewszystkiem dobrze urządzony piec i kuchnię. Prawda że to kosztuje, bo za darmo nic — więc i majstra dobrego trzeba zapłacić i materyału za jakie kilkanaście reńskich nakupić. Aleć lepiej jednego roku odżałować choćby i dużo, a potem mieć z tego na zawsze wygodę, aniżeli tak rok w rok paskudzić biedę. Zresztą taki wydatek na kuchnię nie zginie marnie, i w jednym roku, a najdalej w dwóch latach opłaci ci się sowicie — bowiem co stracisz na piec i kuchnię, to znowu zyskasz na drzewie. Przytem będziesz sobie mieszkał ciepło i sucho, i ochronisz siebie, dziatwę i czeladź twoją od różnych chorób, których przyczyną jest wilgoć i przeziębienie. Tymczasem przy tych naszych kuchniach, to aż zgroza bierze patrzeć ile to drzewa wychodzi, a taki na izbie zimno jakby na to mówiąc w psiarni, i ludzie pod piecem siedząc, tulą się w kożuchy i w ręce chuchają.

Dalej trzeba na to uważać: ażeby drzewo do opału było dobrze wysuszone. Na katy się zda, palić drzewem świeżem; bo i trudno jest rozpalić ogień taką surowizną i znowu dużo ciepła się zmarnuje, zanim ta mokrzyna na ogniu wyschnie; to najmniej trzecia część takowego drzewa jest straconą dla ciepła. Należy więc z jednej zimy na drugą postarać się o drzewo opałowe, drobno go połupać, przez lato do słonka i na wietrze przesuszyć, i to ile możności, aby było pod jakiem przykryciem, pod jaką szopą. Takie drzewo suche i drobno porąbane prędko się w płomień rozpali, i izbę wnet zagrzeje, i wszystko duchem się przy niem ugotuje.

Potrzeba też uważać i na gatunek drzewa, bo niekażde zarówno wiele ciepła daje. Najlepsze jest drzewo klonowe; po niem następuje jesionowe, a potem z kolei: grabowe, bukowe, wiązowe, dębowe, brzozowe — dalej za temi idzie: osiczyna, wierzbina i olszyna, które już o połowę mniej ciepła wydają, niż tamte gatunki. Z drzew iglastych najlepszy jest: modrzew, ale o tem nie ma co i gadać, bo to rzadkie dziś drzewo w naszym kraju. Po nim idą: sosna, jodła i świerk. Im twardsze drzewo, tem więcej daje ciepła, bo się wolno pali, i zostawia wiele węgla, co silny żar wydaje; dla tego to: buczyna, grabina, brzezina, dębina, wiąz i klon, daleko lepsze są do opalania mieszkań, niż drzewa iglaste, które znowu wybuchając wielkim i silnym płomieniem, przydatniejszemi są: do cegielni, wapiarni i do pieców piekarskich.

Nareszcie trzeba i na to uważać, z jakiej części drzewa bierze się na opał, i jak stare jest drzewo. Bo drzewo wzięte z pnia, więcej wydaje ciepła, jak z gałęzi i chrustu, wyjąwszy może u dębu, świerku i innych twardych drzew. A drzewo średniego lub dojrzałego wieku pożyteczniejszem będzie na opał, niż młode lub przestarzałe. Drzewo wolno sobie w lesie stojące lepsze niż z gęstego zarośla wycięte, bo takie drzewo ma słój nabitszy, i cięższe jest, i więcej wydaje ciepła. Drzeń znowu lepszy jest od bielu; podobnież ta część pnia, która jest bliżej ziemi, lepsza niż ta co wyżej od ziemi. Nakoniec drzewo zimą ścinane więcej da ciepła, jak drzewo ścięte w soku — to zaś więcej daje płomienia.

Owóż Mikołaju, wiecie o tem wszystkiem i do tego się ile możności stosując, znajdziecie sposób oszczędzenia drzewa, a cieplej wam będzie w chałupie jak po dziś dzień. I wtedy dopiero drwić sobie będziecie mogli na śmiało ze zimy i nie stać o jej łaskę — a co?

Mikołaj. Ależ miły Jędrzeju! gdybym na was nie patrzył własnemi oczyma, przysiągłbym że to wszystko z jakiej książki czytaliście, com dopiero od was słyszał.

Jędrzej. A jakżeście myśleli inaczej? taże z książki ja to wiem, a nie ze swego rozumu.

Mikołaj. Aha! na śmierć zabyłem, żeście to wy nauczeni

na książce. Jaka to bieda, że człek się tego za młodu nie nauczył, teraz na starość, oho ani myśleć, już za późno brać się do nauki, a bardzo by się człeku przydała, jak widzę. Ale za to moich malców tem pilniej náganiać będę do szkoły. Tymczasem za dobrą radę dziękuję!

Jędrzej. Nie ma tak bardzo i za co — jeno uważcie sobie sąsiedzie, że to zima na karku.

Mikołaj. No, no, jakoś to będzie za Boską pomocą.

RÓŻNOŚCI.

Praktyka Maćka z zającem. Jużto jak człowiek ma nieszczęście, to przypadek go nie minie, choćby się i w myszą jamę schował — jak to mówią: ręką nos ucierając, palec sobie wywinie. Nikt nie słyszał jako żyw, żeby człeka głupi zając wywiódł w pole, a przecież takowy trafunek wydarzył się niejakiemu Maćkowi z nadwiślańskiej Woli, choć to chłop był nielada i niesłychanie dufał w swój rozum. Było to jakoś w jesieni. — Wisła wezbrała nagłą powodzią i prawie na pół mili rozlała się po okolicy, a nawet drzewom przy gościńcu sięgała aż po sam wierzchołek. Wielki był postrach we wsiach pobliskich, ale na szczęście jakoś Bóg litościwy odwrócił plagę i woda zaraz nazajutrz zaczęła opadać powoli. Korzystając z tego Maciek z nadwiślańskiej Woli, wybrał się z małem czółenkiem na zalane wodą pola. Myśli sobie: może się da złowić jaki kawał drzewa albo jaka inna rzecz, jak to zwyczajnie bywa podczas powodzi. Aliście wypłynąwszy spory kawał od suchej ziemi, patrzy, a śród wody stoi rozłożysta wierzba, a na jej wierzchołku strzyże uszyma stary przestraszony zając. Nadpłynął on z falami wody i zatrzymał się śród konarów wierzby. Woda opadła prędko do połowy drzewa, a biedny zając zawisł na wierzchołku na pół nieżywy z przestrachu. Maciek przybył z czółnem pod samo drzewo i myśli sobie: „Otóż mię już Bóg opatrzył! będzie i pieczeń smaczna i żyda pociągnę za skórę.“ I aż oblizał się z radości a rękę wyciągnął ku zającowi. Ale co się nasilił i napróbował, ani rusz go dostać. Rad nie rad musiał innego chwycić się sposobu. Przyparł więc czółno mocno do drzewa, że stanęło jak przykute, a sam dalej lezie na wierzchołek po szaraka. Już się wydrapał na pierwszą gałęź i wprost zająca chwytał za słuchy, aż tu niecnota szarak jak się rzuci gwałtownie na bok, taj hoc na dół prościuteńko w samo czółno. I otóż patrz co za nieszczęście, przyparte do drzewa czółno zachwiało się nagle i potrącone gwałtownym skokiem zwierza, chyżo i lekko popłynęło dalej. Maciek został na wierzbie, i co mu sił stało wrzeszczał na zająca: aho! hoho! hou! prru, gwałtu! i Bóg wie jeszcze jakiemi innemi wołał wyrazami, ale zając spokojnie płynął dalej i ani się obejrzał niecnota. Biedny Maciek musiał dwa dni o głodzie i chłodzie przesiedzieć na drzewie — i odtąd nie zaczepiłby zająca, choćby mu sam lazł w łapę.

Czem jest zły sąsiad?...

W gardle kością,
W chlebie ością,
Pniem na drodze,
Cierniem w nodze,
Solą w oku,
Kolką w boku.

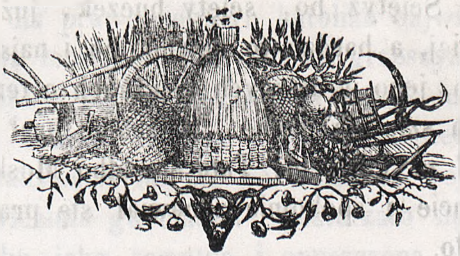
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 11.

11. Października 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak się to dzieje na świecie?

(Gawęda Bartłomieja z pod Wiśnicza.)

Już to, powiadam, niewiele dobrego na tym świecie, a zwłaszcza rodzicom wiekuisty frasunek z dziećmi. Podchowa to człowiek, wykarmi, a nie dla siebie, jeno dla świata. Oto na to mówiąc matusia wychowuje dziewuchę, a już ci chłopcy przy niej — już przyjdzie jeden, drugi, a zaleca się, a przypija do starych gorzałką, aż pójdą do księdza, wyuczą się katechizmu, dadzą na zapowiedź..... i idzie dziewczyna za Janka czy tam Wojtka, a skoro jeno pójdzie, to pożegnaj ją matusiu! Będzie prawda często na tej samej wsi, ale będzie tak jak gałązka owa, co to ją odcięli od drzewa i na drugi dzień zaszczepili. Inna już u niej rodzina, inne uciechy i frasunki..... będzie pół twoja a pół obca. Ale głową muru nie przebijesz — tak już być musi na tym świecie, bo i sam Pan Bóg wszechmogący powiedział prababce naszej Ewie, że kobieta porzuci ojca i matkę i pójdzie za mężem swoim.

Tak to moiście wy bywa z dziewczętami — a z chłopcami czyż lepiej? wyrośnie parobek jak sosna i podaje się na walnego chłopa, a już ci tego i owego stawiają na placu, a co

jeno który dostanie do miary, już ci się nie wyprosi: już mu dają cesarską koszulę, i w garść karabin dają, i młody wojak idzie światami. Ściętyż bo, ścięty buczek, już się nie będzie zielenił!... Dawniej, a bardzo to dawno, bo i najstarsi ludzie nie zapamiętają tego, jeno w dawnych książkach o tem stoi napisano, że tylko szlachta szła na wojnę. Szlachcic brał szablę, siadał na konia i gonił za Turkiem, Tatarem albo Moskalem, a chłop siedział na gruncie i spokojnie zabawiał się pracą. Ale teraz to inaczej nastało.

Otóż biorą chłopaka na żołnierza, ale Pan Bóg najlitościwszy co zabierze jedną ręką, to znów oddaje drugą. Mija rok, i drugi, i ósmy ostatni, a jak niedawno jeszcze bywało to szesnasty i dwudziesty rok; długi to czas... ale przeminie nareszcie, i żołnierz wraca do chałupy, jeśli mu nie przyszło zginąć od choroby albo od kulki. Prawda że czasem znajdzie jeno puste ściany, a zamiast matki jeno grób jej na cmętarzu, a zamiast ojca jeno słuch ludzki... ale zato trafi się znowu, że przyjdzie, a żadnej duszy nie ubyło, i chata stoi jak stała, i stodoła wedle chaty, i drzewo wedle stodoły, i krzyż na rozstajnej drodze... wszystko jak dawniej! wtedy to dopiero radość i wesele!

Ale bodajże zato tych, co psują tę uciechę! bodaj takiego wojaka, co powróci do chaty, ale tak niepodobny do dawnego człowieka, jak nieprzymierzając pięść do nosa. Zdarzy się nieraz taki, oj zdarzy! już go kolka kole przy robocie, już ani mu gadaj o kluskach ze serem albo kaszy omaszczonej — jeno mięso mu pachnie, mięso i ciepły przypiecek, a jak nie, to ława u żyda, bo już to z arendarzem najlepiej mu rozprawiać. Zrozumieją się obydwa, choćby jakim językiem gadali. Ale zato ojciec, matka, bracia, sąsiedzi krzyż Pański mają z takim człowiekiem, bo to gada niby po polsku albo po rusku, a połowa znowu słów po niemiecku, a zacina z czeska, a klnie po węgiersku i Bóg wie jakie jeszcze języki miesza ze sobą. Śmiech zbiera człeka, jak słyszy taką mowę, ale i strach razem ze śmiechem, bo w świętej biblii stoi zapisano, jako ludzie stawiając wieżę Babel, jednym mówili językiem, a jak potem Pan Bóg dał im rozmaitemi gadać mowami, z czego się pokazuje, że

każdy co miesza obce słowa do swojej mowy, psuje dar Boski i samemu Panu Bogu wszechmogącemu się sprzeciwia.

Grzech, to dla prawowiernego katolika największe złe, ale jeśli psujesz swoją mowę, to nietylko że grzeszysz, ale tak zarazem czynisz, jakbyś się wyrzekał ojca swego lub matki. Stosuje się do tego dobrze historja o jednej kobiecie i jej synu. Syn ten miał dwadzieścia lat jak go wzięli do wojska; i długie, długie lata nie widziała go matka. Postarzało się od ciężkiego frasunku kobiecisko jako samotna i opuszczona, bo nikogo nie było przy niej w chałupie, jak tylko mała dziewucha, którą wzięła za swoje. Owóż jednego razu siedzi sobie kobiecina, siedzi i duma o swoim Jasiu, który gdzieś może za dwudziestą górą a trzydziestą rzeką — aż tu coś mignęło pod oknami — otwierają się drzwi i wchodzi żołnierz jak dąb, z wąsami na pół łokcia. Stanął na progu i patrzy się na staruchę, a ona znowu na niego. Nareszcie kobieta pozdrowi żołnierza i zapyta go zaczem przyszedł — a żołnierz na to:

— Sapperment! rzeknie, to wy mnie nie poznali, muterko?

— Jakżeż was miałam poznać — odpowie staruszka — kiedym was nigdy nie widziała?

— Ej, widzieliście mnie halt muterko, widzieli, jeno braw przypomnijcie sobie... Ta ja halt wasz Johann!

— Co znowu za Johan? pyta kobiecina, robiąc wielkie oczy na żołnierza — ja nie znała żadnego Johana.

— A wasz syn, nie Johann — co go wzięli na wojaka?

— Jużcić że nie Johann — mojemu chłopcu Jasio na imię.

— No, to alles eins: Johann czy Jasio — muterko! taki ja wasz a nie czyj inny.

— Żartujcie zdrowi, panie wojak — prawi kobieta — mój Jasio nie miał ani włoska pod nosem, kiedy go brali do wojska — nie dopiero takie wąsy!

— Ej, to klajnikajty — rzeknie żołnierz — urósł ja, urosnął i sznurbart. Ja sprawiedliwy wasz Johann!

— At, przyszliście drwić ze starej baby — idźcie sobie z Bogiem panie wojak; wy nie mój Janek! mój Janek gadał tak jak ja po ludzku, a nie tak jakoś dziwnie jak wy gadacie.

— Sapperment — zawoła wojak — albo ja znam jak do was gadać? Ta ja wasz syn, wasz Johann! dajcie mi ręki, cobym was pocałował!

Biedna kobiecisko nie wiedziała co robić; i wierzy że to syn jej i nie wierzy. Nareszcie Pan Bóg dał jej myśl dobrą, więc obróciła się do dziewczyny, która była przy niej i kazała jej przynieść z komory dwa jabłka, co tam leżały na skrzyni. I wróciła mała Kaśka z jabłkami, jednem białem a drugiem czerwonem.

— No — rzeknie wdowa — panie wojak, jeżeli wy doprawdy mój Janek, to powiedźcie mi, z jakiej jabłonki są te jabłka?

— Dla czego nie, muterko? — rzeknie wojak — to czerwone to z tego drzewa, co kole wrót stoi, a to białe to halt z za stodoły.

Starowina aż klasnęła w ręce z uciechy, ale wnet się pomiarkowała i rzekła:

— Teraz widzę, żeś ty doprawdy mój Janek. Ale patrz, oto nie zapomniałeś gdzie stoją nasze jabłonki, a zapomniałeś mowy, jaką gada twoja matka, a gadał ojciec i dziad. Poznałam już ześ syn mój sprawiedliwy, ale dopiero wtedy całkiem uznam cię za syna i kochać cię tak będę, kiedy poprawisz sobie mowę i zapomniesz o tych cudzoiemskich słowach, co je słyszałam od ciebie.

---

* Dowiedzieliśmy się, że Janek nie nazywa siebie Johanem, a matunię muterką, i dzisiaj mówi tak jak jego ojcowie mówili.

STARY WIARUS.

(Obrazek.)

Żył sobie przed laty staruszek uczciwy,
Choć miał lat sto blisko, był czerstwy i żywy,
A pamięć miał taką niezwodną i świeżą,
Że mógł grać o lepsze z dzisiejszą młodzieżą.
Miał o czem też prawić, bo i któż nie prawi,
Gdy więcej półwieku wojaczką się bawi?
Więc lubił gawędzić, a wtedy najszczerzej,
Kiedy go otoczył rój rzeźkiej młodzieży.

Bo stary pamiętał, że w Piśmie rzeczono,
Jak Chrystus nauczał i kochał to grono.
I młodzi lubili staruszka gawędy,
I lgnęli do niego, i za nim szli wszędy.
Bo słodki był stary; — w kieszeniach łakocie,
A w uściech nauka, i powiastek krocie.
Raz tedy, w niedzielę do dzieci tak prawi:
— „No! moi chłopaki! kiedyście ciekawi,
Dlaczego-m choć stary, a wesół i żwawy,
Opowiem żywota mojego wam sprawy:
Od młodu Pan Jezus i Panna najświętsza
Byli mi opieką, — gdyż byłem sierotą,
A Oni — to radość, pociecha najprędsza;
Kto się Im poleci, pomogą z ochotą!
Toć byłem za morzem, a dawno, oj dawno!
Gdzie mieliśmy wojnę i głośną i sławną,
A Jezus i Marja, wśród bitwy, pożary,
Strzegli mię swą łaską: — boć żyję, choć stary!
Pomarli ci dawno, co ze mną tam byli!“
Tu stary łzę otarł, śmieje się, a kwili,
A kiedy ciekawa, gorliwa ta rzesza,
Staruszka, jak może, pieszczotą pociesza,
Znów stary łzę otarł rękawem sukmany,
I rzecze: — „Tak, młody mój ludku kochany!
Pan Jezus i Marja — to Ojciec i Matka,
My wszyscy Ich dzieci, wierna Ich czeladka!
Jam w życiu Im służył i wiernie i szczerze,
Był ciałem i duszą oddany i czysty,
O cześć Ich gorliwy, — a zawsze służbisty,
I oto nagrodę dziś służba ma bierze.
Zsiwiałem jak gołąb, żyłem już dowoli,
A w sercu mem spokój, — i nic mię nie boli,
Mam czerstwość i zdrowie, i pamięć i siłę,
I choć-em ubogi, — ubóstwo to miłe:
Bo jeszcze to datkiem, to radą, to słowem,
Biedniejszych od siebie podeprzeć gotowem.
A jako to ongi bywało: — jam młody,
Do boju, na musztrę stawiał się najprzódy,
A mundur i oręż mój zawsze był czysty,
I dłoń też ochotna do broni stalistej;
Tak i dziś jeżeli wodzowi co w Niebie,
Podoba się wezwać wiarusa przed siebie,

To stanę na czole i w sercu z pogodą,
Bo tam mię Anieli przed niego powiodą.
A Pan mię za długą tu służbę, bój krwawy,
Da kącik przy sobie, — kęs chleba łaskawy!"
Słuchała go dziatwa, co stary jej prawił
I ziarno nauki w jej duszy zostawił;
A pierś jej zawrzała niezłomnym zamiarem,
Tak z życiem wojować pod Zbawcy sztandarem.
(*Cz. N.*)

S^TY^ WOJCIECH
męczennik i nasz patron polski.

Urodził się święty Wojciech na ziemi czeskiej, z rodziców bardzo bogatych i możnych w tym kraju. Ojciec jego nazywał się Sławnik, matka Strzeżysława. Będąc małym, zachorzał raz tak mocno, że już tuj tuj co nie umarł. Wtedy matka w wielkiej żałości bierze konającego syna na ręce, i niesie go przed ołtarz Boga Rodzicy, ofiarując życie jego na Jej usługi, gdybyć za Jej wstawieniem się u Boga odzyskał zdrowie. Cudem też dziecko wyzdrowiało. Poświęcony służbie Bożej, z wielką gorliwością przykładał się do nauk. Niebawem powołano go na biskupa do Pragi, stolicy czeskiej. Widząc tam wielkie między ludźmi zgorszenie, wziął się on do nich jako najstarszy pasterz surowo, napominając do przykładnego życia. To się wielum nie podobało; nuż więc szczuć na biskupa i podjudzać innych — aż nareszcie złe wzięło górę, i święty Wojciech uchodzić musiał z Pragi i z kraju czeskiego do Rzymu. Ale wkrótce jakoś pomiarkowali się Czechy, że źle zrobili, i dalej w prożby przez różnych posłów do biskupa, aby się do nich nawrócił. Niedługo dawał się prosić — chociaż go srodze obrazili, a nawet mu czterech braci, mieszkających w dziedzicznym zamku Lubiczu, zamordowali. Wszystko to im jako wierny sługa Chrystusa, darował, i powrócił do nich w dawnej przyjaźni, aby czuwać nad ich zbawieniem. Cóż, kiedy ta jego piękna nauka tyle znaczyła, co groch rzucać o ścianę — bo jako ściana zatwardziałe były w grzechu serca onych ludzi i do poprawy na żaden raz nie-

skłonne. Doznawszy nowych przykrości od swoich nieprzyjaciół, poznał mąż święty że tu dłużej nie ma co robić, i zabrał się powtórnie precz z swojej ojczyzny, uchodząc za granicę. W Rzymie, bawiąc drugim zawodem, wielką miał ochotę wstąpić do jakiego klasztoru. Przeszkodził mu cesarz niemiecki Otto III. — właśnie ten sam, o którym już była mowa przy Bolesławie Chrobrym. Przybył on wtedy do Rzymu na swoją koronację — bowiem dawnemi laty każdy cesarz niemiecki musiał do Rzymu jechać po swoją koronę, którą mu sam Ojciec święty na głowę wkładał, i dopiero mógł się cesarzem mianować. Owóż podczas tej swojej koronacyi poznał się cesarz młody ze świętym Wojciechem i taką zaraz powziął skłonność ku niemu, że już się z nim więcej nie chciał rozstawać i przy sobie zatrzymał. Trudnoć się było takiemu panu sprzeciwiać, — więc rad nie rad został święty Wojciech przy boku cesarza; jakoż z nim wkrótce i do Niemiec wyjechał, gdzie we dnie nauczał cesarza i jego dworzan, zaś noce trawił na modlitwach i ćwiczył się w ewangielicznej pokorze, czyszcząc pokryjomu obuwie najlichszym ze sług dworskich.

Aż tu razu jednego przychodzą doń posły od króla polskiego Bolesława, zapraszając go bardzo pięknie w odwiedziny do Polski. Znałci już święty Wojciech naszego Bolesława, ale nie z osoby, jeno ze sławy jego wielkiej jaką miał po całym świecie... więc był ciekawy poznać go bliżej. Słyszał ci też już nieraz o nim, jako się gorliwie zajmował sprawami świętego kościoła, jakie poważanie miał dla księży, i jaki to żartobliwy był opiekun wiary Chrystusowej — ten Bolesław..... więc go za to miłował z całego serca. Nareszcie miał on niejako i obowiązek wdzięczności dla króla polskiego — a to w ten sposób: Jak wam już powiedziałem, nieprzyjaciele świętego Wojciecha i jego rodziny napadli byli na zamek Lubicz, w którym mieszkali panowie Sławniki, bracia rodzeni Wojciecha, z żonami i dziećmi swemi. Podstępem zdobyli go, jednych wymordowali a drugich zabrali w niewolę. Cały też majątek Sławników zagarnęli do siebie. Ale nie wszyscy bracia byli natenczas w domu. Czterech ich tylko bawiło w zamku, i oni też wszyscy zginęli. Zaś piąty brat, a właśnie najstarszy z nich imieniem Poraj, przebywał w tym

czasie na dworze króla polskiego Bolesława, i tym sposobem uszedł śmierci szczęśliwie. Ale do domu nie było już po co wracać — pozostał więc w Polsce nadal, a król go udarował mnogiemi włościami i przyjął w poczet rycerzy polskich.

Toć za brata najstarszego Pojara czuł święty Wojciech wdzięczność w swojem sercu dla króla i narodu polskiego. Więc posłom odpowiedział, że przyjmuje z całej duszy zaprosiny ich króla Chrobrego, i nie zwlekając wybrał się w podróż do Polski. Przez Ślązk zmierzał do Krakowa. Pewnego dnia już pod wieczór przybył do sioła zwanego Opole, a że był mocno zmęczony podróżą, myślał się w tem miejscu przenocować. Więc do pierwszej lepszej chaty zapukał i prosił o gospodę. Była to zagroda jednego setnika poganina, którego doma nie było, bo właśnie co wyszedł na pobliską górę palić pogańskim zwyczajem Bogom swoje ofiary. Pozostała sama jeno gospoś imieniem Złotka, a ta bardzo mile przyjęła gościa. Ale znać miała jakieś srogie umartwienie na sercu, bo wyglądała bardzo smutno i zapłakana. Pyta święty Wojciech: co jej takiego? — A ona na to:

— Oj żal mię, mój gościu, wielki żal uciska, bo mam jedyną córkę jako najdroższy skarb, a ta mi właśnie mocno zachorzała i tak już prawie jak dochodzi — biada mi, biada!... I wskazała ręką na łóżko, na którem słaba leżała w wielkiej gorączce — i aż się zanosiła od płaczu biedna matka.

Powstał święty Wojciech z miejsca i wsparty na kiju do chorej się zbliżył. Twarz jej posiniała, oczy miała zapadłe i w słup postawione, oddech ciężki.... widocznie już była w skonaniu. A tam nieboraczka matka łamie ręce w rozpaczy i włosy targa na głowie. I upadł święty mąż na kolana, i w gorącej modlitwie polecał chorą dziewczynkę łasce i miłosierdziu Boskiemu. I pobłogosławił ją potem w imię Jezusa Chrystusa, a do matki przystąpił z pociesznem słowem:

— Uspokój się, mówi — córka twoja nie umrze! ona tylko spi; jak się obudzi, będzie zdrowa.

Oby tak sprawili Bogowie, żeby to prawdą było coś wyrzekł, mój gościu jedyny! — zawołała utrapiona matkn.

Pilno jej przerwie mowę święty Wojciech: — Nie mów, Bogowie, kobieto! na nich się opuszczając, pewnie byś córkę

straciła — ale zwróć serce twoje ku prawdziwemu Bogu, który jest jeden tylko na niebie i ziemi; Jemu zaufaj z całą wiarą, a niezawodnie pocieszoną będziesz. W tej chwili uchylają się drzwi do izby, i wchodzi mąż Złotki, a z nim niejaki Wizimierz, narzeczony chorej dziewczyny. Oba mieli głowy pochylone ku ziemi i wielki smutek w oczach. Skoro zobaczyli gościa, pytają gospodynię: co za jeden?

— Pociecha nasza! powiada w radości niewiasta — mój mężu! on ci nam obiecuje przywrócić nasze dziecko do zdrowia.

— Co mówisz! zawołał setnik, rzucając się zarazem do nóg świętego Wojciecha. Niechże ucałuję nogi twoje, poczciwa duszo a gościu nasz! powtórz raz jeszcze, ażali to prawda, co moja powiada?...

— Wasza córka zdrową będzie! rzekł święty Wojciech podnosząc ojca ze ziemi.

— I któż ty? znowu setnik do niego — coś za taki czarownik, iże konających do zdrowia przywodzisz?...

— Nie czarownik ja, ale sługa jedynego Boga, który króluje na niebie i na ziemi, Wojciech mi na imię — odrzekł mąż święty.

Słysząc to, odezwie się teraz Wizimierz, narzeczony córki setnika: — Chrześcijanin! to już ja nic nie wierzę; bo jeśli nasi potężni Bogowie co mamy ich tylu, nie mogą nas pocieszyć w tem nieszczęściu, cóż dopiero może nam wasz jeden Bóg chrześcijański poradzić?

— A może! na to święty Wojciech — kto w niego uwierzy całem sercem i całą duszą; bo On jeden jest tylko Bóg sprawiedliwy, który stworzył niebo i ziemię, i to co jest na niebie i co jest na ziemi, i wszystko co jest, Jego dziełem jest. A wasi Bogowie niczem są... to też nic wam poradzić nie mogą. I naprózno paliliście im ofiary, próżny był płacz wasz i wasze prośby na nic się nie zdały — wasza chora nie miała się lepiej, i śmierć już stanęła u jej łoża, i już ci miała być dla was na zawsze straconą... A oto patrzcie: w imię Chrystusa przystępuję do jej łoża, w imię Boga przedwiecznego i Jego nieograniczonej dla nas miłości rozkazuję, aby ta wasza konająca dziewka wstała

i była zdrową. — Dotykam się jej sinej twarzy i zgasłych oczu: wstań córko!...

I stał się cud — dziewczę zdrowe i lube, jakby tylko ze snu ocknione, otwiera oczy śmiejące do matki i ojca i narzeczonego swego, i świeża i rumiana jak kwiat różowy zrywa się z śmiertelnego łoża, wyciąga pieszczone rączki ku ojcu i matce i uściska ich rodzicielskie kolana — aż oniemieli wszyscy z podziwu, aż rozpłakali się potem z wielkiej radości, aż padli nareszcie wszyscy wraz na kolana, głosząc chwałę jedynego a prawdziwego Boga, który oto przez sługę swego objawił się im w wszechmocy i miłości swojej.

Niebawem po całem siole wiedziano już o tem, co się stało w chacie setnika. I wszyscy byli ciekawi oglądać tego cudownego męża i posłuchać jego nauk o prawdziwym Bogu, którego jeszcze nie znali. I poszedł święty Wojciech na oną górę gdzie była świątynia pogańska, i tam stojąc na wielkim kamieniu, ogłaszał zgromadzonemu ludowi Wiarę świętą. Dziś jeszcze pokazują ten kamień ze znakami stóp świętego Wojciecha na Ślązku w mieście Wrocławiu, dokąd później był przywieziony z Opola, i umieszczony w kościele katedralnym nie opodal ambony.

Oprócz całej rodziny onego setnika, która się fałszywych Bogów wyrzekła i chrzest święty przyjęła, także i wielu innych zostało nawróconymi. Kamienne Bożki własnemi poniszczyli rękami, wznosząc na tem miejscu krzyż święty. Później stanęła tu kaplica pod nazwą świętego Wojciecha, gdzie się dotychczas w dzień świętego patrona odprawia uroczyste nabożeństwo z processją po całem mieście. Z tej bowiem małej wioszczyny stało się potem niezgorsze miasteczko Opol, co leży nad rzeką Odrą na pruskim Ślązku. — A kiedy święty Wojciech przybył do Polski, to szedł już prosto do Gniezna. Tam król Bolesław przyjął go jak należy i przez całą zimę zatrzymał przy sobie. A chętnie byłby go i na dłużej, choćby i na zawsze zatrzymał, — ale że biskup koniecznie chciał ludy pogańskie nawracać do Chrystusa, przeto nie śmiał się król sprzeciwiać jego świętej woli.

Z początkiem wiosny roku pańskiego 997 — więc osiemset

sześćdziesiąt i dwa lat temu, wyruszył Święty pod opieką Bolesława i w towarzystwie dwóch księży: Radzyma i Benedykta przez Polskę ku ziemi pruskiej. Na Wiśle czekała już łódź na nich i trzydziestu zbrojnych żołnierzy, których im przydał Bolesław dla bezpieczeństwa podróży. Ztąd przypłynął święty Wojciech do Gdańska, miasta nieopodal morza leżącego, gdzie odprawił nabożeństwo, ochrzcił mnogo luda pogańskiego, i potem już morzem puścił się w dalszą podróż do Prus. Kilka dni trwała ta podróż morska, zanim przybili do brzegów pruskich w okolicy dzisiejszego miasta Królewca. Ztamtąd odesłał święty Wojciech straż z onych trzydziestu żołnierzy złożoną nazad do Polski, a sam w kościelne szaty odziany, z dwoma towarzyszami wstąpił na ziemię nieznaną.

A był ten naród pruski, żyjący w pogaństwie, i okrutnie na chrześcijan zawzięty. Podróżą znękany odpoczywał święty biskup z towarzyszami u morskich wybrzeży, odśpiewując pieśni nabożne. Jeszcze się z miejsca nie ruszyli, kiedy nadpłynęła niewielka łódź wodą, a na niej garstka ludzi, którzy skoro zobaczyli jakichś nieznanych sobie gości na brzegu, zaraz skierowali do lądu i dalejże ich wypytywać: co za jedni? i za czem tu szukają?.... Swięty Wojciech śpiewał pieśni nabożne i nic im na to nie odpowiadał; zaś jego towarzysze nie znając dobrze mowy pruskiej, nie umieli im się wytłómaczyć. Wtedy jeden najzuchwalszy uderzył Świętego wiosłem, rozkazując mu natychmiast z kraju uchodzić. Przecie nie ulękli się nasi trzej apostołowie tej groźby, i przebywszy pobliską rzekę, weszli w głąb kraju. Tam nad wieczorem spotkał ich pewien możny pan i zaprowadził do wsi. Zbiegły się tłumy ludu, i znowu ich zapytano: zkąd i po co przyszli?.... Święty Wojciech krótko odpowiedział: „Przybywam z ziemi polskiej, którą chrześcijański król Bolesław sprawuje. Jestem sługą tego, który stworzył niebo i ziemię, morze ze wszystkiem, co tylko żyje, i przynoszę wam zbawienie.... abyści umyci Chrztem świętym narodzili się w Chrystusie, i osiągli przezeń odpuszczenie grzechów i królestwo niebieskie.“

Na te słowa powstała wielka wrzawa między poganami — wzięli się jedni odgrażać, a drudzy wyśmiewać ze słów świę-

tego biskupa — ale nikt jeszcze palcem się nie tknął ani jego, ani onych dwóch towarzyszy. Nareszcie po długiej naradzie między sobą kazali im wsiąść do gotowej łodzi, i jeszcze tej samej nocy wywieziono ich za pruską granicę. Oraz zagrożono, że gdyby się jeszcze raz pokazali w kraju, to jużby ich nikt od śmierci nie wyprosił.

Cóż tedy święty Wojciech? nie uląkł się bo nie uląkł — bo śmierć choćby najsroższa, poniesiona za Chrystusa, nie była mu straszną. Więc znowu nawrócił z towarzyszami swymi do kraju pruskiego. Droga wypadła im przez las — tu jeszcze śniegi leżały od zimy, i nie było suchego miejsca gdzieby można spocząć... więc szli dalej i dalej, śpiewając pieśni nabożne. Aż około południa wyszli przecie na równe pole, gdzie brat Radzym odprawił mszę świętą, a starszy Wojciech ciało i krew pańską przyjął. Poczem dla posilenia się napił się odrobiny miodu, i przydybawszy cokolwiek suchszego miejsca, spoczął z towarzyszami swymi na ziemi — i usnęli. Aż tu z lasu wypada gromada ludzi, a widząc trzech mężów śpiących na polu, które poświęcone było ich pogańskim bogom, a nazywało się po tamtejszemu Romowe, gdzie pod karą śmierci każdemu z obcych wzbroniony był przystęp, zaraz też na nich napadli, i śpiących pokrępowali sznurami. Przypatrzywszy im się bliżej, poznali że to ci sami byli, których wczoraj wywieźli za granicę, i ten najstarszy w księżym ornacie, co im prawił o Chrystusie — więc w tymci większy gniew wpadli. I wtedy jeden uderzył włócznią w pierś świętego Wojciecha, i śmiertelnie go ranił. Za tym reszta rzuciła się zbrojno ku niemu, raniąc wściekle święte ciało biskupa... aż ci mu śmierć męczeńską zadali.

A onych dwóch towarzyszy puścili wolno, nie uczyniwszy im żadnej przykrości.

— Idźcie, powiadali, do króla Bolesława a sąsiada naszego, i powiedźcie mu, coście oto na swoje własne oczy widzieli: jako zakłuliśmy jednego z waszych za krzywdę Bogom naszym wyrządzoną. Niech to będzie dla niego nauką, aby nas nadal pozostawił w spokoju, i nie nasyłał księży swoich do kraju pruskiego, który nie chce znać innej wiary nad wiarę ojców swoich.

A oni dwaj towarzysze na to: — Poszanujcież przynajmniej

to ciało krwawe naszego brata, i przechowajcie do czasu — aż przyjdą od króla posłowie i wykupią go z rąk waszych, aby pochowany był w kraju chrześcijańskim jak przystoi.

Więc pogany rada w radę między sobą — jedni powiadali: — spalić to ciało Bogom na ofiarę! — drudzy się temu sprzeciwiali, mówiąc: — Król Bolesław hojny pan, nie pożałuje złota na wykup, zwłaszcza że jak słychać, miał wielką przyjaźń dla tego księdza. — Tak więc uradzili nareszcie, że jeśli im król polski dostarczy tyle złota, ile ciało biskupa zaważy, to mu go wydadzą.

Z tem odprawili się towarzysze świętego Wojciecha i niezmierną przejęci żałością po śmierci ukochanego męża, pospieszali czemprędzej wiadomemi sobie drogami przez Polskę do króla Bolesława. A kiedy przybyli na zamek i przed królewskiem stanęli obliczem, zaraz ci Bolesław po ich twarzach zmiarkował, iż niepocieszne przynoszą wieści. Opowiedzieli wszystko jak się stało, i jaką cenę oznaczyli pogany za ciało świętego męczennika. A to nie potrzeba wam gadać, co się działo potem w sercu królewskiem; kochał on bardzo świętego Wojciecha i szanował jakby własnego ojca. To też ani na chwilę nie zwlekał z okupem, rozkazał natychmiast ze skarbca swego wziąć tyle złota ile było potrzeba, i jeszcze tego samego dnia wyznaczył posłów do kraju pruskiego, zalecając im co tchu pospieszać. Pełniąc rozkaz pański, duchem się wybrali posłowie w drogę, jako też niebawem stanęli na ziemi pruskiej. A kiedy przyszło do zważenia świętego ciała, i wydobyli posłowie wszystko to złoto, które król Bolesław na okup przeznaczył, to Prusaków aże oczy od tego złotego blasku zabolały i nie mogli się dosyć wydziwić, że to w tej Polsce tyle jest tego bogactwa. Postawiono nareszcie wielką wagę, i złożono po jednej stronie ciało świętego męczennika, na drugą zaś stronę miano tyle złota nasypać. Ależ oto stał się cud pański: ciało Świętego okazało się takie lekkie, że odrobina złota przeważyła go ze wszystkiem. Prusacy własnym oczom wierzyć nie chcieli — wściekali się prawie ze złości, że tak im się mało co ukroiło z tego wykupna. Posłowie zaś polscy, złożywszy dzięki panu Bogu wszechmogącemu za ten cud, i poruczając się opiece świętego Wojciecha

męczennika, zabrali napowrót złoto królewskie, które z łaski Boskiej okazało się być niepotrzebnem, i po spiesznej podróży przybyli z świętemi zwłokami do Polski. Złożono je naprzód za rozkazem króla w klasztorze Trzemeszeńskim, a później z wielką paradą przywieziono do Gniezna, i tamże w kościele Bogarodzicy w bogatej trumnie, ulanej ze szczerego srebra, umieszczono. A oprócz tej srebrnej trumny, w której spoczęły cudowne zwłoki naszego patrona, jeszcze wiele innych kosztownych ofiar poczynił nasz chrobry i nabożny król temu kościołowi. I tak naprzód kazał ulać ze szczerego złota krzyż wielki z wizerunkiem Zbawiciela, na który trzy razy tyle odważono złota, ile sam król ważył — a wiemy, jak rosły i ciężki był nasz Bolesław. Dalej ofiarował niezmiernie wielką blachę, także ze szczerego złota i rzęsisto drogiemi kamieniami wysadzaną, na której misternie przedstawiona była męka pańska. A było tam napisano u brzegów, że trzysta funtów złota odważono na to dzieło. Po trzecie darował do tego kościoła wielką bramę ulaną ze spiżu a cudnej roboty. Powiadają że to ma być ta sama brama złota z Kijowa, w którą Bolesław ciął mieczem, wjeżdżając do miasta — a że wracając do Polski, kazał ją zabrać ze sobą do Gniezna i tam w kościele Bogarodzicy umieścił.

Te są podarunki Bolesława, nie mówiąc o wielu innych pomniejszych. Niebawem zasłynął grób świętego Wojciecha w Gnieźnie dziwnemi cudami. Ze wszystkich stron, więc z bliska i z daleka gromadzili się ludzie tłumami u grobu świętego męczennika, poruczając się jego cudownej opiece. Nadto naród polski obrał go sobie za patrona swego, a cudowna pieśń „Bogarodzica,“ którą był święty Wojciech, jako wierny sługa Najświętszej Maryi, jeszcze mieszkając przy Bolesławie, po polsku ułożył, brzmiała w uściech każdego prawego polaka, i w każdej sprawie stała się mu pociechą i błogosławieństwem.

Dziś po latach tak dawnych i to miasto Gniezno, i kościół ten Bogarodzicy, i grobowiec świętego Wojciecha.... wszystko to już nie tak patrzy, jak za świetnych czasów Bolesława bywało. Miasto podupadło; kościół po kilkakroć rabowany świętokradzką ręką; to przez Czechów, to przez Szwedów, ani w jednej części już nie ma tych bogatych skarbów, jakiemi go

zaopatrywali pobożni i waleczni królowie polscy. Takoż i trumna świętego Wojciecha już nie ta Bolesławowska, bo ją zabrali Czechy, wpadłszy do kraju zaraz jakoś po śmierci króla Chrobrego. — Wprawdzie w sto lat później inny król polski, Bolesław krzywousty ufundował również bogatą trumnę dla naszego świętego patrona, ofiarując na nią 80 funtów złota i wielką liczbę drogich kamieni — aleć i ta zapewne wpadła w ręce jakichś rabusiów i przepadła. Trzecia trumna niemniej bogata, a ofiarowana przez Zygmunta III. króla polskiego, została przez lutrów Szwedów zabrana. Ta co ją dziś widzieć można... ładnać ona i także ze śrebra lana, ale przecie już nie taka bogata jak były poprzednie. Sprawił ją X. Wojciech Pilchowicz blisko dwieście lat temu.

Takto, jedno przepadło, drugie się zmieniło na gorsze!... Ale pieśń „Bogarodzica“ przetrwała wieków tyle czysta i nieskalana, i do dziś-dnia przechowała się w pamięci polskiego narodu jako najdroższa pamiątka po świętym Wojciechu. A i cześć dla świętego patrona pozostała żywą i niezachwiana na ziemi; a i opieka Jego zbawienna i dobroczynna trwa nad nami w niebiesiech przed tronem Najwyższego.

RÓŻNOŚCI.

Raczynka. Przed jakie 400 laty nikomu u nas ani przez myśl nie przeszło, iżby raki, których mieliśmy zawsze podostatkiem, używać można do jedzenia. Dopiero nabyliśmy tego zwyczaju od Morawian, co to z nami z tamtej strony Galicyi od zachodu sąsiadują. Zaś oni znowu przyszli do tego przy takowem zdarzeniu. Stał się był wielki głód w onym kraju między Hanakami z przyczyny nieurodzaju. Z tego wiele ludzi wymarło i taka była bieda po wsiach, że już nie wiedziano jak sobie poradzić. Była też tam i wdowa jedna uboga z siedmiorgiem dzieci. Zachodziła ona w głowę, jak to wszystko w tak ciężkie czasy wyżywić — a tu dziatwa wrzeszcze w niebo-głosy: „jeść, matulu, jeść!“ aże się jej serce od boleści krajało. Tedy wyjdzie ona z domu nibyto za chlebem, i *na chybił trafił* puści się precz przez pola ku potokowi, który z tamtąd nie opodal gdzieś płynął. Przyszedłszy nad brzeg, patrzy nieboga, a tu raczyszka jak gdyby psiaki, takie spore, grzeją się na słońcu. Obrzydliweż to prawda, ale cóż było robić! *tonący*, jak to mówią, *brzytwy się chwyta* — więc i wdowa w tym razie nie namyślając się długo, rozściela chustę na ziemi i mimo wstrętu jaki miała do raków, nałapała ich co się dało i dalej z niemi do domu. Ugotowawszy je, podała potem zgłodnia-

łej dziatwie i sama się do nich przysiadła. Potrawa ta nad podziw wydała jej się dobrą, dzieci też sobie nie krzywdowały, więc potem już co dzień chodziła do potoku na raki i niemi żywiła siebie i swoje dzieci. Aż nareszcie dziwno było ludziom co ją znali z ubóstwa, zkąd ona w takie czasy wyżywić się podoła z całą rodziną?... a że w rozumach swoich nie znaleźli na to żadnej odpowiedzi, tedy od razu uznali ją za czarownicę i oskarzyli do sądu o czary. Niejaki Ctibor Towaczowski z Cymburga wyznaczony od sądu, kazał się oskarzonej stawić i już był stos drzewa przygotował, aby czarownicę żywcem spalić, bo taka była wtedy kara na czarownice. Wdowa stanęła przed sądem bez strachu, jako że czuła się być niewinną. Skoro zaś posłyszała o co idzie, że to ją za one dziwne wyżywienie bez chleba mają w posądzeniu, zaraz dobyła kilka gotowanych raków i pokazała sędziowi, powiadając, że to niemi uratowała siebie i rodzinę swoją od głodowej śmierci. Te raki na rozkaz Ctibora w obliczu zgromadzonego ludu zjadła i między dzieci swoje rozdzieliła, co widząc roztropny sędzia, uwolnił ją od oskarzenia i od kary, i zabezpieczył od napaści ludu, który z głupoty swojej ani daj Boże uwierzyć nie chciał, żeby to było prawdą, co wdowa przed sędziem prawiła. Dopiero powoli przekonali się, że wdowa uczciwa kobieta a nie żadna czarownica, i że raki tak dobrze jeść można jak co innego. Poczęli też sobie w nich smakować, a wdowę ubogą, która pierwsza zaprowadziła ten zwyczaj, nazywali na tę pamiątkę: *Raczynką*.

Domowa apteczka. Pod takim *napisem* ułożył lekarz Matecki książeczkę dla wiejskich gospodyń, i wydał ją drukiem w mieście Poznaniu. Drobna to książeczka i niewiele kosztuje, to też lada kto może ją sobie sprawić, choć niekoniecznie i bogacz. A znajdzie tam niejedną dobrą radę: jak się zachować w tej i owej słabości, jakich lekarstw zażywać, jak sobie je na prędce samemu sporządzić — ma się wiedzieć że to tylko w zwykłych chorobach, lub w takich razach, gdzieby o lekarza było trudno albo daleko od miasta, a słabość nagła. Naszym gospodarstwom, do których właśnie należy czuwanie nad zdrowiem swojej rodziny, mocno zalecamy tę „*domową apteczkę.*“

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Spyta się zima zarazem: byłeś w lecie gospodarzem?
2. Ma chleb rogi, a nędza nogi.
3. Wielka tarapata, dziurawa w deszcz chata.
4. Robiąc uziąbł, a jedząc zapocił się.
5. Zgadzaj się gębo z mieszkiem!...
6. „Żono! pójdźmy do kościoła.“ — Nie mam w czem, miły! — „Pójdźmy do karczmy!“ — Dziewko! podajno stare bóty, są tam gdzieś pod ławą.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 12.

21. Października 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PODANIE
O ŚWIĘTYCH PUSTELNIKACH W KAZIMIERZU.

W bujnej Wielkopolsce od strony lesistego Mazowsza leży miasteczko Kazimierz, gdzie dziś nie znajdziecie więcej nad stokilkanaście domów; a przecież jest to miasteczko sławne na całą polską ziemię, z historji o pustelnikach, jaka tu z dawnych już czasów się utrzymała. Posłuchajmyż jak to było:

Jeszcze za króla Bolesława Chrobrego nic nie było w onem miejscu, gdzie dziś leży Kazimierz jeno puszcza głęboka szumiała gawędząc z wiatrami. I otóż w tamtych to najdawniejszych czasach przybyło pięciu pustelników z dalekiego kraju na oną puszczę głęboką. Nazywali się oni po imieniu: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Najstarszy pomiędzy nimi był Barnabasz. — A jak ci tam przyszli, tak wnet pobudowali sobie chaty na mieszkanie, i z całem sercem jęli się do nauczania ludu okolicznego. Reszta zaś czasu wolnego obracali na obrobienie twardego kamienia, z którego kiedyś za Boską pomocą chcieli sobie na tej puszczy

kościółek wystawić. Przy tak ciężkiej pracy skromni byli w jadle i napoju. Żywili się tylko korzonkami i warzywem, które w ogródkach swoich sadzili. Mięsa ani ryby nie smakowali nigdy; bo mięsa ślubowali nie jeść przez całe życie a ryb nie mieli czem łowić. Ale Bóg litościwy nie chciał ich opuścić przy ciężkiej pracy w głodzie i niedostatku, bo kto chce pracować, sił mu potrzeba; owóż tedy taki im cud sprawił:

Jednego czasu szedł temi stronami pewien rzeźnik z Gniezna, takoż człek poczciwy i bogobojny, i niósł kawał mięsa dla swego brata, co tam gdzieś dalej mieszkał; a kiedy tu w tę okolicę zaszedł w czasie południa, ujrzał pięciu biednych pustelników, jak lichą strawę, z korzonków sporządzoną, zajadali, modląc się. Otóż ulitował się nad nimi poczciwy rzeźnik, a że był dobrym chrześcijaninem, chciał im to dać, co niósł dla brata; ale pustelnicy przyjąć nie mogli, a Barnaba rzekł mu: że mięsa jeść im nie wolno. On rzeźnik zaczął się im dziwować i żałować, że nie jest rybakiem, bo wtedy nie mięso zapewne, ale rybę niósłby dla brata, i mógłby pustelników nakarmić; — co, że szczerze mówił, Pan Bóg wszechmocny oczywiście pokazał, bo naraz owe mięso przemienił w rybę bardzo wielką i piękną. Zdumieli się wszyscy niepomału; a rzeźnik poczciwy, upadłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za to, że go wysłuchać raczył, i oddał rybę Barnabie, który ją pobłogosławił, a odciąwszy głowę, sprawił, i upieczoną pożył razem z drugimi i owym rzeźnikiem, modląc się Panu; głowę zaś wpuścił do małej studzienki, którą miał przy swej pustelni, bo mu tak głos Boży rozkazał w jego duszy. Owóż nazajutrz, kiedy się znowu wszyscy koło południa zeszli na objad, po odprawionych modlitwach poszedł Barnaba do swojej studzienki i łowić w niej zaczął, bo mu znowu głos Boży w jego duszy tak zrobić rozkazał; i ku zdziwieniu wszystkich wydobył z niej rybę w całości taką, jak wczoraj odebrał z rąk rzeźnika, a pobłogosławiwszy obciął głowę, rybę upieczoną spożył z braćmi swymi, a głowę do studzienki wpuścił. Nazajutrz ryba znowu odrosła w całości, i tak cud ten codzień się powtarzał i żywił biednych pustelników; a choć to cud wielki i niepojęty, to i moc Boska wielka i niepojęta; a jego łaska nieustająca nigdy nie wy-

sycha, jak owa woda tej studzienki, za której pomazaniem dzisiaj jeszcze nie jeden wzrok odzyskiwał, i pozbywał się różnych chorób, jakoby na pamiątkę szczerej ofiary i dobrego uczynku, któremi się ów poczciwy rzeźnik przed Bogiem zasłużył. Aliści i zgorszenia przyjść muszą, jak Chrystus pan uczy. Owóż tedy zdarzyło się w parę lat później, że król Bolesław Chrobry w te strony zajechał na łowy, a uganiając po puszczy, zawinął na miejsce wykarczowane ręką ludzką, gdzie było trochę uprawnej roli i kilka małych domków. Tam on poznał się z tymi pustelnikami, dziwił się ich świętobliwemu życiu i niezmordowanej pracy, a widząc zarazem ich ubóstwo i nędzę, chciał im jakoś dopomódz i po królewsku łaskę swoją okazać. Oddał im przeto wszystko srebro i złoto, jakie miał ze sobą i na sobie, wyobrażając sobie jako człowiek światowy, że całem szczęściem na świecie jest ta mamona mizerna, a nie wiedział zasię, że owi pustelnicy na ubóstwo ślubowali Bogu. Oni mu też tego nie rzekli, czy to ze strachu przed tak wielkim i potężnym królem, czy też może złe ich skusiło; boćto i na świętych przychodziły pokusy, które niezawsze mogli zwyciężyć. Dosyć, że bogactwa przyjęli. A patrzyli na to dworzanie królewscy i zazdrościli im, mówiąc do siebie, że lepiejby ich użyć mogli na dworze, niż oni na puszczy. Owóż stało się dalej, kiedy król odjechał, a objadowa godzina nadeszła, że się pustelnicy zebrali u swego przełożonego Barnaby, który na ustroniu zamieszkały, o tem, co zaszło, nie wiedział, i po dawnemu, odmówiwszy modlitwy, pobiegł łowić rybę w studzience. Aliści tą razą wyłowił jeno głowę niedorośniętą, a spojrzawszy na braci, widział wstyd ich i pomięszanie, i rzekł zasmucony: — bracia, zgrzeszyliście! — Oni też przyznali się zaraz do winy, a widząc wyraźny gniew Boży, postanowili przebłagać go ciężkiemi pokutami, które sami na się nałożyli; Barnaba zaś postanowił zwrócić królowi, co jest królewskiego, i wnet zabrawszy skarby zostawione, udał się z niemi do Gosławic, gdzie król na wypoczynek zwykle wieczorem z łowów powracał. Tu czekał na niego do nocy, a uzyskawszy wreszcie posłuchanie, stawił się przed nim w pokorze i rzekł: — Królu miłościwy! jestem Barnaba, pustelnik i najstarszy brat tych czterech, których dzisiaj przez niewiadomość

pokusiłeś do grzechu. Ślubowaliśmy na obóstwo, a oni od ciebie złoto przyjęli. Dałeś im skarby tego świata, a odebrałeś skarb niebieski, to jest nieustającą łaskę Pana. Odbierz królu, co twego, a przyczyń się za nami modlitwą do Boga, aby nam przywrócić raczył spokojność naszą doczesną i zbawienie wieczne!

Król zdumiony prostotą i świętobliwością Barnaby, czuł to sam u siebie, że źle zrobił, kusząc światowemi bogactwy święte ubóstwo, ale jako był dumny z natury i ze stanu swego, nie chciał się zaraz przyznać do winy, i mówił, że owe złoto zostawił na wybudowanie kościoła, w którymby niezadługo chciał widzieć odprawioną chwałę Bożą. Aliści miasto odpowiedzi, począł tu Barnaba gorzko płakać i znów się radośnie uśmiechać; czem król mocniej jeszcze zdumiony, zapytał się o przyczynę tego dziwnego płaczu i śmiechu. A Barnaba rzekł: — Płaczę, mój królu, nad straszną, choć sprawiedliwą karą, jaką Bóg w tej chwili braciom moim za ich przewinienie wymierza, a raduję się ze szczęścia, jakie ich czeka w niebiesiech! — I tu, duchem proroczym natchniony, oświadczył królowi, że dworzanie jego, widząc pozostawione braciom pustelnikom bogactwa, unieśli się chciwością i śpiących nocną porą napadli, a nie mogąc znaleść owych skarbów w żadnym domku pustelniczym, rozumieli że je gdzieś w ziemi zakopano, i męczarniami chcieli wymódz ich odkrycie; co gdy nie pomogło, przez złość, czy też z obawy, aby poznanych nie doniesiono królowi, wszystkich braci pomordowali okrutnie. — Widzę tę krew męczeńską! — wołał płacząc Barnaba; w tej chwili dokonywają swej zbrodni; — ostatni i najmilszy brat mój Mateusz upada pod żelazem zabójców. Ale Bóg sprawiedliwy nie dopuści im ucieczki, którą chcą się ocalić!

Król usłyszawszy to, natychmiast wysłał łuczników dla schwytania morderców, i wnet ukazała im się wielka światłość po nad puszczami i wiodła ich na miejsce dokonanej zbrodni. Była to łuna bijąca od chat podpalonych przez zbójców, którzy rozum utraciwszy, w koło nich biegali jak błędni z dobytemi i krwawemi mieczami, które im do rąk poprzyrastały. Nie wiedząc tedy dokąd uciekać, wnet się wszyscy dostali w ręce pogoni. Tej jeszcze nocy stawiono powiązanych przed królem,

który w gniewie okrótnym chciał wszystkich zaraz pościnać; ale Barnaba wstawił się za nimi i jako dobry chrześcijanin prosił o litość nad nieprzyjacioły; czego jednak król wysłuchać nie chciał, bo był twardej woli. Otóż wtedy Barnaba widząc, że u ziemskiego mocarza politowania nie znajdzie, upadł na kolana i gorąco modlił się do Boga, aby nie dozwolił zatraty tylu dusz grzesznych, które się pokutą i skruchą oczyścić jeszcze mogą na ziemi. A modlił się tak gorąco, że go Bóg wysłuchał i nowy cud pokazał, bo oto zaraz opadły kajdany z rąk i nóg winowajców; co gdy król ujrzał, poznał w tem wszechmocny palec Boży i przeciw jego wyrokom stawiać się nie śmiał i oddał Barnabie zbrodniarzy, którzy w nim zbawcę i świętego uznali i poprzysięgli nigdy go odtąd nie odstąpić. Jakoż udali się z nim na puszczę i tam nowy cud ujrzeli: bo oto owe domki, co tak jasno w nocy gorzały, teraz przez ogień nietknięte stały w całości. Wprowadzili się do nich nowi pustelnicy i ciężkiemi pokutami starali się sprawiedliwość Boską przebłagać; jako też Bóg pełen litości darował im ich winy; a ludzie pobożni do dziś dnia na miejscu dawnych domków pustelniczych utrzymują kaplice, do których często odprawiają pielgrzymki. *(Cz. P.)*

Co tam matula widziała na tamtym świecie?

.... Jużci umarłą opłakali ludzie, już mieli ją złożyć do trumny, wynieść na cmentarz wiejski pod kościółkiem — aż tu naraz zamknięte powieki zmarłej na oścież się rozwarły, patrzy na świat żywemi oczyma i do dziewuszki swojej, co ją miała zostawić sierotą, uśmiecha się mile.. bo nie umarła ona, jeno była w „zachwyceniu.“ I była radość u dziecka, widząc matusię żywą — i u matki taka sama radość, tuląc do piersi miłą dziecinę. A skoro się ludzie, co ją mieli chować do trumny, porozchodzili i pozostała sam na sam matula ze swojem dzieckiem, wtedy poczęły się między sobą rozmawiać. Dziewucha pyta: co tam matula widziała w zachwyceniu?... a matuś jej na wszystko odpowiada, jako że dziecię małe i niewinne, więc wolno jej było powiadać.

I takać była rozmowa:

Matulu moja, powiedźcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,

Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki:
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza Najświętsza Panna?...

O! moje dziecko, o! kochające;
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchny co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe —
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótna ze śrebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych śrebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;

Rosa upada na obszar ziemi!
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?
— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumiannej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej...

— Matulu moja, powiedźcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewcze co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy Bożej męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi. —

— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?

— Potem widziałam strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą

Przewracał zwolna z smutkiem głębokim.
I patrzył na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko —

— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —

— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecie,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Teofil Lenartowicz.

CIEMNA SIEROTA.

Powiastka.

I.

Pod lasem o parę stajów od wioski, stał dom gajowego, ładny i schludny, z ogrodzeniem porządnem, poza którem rozłożyła się śliwina i trześnie. Grządki opodal zarosła marchew, brukiew i inne warzywo, opielone starannie. Dalej nieco ziele-

niały się hojne ziemniaki, przy których niby stróż jaki, wysoko polna wystrzeliła grusza. Wszędzie znać było ład i porządek, i w pólku, i koło domostwa, i w ogródku i koło chlewików. Boć też tam skrętna zawodziła gospodyni, pani Tomaszowa, matka gajowego Franciszka Mikity.

Skrzętna była i zaradna a pracowita gdyby mrówka, od świtu do ciemnej nocy miru sobie nie dając; aleć też i swarliwa przytem i złośnica nie lada. Najbardziej doznawała tego sierotka po jej siostrze rodzonej, Polusia, — bo co Franciszek, to sobie nie dał bardzo w kaszę nadmuchać: gdy matka swarzyć poczęła, to i nacisnął czapkę na uszy, począł gwizdać, i dalej sobie w las; a kiedy mu doskwierała za nadto, a był zmęczony i chciał w domu wypocząć, to jak krzyknie i odgryzie się, to i zaraz umilkła pani Tomaszowa, jeno potem gdzie na stronie biedną wyczubiła sierotkę.

Polusia istnem też była popychadłem, a jeszcze przytem i ciemną co się zowie. Czyli to z urodzenia, lub też z jakiego wypadku, niewiadomo. Powinni byli wszyscy mieć wzgląd na to jej nieszczęsne kalectwo, ale nikt i nie dbał o nią — zwyczajnie jak o sierotę. Toćże takie Bóg tylko miłuje — ludzie, zwyczajnie jak ludzie! niezawsze to czynią ze złego serca, ale za nic mają uznania i upamiętania. O, boć też każdy człowiek przy każdym świętym pacierzu modlić się powinien o uznanie i upamiętanie: bez uznania i upamiętania nigdy nic dobrego nie będzie, bo kto grzechu swojego nie uzna, nie poprawi się rychło.

A więc wszyscy nad biedną, sierocą i ciemną przewodzili dzieweczką: nasamprzód pani Tomaszowa, potem Franciszek, dziewka, parobczak a nawet pastuszek. Wszyscy dobrze widzieli i oglądali piękny świat Boży, i jasne słonko, i gwiazdy błyskotne, — a dla niej ciągła pozostała ciemność.

Oj, litość-że i żal szczery nad każdem kalectwem do serca ludzkiego przemówić powinien. Pan Bóg niedościgły w swoich wyrokach zsyła chorobę, kalectwo i niedolę, nie ażeby tem karał, ale raczej nawiedzonych doświadcza, czy też zniosą w pokorze co na nich dopuścił dla przyszłego ich dobra. To też mówią: Bóg nawiedził, gdy kogo jaka dotknie niedola — a jako Bóg nawiedzi, tak też i pocieszy.

Słonko jasno świeciło i już zbliżało się do południa. Przed domostwem gajowego ładne czternastoletnie siedziało dziewczątko. Jasne włosy miała w długi spleciony warkocz, biała na niej była koszula, spodnica ciemna i zapaska w białe i czerwone prążki pomalowana. Ładną dziewczynkę krasił świeży rumieniec — lecz oczów jej nie widziałeś, bo powieki miała przymknięte. To była Polusia — siedziała na kamieniu, pochylona i smutno dumała Pewnie tam różne przeróżne a żałośne w jej głowinie roiły się myśli, że i sama by ich żywym głosem nie umiała powtórzyć. Czekała ot właśnie na rozkaz gospodyni, by Franciszkowi jak zwykle ponieść objad w dwojakach do lasu.

A jakżeż ona tam do niego trafiła? — zapytacie pewnie. Ot, prowadzili ją z początku, aby się nałożyła, dawali jej szturkańce, popychali i krzyczeli — potem już i sama chodziła, miarkując się po drzewach, a Franciszek zawsze w jednem i tem samem czekał ją miejscu. Wysyłano ciemną, ażeby widzący nie wadzili sobie.

— Hejże, Polusiu! — zawołała gospodyni niezadługo, wybiegając na próg — no i czegoż tak siedzisz ślepy leniuchu, gdyby *omacmica* jaka!

Dziewczę się porwało, przetarło oczy niby ze snu, i jakoś jęknęło żałośnie.

Pani Tomaszowa podała jej dwojaki.

— No, leź-że, a zwijaj się co ducha, bo tam Franuś pewnie już czeka zgłodniały nieboże.

Polusia szła z dwojakami ponad płotem chróścianym, a potem kierowała się drogą w las, tuż przy samych drzewach. Była ona dziś smutniejszą jak zwykle; może jej przyśniła się matka, ojciec, którzy ją odumarli tak wcześnie; może ciotka dzisiaj więcej łajała; może dziewka na nią fuknęła — któż to tam wie!

Słońce jej doskwierało, a nie widziała go. Sosny i dęby szemrały ponad jej głową, a tylko pnie ich pomacać mogła. Ptaszki w koło niej śpiewały — a tych nie mogła dotknąć. Jeszcze to jeszcze kwiatki i zioła — bo chociaż ich barwy i kształtu nie znała, to wszelako tak pięknie pachniały, że aż jej milej na bożym było świecie. Toćże je i do ręki wziąść i popieścić mogła i przycisnąć do piersi — do czoła — do oczów.

Szła i szła dalej zadumana smutno, zapominając nawet, że objad dla Franciszka niesie. Aż tu naraz jeden, gdzie się obróci to o jakieś wielkie potrąci drzewo — a stały one i gęsto, i mnogie miały gałęzie. Zniża się, maca po ziemi — wrzos — igliwie — nigdzie dróżyny domacać nie może. Wraca, kieruje się na prawo — na lewo — wszędzie las gęsty. Poczęła wołać — krzyczeć — a własny jeno odpowiadał jej odgłos. Biegała tam i sam, potrącając o gałęzie, kalecząc sobie bose nogi i gołe ręce. Zapłakała gorzko — modliła się gorąco, aż wreszcie strasznie znużona siadła. Potem jeszcze biegała, wołała — ale wszystko napróżno. Nic nie widząc ani wiedziała, czyli to dzień jeszcze lub wieczór już zapadł, bo czas wydawał się jej straszliwie długim, odkąd z domu wyszła. Poczuła i głód, lecz za nic w świecie nie byłaby objadu naruszyła Franciszkowi.

Dzień-że to jeszcze lub wieczór? — zapytała sama siebie — i ogarnęła ją okrutna przed nocą trwoga. Strachy nocne — dzikie zwierzęta — wilki — wszakżeż to wszystko stokroć straszniejszem było od gniewu i kułaków ciotki. Toćże się na myśl taką i jeść odechciało. Znowu zapłakała — pomodliła się — a po gorącym paciorku to i jakaś lepsza w nią wstąpiła otucha. Przypomniała sobie święte słowa księdza proboszcza w Sosnowej, posłyszane na kazaniu: „jako Bóg Ojciec w Niebie o żadnem stworzeniu swojem nie zapomni nigdy, ani o ptaszku malutkim ani też o najlichszym robaczku. I tyle tylko włoży na ramiona ciężaru, ile człek unieść go podoła. W każdej zaś niedoli, ucieczka do Najświętszej Matki Chrystusa, tej prawdziwej Królowej korony polskiej, wielką przynosi pociechę.

Polusia przypomniała sobie tutaj pieśń prześliczną, której ją kwestarz od XX. Bernardynów, ksiądz wikary był nauczył. Zawitał on po zwyczaju zawsze parę razy w roku do domu gajowego Franciszka Mikity, widział smutne, ciemne dziewczątko, litował się nad niem — i nauczył ją za każdym razem albo modlitwy ładnej, lub też jakiej prześlicznej pieśni.

A więc uspokojona paciorkiem, Polusia zaśpiewała pieśń do Matki Boskiej:

Ty, któraś pięknie dni swoje skończyła,
I w Palestynie szczęśliwie zasnęła,
Daj dobrze skonać bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

A kiedy przyjdzie ostatnia godzina,
Uproś nam łaskę u swojego syna,
I żal za grzechy, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Kiedy nam język śmiertelność skrępuje,
I myśli nasze rozum rozwiązuje,
Uproś nam skruchę, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Twój Syn a Bóg nasz był przy zejściu Twojem —
Gdy będziem konać, świętem ciałem swojem
Niech nas posili, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Pieśń ta długą jest jeszcze i Polusia prześpiewała całą. Potem większe jeszcze opadło ją znużenie, położyła się na ziemi, mchem i wrzosem porosłej, i zasnęła. Nasamprzód zdawało jej się, że znowu biega po lesie i że szuka Franciszka; że usiadła pod drzewem i zmówiła paciorek. Aż tu wielka uderzyła ją jasność — ukazała jej się pani prześliczna — i niby ją dobrze widziała — posłyszała jakieś cudowne śpiewanie, a potem te słowa: „Bóg dobry ulitował się nad Tobą!“ — padła na kolana — i nic już nie słyszała więcej.

II.

W tym czasie kiedy Polusia błądziła, zajechała piękna bryczka do lasu, i wysiadło z niej dwóch młodych panów, jedna pani w średnim wieku będąca, i dwie młode panienki. Panią była dziedziczka Sosnowej pani Sosnowska, jedną z panienek była córka jej, panna Marynia, a drugą, panna Zofia, córka od rodzonej siostry. Jeden z paniczów był pan Jerzy, brat rodzony panny Zofii, a drugi przyjaciel jego, młody doktor, który tylko co nauki za granicą był skończył.

Całe to towarzystwo wyjechało sobie na spacer do lasu.

Panienki były wesolutkie, młodzi panowie toż samo, to i chichotali się ciągle i różne wyprawiali żarciki.

Na raz jeden odezwał się zdala śpiew jakiś prześliczny.

— Cicho! — zawołała Zofia — cicho! czy nie słyszycie?

— Śpiew!... pieśń do Matki Boskiej! — dodała Marynia, i obiedwie panienki nabożnie dłonie złożyły.

Po chwili ucichło — a wszyscy słuchali jeszcze, tak dźwięcznem było to śpiewanie.

— Kto też to? — zaczęła znowu Zofia — poszukajmy śpiewaczki.

Panienki wzięły się za ręce i dalej w las pobiegły — a idąc śpiewały tęż samą pieśń, którą co dopiero słyszały. Za niemi szła pani Sosnowska i młodzi panowie.

— Długą chodzili chwilę a nie spotkali nikogo.

— Rzecz dziwna — ozwała się Zofia — wyraźnie z tej strony śpiew dolatywał.

Puściły się dalej i otóż pod krzewiną, na mchowem posłaniu leżało uspione dziewczę.

— Mój Boże! — wymówiła Marynia — zasnęła, prześpiewawszy pieśń na cześć Najświętszej Panny.

— Ale co tutaj robiła w tej gęstwinie sama jedna biedaczka? — zadziwiła się Zofia.

— Dwojaki z jedzeniem stoją przy niej — wskazała Marynia.

— Może zabłądziła. Och, nie budźmy jej! wymówiła Zofia ciszej. — Siadajmy i poczekajmy dopóki się nie obudzi.

Panienki usiadły o podal, a w tem też pani Sosnowska z panami nadeszła. Marynia zrobiła im znak, aby byli cicho i pokazała im spiącą. Szmer ten wszelako zbudził Polusię, porwała się nagle, usiadła i potarła dłońmi czoło, jak gdyby sobie przypomnieć chciała, co się z nią działo.

— O Boże, o Boże! — jęknęła nagle załamując ręce — o Matko Najświętsza ratuj! — macała w koło, podjęła dwojaki i powstała; poczęła macać po drzewach — i zapłakała.

— Ona nie widzi! — poszepnęła Zofia ze łzami.

— Nie widzi! — powtórzyła za nią Marynia z politowaniem serdecznem.

— Co to? kto to? — krzyknęła Polusia przerażona, dosłyszawszy te szepty, i aż się potoczyła z przestrachu, lecz ją uchwycił za rękę pan Jerzy i od upadku ochronił.

— Nie bój się, dzieweczko — ozwała się pani Sosnowska, przystępując bliżej, i położyła rękę na jej ramieniu — nie bój się niczego. Pewnie zabłądziłaś w lesie?

— Zabłądziłam... Ale któż wy tacy? — zapytała Polusia.

— Jestem dziedziczką Sosnowa — odrzekła pani — i zawiozę cię do domu.

— Oj, będąż mi wymyślali, będą! — zapłakała dziewczyna, bo teraz gdy niebezpieczeństwo minęło i już jej nie trwożyły strachy leśne i wilki, — to i lękała się znowu bardziej przyjęcia w domu i kułaków pani Tomaszowej.

— Czyja-żeś ty? gdzie rodzice twoi? — zapytała Zofia.

— Sierotam!... Nie mam ni ojca ni matki. Jeno mi ciotką Tomaszowa, matka gajowego Franciszka — odrzekła Polusia.

— Biedna, ach biedna! — zawołały obiedwie panienki.

Tymczasem młody doktor przystąpił i począł przypatrywać się dziewczęciu. Wypytywał ją — a potem znowu uważnie patrzał jej się w oczy.

— Mój Boże! westchnęła Zofia — sierota, ciemna, a może nie ma ni brata ni siostry!

— Oj nie mam, moi ludzie, ni siostry, ni brata! — odrzekło dziewczę płaczliwie.

— Nieboraczka! — westchnęły znowu obie panienki.

— To dziewczę przewidzieć może! — zawołał doktor nagle — ja biorę tę kurację na siebie.

— O Boże! o mój Boże! — krzyknęły panienki, radośnie klaskając w dłonie, a Polusia przyklękła i aż się rozpłakała nieboga.

Doktor począł jeszcze wypytywać się, badać, przypatrywać się oczom Polusi, i raz wtóry wyrzekł, że jej wzrok przywróci.

— Biedaczka ma pokaleczone nogi i ręce — litowała się nad nią Zofia.

— Może ty i głodna, dzieweczko? -- przemówiła pani Sosnowska, spojrzawszy na nienaruszone dwojaki.

— A wszakżeś mamy podwieczorek z sobą, to i posili się z nami — odezwał się pan Jerzy.

— Wracajmyż do bryczki! — zawołały panienki, ujęły Polusię pod ręce, i powiodły ją ze sobą.

Po dobrym podwieczorku powsiadali wszyscy do bryczki, i pojechali do sosnowskiego dworu. Ztamtąd posłała dziedziczka do Tomaszowej, i kazała jej powiedzieć, co się stało ze zabłąkaną Polusią; że ją przy sobie zatrzyma, by jej pan doktor wzrok przywrócił.

Pani Tomaszowa nakręciła głową, namruczała sobie pod nosem, zbiła dwa garnki i jedną miskę, wykrzyczała dziewkę i wyczubiła pastuszka — ale cóż było począć? nie mogła przeszkodzić szczęściu Polusi.

A wielkiem też to było dla sieroty szczęściem, że się w tak dobre dostała ręce; znać Matka Boża to zrządziła, do której dziewczę zawsze tak gorące miało nabożeństwo.

Doktor niebawem kuracyę rozpoczął.

Polusia używała wszelkich we dworze wygód, a przytem nauczyły ją panienki opowiadaniem swojem różnych prześlicznych rzeczy. Opowiadały jej historję świętą, stary i nowy testament; żywoty wielu Świętych pańskich — a potem nauczyły ją i dziejów kraju naszego polskiego. Najbardziej jej się podobało, gdy panienki o królowej Jadwidze mówiły.

— To była święta! poszepnęła pobożnie.

Tak upłynęło kilka miesięcy, gdy dnia jednego doktor zdjął jej w ciemnym pokoju przepaskę z oczów, którą od kwartału ciągle nosiła. Coś tam znowu koło oczów jej zrobił, jak to już nieraz bywało. Potem zaczął zwolna troszeczkę wpuszczać światła — gdy w tem Polusia, drząc cała, głośno krzyknęła:

— O Jezu! Matko przenajświętsza! — ja widzę! — złożyła ręce i na kolana upadła.

Wielka też ztąd była radość. Panienki płakały i tańczyły z uciechy — i o mało, że za szyję nie uściskały doktora, któremu pani Sosnowska błogosławiła ze łzami.

Powoli przyzwyczaiła się Polusia do światła dziennego. Panienki nauczyły ją pończochy robić, szyć i czytać na książce. Pozostała się i nadal we dworze, a niekiedy odwiedziła ciotkę i zawsze jej jaki podarunek roboty swojej zaniosła. Pani Tomaszowa była jej za każdym razem rada.

W lat kilka później, gdy Marynia już była panią Jerzową a Zofia panią doktorową, wydała pani Sosnowska Polusię za karbowego w Sosnowej, człowieka poczciwego bardzo i dbałego o dobro wszelakie.

Tak to Bóg dobry za przyczynieniem Matki Najświętszej ciemną pocieszył sierotę.

Siekierki w Paźdz. 1859. Paulina z L. Wilkońska.

RÓŻNOŚCI.

Jak Iwaś Facuła przyszedł do swoich pieniędzy. Biedny Iwaś Facuła nie mógł sobie dać rady z ludźmi i żoną. Kiepkowali sobie z niego w żywe oczy że sprzedawszy prosiaka nie wiedział co zrobić z pieniądzmi, a pożyczył je na wieczne nieoddanie cyrulikowi z miasteczka, coć był pijak a ladaco, że poły urywaj a uciekaj za góry i lasy. Frasował się biedny Iwaś a markotny na gadaniny i drwiny ludzkie jął myśleć a myśleć jakby to przecie przyjść do swego. I oto raz zrywa się z łóżka ucieszony i uradowany jakby go kto na sto koni wsadził. Nie rzekł nic ani żonie ani sąsiadom, ale co tchu przywdziewa na siebie sukmanę świąteczną i wali do miasteczka. Nad wieczorem wrócił, ale aż się przestraszyli sąsiedzi tak się zmienił do niepoznania. Blady, zgarbiony, ledwie nogi wlókł za sobą, a kijem się wspierał, i cały chwiał się jak trzcina.

Dla Boga! co wam się stało? czyście zaniemogli raptownie? pytają wszyscy. A Iwaś się tylko uśmiechnął i jął marchewkę skrobać znajomym.

— Ha, ha, zawołał, śmieliście się ze mnie, powiedzieliście że jak swego ucha nie obaczę nigdy pieniędzy, com pożyczył cyrulikowi. Otóż widzicie przyszedłem do swego.

— A to jak? pytają wszyscy rozciekawieni. Iwaś podniósł się na palcach i z dumą pokręcił głową. Zaszedłem z mańki niecnotę — rzekł — kazałem się ogolić, obstrzydz, pijawki przystawić, krew puścić z obu ramion, bańki wsadzić na plecy i dwa zęby wyrwać. Żeby przyszło do obrachunku, tobym mu sam musiał jeszcze pewnie dopłacić, bo powiadam wam oba zęby były zdrowe jak orzechy i siedziały tak mocno w szczece, że psiawiara dwie godzin ciągnął i ciągnął nim wyrwał jeden i drugi. Aż tu dopiero teraz wszyscy w śmiech na umor, że biedak nietylko nie dostał ani szeląga, ale się jeszcze dał męczyć i dręczyć jak w czyscu. I długo w całej okolicy nie mówiono o niczem, tylko o tem, jak Iwaś Facuła przyszedł do swoich pieniędzy.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Słowo szkody nie nagrodzi.
2. Nie rzucaj kości między psy.
3. Nie patrz na postawę, lecz na człeka sprawę.
4. Nienawiść znajdzie winę i do krzywdy przyczynę.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 13.

1. Listopada 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego mies'ąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mieczysław II. i królowa Ryxa.

Dwóch synów miał nasz Chrobry Bolesław: Bezprem czyli z niemiecka zwanego Ottonem, i Mieszka czyli Mieczysława. Starszy Bezprem rodzony był z królewny Węgierskiej — młodszy zaś Mieszko miał Polkę za matkę. Toć jako dzieci nie jednej matki, różnej też byli natury. Starszy więcej patrzył na cudzoziemca niż na Polaka, takoż wszystko co obce bardziej mu pachło a niżeli swojskie; przeciwnie młodszy był duszą i ciałem Polakiem. Zauważył to ojciec ich Bolesław, i dla tego właśnie bardziej ku młodszemu się skłaniał niż ku starszemu. Więc kiedy śmiertelnie zachorzał, i stawili się starsi z narodu przed łoże królewskie, aby się o jego ostatnej wola dowiedzieć, polecił im król młodszego Mieczysława jako swego następcę. Uczynił zaś to nie z żadnego gniewu przeciwko starszemu synowi, ale jako miły ojciec narodu stanowił tego królem, którego bardziej lud polski miłował. I uszanował naród wolę królewską, i oddał po śmierci wielkiego ojca koronę polską Mieszkowi.

A piękny, bogaty i potężny był kraj polski, jaki przekazał ojciec Bolesław synowi swemu. Toć trza było jeno kochać go, a pilnować bacznem okiem, aby broń Boże czego nie zatracić z tej ojcowskiej możnej dziedziny. I czynił tak Mieczysław w pierwszych latach panowania swego, jako że był to pan mężnego serca, co mu nawet nieprzyjaciele przyznają, i dobrej woli dla narodu. Zaczem błogi był spokój w kraju, i granice państwa stały nietykane od nieprzyjaciół, którzy jako przed ojcem Bolesławem, tak z razu i przed synem jego Mieszkiem potężnego mieli boja. Aliści trza było tego nieszczęścia, żeby Mieczysław, co taki był duszą i ciałem Polak, gdzieś w obcym kraju upatrzył sobie cudzoziemkę na żonę. Pochodziła ona z wysokiego bo z cesarskiego rodu. — a było jej Ryxa na imię. Nieszczęsnęż-bo to imię! po dwakroć dało się Polsce we znaki. Pierwszą razą było to jeszcze za króla Popiela, o czem już wam wiadomo, że go myszy wraz z niepoczciwą żoną zagryzły — a po raz drugi oto właśnie za Mieczysława tego nabawiła nas Ryxa srogiego kłopotu.

Skoro przybyła do kraju naszego, jużci męża swego jako podstępna niewiasta zawojowała z kretesem, i każdej woli swojej posłusznym go uczyniła. I stałci się przy niej ten waleczny Mieczysław, syn króla Chrobrego, jako baranek potulny, żeć tańczył jak mu zagrano. Więc naprzód za tą królową przywędrowała istna szarańcza cudzoziemców, łakomych na chleb polski. Nimi to obstawiła się Ryxa na dworze, drugich zaś poosadzała w kraju na wielkich urzędach — a król choć na to niechętnem patrzył okiem, taki nic nie rzekł, niechcąc się żonie sprzeciwić. Poczęła potem wyśmiewać nasze zwyczaje a zaprowadzać obce, cudzoziemskie — i temu rad nierad musiał się poddać król Mieczysław. Dalej potrzebując dużo pieniędzy na wyprawianie hucznych uczt i rozmaitych zabaw, chytrze nakłoniła męża, aby na kraj większe nałożył podatki — i uczynił to król, poświęcając miłość i dobro narodu dla miłości żony rozrzutnicy. Nareszcie we wszystkiem królowa rej wodziła: ona rozdawała urzęda, ona sądziła sprawy — na czem nasi zawsze wychodzili najgorzej, a obcych przybłędów mnożyło się w kraju coraz więcej i panoszyło na polskim chlebie. Na to wszystko biadał

król w sercu, ale nie śmiał otworzyć usta ze skargą przeciw żonie własnej — tak ci go srodze zawojowała ona podstępna niewiasta.

„Biadaż temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi“ — i prawda, że gorzej nie mogło być w Polsce jak za rządów tej Ryxy, której król Mieczysław ulegał. No, ta i cóż potem?... oto w kraju powstał nieład i wielka bieda, ludzie coraz głośniej poczęli szemrać i narzekać, i dla króla nie mieli już tak dobrego serca jak przedtem — nareszcie nieprzyjaciele, miarkując takie niedobre rządy w kraju naszym, nabrali teraz ducha i ze wszystkich stron ruszyli zbrojno na Polskę, radzi że przecie na synie pomszczą się za te wszystkie cięgi, jakich się byli nabrali od ojca jego Bolesława. Do tego jeszcze i brat królewski, on starszy Bezprem, który dotychczas siedział cicho i nic nie mówił, choć srogi miał żal przeciwko bratu, że go od korony odsadził, jął teraz w kraju dołki kopać pod królem. Na szczęście rychło w czas dowiedział się o tem Mieczysław i nagnał go z kraju. Tedy on wygnaniec skoczył do Węgier, gdzie był królem niejaki Szczepan, wuj jego rodzony. Tego jak zaczął zwinnym językiem judzić przeciwko Polakom, a zwłaszcza naprzeciw królowi bratu swemu, tak wreście dokazał tego, że pierwszi Węgrzy się ruszyli, i od południa najechali kraj polski, leżący po tamtej stronie Karpat, co się zowie Słowaczyzną. A że się to stało niespodzianie, więc bez wszelkiej trudności zagarnęli jednym zamachem całą Słowaczyznę aż po same góry. Z drugiej strony cesarz niemiecki Konrad II. na czele licznego wojska wpadł w polskie granice — z trzeciej książę czeski Brzetysław najechał Morawię co należała do Polski, podbił ją sobie, i jużci jej potem nigdy nam nie oddano. Nakoniec od wschodu ruszył książę Jarosław z Kijowa i opanował polską Ruś czerwoną.

Dopierożto widząc tyle na raz wrogów przed sobą, król Mieczysław opamiętał się i poznał jako źle zrobił: naprzód żeniąc się z cudzoziemką, a potem dozwalając jej rej wodzić nad sobą. Ale już było po niewczasie żałować! — „mądry Polak po szkodzie“ powiada stara przypowieść; sprawdziłać się ona i na Mieczysławie naszym. Zmądrzał on, ta opamiętał się, jeno

*

że już na nieszczęście za późno — ze wszystkich stron obskoczyli go wrogi, a każdy szczerzy zęby na piękną Polskę, a każdy radby jaki dobry kąsek urwać... jak to się wszystkim obronić?... ponoć trudny to będzie ratunek! — A przecie nie zatrwożył się nasz waleczny Mieczysław, bo takim się znowu stał w tej chwili opamiętania. Więc Boga wezwał na pomoc, i powołał naród do obrony, który widząc króla w dawnej mężnej postawie, stawił się zbrojno i ochotnie pod jego rozkazy. Z wszystkiemi naraz niepodobna było wojować, wypadało naprzód z jednym wrogiem się uporać, a dopiero brać się do reszty. Najniebezpieczniejszym był cesarz Konrad — toż najsamprzód na niego zamierzył się z wojskiem swojem Mieczysław. I choć to był rycerz nie lada jaki, ten Konrad, taki mu dali nasi radę, i raz po raz pobili na głowę. Aż cesarz jak niepyszny musiał się cofnąć od granicy polskiej, i nic nie skurawszy powrócił do domu. — Tak pozbył się Mieczysław jednego nieszczęścia. Zaledwo też odetchnął i miał już na innych nieprzyjaciół uderzyć, aliści słyszy, że Konrad niebawem wybiera się na nową wyprawę do Polski. Namówił go do tego brat Mieczysława, on starszy Bezprem. W Węgrzech nic dla siebie nie skórał, bo wuj Szczepan, zdobywszy Słowaczyznę, jakośmy już powiedzieli, osadził tam syna swego Emeryka, a siostrzeńca z kwitkiem odprawił. Popróbował więc Bezprem lepszego szczęścia u cesarza Konrada. I w samej rzeczy, jak go zaczął prosić, a wymyślać na brata Mieczysława, a przedstawiać mu prawo swoje po starszeństwie do polskiej korony — takci Konrad dał się wreszcie przez niego namówić, i z początkiem jesieni następnego roku, zgromadziwszy potężne siły, wybrał się po raz drugi na Polskę. Wojsko podzielił na dwa oddziały: nad jednym sam przewodził, drugi poddał pod rozkazy zawziętego Bezprema. — Wieleć było złego na jednego! biedny Mieczysław stawił im długo waleczny opór — ale nareszcie tak przeważnej sile uledz musiał, i prosił cesarza Konrada o pokój. Ten jak się zdawało nie był od tego; ale brat jego, on zawzięty Bezprem, który drugiem wojskiem dowodził, ani dał sobie mówić o jakiej zgodzie. I trwała dalej zacięta bójka pomiędzy braćmi. Aż po miesiącu nie było już żadnej rady dla Mieczysława; musiał uciekać

przed starszym bratem z Polski, i na chybił trafił udał się do kraju czeskiego, szukając tam gościnności. A Ryxa żona jego? jakże wam się zdaje, czy poszła za mężem na wygnanie, aby go pocieszać w nieszczęściu?... tak ci tam właśnie! ani jej to przez myśl nie przeszło — myślała ona o swojej własnej skórze, więc cichaczem spakowała mnogie skarby królewskie, i z synkiem swoim, nieletnim Kazimierzem co tchu do Niemiec zemknęła, gdzie jako wielka pani i krewna cesarska niezmierne posiadała dobra. Toż kiedy ona tam u siebie rozkoszowała w dostatkach, w tym czasie Mieczysław nasz cierpiał srodze u Czechów, bo zamiast gościnności doznał od nich niewoli i ciężkiego więzienia.

A w Polsce zdrajca Bezprem ogłosił się królem — i królował sobie, oj bardzo niedługo! bo zaledwo kilka miesięcy minęło, a jużci przyszła „kréska na Matyska"..., i skręcono kark niecnocie. Widocznie Pan Bóg go ukarał za zdradę: ta że na własny kraj i na rodniego brata nawodził wojska cudze — ta że z chciwości za tą koroną, do której żadnego a żadnego nie miał prawa, bo go i ojciec nieboszczyk a potem i sam naród od niej odsądził, tyle bratniej krwi rozlał. — Wkrótce po śmierci jego wydostał się nasz biedny Mieczysław prawdziwym cudem z więzienia, i szczęśliwie do swojej ojczyzny powrócił. Ależ dla Boga! rodzona matka jużby go nie poznała, tak bardzo się zmienił nasz król nieszczęśliwy w onej czeskiej niewoli. Tam to nabawił on się sromotnego kalectwa i cały podupadł na duchu. I niedziwota że teraz stał się gnuśnym i niedbałym, że pozwolił w kraju robić co się komu podobało, że się ukorzył przed tymi wrogami, których dawniej niejedenkroć razy walecznie pobił, i że nareszcie jak powiadają, na dobitek nieszczęścia błąd go się chwycił i w takim smutnym stanie dokonał żywota.

Dopieroż to, mój mocny Boże, na osieroconą Polskę ze wszystkich stron uderzyły pioruny. Jakby na jej wieczyste zatracenie spiknęli się wrogi, tak raz po raz zapuszczali teraz wojska swoje w bezbronne granice Polski na dowolny rabunek. Najbardziej dokazywali Czechy pod przewodnictwem srogiego księcia Brzetysława. Oni to złupili Kraków i do szczętu go

zniszczyli. Toż samo i królewskie miasto Gniezno padło im ofiarą — wszystkie kościoły świętokradzką ręką obdarli, nawet grobowiec świętego Wojciecha nie poszanowali, z dzwonic pozabierali dzwony, ze skarbów kościelnych bogate ornaty i inne księże przybory — słowem co było do wzięcia to brali i ładowali na wozy, a biedny lud polski zakuli w kajdany i pognali do kraju czeskiego na niewolę.

I stała się potem nasza Polska, gdyby jedna wielka pustynia — nie ujrzałeś tam ani śladu dawnych bogactw, pogorzały wsie zamożne, z pysznych miast pozostała jeno kupa kamieni, a po świętych kościołach zwierz dziki założył legowisko.

Gdybyż teraz nasz Chrobry Bolesław zmartwychwstał z grobu i zobaczył tę Polskę, którą przed laty niewielu tak pięknym, bogatym i potężnym krajem zostawił w dziedzictwie synowi — a toć by pewnie od zgrozy i żalu oczy zamknął napowrót i położył się martwy do grobu...

I patrzcie, jako się nam przysłużyła ona Ryxa druga, obcego rodu niewiasta, a żona Mieczysława II.

ROZMAITE SPIEWKI.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

Arendarz zaprasza do karczmy, a ludzie tak mu odśpiewują:

Nie zaczepiaj mnie żydzie,
Bo nie pijak to idzie —
Idzie sobie gospodarz,
Winka jemu nie podasz —
Choć podasz, to z fusami,
Smierdzące bachurami;
Nie, żydzie, nie wstąpimy,
Idź do Jerozolimy!

Na nieporządną i niechlujną dziewkę.

A kto pani? Magda pani —
Przeszłoroczne błoto na niej:
Nie trza wsi jej ni folwarku,
Lepszy ugor na jej karku!

Gwałtu, Magda nam się wścieka,
Bo od wody coś ucieka!
— Ej, nie wścieknie się da Bóg,
Jeno żal jej błota z nóg.

Hau! hau! hau!

czyli jak Michaś student szczekał, a młynarz Czmiel uciekał.

(Opowiedział Walenty ze Smolnicy.)

Murowanym gościńcem, już dobrze z wieczora, pędził raźno wóz parokonny, a brzęczał i dudnił po kamieniach, że go słychać było na ćwierć mili z dala.

Na wozie, na wysoko wyścielonem siedzeniu leżał wygodnie rozparty z fajką w gębie, z czapką na bakier Kuba Czmiel, bogaty i hardy mielnik z Kobyłoboków.

Wracał z jarmarku z pełnym trzosem za sprzedaną mąkę i z pełniejszym jeszcze brzuchem od wszelakiego jadła i trunku, którego sobie nigdy nie lubił żałować, co też po prawdzie było poznać już po jego setnej otyłości, jego tłustych pyskach i wiszącem podgarlu.

I dlaczegożby z resztą miał sobie ujmować od gęby, kiedy jak ludzie mówili, pieniędzy miał jak grysu, a ni krewnych, ni dzieci w domu, że choćby i chciał, nie było zbierać dla kogo. Młyn jego na dwóch kamieniach nie ustawał ani we dnie ani w nocy, dobry pytel na kilka mil z daleka przywabiał ludzi, a do tego nikt nie zapamiętał, aby mu się kiedy przerwała grobla lub zatrzymało koło.

Kuba Czmiel byłto sobie bogacz całą gębą, a lubo jeszcze jego ojciec był pastuchem przy nierogaciznie gromadzkiej, to już teraz ani patrzeć się nie chciał na prostego chłopa i miał się już za równego samemu nawet dziedzicowi.

Ale mniejsza jeszcze o to. Przebaczyćby można tę pychę, bo jak to mówią: zawsze wół zapomina kiedy był cielęciem — ale trudno mu było nie brać za złe, że dbając tylko o własne dobro i wygody, nigdy ani ubogiego nie wspomoże, ani kościół niczem nie udaruje. Patrzył tylko aby mu ciągle puchła kieszeń, aby codzień dobrze zjadł, wypił, ta i przespał się należycie.

Ot i teraz drzemie mu się na wozie, oczy kleją się na gwałt, a tu koniecznie co chwila trzeba zacinać i popędzać konie, bo słońce jakoś niedobrze za czarną zachodziło chmurę, niebo posępniało coraz więcej, i jakoś duszno się robiło w powietrzu.

— Będzie deszczysko — mruknął Kuba i z niesmakiem głasnął się po brzuchu, bo do domu miał jeszcze dobre dwie mile, a śród całej drogi nie było nigdzie ani karczmy ani dachu, gdzieby się ochronić można, zmoknąć zasie boi się opasły mielnik jak diabeł święconej wody.

— Tfy! — splunął i do połowy wytrząsł fajkę — trzeba napędzać a tu mi się jakoś na sen zbiera. Żeby to choć można z kim pogadać i rozruchać się cokolwiek.

Aż tu patrzy przed siebie, a scieżką wzdłuż gościnca spieszy raźnym krokiem jakiś młody wędrowiec w sukiennej kapocie z kijem w ręku i sporem zawiniątkiem na plecach.

— Oho! to jakiś z waszecia! — mruknął mielnik i wydął wargi.

Ale wtem wędrowiec się obrócił z dala, a opasły mielnik ujrzał twarz znajomą.

— Tiufiu! toż to nasz Michaś skubent! poszepnął.

W samej rzeczy był to student Michaś Gągol, syn ubogiego chłopa z Kobyłoboków. Już od dziesięciu lat bez wszelkiej pomocy chodził do szkół w Rzeszowie, a teraz jak zwyczajnie, wracał na wakacye do domu.

A trzeba wiedzieć że to był dziwnie walny chłopiec ten Michaś.

Dzieckiem pasł gęsi na probostwie, i tak się umiał przypodobać księdzu proboszczowi, że go sam nauczył czytać na książce i nieraz mu coś mądrego powiedział to o tem, to o owem.

Michaś był okrutnie ciekawy, słuchał pilnie księdza proboszcza, a w duchu myślał wzdychając:

— Ach mój Boże! żeby to ja był kiedyś tak mądry jak ksiądz proboszcz.

Ale na nic nie był tak ciekawy, jak na te obrazy co

wisiały długim rzędem w zakrystyi a przedstawiały rozmaitych królów i rycerzy w zbroi.

Pytał Michaś księdza proboszcza co znaczą te obrazy, i otrzymał odpowiedź, że to są dawni polscy królowie, hetmani i wojewodowie.

Biednemu Michasiowi aż łzy zakręciły się w oczach.

— Matko najświętsza! — poszepnął — toć i ja choć syn prostego chłopa, ale zawsze jestem Polak, a nic a nic nie wiem o naszych dawnych królach, hetmanach i wojewodach. Ksiądz proboszcz opowiadał mu nieraz, jak to oni nietylko samą swą ojczyznę, Polskę kochaną, ale i cały inny świat chrześcijański, serdecznie krwią swoją bronili przeciw pogańskiej niewoli, i ile to wielkiego dokazywali na świecie, że aż głupieli inne postronne narody!

A szczególniej utkwiło w pamięci Michasia to co mu ksiądz proboszcz napomknął o królu Janie Sobieskim, coć to nietylko z własnej ojczyzny z krwawemi łbami gnał Turków i Tatarów, ale błagany o pomoc, pospieszył z wojskiem polskiem ratować cesarza niemieckiego, którego stolicę, (dobrze wam znany, moi mili, Wiedeń) Turcy obsaczyli do koła i szturmowali ze wszystkich stron. Ale taką im kurtę skroił nasz król Jan waleczny, że już od tego czasu nigdy się nie opamiętali, i na zawsze już podupadła moc pogańska.

Owóż tedy rozmyślając o tych polskich królach, hetmanach i wojewodach, rzekł sobie Michaś z silnem postanowieniem:

— Niech się dzieje co chce, ale kiedym przecie Polak, to muszę o naszej sławnej polskiej historyi i o czynach naszych ojców i dziadów wiedzieć tak dobrze, jak i sam ksiądz proboszcz.

Toż już od tego czasu o niczem nie myślał, tylko jakby się wybrać do szkół i zacząć nauki.

Ksiądz proboszcz pochwalił ten jego zamiar, posprawiał mu nawet suknie i potrzebne książki, i dał mały zasiłek na drogę, a ojca nakłonił, że przyrzekł zanosić co tydzień parę bochenków chleba do szkół synowi.

I tak Michaś Gągol rozpoczął swe nauki, i co roku szło mu już lepiej i łatwiej w utrzymaniu, i już się obchodził bez

pomocy ojca, a tylko niezgasłą wdzięczność zachowywał dla łaskawego proboszcza.

Teraz wędrował do domu na wakacye, gdzie się miał ze swoimi pożegnać na dłuższy czas, bo skończywszy wszystkie szkoły w Rzeszowie, wybierał się już do Lwowa.

A biedak spieszył się co mu sił stało, bo widział jak się chmurzy na niebie i parno robi w powietrzu, więc chciałby jeszcze przed deszczem dobiedz gdzie pod ochronne poddasze.

Radość wstąpiła w niego, kiedy ujrzał zdala jakąś furę, a jeszcze więcej się ucieszył, kiedy poznał ze swojej wsi mielnika Czmiela, najbliższego sąsiada swego ojca.

Zabiegł mu też prędko drogę, i kłaniając się uprzejmie czapką, zagadnął pokornie:

— Ej panie młynarzu!

Kuba Czmiel powstrzymał konie, i spojrzał na wędrowca z pod oka z drwiącym uśmiechem.

— A co tam powiesz panie skubencie, człeku uczony — ozwał się kiepkując sobie potroszę.

Michaś jeszcze raz ukłonił się nisko młynarzowi.

— Na ulewę się zanosi — przemówił z chlebnym uśmiechem — możebyście mnie podwieźli, panie młynarzu.

Czmiel głasnął się po brzuchu, i puścił spory kłąb dymu przed siebie.

— Pan skubent chciałby się przejechać — cedził przez zęby z kpinami — boi się deszczeku bożego, może on sobie z cukru albo z soli?....

— Wolne żarty panie młynarzu — ozwał się Michaś — ale już pięć mil dziś uszedłem, nie umknę przed deszczem.

Opasły młynarz gładził się po grubym, wypukłym brzuchu, i pokiwywał głową z drwinami. Choć sam w duszy rad był mieć jakiegoś towarzysza podróży, aby się rozruchać i zabawić rozmową, nadął się teraz i napuszył jak indyk, bo chciwy i samolubny, nie zwykł był nic darmo uczynić dla drugiego.

Nuż tedy sobie drwić i kiepkować dalej:

— Hum, hum, hum, fiu, fiu, fi! pan skubent by się przysiedli, hm, hm, przysiedli!

— A pieniądze są w kabzie? — zapytał nagle.

Michaś uśmiechnął się tylko.

— Ot, coby panu młynarzowi przyszło z moich pieniędzy.

— Czy tak? mruknął młynarz, przedrwiwując sobie ciągle — pan skubent uczony, mudrahel! kuropatwę zjadł! gwiazdy rachuje na niebie, łyżką rozum łyka, to niechże sobie tam poradzi, żeby go albo nogi nie bolały, albo żeby się chmury rozbiegły na niebie.

— Dobrze żartować panu młynarzowi — przerwał Michaś.

— Wasze nie potrafisz tego wszystkiego? ha? — kiepkował sobie bogacz dalej.

Michasiowi krew napłynęła do głowy, ale się jakoś pohamował i rzekł z uśmiechem:

— Żartujcie sobie zdrowi panie młynarzu.

Kuba Czmiel zaśmiał się głośno, cmoknął językiem i wziął batóg w rękę.

— Kiedy tego nie umiesz bratku, toś dureń z twoją nauką, dureń bratku, oj dureń. A że ja mam rozum — dodał i uderzył się po pełnym trzosie — to ja się nie dam złapać durniowi na wędę. Chcesz jechać, to zapłać kochasiu, zapłać, bo ludzie co mają rozum, nic darmo nie robią.

Michaś student przygryzł wargi i gniew go już owładnął. Ale wtem jakby się raptownie inaczej namyślił, uśmiechnął się pokornie, i rzekł:

— Ha, to kiedy już tak mówicie, to cóż robić, zapłacę.

— Fififi — zaświstał młynarz — dasz dwa reńszczaki bratku?

Student aż odskoczył z miejsca.

— Dwa reńszczaki! zmiłujcie się, za dwie mile.

Młynarz zaśmiał się na całe gardło.

— Nie chcesz, to z panem Bogiem — zawołał ściągając lejce ku sobie — patrz, błyska na niebie, puści się ulewa, przemokniesz do nitki, zmarzniesz jak pies, a potem będziesz się musiał smarować wódką, a ogrzewać grysem, a nawet może i cyrulikowi dasz utargować. Porachuj to wszystko, a niewygodę, a utratę czasu, a przykrości z choroby, to zobaczysz, że cię prawie za durno podwożę.

Michaś zamyślił się, a widocznie coś niebezpiecznego ważyło się w nim we środku.

— Ha, cóż robić — rzekł prędko — prawda, macie rozum, wielki rozum! dam dwa reńskie.

— Dawaj!

— Aż w domu panie młynarzu, bo muszę piątkę zmieniać w karczmie. Moje zawiniątko kładę wam w zastaw.

— No no — przystawał młynarz — siadaj.

Michaś w jednej chwili wskoczył na wóz, i usadowił się w tyle.

Czmiel zaciął konie, i tuż zaraz z cesarskiej drogi skręcił na gościniec prywatny.

Po chwili obejrzał się i rzekł do studenta:

— Nie umiesz tam wasze jakiej bajki, bo mi się drzemie trochę — dodał głaszcząc się po opasłym brzuchu, jak to miał w zwyczaju.

Ale patrzy, a student dziwnie się jakoś skrzywił jak gdyby się zachlistnął octem, albo łyżkę pieprzu połknął naraz.

— At, dajcie mi tam spokój z bajką — odburknął i przykucznął w sam kąt wozu.

Młynarz spojrzał na niego zdziwiony, a potem raźniej zaciął konie, bo właśnie zbliżał się do małej rzeczki, przez którą trzeba było jechać w bród.

Student poskoczył nagle w zatyle wozu i zadzwonił zębami, jakby nim gwałtowna zatrzęsła febra.

— A co to wam skubencie? — zapytał młynarz trochę zniespokojony.

N... n... ic — wydzwonił zębami student, i tak jakoś strasznie wywrócił oczy, że tylko białka zostały na wierzchu.

— Cóżto wy chory? — zapytał mielnik przestraszony na prawdę.

— N... nie brr... uff... — wycedził student i znowu skrzywił się, że aż niemiło robiło się spojrzeć.

Młynarz odsunął się dalej, i lekkie mrowie przeszło go od stóp do głowy. Zaciął silniej konie, i zaczął z pagórka spuszczać się w bród rzeki.

Student znowu wstrząsł się cały.

— Brrr! uff! — wyjęczał student. Nie wiem jak to będzie ohuha!

— Cóż to wam takiego? do stu czartów! — wrzasnął młynarz w przestrachu.

— N... nic to, ale widzicie — jąkał student — przed tygodniem ukąsił mię pies na drodze!

— Pies! — krzyknął młynarz.

— Brr — ciągnął dalej student — pies wściekły!

— Wściekły! — powtórzył mielnik, a włosy jak zęby u brony stanęły mu na głowie.

— Ale ja sobie wypiekał — dzwonił student zębami, trzęsąc się cały.

Młynarz pobladł jak najbielsza mąka z jego młynu, a zęby mu dzwoniły jak jego pytel najgłośniejszy.

A w tej chwili wóz wjechał w bród rzeki, i zabrnął w wodę powyżej kół.

Student zerwał się na równe nogi. Przewrócił oczy, wywalił język, wyciągnął naprzód ręce i zawrzeszczał na całe gardło:

— Woda! woda! uhuha! hau! hau! hau! hau!

Mielnika już nie było na wozie. Rzucił batóg i lejce, i hoc w wodę jak diabeł w smołę. Zanurzał się biedak na razie, aby go wściekły nie chwycił w swoje zęby a potem środkiem rzeki nuż pędzić co sił stało, i wrzeszczeć w niebogłosy:

— Gwałtu! ratujcie! a pódzież! a huż ha!

I pędził i wrzeszczał nieborak z zamkniętemi oczyma, ani zważając, że nikt za nim nie goni, i że wóz wyjechał już z brodu i raźno dalej popędził gościńcem.

Przestraszonemu młynarzowi nie zawadzał już ani brzuch opasły, ani spory trzos pieniędzy, pędził jak opętany środkiem rzeki, a wrzeszczał i wrzeszczał:

— A pódzież! gwałtu! ratujcie!

I dopiero ubiegłszy z ćwierć mili, mógł się obejrzeć i wybiedz na brzeg. A choć nikogo nie widział, nie ustał pędzić przez pola, przez ścierń, przez głogi i ciernie uciekał i uciekał, aż nareszcie bez sił upadł na ziemię, a wtedy ściemniło się już zupełnie na ziemi i lunął deszcz jak z cebra.

We młynie tymczasem krzyk, wrzawa, harmider, że aż ściany chodzą.

Student zdrów i wesół jak ryba zajechał z wozem do młyna, ale gospodarz co według jego opowiadania miał piechotą iść zaraz za wozem, jak nie przybywał tak nie przybywał.

Młynarka w głowę zachodzi, parobków i sługi porozsyłała na wszystkie strony i całą noc oka nie zmrużyła.

A dopiero nad raniem zmęczony, zbłocony, znużony, ziajany a blady jak trup przywlókł się młynarz nieszczęśliwy. Za jedną noc brzuch mu opadł do połowy, i jeszcze nie ze wszystkiem otrząsł się nieborak z przestrachu.

Na razie nie można było ani słowa wydobyć od niego. Wlazł co tchu pod pierzynę, kazał smarować się wódką, okładać ciepłym grysem a nawet wysłał po cyrulika do miasta. Stało mu się kubek w kubek to wszystko, co przepowiadał biednemu studentowi.

Nazajutrz kiedy już zupełnie przyszedł do siebie, zaczął dopiero kilku znajomym opowiadać, co mu się przytrafiło strasznego, a wszyscy w śmiech na umor.

Trzeba bowiem wiedzieć, że biedny student psa wściekłego nie widział nigdy na oczy, ale zrobił sobie taki żart zabawny, aby ukarać bogatego samoluba za jego chciwość i twarde serce, ta i za to, że dufając na pieniądze, choć sam był prostak, nie ważył sobie za nic naukę, i kiepkował sobie z ludzi, co nie chcą żyć jak bydlęta, ale radziby podnieść i wykształcić w sobie tego ducha, którego wlał w nich Stwórca najwyższy.

Po takiej nauczce poprawił się wielce nasz samolubny młynarz, stał się znacznie lepszym i uczynniejszym dla bliźnich, a co najwięcej, nabrał wielkiego poszanowania dla ludzi, co się czegoś uczyli w szkołach. Tak się zasie wstydził swojej przygody z biednym studentem, że do samej śmierci nic go tak nie rozgniewało, jak kiedy mu kto przypomniał: Hau! hau! hau!

RÓŻNOŚCI.

Przestroga dla Rodziców. W jednem miasteczku przydybano raz w zimie małego chłopczynę na ulicy. Drobne to było, wyschnięte jak szczypa od nędzy i prawie bez nijakiego ubrania stojące na wietrze i mrozie. Toż jęczało w niebogłosy i tak się trzęsło na biednem ciele, że choćbyś z kamienia był, toby cię litość zdjęła na widok takiej mizeroty. Zbiegło się więc luda nie mało, i pierwszy co go dochwycił w litościwe ręce, obtulił to maleństwo na prędce w swoją kapotę, i do najbliższego poniósł domostwa. Gdy się cokolwiek ogrzało i ciepłą posiliło strawą, poczęli go wszyscy wypytywać: A jak się twój ojciec nazywa? — „Czart" odpowie chłopczyna. — A twojej matuli jak mówią? — „Czart" — A zkądżeś ty jest? — „Z czartowskiego gniazda," jak mówi tatuś i matula. — Zdumieli się wszyscy na taką odpowiedź, ani też kto zrozumieć mógł, jaka w tem jest prawda co chłopiec powiadał. Wtem jakiś świeży człek nadszedł z ulicy. Ten uwidziawszy chłopca, spoznał go zaraz że to synek gospodarza jednego z niedalekiej wsi, co się tu jakimś przypadkiem zabłąkać musiał. A gdy mu opowiadano, jaka była dziwna rozmowa z tem dzieckiem, dopiero on na to:

— No patrzcie, moiście wy ludzie, na co to człek się naraża, jeźli przed własnem dzieckiem języka nie strzeże i w grzesznej nieuwadze plecie co mu ślina do gęby naniesie. Ojcowie tego dziecka, których znam doskonale, niezgodni, złośliwi są ludzie i w wiecznej ze sobą poswarce. Niechno mąż nieco podczmielony wejdzie na wieczór do izby, jużci go żoneczka przywita: Masz tobie, o moje nieszczęście! jużeś się znowu zdoił, przeklęty czarcie! — Na co jej mąż, grożąc kułakiem, powiadał: — Milcz babo! tyś sama czart z czartów; a jeno miel mi dużo językiem, to cię i zwalę. — Już tedy tego wieczora nie dorachowałbyś się tych czartów, co ich sobie nagadali oboje w obecności dzieci. To znowu kiedy które dziecko coś nabroiło, wnet matuś do niego: — Ty przeklęty czarcie! To istny czart będzie jako i ojciec. — Abo inną razą kiedy się kłótnia wszczęła w domu, to jedno po drugim nuż wykrzykiwać do siebie: — A niech też wszyscy diabli wezmą! a dyć ten dom, to prawdziwe czartowskie gniazdo!... To też chłopiec takich rodziców, od maleńkości nawykły do czartowskiego imienia, na tem większą hańbę ojców swoich, ani zna oto, jakoby inaczej ich nazwać przed ludźmi.

Niechże wam to stanie za straszny przykład, rodzice, aby i wasze dzieci źle pouczane za młodu, takiem imieniem na starość was nie przezwali, i w obecności świata nie pohańbili wasz siwy włos. „*Czego się skorupka za młodu napije*, *tem trąci na starość*;" uważcie to sobie dobrze, i dla miłości dzieci waszych i dla własnej bezpieczności przed Bogiem, przed którym kiedyś ciężki z tego zdawać będziecie rachunek, strzeżcie się popędliwości i złego języka, nie dawajcie maleńkim waszym zgorszenia ze siebie, a dochowacie się pewnej pociechy na swoje stare lata.

Burza. Znać niedosyć wyburzyło się lato, bo jeszcze coś i jesieni przekazało w dodatku na utrapienie ludzkie. Niedawno temu pisali z Krakowa o srogiej burzy z piorunami. Dziś znowu donoszą z Lutowisk ze Sanockiego, jako tam jeszcze sroższa panowała burza. Zerwałać się ona o godzinie 10 przed południem i trwała przez całe dwie godzin. Powiadają, że przez ten czas niepodobna było z domu głowy na dwór wychylić, tak śmigało gątami, których tysiące zerwane z dachów po powietrzu latało. Co więcej, wiatr był taki silny, żeć krokwie na 8 cali grube a długie na kilka sążni niósł kilkadziesiąt kroków daleko. Takoż siła drzew połomało i dużo innej ludziom poczyniło szkody.

Zaraza na ptactwo. Przychodzą różne choroby na ludzi, coć tak nagle chwytają że ani się spodziejesz, kiedy cię śmierć zgładzi ze świata. To znowu często gęsto zdarzy się pomór na bydło — strach to wielki dla gospodarzy. Dziś, dziękować Bogu, jakoś nie słychać bardzo ani o jednem ani o drugiem. Zato *ptactwo nieboractwo* doznaje złego licha w tym czasie. I tak na pruskim Slązku nie opodal miasta Raciborza już prawie od dwóch miesięcy panuje jakaś zaraza na jaskółki, żeć padają nieżywe jak muchy. W tymci samym kraju padła bieda i na gęsi, tak że ich wielka moc miała wyginąć. A znowu od Kalisza, co się tak nazywa jedno miasto w naszej Polsce, donoszą nam, że już sobie tam rady dać nie mogą biedne kobiety, tak się onem srodze drób marnuje, niewiedzieć z jakiej choroby. Proścież Boga, gosposie nasze! żeby was zachować raczył od takiego frasunku, zaś tamtych żeby jak najprędrzej zło ominęło.

Kto winniejszy? A bodaj was jasne pioruny siarczyste trzaskały z wołami! ta k'sobie! na! a bodajcie! — Stój chłopcze! co ty robisz? zawołał gospodarz na swego parobka Bartka, który okładając kozicą bydło, klął bez umiarkowania. — A no, jakżeż tu miły gospodarzu nie kląć i nie bić, kiedy te psiajuchy nie idą jak powinny, ozwał się Bartek. — Woły jak woły, — powie na to gospodarz — trzeba mieć wyrozumienie, robactwo tnie, nie dziwota, ogania się jak może bydlątko, a jako bezrozumne, nie wie, że nie idąc prosto, źle robi. Ale ty Bartku! wiesz że się kląć nie godzi, ani katować bydlęcia, a taki klniesz i katujesz..... *Któż tu przed Bogiem winniejszy?.....* Chłopcu jakby języka uciął, tak ani pisnął. Aż potem gospodarzowi pięknie się skłonił do kolan i poczerwieniał jak na to mówiąc burak ze wstydności, kiedy rzekł: No już się nie markoćcie na mnie gospodarzu, już ja źle czynił jak widzę, bo co prawda, to prawda — nie bydlątko ono nie rozumne, ale ja winniejszy przed Bogiem. Jeno że już się drugi raz na mnie to nie wykaże, to wam przyrzekam święcie!... Na to ucieszony gospodarz: — Dobrze Bartku, kiedy obiecujesz poprawę, bo inaczej t by mi strasznie o ciebie było markotno.

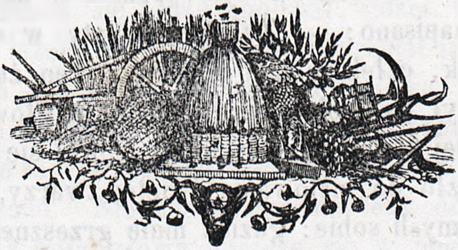
Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 14.

11. Listopada 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O niewinnym więźniu.

Powiastka.

Jeśli sumienie nic ci nie wyrzuca,
Znoś to cierpliwie czem cię świat zasmuca,
Bo po nad tobą czuwa Bóg na niebie,
Co twą niewinność okaże przez Siebie.

Tomasz Robiusz był to szewc nad szewce! Powiadają, że jak Kraków Krakowem, lepszego majstra nad niego nie było. Ale niedość, iże mu w tem rzemiośle nie lada kto wyrównał, był ci on także i we wszystkiem innem człek jak się patrzy. Bo to i bogobojny, i uczciwy, i rzetelny, nikogo na włos by nie ukrzywdził, a zawsze trzeźwy i przy pilnej pracy — słowem aż miło było posłuchać, coć tam ludzie o nim dobrego między sobą rozpowiadali. To też i wiedło mu się doskonale; rok w rok kilkanaścioro czeladzi pracowało w jego warsztacie, a zawsze było roboty po uszy — i był sobie on majster szewski, Tomasz Robiusz pan całą gębą.

Dużo to już od tego czasu upłynęło wody, kiedyć to się działo w Krakowie na Piasku — tak się nazywa jedno przedmieście krakowskie. A na tem przedmieściu od dawien dawna

stoi klasztor OO. Karmelitów, i kościół *Nawiedzenia Najświętszej Panny Karmelitańskiej*, której obraz cudowny przechowuje się w kaplicy tegoż kościoła. O tym obrazie w księgach klasztornych tak stoi zapisano: — Żył przed laty w onym klasztorze pewien braciszek, człek wielce pobożny. Ten że to był malarz z prefesyi, ułożył był sobie razu jednego w głowie, wymalować obraz Naświętszej Panny do kościoła. Zabrał się tedy do pracy; ale kiedy przyszło do malowania świętej twarzy, srodze się zafrasował. Bo i myśli sobie: gdzież mnie grzesznemu człowiekowi malować twarz Przeczystej Panienki!... Nie podołam ci tej pracy, oj nie podołam!... I myśli dzień jeden, i drugi dzień nad tem myśli, a medytuje, a wciąż się modli, aby go Matka Najświętsza do tej pracy łaskawie natchnąć raczyła. Dopieroż trzeciego dnia wstąpił duch w niego — i jużci się miał zabrać do malowania, aż tu na jeden raz patrzy — o wielki Boże!... na obrazie pojawiła się cudownie twarz Najświętszej Panny, i w prześlicznem malowaniu jakoby żywa pogląda ku niemu. Wtedy on pobożny braciszek upadł na kolana, wielbiąc cud pański, a potem zwołał całą bracię klasztorną, i opowiedział im co się stało. Od tego czasu kościół OO. Karmelitów na Piasku, gdzie umieszczony był ten obraz, przybrał nazwanie: *Nawiedzenia Najświętszej Panny* — i działy się odtąd różne a różne cuda.

Między innymi doznał tej łaski i on majster szewski, Tomasz Robiusz, a to przy takiej okazyi. Miał ci on serdeczne nabożeństwo do Najświętszej Panny Karmelitańskiej — więc nie było dnia, żeby kiedy opuścił mszę świętą w tym kościele, i nie pomodlił się przed cudownym obrazem.

Było to jakoś w później jesieni. Nasz Tomasz ranny ptaszek, toć w czas zebrał się, i według swego zwyczaju idzie na prymarję do Karmelitów. Na dworze noc prawie jeszcze była, na ulicy pusto i cicho, żywej duszy nie widno. Przyszedłszy pod kościół, że był jeszcze zamknięty, nasz Tomasz ukląkł sobie na schodkach pod kaplicą, i począł odmawiać ranne modlitwy. I było tak przez jakąś chwilę — aż tu naraz ni z tąd ni z owąd, w kościele powstaje srogi krzyk i gwałtowanie, i zaraz potem w oknie kaplicy ukazał się jakiś setny chłop. Nasz majster, klęczący tuż pod kaplicą, widzi go, ale jakoś na razie tak

się zadziwił, iż ani się z miejsca nie ruszył. Tymczasem on chłop dał z okna susa na ulicę, tak że jeno majstrowi zafurczało wedle ucha, i zanim się tenże spodział, jużci tamten chwycił za czapkę jego, leżącą na schodkach, i wrzucił ją przez otwarte okno do kościoła — a potem jak nie da drapaka, tak tyle wszystkiego co za nim zadudniło. Dopieroż teraz zrozumiał majster, o co rzecz idzie: że to był złodziej niecnota, którego przy kradzieży w kaplicy spłoszono. Nie namyślając się tedy długo, jako był bez czapki, tak z gołą głową puszcza się w pogoń za złodziejem, krzycząc na całe gardło: gwałtu... złodziej... łapajcie!...

Ale właśnie, łapać tam było rychło w czas, kiedy już złodziej Bóg wie za którą był górą. Ani śladu po nim — sam jeno majsterko nieboracze pędzi bez upamiętania dalej a dalej drogą, kędy złodziej umykał, a wiatr mu hula po gołej głowie, a on krzyczy wciąż: łapaj! łapaj!... Tuż za nim wali znowu kościelny z kilkorgiem ludźmi, których sobie przybrał do pomocy.

Kościelny małe, pękate chłopisko, wyglądał iście jak ta kula, co się katula po równej drodze, kiedy ją kto z mocą wyrzuci. Na twarzy czerwony był gdyby najpiękniejsza piwonia, głowa łysa jak pałka, bez nijakiego pokrycia zakurzyła mu się straszliwie od potu, gębę szeroko otworzył jak wrota, bo mu już powietrza zabrakło, więc chlipał go co się weń wlazło, a odsapywał gorzej kowalskiego miecha, zaś rękami nieprzymierzając jak ten pływacz robił po powietrzu. A kiedy tamten na przodzie wołał: łapaj!... wtedy kościelny groźnie głową potrząsał, zakaszlał się i zakrztusił jakby go kto za gardziel dusił, i jeszcze pocieszniej wymachiwał rękoma w powietrzu.

Po dobrej nareszcie chwili opamiętał się Tomasz, a widząc, że to jeno próżna jego fatyga, bo o złodzieju ani słychu dychu, zatrzymał się setnie zmachany w pośrodku drogi. W tejże samej chwili słyszy pęd po za sobą, i jużci go ktoś uchwycił gwałtem za kołnierz.

Byłto kościelny z swymi pomocnikami.

— Ha — sapnął mu kościelny z wielką mocą nad uchem — mam cię t e d y p a n i e bratku! i potrząsł nim z całych sił, trzymając za kołnierz; a inni do koła go otoczyli. — Masz

tedy panie łapaj... a złodziej! a taki, a owaki, a widzisz jużci mu święty kościół zawadza, tedy panie bezwstydnik jakiś świętokradzca! poczekaj, nauczę ja cię tedy panie jak to po kościele gwizdać — bierzcie go!...

I dalejże wszyscy po kolei do naszego Tomasza, jak ci go nie wezmą w obroty, tak naszarpali, naszturkali, nałajali się go na czem świat stoi, a Bóg wie za co. Aż go też nareszcie jako ostatniego złoczyńczę powiedli ze sobą ku miastu.

I patrzcie no, moi ludzie, jak to ni z tąd ni z owąd, popadł nasz biedny majster w nieszczęście, i co jeszcze gorsza, bo w tak brzydkie posądzenie o świętokradztwo. Napróżno się zaklinał na Boga i na zbawienie duszy swojej, że jest niewinny! — kościelny na to wszystko ukazał mu jako dowód jego własną czapkę, co ją był znalazł w kościele: — Widzisz tedy panie żeś złodziej — powiada — i basta, ani mrumru!...

Naprzód zaprowadzili go do klasztoru, i tam wytoczono tę całą sprawę przed przełożonym. A że każdy człowiek, choćby nie wiedzieć jakie nauki posiadał, jest zawsze tylko człowiekiem, to jest słabą istotą, i nie może wiedzieć przez Ducha świętego, co się tam w wnętrzu drugiemu święci, to też i przełożony klasztoru, chociaż znał majstra Tomasza, i miał go dotąd za bardzo uczciwego człeka, sądząc ale teraz z wszystkich pozorów, rad nie rad, musiał go uznać za winnego, i do sądu miejskiego odesłać kazał.

Przed sądem jeszcze się raz próbował uniewinnić nasz Tomasz — ale wszystko napróżno; nieszczęsna czapka świadczyła przeciwko niemu, a choć się nieborak tłumaczył, że to mu jakiś złodziej takiego figla spłatał, ciskając jego czapkę do kaplicy — sędziowie ani sobie mówić o tem nie dali. Także i tem mu ćwiekano w oczy, że uciekał przed goniącymi. On na to znowu że nie prawda, bo właśnie tak było, że on gonił złodzieja, i sam wołał o pomoc. Ale i temu nie chcieli dać wiary sędziowie. Koniec końców stanął wyrok przeciwko niemu, i osadzili nieboraka w ciężkiem więzieniu.

Oj! bo i prawda że to ciężkie było więzienie, a tem bardziej że go w niewinności swojej znosić musiał nasz biedny Tomasz. Mój Boże! on co się tak starał sumiennie zachować w całem

swojem życiu, aby zasłużyć sobie na dobre imię u ludzi, i przekazać go swoim dzieciom w spuściznie — o jakże teraz srodze musiał cierpieć nad tem, że go takie niedobre posądzenie spotkało od ludzi, a zatem i sława jego poszła w poniewierkę, i wielka hańba jako ta plama padła na jego czyste imię. Toć drugi na jego miejscu może byłby się zapomniał z rozpaczy i wyrzekał na Boga. Ale Tomasz Robiusz nie uczynił tego, owszem modlił się tem goręcej, i wdzięcznie a pokornie znosił to całe swoje nieszczęście jako próbę zesłaną na niego od Boga na przekonanie, ażali też mocną jest wiara i miłość jego. Bo i tak bywa często, że pan Bóg sprawiedliwych swoich doświadcza na ziemi. Wielką też ufność pokładał Tomasz w cudownej opiece Najświętszej Panny Karmelitańskiej: że go w tak srogim smutku pocieszy i wybawi z więzienia, i przed światem znów mu jego dobre imię przywróci.

Jak długo cierpiał w tem więzieniu — nie wiadomo; dość że po niejakim czasie na raz jakby mu kto kamień młyński zdjął z serca, tak mu się stało jakoś lekko i wesoło, aż się nieboraczysko rozpłakał z radości. Tejże nocy długo się jeszcze modlił, i potem jeszcze przez sen rozmawiał z Panem Bogiem. A że nie był sam jeden w więzieniu, jeno z jakimś drugim siedział pospołu, to ten wszystko to słyszał, i nazajutrz rozpowiadał przed sądem, jak się cała rzecz miała. Owóż w tym śnie ukazała się biednemu Tomaszowi Najświętsza Panna w takiem samem wyobrażeniu, jak tam jest namalowana w kościele u XX. Karmelitów na Piasku; i rzekła do niego: wyczekałeś nareszcie Tomaszu twoją wolność — jutro stanie się koniec twym cierpieniom, niewinność twoja pokaże się przed światem, i będą cię znowu ludzie szanować i czcić twoje imię poczciwe. Zaś to, coś ucierpiał niewinnie, poświęć za grzechy tych, którzy zaślepieni nie pełnią przykazań Syna mego.

Po tych słowach Najświętsza Panienka znikła — a Tomasz się obudził. Zaraz też równemi nogami zeskoczył z łóżka, i padł krzyżem na ziemię, dziękując Panu Bogu i Matce Najświętszej za objawienie. I już aż do samego rana przeczuwał z mocną wiarą iże się tak stanie, jako mu Najświętsza Panna Karmelitańska we śnie objawić raczyła. No i jakże myślicie?... byłże to

sen tylko, próżna mara? alboli szczere objawienie, cud Boski? a jużciż cud Boski, a nie co innego!

Boć zaledwo nazajutrz rano poschodzili się na sądy panowie sędziowie, jużci drzwi się otwierają do więzienia, w którem niewinnie osądzony był Tomasz, i wyprowadzają go do izby sądowej. Tam jeden ze sędziów przeczytał mu wyrok niewinności. Biedny Tomasz mało co nie zemdlał z radości. A w tej chwili wprowadzają do izby sądowej jakiegoś człeka. Ten skoro zobaczył naszego majstra, od razu rzuca mu się do nóg, wołając: — O poczciwa i niewinna duszo! przebacz mi, bo to ja jestem, com cię naraził na ludzkie posądzenie i na niewinną karę. Wielki ja grzesznik, ale Pan Bóg się nademną ulitował i Matka Najświętsza. Ona to objawiła mi się dziś we śnie i nakazała, abym grzeszną moją duszę ratował, wyznając przed sądem swoją wielką winę, a przeto bym ciebie niewinnego wybawił od niezasłużonej kary. Uczyniłem tak, i pójdę z lekkiem sercem do najcięższego więzienia, byleś ty mi przebaczyć raczył.

No jużcić nie potrzeba wam gadać, iż to był ten sam złodziej, którego spłoszono przy kradzieży w kaplicy Najświętszej Panny Karmelitańskiej, i coć go tak zawzięcie ścigał nasz Tomasz ale napróżno. I myślał by kto, że się na niego majster pochmurzył, i że mu robił jakie wymówki?... gdzie tam! ani mu słowa marnego nie rzekł, ani nawet nie pokazał na twarzy najmniejszej ku niemu urazy — owszem jako prawy Chrześcijanin przebaczył zaraz i wielce się z tego nawrócenia grzesznika ucieszył.

Wróciwszy na wolność, przedewszystkiem udał się do kościoła Najświętszej Panny Karmelitańskiej, i tam przed Jej cudownym obrazem szczerze się pomodlił, dziękując za doznaną łaskę. Żył potem jak powiadają jeszcze długo, a miał u ludzi poważanie i szacunek aż miło, i był sobie jak pierwej Tomasz Robiusz szewc nad szewce, pan całą gębą.

Na tem się kończy historja o niewinnym więźniu.

J. K. T.

Bartosz ukarany.

Poczekajcie chłopaki, zamiast w karczmie siedzieć,
Posłuchajcie mię trochę, dobrze wam co wiedzieć;
Powiem dziś o Bartosie, co tu żył przed laty,
Na grosz był nieużyty, chociaż człek bogaty.
Bartosz miał to domostwo co to pustką stoi,
Grunt co leży odłogiem wedle roli mojej,
Miał koniki jak wałki, podostatkiem chleba,
Trzodę, woły i pszczoły, ba!... co ino trzeba!
Miał żonę, miał i syna chłopaka tęgiego,
Jankornego, sprytnego, lecz trochę hardego,
Bo już żyłka ojcowska dostała się jemu,
Że z drogi nie ustąpił choćby najstarszemu.
Ale zresztą był chłopak daj nam takich Boże,
Umiał się z książki modlić, popracować może,
Na weselu, kiej drużba a sunie raźnego,
Baby gębę otworzą i patrzą na niego.
Cudeńka dokazywał! a gdy zacznie sztuki,
Myślałbyś że za morze chodził po nauki.
Chłopak to do wszystkiego, a jak orze, włóczy,
Chociaż to od młodego stary się nauczy.
Cieszył się Bartosz synem i zhardział z pokusy,
A do ludzi mamrotał kieby niemiec kusy.
Gdy przyszedł do kościoła, już świece gasili,
I nie zmówił Zdrowaśki, gdy wieczór dzwonili;
Dziadkowi kościelnemu nie otworzył trzosa,
A jeżeli syn dawał, to patrzył z ukosa.
Raz, było to z wieczora, siedział on na chłodzie,
Dziad przyszedł, a ten woła: poszedł ty narodzie!
(Bo i klął aż strach słuchać), — poszedł dziadowina
I zapłakał, bo głodny, a pusta torbina.
Wieczór nadszedł, i chmury stanęły na niebie,
Żeś człowieku nie widział płota wedle siebie.
Jak ci potem nie zagrzmi, jak ci piorun trzaśnie,
Patrzę, i dom Bartosza już w płomieniach właśnie.
Wiecie, że u nas, jeśli piorun co zapali,
Nikt się nie ruszy bronić, choćby we stu stali —
Naraz wszystko spłonęło, obora, dobytek,
Stodoła, i z wszystkiego został mu się kwitek!
Mało w tem było straty co ogień zagrabił,
Kominem wleciał piorun i syna mu zabił.

A kobieta nieboga z żałości zmarniała,
Zaniemogła i więcej światu nie ujrzała.
Zbiedniał Bartosz od razu, wziął torby na siebie,
I włóczy się po świecie o proszonym chlebie.
Nikt gruntu nie obsiewa, każdy z nas się boi
Kupić tego, co z krzywdą nieszczęśliwych stoi:
Bo jak nietrudno zgadnąć, było u Bartosza
(Po prawdzie powiedziawszy) dość cudzego grosza.
Tak to moi kochani — kto komu zazdrości,
Biednego nie posili, ten w Bożej miłości
Nie bardzo dobrze stoi, choć czasem w dostatku,
Prędko może iść z dymem, torbę wziąść w dodatku.

(*Cz. N.*)

Jak to sobie nasi ludzie poczynają w chorobie.

(Wypisano z nowego Kalendarza pana Wielogłowskiego w Krakowie.)

Wojtek i Feliks (przed karczmą).

Feliks. Pokrzepnieliście przecież?

Wojtek. Ej gdzie tam! zawsze słabuję i zimno mnie tłucze, a nijakiej sobie rady dać nie mogę.

Feliks. Toby wam trzeba iść do doktora, coby wam poradził.

Wojtek. A jużciby trzeba! ale ktoby tam chodził! najpierwej że niema czasu, a potem jakby zaś napisał jakie drogie lekarstwo? albo kazał iść do szpitalu?!

Feliks. Jużci kiedy trzeba to niema rady. Gorzej jakbyście zamarli.

Wojtek. Toby się tam już raz z człowiekiem skończyło.

Feliks. A przecież wam szkoda odumrzeć takiego gospodarstwa; napracowaliście się dosyć w roli, abyście mieli odumierać a jeszczeście niekoniecznie starzy.

Wojtek. Nie starym tam, alem wyterany, bo wziąwszy pustkę po nieboszczyku ojcu, i tak od młodych lat trzeba było w niej harować. Mnie się z tego teraz stało, żem w lesie wziął kija na udźwig i przemogłem się, więc mnie zaraz zimno stłukło.

Feliks. Tocto to, żeście się przemogli! z tego najprędzej bywa oberwanie. — Gdybyście się byli od razu kazali babie tłustem wysmarować, toby wam było pomogło, ale teraz to wam się już zakalec we wnątrzu zrobił.

Wojtek. To też tak było nieboszczykowi szwagrowi co umarł już pięć lat będzie na wiosnę. Ciekawe było chłoposko do roboty, a kamienie na gościniec wozili. — Przywieźli setną furę i zwalali kamienie, a on jak się chwyci i dźwignie do góry gnojnicę, tak pękło w nim coś, że sechł, sechł, aż na nim tylko skóra na kościach została i umarł.

Feliks. A choćbyście się wy zaradzili leśniczego?

Wojtek. On nie zna; już zna lepiej garncarz.

Feliks. Prawda iż garncarz uznany człowiek, a często doradzi.

Wojtek. To tam może i pójdę... zostańcież z Bogiem.

Feliks. Idźcież Wojciechu z Panem Jezusem.

Wojtek u garncarza.

Wojtek. Nie pojechaliście to z garnkami do miasta?

Garncarz. A nie pojechałem, ale będę ładował na wtorek; a czyście mieli jaką potrzebę do miasta?

Wojtek. Miałbym tam był może, ale sam nie wiem coby powiedzieć, bo człek nie domaga, i takim jakoś kiepski.

Garncarz. A z czegóż tak?

Wojtek. Bom się w lesie udźwigał, i odtąd ani mam smaku do jadła ani do picia. — Serwatki tobym się tam jeszcze napił albo maślanki, ale jeść to nie mogę.

Garncarz. Toby wam trzeba iść na krew, ale wam lada kto nie puści, bo jest zakaz; chybaby żyd wam po nieświadomu upuścił.

Wojtek. Dobraby była i krew, ale cóż kiedy na to trzeba iść do Krakowa, a nie puści jak za złoty.

Garncarz. To też że drogo i jeszcze cyrulik domaga się kartki od doktora; a żyd wam upuści za każde pieniądze ile mu dacie. — Upuści wam za sześć groszy i za dwanaście, jakbyście chcieli drugą miseczkę dociągnąć. — Zwyczajnie za wasze pieniądze to wam utoczy ile jeno chcecie!

Wojtek. A toć lepiej u żyda, bo za ile człowiek chce, za tyle ma. — Trzebać będzie iść jutro do żyda, a może też niewiara weźmie i skórki z królików co je mam na strychu, to się i bez zapłaty obejdzie!

Garncarz. Co nie ma wziąść!... U żyda wszystko pieniądz; żyd jeszcze woli, bo zarobi i na krwi i na skórkach.

Wojtek. Ha, dziękuję wam za poradę, mój garncarzu;... zawsze człek nie uchybi, jak się mądrego poradzi.

Garncarz. Nie macie za co dziękować, mój Wojciechu, przecież grzech drugiemu nie poradzić, kiedy Bóg dał komu ten sposób. —

Wojtek u żyda.

Wojtek. Słuchajcieno Mośku, czybyście mi krwi nie upuścili?

Mosiek. Czemu nie! a macie od doktora kartkę?

Wojtek. Nie mam żadnej kartki, bo mi garncarz naraił.

Mosiek. Jak wy chcecie żebym ja wam krew puszczał, kiedy straszny zakaz! jabym poszedł do aresztu na ratusz.

Wojtek. Albobym ja to komu powiedział?! puścilibyście mi i kwita!

Mosiek. A co mi za to dacie?

Wojtek. Dałbym wam skórkę z królika, a jakbyście mi więcej upuścili, tobym wam i dwie podarował.

Mosiek. Głupiście wy mój gospodarzu, abym ja wam za takie skórki co są latowe i z młodych królików krew bez kartki puścił. — Co one obie warte?.... dwanaście groszy! to i półkwaterka wam krwi nie puszczę! jak pójdziecie do doktora, to musicie mu dać cztery złote za samą kartkę!... a wasza droga! a to co stracicie!... to mało was będzie kosztować sześć złotych!.... Rozumiecie? a teraz mnie niechby złoty za miseczkę krwi, to zmiarkujcie na wiele wam to wypadnie!...

Wojtek. No, mój Mośku, to wam już przyczynię kilka jajek!

Mosiek. Co to jajka! to kura nosi a nie wy, co one was kosztują?! — Jak mi dacie trzy złote to wam bez kartki puszczę.

Wojtek. Już wam dam złoty i skórki.

Mosiek. A jajka?...

Wojtek. Niechże tam! to wam dam i jajka.

Mosiek. To siadajcież, to wam upuszczę na miseczkę a trochę wam się ulży; ale jakbym wyciągnął z was dwie miseczki, tobyście dopiero byli zdrowi! ale wam tego zdrowia nie obiecuję, tylko jak dodacie jeszcze złoty!

Wojtek. Ej, mój Mośku, nie obciągajcież mnie też!

Mosiek. Co was mam obciągać, kiedybyście drugie tyle doktorowi zapłacili, a nieby wam nie pomógł. No... jużeście?!... Dobrze! Ay wej! jaka krew! gdyby smoła! patrzajcie, aż się kurzy, a taka na niej piana, żebyście na to samo byli umarli. — To macie dopiero szczęście żeście do mnie przyszli! — Ny... teraz będzie dobrze!...

Fizyk powiatowy we dworze.

Pani Dziedziczka. Więc pan był łaskaw być u tego Wojciecha, który o ile się zdaje, chory na tyfusa.

Doktor. Właśnie od niego wracam, chociaż nie obiecuję mu życia. On chorował na febrę żołądkową, ale najadłszy się w dzień paroksyzmu, zabrał się z jadącemi furami do miasteczka i kazał sobie żydowi puścić dwa talerze krwi. — Oczywiście rozwinęła się choroba, z której zapewne nie wyjdzie. Jednak przepisałem mu lekarstwo stosowne, i należałoby dopilnować, aby je regularnie zażywał.

Pani D... Tu jest właśnie cała trudność leczenia na wsi, iż nietylko sam chory ma niezwyciężony wstręt do lekarstwa, ale rodzina i sąsiedzi, zamiast pilnować wykonania rozkazów lekarza, odradzają i swoje środki stręczą. Mogę panu zaręczyć, iż ani po lekarstwo nie poślą, ani też gdybym sama po niego posłała, nie dadzą choremu. Często sama muszę chorym zadawać lakarstwa, ale trudno wystarczyć; chorych jest dużo, a wieś rozległa. — Tyfusa zwykle leczę roślinnemi kwasami i zimną wodą.

Doktor. Bardzo pani dobrodziejka dobrze robi, jest to najnowszy a razem najtrafniejszy sposób leczenia.

Pani D... Czy u Wojciecha wynagrodzili panu doktorowi fatygę?

Doktor. Wcale nie, ale oto mniejsza, bo zwykle rad moich udzielam ubogim bezpłatnie.

Pani D... To bardzo szlachetnie, ale skoro ja pana prosiłam o odwiedzenie chorego, przeto będę panu dłużną wynagrodzenia.

Doktor. Dla czegoż pani ma płacić za włościanina, który przestawszy być państwa poddanym, nie zostaje już pod opieką dziedzica, a nawet względnie bogatszym jest dzisiaj i szczęśliwszym od dawnych swoich panów!...

Pani D... Bo przywilej mógł być zniesiony, ale obowiązek sumienia nam został. Odjęto nam władzę, ale Bóg nam nie odjął obowiązków miłości Chrześcijańskiej.

Doktor. To bardzo piękne uczucie, i dla tego pozwoli pani, abym towarzysząc się z panią dobrodziejką w miłości bliźniego, rady mojej bezpłatnie choremu udzielił.

Wojtek w karczmie w miesiąc potem.

Wojtek. Nic mi nie pomogło, jeno co mi organiścina przyniosła, i ledwiem wypił zaraz mi się ulżyło.

Franek. A cóż ona takiego wam dała, że wam tak pomogło?

Wojtek. Ona powiada, że to psie sadło z wódką.

Franek. A gadali we dworze, iż was ten doktor z powiatu poratował!

Wojtek. Ale coby zaś!... on mi dał takie lekarstwo, co nijakiego nie miało smaku, jeno jak woda i nic nie było tęgie.

Franek. Znowu słyszałem, że się jejmość we dworze przechwala, że ona was dźwignęła.

Wojtek. A jakże!... ona! już też to głupie takie gadanie! posłała mi tam coś kwaśnego do picia i gada że mnie wskrzesiła, a bez organiściny tobym był dawno kopyta wyciągnął.

I otóż macie tu szczerą prawdę przed oczyma — jako nierozumnie zwykliście sobie poczynać w chorobach waszych. A źle, bardzo źle, moi ludzie, — Bóg by się ulitował nad wami, ta żebyście już raz lepszego nabrali rozumu.

Co nieco o koniach.

Już raz czytaliście w Dzwonku powieść o rycerzu Przybysławie i o jego wiernym koniu: jakto zagnany był przez złodzieji za góry aż do Węgier, a przecie i tam nie zapomniał o swoim dawnym panu, i jak po niejakim czasie zabrawszy ze sobą całą stadninę obcych koni, które się z nim na jednej łące pasały, powrócił wraz z niemi do domu. Dodamy jeszcze, że ten Przybysław na podziękowanie Panu Bogu za dobrodziejstwo, jakie mu wyświadczył jego wierny koń, wystawił później piękny kościół z palonej cegły pod jedną górą, którą właśnie na tę pamiątkę nazwali ludzie „Koniuszka."

Daleko później żył w Polsce jeden sławny wojownik, którego imię każdy Polak winien w wiernej zachować pamięci. Nazywał on się Stefan Czarniecki, a tem się wsławił: że kiedy nasz polski kraj najechali Szwedy, i jużci tu sobie jak w swoim własnym gospodarowali domu, wtedy Stefan Czarniecki, wezwawszy Pana Boga i Matkę Częstochowską w pomoc, zebrał na prędce garstkę Polaków, i na czele tych mężnych jak się rzucił na Szwedów, jak zaczął ich prażyć uczciwie, tak nareszcie dokazał tego, że Szwedziska zmykali z Polski aż się za nimi kurzyło. A miał ci ten Stefan Czarniecki i konia, który mu podczas owej sławnej wojaczki od początku aż do końca wiernie służył. I kiedy po życiu tak chwalebnem przyszła nareszcie śmierć na naszego hetmana, i we wsi Sokołówce pod Dubnem, zasłabłszy nagle, złożony był w jednej chacie — to koń jego podczas tej słabości nic ani jadł, ani pił, jeno ziemię kopał, boleśnie pokwikiwał, a w czasie konania pańskiego wywrócił się i już było po nim. Takci biedny konisko przywiązany był szczerze do pana, że ani na chwilę nie mógł żyć bez niego.

Sławny był też koń Tadeusza Kościuszki. A wszakże znane wam to imię, to imię drogie dla naszego polskiego kraju. A ktoby go nie znał, niechże się w piersi uderzy, że nie wie o tem, o czem każdy Polak wiedzieć powinien. Tam w Krakowie ku zachodowi nieopodal Wisły, wznosi się wysoka mogiła. I komuż to, komu usypali ludzie taką wysoką mogiłę? Był że

to król albo jaki mocarz świata?... oj nie był ci on ani królem, ani mocarzem świata, jeno polskim wojownikiem, sławnym jenerałem — ale że się był wielce krajowi zasłużył, pożyskał sobie za to serdeczną miłość w narodzie, tak, iż mu po śmierci na wieczną pamiątkę sławy jego usypano taką mogiłę w Krakowie.

Owóż ten Tadeusz Kościuszko, żyjąc na wygnaniu w Szwajcaryi, co to jest taki kraj bardzo górzysty, leżący pomiędzy Włochami, Francyą a Niemcami — trzymał sobie na swoje stare lata konie do przejażdżki. I stało się razu jednego, że nie mogąc sam z domu wyjechać, posłał na tym koniu służącego za sprawunkami do miasta. W parę godzin wraca służący i powiada: — Wielmożny panie jenerale! jeśli mię jeszcze kiedy wyślesz na swoim koniu, to niech mi pan da i worek z pieniędzmi na drogę. — Kościuszko na to jeno się dobrotliwie uśmiechnął, i znać że się już wszystkiego dorozumiał. A służący tak dalej powiadał: — Ależ bo to i koń, z kąd jemu taki rozum, wielmożny panie jenerale! Gdzie tylko jaki ubogi stał przy drodze, jużci i on jakby na przekór przystawał przed nim, i póty się z miejsca nie ruszył, pókim coś biedakowi nie wtrącił do łapy. A tu jak na nieszczęście gdzieś tych ubogich jakby nasiał po drodze. Zachodzę w głowę nie na żarty: co tu robić! koń przy każdym ubogim staje, i ani rusz, w kieszeni już nie mam ani złamanego szeląga, więc trza było się wziąść na sposób. Udaję tedy, że niby z worka dobywam pieniędzy, i że je niby daję ubogiemu, i dopiero wtedy koń ruszał z miejsca. Z tej racyi, panie jenerale, zmitrężyłem wiele czasu, i dla tego tak późno z miasta przybywam. — Trzebać wam teraz wytłómaczyć, z kąd ten koń naszego jenerała nabył takiej litości dla ubogich. Kościuszko chociaż był sławny wojownik, i kiedy trzeba było bić nieprzyjaciół, wtedy bił należycie — tak znowu jako człowiek jedyna to była dusza, a zwłaszcza dla ubogich wielce łaskawy. Owoż przejeżdżając się często na swoim koniu, gdzie tylko zobaczył jakiego biedaka, zaraz stawał, dobywał pieniędzy, i darzył ubogiego. A że się to prawie co dnia działo, i tak przez długi czas, wię niedziwota że koń zmyślna sztuka i tak się w końcu do tego nałożył, iż bywało nieraz, kiedy się jego pan zamyślił i nie uważał

ubogiego, to on mu już sam przypominał, zatrzymując się w miejscu — za co go też jeszcze mocniej polubił nasz Kościuszko.

Jeden znów szlachcic z Lubelskiego miał klacz, którą z różnemi rzeczami i z listem posyłał o trzy mile do miasta Lublina, a takie to było zmyślne i wierne zwierzę, że przez drogę nikomu się nie dała schwytać, i wracała bardzo spiesznie do domu.

Ale na co to szukać daleko — ot u nas tu w Galicyi pod Jarosławiem nie bardzo dawno temu był koń, który jak jaki pastuch innych koni w stadzie pilnował, zaganiał je kiedy się nie trzymały kupy, i pędził gdzie należało, a skoro się wilki pokazały, budził parobków co tam byli na straży, i do obrony wzywał.

I powiedzcież sami, czy to nie grzech zdziwiać się nad takiem stworzeniem, co takie zmyślne, a dobre, a wdzięczne względem swego pana, żeby go nieraz i człowiekowi można postawić za przykład?...

RÓŻNOŚCI.

Podróżny. Wiele mil od nas na zachód, aż nad granicą francuzką leży ludny kraj katolicki, a nazywa się Westfalja. Tamtejsi mieszkańcy słyną daleko z pobożności; — są przytem uprzejmi, pracowici i zaradni; — a gdy w domu zarobku nie mają, to szukają chleba o kilkadziesiąt a nawet czasem i o kilka set mil. Czasem i do nas zawitają z nożami, widelcami, ręcznikami, i. t. p.

Taki podróżujący Westfalczyk przybył niedawno do Wrocławia na Śląsku, i stanął sobie w oberzy, gdzie też i wiele innych gości było. — Gdy im w południe przyniesiono objad, pobożny Westfalczyk przeżegnał się i odmówił modlitwę, a potem dopiero zabrał się do jedzenia. A tu wszyscy obecni w śmiech! Westfalczyk na to wcale nie zważa, — zajada sobie smacznie, — a gdy się objad skończył, wstaje, znów się żegna, i odmawia modlitwę. — Jakby na komendę wszyscy obecni parsknęli od śmiechu, a jeden z nich zbliża się do naszego podróżnego, i pyta się, zkądby był.

Z Westfalii, odpowiedział krótko.

Czy też to wszyscy u was podobne dziwactwa robią przy jedzeniu?

Nie wszyscy. —

A któż tak nie robi? spytało się kilku razem.

Bezrozumne zwierzęta tak nie robią, odpowiedział znów krótko a zwięzłowato.

Wszyscy obecni spuścili jak to mówią nos na kwintę, i jak zmyci z wstydu zamilkli. Tymczasem Westfalczyk wziął kapelusz, i w dalszą puścił się drogę. —

Grzeszne spanie. Kiedy pora do spania — spijże sobie z Bogiem; kiedy stajesz do pracy — pracujże rzetelnie; a gdy idziesz do kościoła na modlenie — módlże się szczerze. Bo jeśliś gdzie na zarobku a spisz, tem samem stajesz się nierzetelnym, a nierzetelność, człeku, to grzech. — Jeśli znowu idziesz do kościoła na spanie, pokazujesz przez to nieuszanowanie względem Boga, co jest wielkim grzechem. Boć jeno pouważ sobie jeden z drugim: jakby to wyglądało, gdybyś stanął z prośbą albo z podziękowaniem przed jakim wielkim panem, i zamiast tej prośby lub podziękowania, żebyś mu tam zasnął w żywe oczy?... ta cóżby on sobie wtedy pomyślał? a no nic innego, jeno by widział, iżeś człek nieszczery i nicpotem, kiedy to niby po co innego przychodzisz, a co innego tam robisz. I jużby się on pan srodze na ciebie pogniewał. A tak właśnie czyni każdy spiący w kościele, urażając tem pana nad wszystkich panów, Boga przedwiecznego. Czy zaś nie taka prawda, jak mówię — powiedzcie sami. Oj, prawda to prawda! widziałem ja, widzieli i drudzy nieraz, i tem się strasznie gorszyli, żeć nasi ludzie po domach Bożych dopuszczają się tak *grzesznego spania.* Dawniej jeszcze po różnych krajach był taki zwyczaj, że płacono umyślnego chłopca, coby chodził po kościele, i onych niedobrych spiuchów budził a napominał. Dzisiaj że już nie ma tego zwyczaju, niechby się przynajmniej każdy sam napominał, i nie spał wtedy kiedy pora do modlenia. A wszakże każdy z nas, o mój Boże, ma o co się modlić i za co dziękować naszemu Ojcu w Niebiesiech!... niechby jeno w szczerej a nieobłudnej myśli szedł w odwiedziny do Bożego domu — a odejdzie go z pewnością to *grzeszne spanie.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kto na drugiego obówie czeka, musi długo boso chodzić.
2. Zdrowie i czyste sumienie, waż sobie za dobre mienie.
3. Bardziej boli od języka, niż od miecza.
4. Lepiej jest swoje stracić, niż się czyją krzywdą zbogacić.
5. Gdy co źle zrobisz, myśl o polepszeniu, a raczej na siebie się gniewaj, niż na tego co przygania.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. **Nr. 15.**

21. Listopada **1859.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

LEPSZA SWOJA.

Powiastka.

Gwiazdy się wyiskrzyły, wiatr mroźny zawiewał, i zdala już było posłyszeć po stwardniałej ziemi, kół turkot, stukot koni — a nawet i stąpanie ludzkiej stopy.

Przez okno dworu w Suszycy jasne biło światło, boć też właśnie stary Łukasz, dawny sługa w rodzinie państwa Brzozińskich, dziedziców — suchego łuczywa do kominkowego dokładał ognia.

Dziedzic i dziedziczka siedzieli przy stole i coś tam o gospodarce rozprawiali. Obok matki usiadła panna Jadwiga z robotą w ręku, urodziwa, młoda panienka, a tuż przy niej pan Władysław, dorodny młodzian, który już od kilku miesięcy smalił cholewki do panienki. Rodzice chętnem okiem na te patrzyli zaloty, bo za paniczem przemawiało wszystko: rozum, serce, rządność, statek, a nawet i niezgorszy kawał majątku.

Kawaler prawił pannie wesoło, a ona chichotała się, że aż igiełka z delikatnych wyśliznęła się paluszków. Wtem za-

szczekały psy na dziedzińcu i po zmarzłej ziemi było słychać, że kilkoro zbliża się ludzi. Kurty i kruczki coraz gorliwiej naszczekiwały, a stąpanie tuż za oknami słyszano.

— Łukaszu, wyjdź-no! Ktoś to tam nadchodzi? — zagadał pan Brzoziński do starego sługi.

— Toćże dziś sobota.... idą już pewnie — i coś tam sobie Łukasz pod nosem mruknął.

— Któż tam idzie? — zapytał znowu dziedzic.

— A Skibowie z synem i Gotfrydy z córką — zamroczył się stary. — A wszakże tam w czwartek były *pytanki* (oświadczyny).

— Jakto! więc Janek Skiba z córką Gotfrydów się żeni? — zapyta pani Bzrozińska.

— Atoć-to! — stary Łukasz znowu sobie pomruczał.

— O mój Boże! — zawołała panna Jadwiga — a przecież miał się żenić z tą ładną Marysią, córką Waliszki z Prędocina?

— A miałci — odrzekł Łukasz — ale młodzi poswarzyli się z sobą o jakieś tam głupstwo; dziewucha harda, Janek wziął na kieł i rozchwiało się. Gotfrydowie dla swojej Krystyny od dawna mieli chrap na Janka, nuż więc Skibom gadać to i owo, obiecywać niestworzone rzeczy, ta i złudzili starych. Zaś Janek, poszedłszy z Marysią *na udry:* złość na złość, i dalejże do Niemki. — Łukasz nagle urwał mowę, jeno tam coś zamamrotał przez zęby.

Dało się słyszeć szurganie poza drzwiami i szepty.

— Wprowadź-że ich — wyrzekł pan Brzoziński.

Łukasz podniósł się ociężale, podrapał się z niechęcią w głowę, przystanął i ciągle coś mruczał.

— To i czegoż tak mamroczesz stary? — zapytał dziedzic z uśmiechem.

— Ej, proszę wielmożnego pana, boć mi stoi gdyby kość w gardle to ożenienie Janka. Znalazłby przecie jaką polską dziewuchę i większe byłoby błogosławieństwo Boże. Taki dziarski parobczak!

— Ma racją, ma racją Łukasz — zawołał na to pan Władysław. — Zawsze to swoja lepsza. Niemasz, jak nasze polskie dziewczęta!

— Wszystko to lepsze i milsze co swoje — dodała panna Jadwiga.

— No, idźże Łukaszu, idź — ozwała się pani Brzozińska, widząc że staremu nie skoro wyjść było.

Wyszedłci wreszcie i wieśniaków wprowadził.

Pierwszym był Mikołaj Skiba, który wszedł do pokoju i państwu się skłonił: *Niechaj będzie pochwalony!* — Na co mu jednogłośnie odpowiedzieli wszyscy: *Na wieki!*

Stary Skiba był chłop rosły, barczysty, z długim posiwiałym włosem, bardzo poczciwego wejrzenia, w szaraczkowej sukmanie. Za nim weszła żona jego, przyjemnie uśmiechnięta niewiasta, osłoniona chustą czerwoną i okryta *pstruchą.**) Tuż za matką ukazał się Janek, wysoki, rażny parobczak, w granatowej, czyściuchnej sukmanie, z czerwoną wstęgą u koszuli. Dalej weszli Gotfrydowie: on sam chudy Niemiec, suchy, pomarszczony, w surducie z dużemi guzami ołowianemi, a żona jego mała, krępa, w czepcu z ogniście namarszczoną ślarką. Tuż przy rodzicach weszła i Krystyna, dziewczyna także niska, pękata, rumiana, z zadartym nosem a włosami gdyby len; podkasana w jakiejś sukni zielonej, zapasce czerwonej i spencerku siwym. A warkocz miała błyszczącym przypięty grzebieniem.

Mikołaj Skiba opowiedział państwu — według zwyczaju przyjętego — że syn jego pojmuje córkę Gotfrydów za żonę i że dzisiaj właśnie są *zrękowiny* (zaręczyny). Poczem skłonili się wszyscy. Krystyna uśmiechnęła się wesoło, lecz Janek wcale nie wyglądał na radosnego pana młodego.

Państwu Brzozińskim od razu to małżeństwo nie wydawało się stosownem i dobranem — ale cóż mieli mówić? Trudno było odezwać się inaczej. Kazali podać wódki, chleba z miodem na zakąskę, poczęstowali gości i wyrzekli dla młodej pary swoje najlepsze życzenia. Potem Skibowie i Gotfrydowie skłonili się znowu, i poszli do domostwa rodziców panny młodej, by obchodzić zaręczyny.

Zeszło się tam gości kilkoro, a mianowicie też Niemców z sąsiedniej kolonii, krewniaków Gotfryda. Pili, jedli, śpiewali: Krystyna zęby wyszczerzała — ale Janek wszelako był przez

*) Strój używany u naszych w Wielkopolsce.

cały czas istnie gdyby mruk: nic go nie bawiło i rozweselić nie mogło.

Gotfrydowie rządni byli ludzie ani słowa, i dobytek mieli śliczności, i przedziwnego płótna gdyby woda, własnej roboty, pełną skrzynię. Ponoć i nie było lepszych prządek jak Gotfrydowa i Krystyna na całą okolicę, prawdą a Bogiem. Mieli nawet coś tam i grosza uciułanego. A kiedy to ojcowie pogadali z sobą wedle tego ożenienia Janka z Krystyną, to Gotfrydowie o dwóch krowach mówili, o czterech świnkach, dziesięciu gęsiach i całym tuzinie kur — a potem jeszcze i różne różności córce dać mieli. Rozumie się i płótna, owego ślicznego, że i na lat parę-by wystarczyło, i pościeli na dwa łóżka pierzem napchanej, gdyby wańtuchy, co się nazywa.

Gdy wszelako po zrękowinach Janek po północku z rodzicami do domu powracał ze srebrną skówką na palcu, i gdy matka o dostatkach Gotfrydów prawiła, a ojciec — nie źle podchmielony — pogwizdywał sobie ochoczo — to biedaczysko niby w stronę Prędocina spojrzał, jakoś ciężko zaległo mu w piersiach, i radby był zapłakał, jeno że przed samym sobą wstydno go było.

Jak kiedy to po pierwszym szronie kwiatki mrozem dotknięte swoje zwieszą główki, tak samo było i z ładną Marysią. Ustroiłać się wprawdzie w niedzielę: włożyła nowe czółko z świeżym rozmarynem i barwistemi wstęgami, ale chociaż i niby powiedzieć chciała: *Co mi tam!* — to jednakże widoczna było, że jej bardzo smutno na sercu. Marysia miała długie ciemnawe włosy, zawsze uczesane starannie i we warkocze splecione; miała śliczne niebieskie oczy, była biała i rumiana — a zęby jej iście wyglądały, gdyby ze zdrowiusieńkiej rzepki wykrojone. Dziś jednakże dziewucha pobladła jakoś — i nie dziw: boć z rana zaraz zasłyszała o zrękawinach Janka Skiby z Krystyną Gotfrydówną. Ha! aleć sobie i sama winną była, że jej taka stała się zgryzota. Marysię ojcowie rozpieścili zanadto: brakowało jej tylko ptasiego mleka. Więc też gdy Janek zalecać się począł, to i nieprzymierzając, za nos wodzić go chciała. Były właśnie dwa odpusty: jeden w Zieleńcu a drugi

w Modrzewiu. Wybrali się pójść razem z innymi do Zieleńca; ale gdy już ze wsi wychodzili, szła sobie jakaś wesoła gromadka do Modrzewia. Nuż Marysię wzięła ochota pójść z niemi Janek opierał się temu. Poczęli się sprzeczać — i otóż Marysia, kiwnąwszy sobie głową z uporu, nie wiele myśląc poszła z tamtymi do Modrzewia, a Janek zadąsany, zły jak osa, skręcił ku Zieleńcowi. Jedno drugiemu ustąpić nie chciało, i samochcąc takiej sobie narobili biedy.

Marysia okryła się pstruchą nowiuteńką i poszła do kościoła. Ot właśnie na przekór, chciała posłyszeć zapowiedź Janka. Ależ komu to na przekór, mój Boże jedyny! Wszakże samej sobie. Wyprężyła się też pysznie — a była składna i wysmukła gdyby trzcina, i aż się uśmiechnęła niby, gdy tamci z ambony spadli. Ale jak jej tam było na sercu, wie tylko Bóg jeden i Matka najświętsza; — do której to świętej Panienki modliła się potem gorąco, a w kąciku serdecznie płakała by nikt nie widział.

Tymczasem panna Jadwiga siedziała w kolatorskiej ławce — spojrzała na Marysię, i dostrzegła od razu, że dziewucha pobladła, że oczy jej nie świeciły tak jak zawsze — i wyczytała własnem sercem co to tam w Marysi się działo. Żal było panience dziewuchy, bo przeczuwała dobrze, jakby to okrutnie bolała sama, gdyby tak z panem Władysławem rozstać się przyszło.

Zaraz po drugiej niedzieli, już u Gotfrydów wielka na wesele krzątanina była, zabili wieprza, kilka tucznych gęsi, parę brakówek, i kazali namleć mąki z czyściutkiej pszenicy na placki. Już bo to Krystyna umiała wypiekać przedziwny chleb i placki. Janek wszelako wciąż chodził, gdyby z krzyża zdjęty.

Dnia jednego słonko raźnie swieciło, i pani Brzozińska wyszła z panną Jadwigą na spacer, a z niemi także i pan Władysław — boć zawsze przy panience się kręcił. Szli sobie drogą drzewami wysadzoną za wieś, gdy ot, Janek właśnie z miasteczka powracał. Skłonił się, a tak był smutny i zmieniony, że aż żal było patrzeć.

— A kiedyż tam wesele, Janku? — zapytał pan Władysław.

— Ma być w niedzielę — odrzekł parobek i spuścił oczy ku ziemi.

— I kochasz-że tę swoją Krystynę? — ozwała się panna Jadwiga.

— Ej gdzie tam, wielmożna panienko — odrzekł parobek posępnie i miął w ręku czapkę z barankiem.

— To i pocóż-że się z nią żenisz? — zagadał znowu pan Władysław. — Jakże możesz brać za żonę dziewczynę, której nie kochasz?

— Toć-też-to, wielmożny panie — skłonił się Janek — jeszcze i ksiądz proboszcz zawsze nam gada: aby swoją zachować wiarę i jedynie ją miłować, a chociaż to Gotfrydowie do naszego chodzą kościoła, i niby naszej są wiary, to wszelako jakoś i nie cale naszej. A potem człek z niemi i dobrze rozgadać się nie może.

— Może ty, Janku, i inną kochasz dziewuchę — zagadała znowu panna Jadwiga i uśmiechnęła się figlarnie.

Janek poczerwieniał i westchnął.

— Janku! Janku! — wyrzekł na to pan Władysław — Co tam namowy ludzkie! Co tam dobytek wszelki i bogactwo, kiedy serce nie miłuje. A jeszcze wierzaj mi, że zawsze lepsza swoja.

Janek spuścił głowę, gniótł czapkę ciągle, i niby mu łza na powiece błysnęła.

— Janku, milsza to Marysia, nieprawdaż? — zagadała panna Jadwiga, a pan Władysław raz jeszcze dodał:

— Wierzaj mi, że zawsze lepsza swoja!

Poszli sobie dalej. Janek postał chwilę, pokiwał głową, wyrzucił nią jakoś, zadarł czoło do góry, skręcił nagle — i dalej-że z kopyta do Prędocina. Łaził tam po wsi, zaglądał do domostw, wszedł do karczmy i zasiadł za stołem. Wtem nadeszła kuma jego, Wojtasikowa. Powitali się i Janek słodką poczęstował ją wódką. Pogadali tam coś na stronie. Wojtasikowa poczęła przytakiwać, dogadywać, przyklaskiwać rękoma i szybko z karczmy wybiegła.

Niezadługo potem stała poza ogrodzeniem Waliszków Marysia z kumą Wojtasikową, i coś tam rozgadywały dużo. Woj-

tasikowa kładła raz po raz dziewusze rękę na ramieniu, a Marysia zalewała się łzami. Aż tu z boku jakoś nadszedł i Janek. Marysia obejrzała się i krzyknęła.

— A gniewasz-że się jeszcze, Marysiu? — zagadał do niej.

Marysia nic nie odrzekła, jeno twarz fartuchem zakryła i gorzko płakała. Kuma znowu gadać żarliwie poczęła. Rozpłakał się troszkę i Janek. A potem tak jakoś się zrobiło, że sobie ręce podali i serdeczna nastąpiła zgoda.

Wieczorem Janek do ojców powrócił, a wcale mu raźno z twarzy patrzało.

— Gdzieżeś to chodził? — zapytał ojciec.

— A do Prędocina — odrzekł Janek i spuścił głowę. Potem skłonił się ojcu i matce do nóg i wypowiedział, jąkając się wszelako trochę:

— Ojcze rodzony! Matko jedyna! Toóże ja do tej Gotfrydowej żadną miarą przekonać się nie mogę. Zmarniałbym przy niej gdyby kapcan jaki, boć to ani nasza wiara prawdziwa, ani mowa z niemi kochana! Rodzicu jedyny! Matusienko najukochańsza! okrutnie mi żałko było na duszy, i okrutna trapiła mnie tęskność, żem sobie i rady dać nie mógł. Taćże Bóg widzi, że lepsza swoja, i Pan Bóg milej to widzi i ludzie pochwalą. Lepsza swoja, matusieńko jedyna i rodzicu kochany! To więc byłem w Prędocinie i pogodziłem się z Marysią.

Skibowa aż ręce do góry podniosła z podziwu. Skiba począł się rzucać, gniewać — ale zmitygował się przecie. Matka, bo zwyczajnie jak matka, zaraz jej tam od Krystyny raźniejsza Marysia stanęła w oczach. Zwłaszcza też, gdy Janek o prawdziwej mówił wierze, i że zmarniałby jak kapcan. A przecież i Marysia nie była bez wiana, bo Waliszkowie dosyć zasobni byli ludzie. Zmitygowało się więc wszystko, a w końcu rozgadawszy się, to i rodzice powtórzyli z synem: że lepsza swoja.

W przyszły więc czwartek wybrali się wszyscy do Prędocina na *względziny* czyli *pytanki*, i Waliszkowie powitali ich jak się należy. Była też tam, rozumie się, i kuma Wojtasikowa, i wesoło różne zawodziła spiewki.

W piątek poszedł Skiba do Gotfrydów, bo tak kazała uczciwość, i powiedział im: że Janek żadną miarą przekonać się

nie może, znać Pan Bóg tego nie chce: *bo śmierć i żona od Boga naznaczona.* Byłoć tam było lamentu i gniewu niemało. Ale jeszcze tego samego dnia dali znać na koloniją do krewniaków swoich, i kiedy w sobotę wybrali się Skibowie do Prędocina na zrękowiny Janka z Marysią, to do Gotfrydów także ich krewniacy zawitali z kawalerem, Frycem Jungiem — i nie dawszy nic naprzód znać Jankowi, Krystyna zaręczyła się z Frycem. Co to tam kiełbas i kiszek było na weselu! a kluski takie wielkie jak cielęce główki.

Panna Jadwiga ucieszyła się serdecznie, gdy w niedzielę posłyszała nową zapowiedź. Toż samo i pan Władysław, gdy do Suszycy przyjechał. A stary Łukasz bo ciągle się tylko uśmiechał, i hulał też potem na weselu gdyby młody.

Panna Jadwiga uwiła pannie młodej prześliczny z rozmarynu wianek, a pan Władysław dał panu młodemu na wesele beczkę doskonałego piwa. To też, gdy w pół roku potem, pan Władysław pannę Jadwigę zaślubił i do swojego dworu zawiózł, pierwsza była Marysia Jankowa, która młodej pani kopę jaj świeżutkich w darze przyniosła.

Siekierki 30. października 1859.

Paulina z L. Wilkońskich.

TRZY KUKUŁKI.

Oj! wyleciał sokół, wywinął się w górę,
Trzy razy nad sosnę, dwa razy nad chmurę;
Odpoczął na górze, na samym wierzchole,
I skręcił się w pole.
Bujny wicher wieje,
Aż się sosna chwieje —
Nie chylaj się, sosno,
Mnie i tak żałosno!

Uderzyła strzała z wysokiego nieba,
Kogoż tam zabiła? wdowinego syna,

Daćby znać potrzeba,
By przyszła rodzina
Pożałować,
Pogrzebać, pochować.

Oj! przyleciały trzy kukułki siwe.
Wszystkie żałośliwe:
Jedna upadła gdzie zimna głowa,
Druga upadła gdzie chłodne nogi,
Przy samem sercu trzecia upadła.
Przy głowach matka uboga wdowa,
Przy nogach miejsce siostry niebogi;
Przy sercu jego miła usiadła.

Gdzie matka płacze, tam krwawa rzeczka,
Gdzie siostra płacze łzawa krynica,
Gdzie miła płacze, tam sucha steczka.
I taka ludzka powiadanica:
Że matka płacze z roku do roku,
Długo łzy świecą w siostrzynem oku,
A miła płacze, inną myśl łowi,
O innym mówi.

T. L.

Piękny przykład.
Józef Wcisło wójt z Borusowej.

Wieś Borusowa nad samą Wisłą w obwodzie Tarnowskim, należąca do dóbr hr. Adama Potockiego, była do niedawna jeszcze jedną z tych nieszczęśliwych włości, których mieszkańcy radziej słuchają *żyda arendarza* niż *plebana*, i którym pilniej było *do karczmy* jak *do kościoła*. Chociażby dzwony pękły w Gręboszowie — w Borusowej mało kto je słyszał: to też w niedzielę i święta zaledwie kogo z Borusowian uświadczyłeś na nabożeństwie, ale za to karczma aże dudniła od tłumu. No, to i czart się śmiał i począł na dobre we wsi gospodarzyć. I nie dziwota, iże przy takim gospodarzu w Borusowej *bieda była nad biedami.*

Ale jako w plewsku zdarzyć się nieraz zdrowe ziarnko przydybać, takci właśnie i między złymi w jednej gromadzie nie-

jeden się dobry uchowa. I w Borusowej, Bogu dzięki, było takich kilku gospodarzy, co się nie dali ująć pokusie, i żyli sobie jak Pan Bóg przykazał. Owoż onym rzetelnym gospodarzom przykro było, że się gromada tak źle prowadzi. Radzi by ją wybawić od złego, więc poczną sobie pilnie rozważać: zkąd to złe we wsi pochodzi, i gdzie tego przyczyna, bo przecie zawsze tak nie bywało?... Aż wszyscy zgodzili się na to: *że od głowy ryba się psuje* — że z góry złe idzie. A któż głową w gromadzie, jeśli nie wójt? *Jaki wójt taka gromada*, rzecz oczywista. I przekonali się, że wójt w Borusowej lada jaki katolik i kiepski gospodarz na swojej zagrodzie. Zatem i niedziwota, iże we wsi takie gospodarstwo za katy. Chcąc gromadę ratować, potrzebaby się postarać o innego wójta — tak uradzili oni między sobą, i zaraz też poszli do urzędu, i przedłożyli tam wszystką prawdę rzetelnie, domagając się o innego wójta, a póty nie przestali prosić, dopóki swego nie skurali. Poczem z dobrą miną powrócili do wsi, i zwołali gromadę na obiór nowego wójta. Nie o jednym tam była mowa, jak zwykle w takich razach bywa — różni różnych radzili. Aż na koniec jeden z gospodarzy tak się odezwał:

— Wiecie co, sąsiedzi, nam potrzeba wójta, coby naprzód Boga i wiarę miał w sercu, a potem coby umiał na książce czytać a także i z pisma, i w razie potrzeby sam też napisać. Przecie wiadomo wam, jak często teraz pisma do gromady z urzędu przychodzą, i gdyby nie *Józef Wcisło*, toćby wypadło chyba żydowi płacić za czytanie, a w szabas może i o milę lub dalej czytelnika szukać.

— Nieźle sąsiedzie prawicie, odrzekli inni; kłopotliwa to rzecz dla gromady, kiedy się musi z lada pisaniem do żydowskiej łaski uciekać. A Józef Wcisło umieją czytać i pisać, bo się tego u księdza Krawczyńskiego uczyli; a potem wiedzą też gdzie i co powiedzieć, zwyczajnie jako człek pismienny. Więc zgoda na to, aby nam oni wójtowali. I zostałci Józef Wcisło wójtem obrany.

— Dobrej sprawie Bóg pomaga — pomyśleli w duchu poczciwi sąsiedzi, a źli z kiepską miną i skrobiąc się po głowie popochodzili do siebie. Powrócił i Józef Wcisło do domu, i jak

począł rozważać, że to wójtem być w gromadzie ale dobrym, to rzecz nie lada, bo to trzeba na wójtostwo przed Bogiem przysięgać i na każde niedotrzymanie przysięgi ciężko odpowiadać tak przed ludźmi jak i przed Bogiem, tak ci się zasmucił i zakłopotał nie na żarty. Aż na to nadchodzi kobieta jego, której już kumoszki wprzód opowiedziały, co się święciło w gromadzie. A że zwyczajnie jako żona znała *swego* na wylot, toć zaraz zmiarkowała, czego on taki smutny: że to wójtostwo tak mu ciężyło na sercu. Nuż go tedy pocieszać: — Kto z Bogiem, prawi, Bóg z nim. Podołali ta inni temu, to i ty podołasz. — Po prawdzie mówiąc, to się ta i trochę bała, żeby Józef nie podziękował, bo to przecie wójtowej każdy się we wsi skłoni, i zaraz w lepszem jest uważaniu u ludzi.

Józef zasłyszawszy te słowa pociechy od *swojej*, podźwignął głowę zaturbowaną do góry i spojrzał przed siebie. I w sam raz natrafił na obraz Matki Najświętszej wiszący na ścianie. Więc upadł na kolana i począł się modlić. Po krótkiej ale szczerej modlitwie wstąpił duch w niego — pożegnał żonę, dosiadł konia i pojechał do *Żabna,* gdzie był urząd. Tam przysiągł na wójtostwo, i już jako starszy gromady powrócił do domu.

Zaś jak to się Józef Wcisło zabrał do tego urzędu, i jak go po dziś dzień jeszcze sprawuje — opowiemy wam za drugim razem.

ZABOBONY.

O zażegnywaniu, czarach i tym podobnych rzeczach.

— Co też to teraz za ludzie na tym świecie! Wspomnieć im o czarownicach, to się tylko śmieją, zażegnywania i wróżenia przezwali zabobonami i gusłami, a tych, co w nie wierzą, głupimi ludźmi mianują. Mój miły świecie! co to dalej będzie. Bo choć i ten nasz sołtys, kumoszko, co to za nicpotem człowiek! Wiecie wy o tem, że on Jakóbowę oskarżył w sądzie, że zażegnywała i wróżyła?.... Już ją dzisiaj poprowadzili do aresztu i podobno ma długo siedzieć.

Tak prawiła Szymkowa do Wojciechowej, zeszedłszy się z nią po nieszporach na drodze.

— Moja Szymkowo, rzekła na to Wojciechowa, bodajże was z takiem gadaniem *niedorzeczy!* Aboście to nie byli dzisiaj na kazaniu?... A przecież nie do murów prawił nasz Dobrodziej, jeno do ludzi, co na to mają uszy ażeby słuchali, i rozum żeby nim pojmowali. No, ta i jakaż tam była nauka? czyż nie napominał nas, abyśmy nie wierzyli w czary i zażegnywania, bo to wszystko zabobony?... Widać jakeście pilnie słuchali, skoro wam oto nie wstydno, takie rzeczy przedemną bajać. Tfu! przechwalacie się że umiecie na książce i żeście w świecie bywali, a jednak wierzycie w czary. Ot nie pletlibyście *ladaczego.*

Na taką żarliwą mowę Wojciechowej, już się nastroiła była Szymkowa z odpowiedzią, aż tu w sam raz nadciągnął stary Frącek, i pochwaliwszy Pana Boga, spytał, o co chodzi. Wojciechowa opowiedziała wszystko, jak prawda — stary pokiwał głową, potem usiadł nad rowem, zaprosił kobiety do siebie, i tak mówić zaczął:

— Już też Jakóbowa niemało naoszukiwała ludzi i nawyłudzała od nich grosza i innych rzeczy. Żal mi jej, że się na takie puściła rzemiosło; ale jej się dobrze stało, bo jak to powiadają: *„Do czasu dzban wodę nosi.“* Co prawda to prawda. Dawnemi laty, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, służyłem u nieboszczyka naszego proboszcza. *Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!* dobra to była dusza! to też za nim choćby i w ogień — tak go wszyscy miłowali. Raz poraz przyjeżdżali do niego drudzy Dobrodzieje. Ja usługiwałem w pokoju, ta nieraz od nich pożytecznych rzeczy się nasłuchałem. Pamiętam dobrze, jednego wieczora rozmawiali też i o czarownicach, wróżkach i tym podobnych cygankach. Cygaństwem też to wszystko nazywali i głupstwem. Ja zaś, trzeba wiedzieć, jeszcze wtedy okrutnie wierzyłem w one wszystkie bajki, bo mi nieboszczka matuś, Boże jej odpuść, od maleńkości niemi nabiła głowę. Ale jak przyszedłem do lat i do rozumu, i rozważałem sobie kazania i nauki, tom się przekonał, że w istocie prawdę owi Dobrodzieje mieli. Powiedźcież same, moje kobiety, bo i czy to nie

głupstwo wierzyć w czarownice i wróżki! Ot, naszą Jakóbowę miano za czarownicę, mądrą babę — i bali się ją ludzie, a ona z tego korzystała. Więc kiedy nie miała co jeść — co jej się nie rzadko trafiało, bo była próżniak od świata — to jeno poszła sobie do pierwszego lepszego domu, a dano jej chleba, mąki i co miano, aby się jej tylko pozbyć, i aby tam kogo nie oczarowała. Powiadano, że jej z oczu źle patrzało — alboż to niejednemu źle z oczu patrzy, i jużci zaraz ma być czarownikiem?.... Jakóbowa wróżyła drugim, a sobie nie wywróżyła, że ją sołtys poda do sądu, i że sobie jakiś czas przesiedzi w areszcie.

— No, to niby i prawda — odezwała się Szymkowa — ale Frącku, przyznajcie sami, że taki ona niejednemu z naszych pomogła.

— Nie wiem ci czem — mówił dalej stary. A czemuż to sobie przeszłej zimy pomódz nie mogła, gdy chorowała na nogę?... Prawda, że Maciek po jej zażegnywaniu wyzdrowiał — ale myślałby kto głupi że to z tego? — at, właśnie z tego! zwyczajnie choroba się przesiliła i wyzdrowiał. Wprawdzie są ci ta lekarstwa na różne choroby, są zioła po naszych łąkach i lasach Boską ręką zasiane, które nam pomódz mogą. Więc kto się prawdziwie zna i na chorobie i na lekarstwie, ten się za Boską pomocą i wydźwignie z choroby, byle nie było za późno. Znają się na tem doktorzy, bo się tego uczą przez wiele a wiele lat. Toć bezpieczniej oddać się w ich ręce, jak u lada jakiej baby, co się udaje za lekarkę, szukać porady. Zdarzyć się ta poprawdzie powiedziawszy i takiej babie, *jak ślepej kurce ziarnko* że go uzdrowi — i już zaraz z tego ludzie Bóg wie jakie historje robią, a to był jeno trafunek a nic więcej. Ale za to komu zaszkodziła, tego nie pamiętają — chociaż gdyby przyszło porachować, toby się więcej i bardzo więcej takich znalazło, co z jej przyczyny na zdrowiu szkodę ponieśli, albo zgoła i pomarli, a niżeli takich którym się na co przydała ich głupia rada. Dla tego to właśnie zakazane jest, i nie wolno babom mieszać się w nieswoje rzeczy, temci bardziej, że nie o bagatelną rzecz idzie, bo o życie i zdrowie człowieka. A szkodzić bliźniemu dla podłego zysku, to mojeściewy grzech, bardzo

wielki grzech, tak właśnie jakoby samo zabójstwo. Co gorsza, te baby szachrajki nie zadadzą ci żadnego lekarstwa w przyzwoity sposób, ale zaraz jakieś tam czary, zażegnywania, spluwania, i tym podobne inne rzeczy wyprawiać ci będą, a to po prostu dla obałamucenia i na oszukaństwo ludzi.

— Oj co prawda, to prawda, mój wuju — rzekła Wojciechowa — że to jeno cygaństwo i nic więcej. Ano choć i ta Jakóbowa! gdyby ona była czarownicą za jaką się udawała przed ludźmi, toby zapewne i sołtysa i sędziów była oczarowała, i nieby jej się nie stało złego. A tymczasem nie prawda, bo ją jak każdą inną wpakowali do aresztu i jużci.

Na to Szymkowa się odezwie: — Nieinaczej, kumoszko, i ja to sama powiadam, że to była cyganka a nie żadna czarownica. O, o, ktoby się tego był spodział!...

— A tak moje kobiety! rzeknie znowu stary Frącek, zabierając się w dalszą drogę — i Jakóbowa nie była czarownicą i każda inna, coć się za taką podaje, nie zasługuje na wiarę i jest po prostu szachrajką.

— I cóż wy na to, — zagadnie Wojciechowa do Szymkowej — latająż wam jeszcze czarownice po głowie?... ej, ej! jeno nie zapomnijcie wyspowiadać się z tego przed księdzem proboszczem, a zobaczycie jak was Dobrodziej będzie za to łajał.

— Ha no! bo to tak widzicie, ludzie bają — odezwała się Szymkowa — i człowiek to powtarza, chociaż też temu i niekoniecznie wierny. Mój Boże! wszyścyś-my grzeszni, zwyczajnie jak ludzie.

Na tem skończyła się ich rozmowa. Każdy poszedł w swoją stronę spokojnie; jeno co Szymkowa raz w raz powtarzała sobie w cichości, pokręcając głową: Widzisz, ktoby się tego był spodział, no, no! że to człek i na starość jeszcze musi się uczyć rozumu... Ha, cóż robić, trzeba się wyspowiadać po szczerości i pokutę odprawić. Ale, ale, niechże mi się teraz taka baba nawinie, co się za czarownicę udaje — dam ja jej! od razu ćwieknę jej w oczy, że to cygan baba i jużci.

(S. N.)

RÓŻNOŚCI.

Co mogą pochwały? Pewien gospodarz posłał dwóch parobczaków po bronę do sąsiada. Skoro na miejscu, powiada jeden z nich, co był filut nielada, do drugiego: — Cóż to sobie nasz gospodarz myśli! albo to nam życie nie miłe, że nam kazał we dwóch takie ciężary dźwigać? Założyłbym się o niewiedzieć co, iże tej brony trzech chłopów nie udźwignie, a niedopiero dwóch takich jak my. — At, baj baju, odezwał się drugi — trzech chłopów na jedną bronę! ha, ha, ha! I zaśmiał się aże się za boki brał. — No i czego się śmiejesz ty! zawołał filut niby urażony. — Jakże bo się nie śmiać, ha, ha! teć to jeden nie ma co dźwigać, a on aże o trzech chłopach prawi. — Fiu, fiu, patrzaj! jaki mi mocarz! drwił sobie filut, biorąc się pod boki — chybabyś ty udźwignął, he?... — A co może nie? pokrzyknie tamten i splunąwszy żywo w obie garści: Pomóż tylko zadać mi ją na plecy, prawi, a zobaczysz że ją uniosę. Filut nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, duchem zadał mu bronę, i kiedy ten głupi, popisując się siłą swoją, z ciężarem pędzi naprzód, on mu jeszcze dogaduje: To mi to siła, niech cię nieznam!... I ktoby myślał, że w tobie taka moc! no, no, patrzaj, to dalibóg aże mi się coś dzieje od dziwu. Ho, ho, nie radziłbym nikomu mierzyć się z tobą na siłę — ależ bo to siła, o dla Boga! żebyś jeno szwanku jakiego nie odniósł! Połóż trochę bronę i odpocznij sobie. — Nie potrzeba! odparł tamten ucieszony pochwałami, i temci bardziej jeszcze nadrabiał miną, jak gdyby mu nic a nic nie ciężyło. Dopieroż w domu wykryło się wszystko i powstał z tego wielki śmiech między ludźmi. Musiał się też nieboraczysko nie mało nawstydzić, kiedy pomyślał, że tak gładkim sposobem dał się wystrychnąć na dudka. Ale to go nauczyło rozumu, i odtąd już nie uważał na niczyje pochwały, jeślić o jaką próżną rzecz chodziło.

Pożary. I znowu przez dzieci stało się nięszczęście, że ich rodzice zostawili bez dozoru. Właśnie miesiąc temu będzie, kiedy w *Ostrowie* w obwodzie Brzeżańskim, zalazły dzieci włościanina Semena K. z siarnikami do szopy. Chciały one rozniecić ogień dla pieczenia kukurudzy. Jak na to nieszczęście z siarnika prysnęła iskra na leżącą nieopodal słomę, i powstał pożar. W okamgnieniu płomień ogarnął szopę, ztamtąd przerzucił się na bliskie domostwo, a zanim ludzie ze wsi nadbiegli z ratunkiem, jużci i budynki gospodarskie się zajęły, i z całym zapasem zboża spłonęły do szczętu. — W parę dni później w *Płuchowie* w Złoczowskiem, zajęła się sterta zboża współwłaściciela tej wsi, pana N.; a że się to stało w nocy i wicher wstał gwałtowny, to też wkrótkim czasie i wszystko zboże ogień pożarł i jeszcze kilka zabudowań gospodarskich w dodatku spłonęło. Domyślają się ludzie, że ogień był podłożony. Toż-to kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać be-

dzie każdy taki człek niesumienny, co sobie tak za nic ma pracę ludzką, i tyle świętego chleba dla jakiejś tam urazy słusznej lub niesłusznej, zmarnuje. — Toż samo powiadają i w *Lachowcach*, w obwodzie Stanisławowskim, gdzie się w początkach tego miesiąca wydarzył pożar, że był podłożony. Najsamprzód zajęła się sterta siana u Sawki W. tamtejszego gospodarza. Z tąd dopiero przerzucił się płomień na jedną, drugą chałupę i tak po kolei aż cztery zagród poszło z dymem. Ratując swoje mienie oboje gospodarstwo Sawka i Maryna U. wraz z córką okrutnie się poparzyli, tak że ich musiano zabrać do szpitalu miejskiego w Stanisławowie. Niewiadomo jeszcze czy co z nich będzie albo nie.

Zarobił jak Zabłocki na mydle. To przysłowie ztąd miało powstać. Niejaki Zabłocki nakupił dużo mydła i chciał je Wisłą spuścić na statku do Gdańska. Ale statek był bardzo zły — że spodu i z wierzchu naciekało wiele wody i mydło na piękne się rozciekło, tak że z tego jeno same pozostały mydliny. Stracił więc tą razą Zabłocki. Ale że to była strasznie uparta sztuka, a przytem bardzo mało miała tego oleju w głowie co to się nazywa rozumem, tak jak się już raz uczepił swego handlu z mydłem, trzymał go się jak to mówią rękami i nogami, i ani rusz nie można mu było tego z głowy wybić. I po raz drugi nakupił mydła niezmierną moc. Wodą, prawi, niegłupim się już puszczać, bo i na co mi tego, kiedy droga bita do Wrocławia, i tam zapłacą mi tak dobrze jak gdzieindziej a może i lepiej. — Tymczasem srodze przerachował się nasz Zabłocki. I stałoć mu się tak właśnie, jak temu coby szedł z deszczu pod rynnę. W Wrocławiu ani pies nie spytał się o jego mydło, bo go tam swego mieli podostatkiem. Stracił więc powtórnie, ale tą razą już na łeb na głowę. Ani szelążek nie został mu się z całego majątku. Wkrótce też historja o tem rozbiegła się po całym kraju — i od tego czasu weszło między ludźmi w używanie to przysłowie: *Zarobił jak Zabłocki na mydle* — coć się do tych stosuje, którzy się biorą do czegoś, na czem się nic a nic nie rozumieją i tracą.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Przykład lepszy niż nauka, czyń co mówisz — to mi sztuka.
2. Szata świetna nie ozdobi złego, a uboga nie oszpeci dobrego.
3. Szczęście ci sprzyja, nie podnoś się — szczęście się przeciwi, nie upadaj.
4. Gdzie Chrystusowa dziedzina, tam murem i pajęczyna.
5. Zły poradnik gorszy niż krzywdziciel.
6. Kto łaskawy, nie zapominaj, a kto nie łaskawy, nie wspominaj.
7. Kto z dobrych szydzi, tym się Bóg brzydzi.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 16.

1. Grudnia 1859.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Paproć.

(Powiastka starego Bartosza.)

Praca to, miłe chłopcy, praca do wszelakiego dobra prowadzi; milszy to po niej spoczynek, i kęs chleba lepiej smakuje. Ba! nawet i ten grosz, coś go w pocie czoła zarobił, stokroć wart więcej, aniżeli znajdźba jaka albo darowizna. A kiedy człek tylko za czemsi goni a chleba nie patrzy, kiedyby jeno chciał, aby mu pieczone gołąbki wleciały same do gąbki, to się i nie wiedzie takiemu człekowi, bo tam błogosławieństwa Bożego nie ma. Praca, miłe chłopcy, choćby i najgrubsza, nikogo nie krzywdzi, a raczej chlubę przynosi. I takie było owo w Gromolinie zdarzenie, gdziem się rodził — patrzyłemci się na to własnemi oczami. A jest w tem nauka i przestroga Boża.

Był tam, oj, młody gospodarz, Franek Świgoń, co po swoich ojcach odebrał kawał ziemi, śliczności, i chałupkę nieszkodną, stodółkę nową, a dobytku aż się serce radowało, patrząc. Ale Franek, co mu to w głowie świtało, bo lubił sobie pohulać i

do pracy się lenił, to i rola Boża nie wydawała swojego, a bydełko — żal się mocny Boże! — ani już podobne było do siebie. Baczył więcej o sobie, bo przyodziewku takiego jak Franek, nie miał żaden we wsi całej, a nawet i okolicznie, parobczak. Mówilić wszyscy: niechby się jeno ożenił, to i bardziej o swojem pamiętać będzie i lepszego statku nabierze. Ale ba! właśnie wraz: pojął-ci on Zośkę z Korytkowa, dziewuchę młodą i raźną, gdyby jaka jagoda, a wszelako wszystko dawnym szło nałogiem. Zośka była sobie potulna, nikomu w drogę nie zalazła, i w niczem też nie przekroczyła Frankowi. Że zaś u rodziców swoich nie zaznała co to niedostatek, a rodzice ją miłowali i niejednemu dogodzili żądaniu, — więc i ona czyste szmaty, korale, wstęgi i raźne chustki lubiła — jak zwyczajnie młoda niewiasta! — Prawdą a Bogiem, toć krzątała się jak mogła, po domu; bydełko poczęło trochę lepiej wyglądać, ale co w roli, jak się nie wiodło, tak się i nie wiodło; kłosek jeden od drugiego sterczał gdyby włosy na łysej głowie, a chwastu wszędzie jakby nasiał. Franek ani myślał o poprawie, jeno mu się zawsze jakieś tam bogactwa roiły, co to miały bez zachodu i pracy niby spaść z gradem.

Jednego razu zatrzymał się w karczmie na noc jakiś wędrowny czeladnik, znać frant sobie albo ladaco, co drugich szołomił bajkami, istnie jakby wędkę zarzucał na głupich. I ten *obleciświat* napowiadał różne dziwy o kwieciu paproci: jako paproć w nocy świętego Jana nagle rozkwita prześliczności kwiatem, jakby z dyamentów, a kto podoła go zerwać, to o wszelakich dowie się skarbach, co jeno w ziemi są przechowane. Otóż i była woda na Frankowe mlewo! Jemu by się to nadało, jaką skrzynię z pieniądzmi wykopać. Nuż więc przysiadywać się do owego włóczęgi, i wypytywać się, a potem go uczęstował, czem tylko mógł, że nareszcie sam się opoił, gdyby cztery dziewki. Frant ów nagadał mu niestworzone rzeczy, a Franek słuchał jak najlepszego kazania i wszystko dobrze spamiętał — i od tej pory już tylko paproć w głowie mu była. Ladaco powiedział mu: że potrzeba mieć przy sobie święcone ziele i święconą kredę; że idąc do lasu po ten kwiat około północka — bo paproć o samej północy kwitnie — nie trzeba się oglądać

wcale, chociażby za człekiem niewiedzieć jakie było wołanie, a zwłaszcza też nie ulęknąć się strachu żadnego.

Tak nadeszła wilia do świętego Jana. Ale czy to z bojaźni, czyli też Bóg wie dla czego, Franek żonę namówił, by po ten kwiat poszła.

— Ja będę tuż za tobą — powiedział jej — toćże nic złego nie stanie się tobie.

Zośka dała się namówić, bo męża miłowała i była posłuszną, osobliwie gdy jej zaczął przekładać, jakie to będą mieli bogactwa i jakie dostatki wszystkiego. Kiedy więc już noc zapadła, poszli oboje ku lasowi; Zośka szła naprzód a Franek za nią. Biedne kobiecisko głośno odmawiała pacierze i polecała się Bogu i Matce najświętszej. Franek ukląkł pod Bożą męką, co tam stała przy rozstajnych drogach, a Zośka drząca gdyby listek osiny, poszła paproci poszukać. Franek modli się i modli, ale go aż ciarki przechodzą ze strachu o żonę; boć ją miłował, i teraz po niewczasie dopiero począł się o nią turbować nie na żarty i wyrzucać sobie, że niebogę za taką niegodziwą wysłał sprawą. Nadstawia ucha i zdaje mu się, że z daleka słyszy krzyk jakiś. Włosy stanęły mu dębem na głowie — lecz przeżegnał się i dalej za Zośką. Po chwili przystanął i słucha znowu — noc była cichuśka, że i listek nie zaszeleścił. W tem słyszy śpiewanie — istnie głos Zośki — i jakoś lżej odetchnął. Potem znowu dolatywał go śmiech jej niby; jużcić się śmiała, jeno tak krzykliwie, niby nie po ludzku, że aż go mrowie przechodziło. Franek począł odmawiać jeden paciorek po drugim, jedną zdrowaśkę za drugą — a pot kipiał mu z czoła. Znowu słyszy śpiewanie — i już dłużej wytrwać nie mógł. Pobiegł co-bądź to-bądź Zośki odszukać — już też i świtać poczęło. Szuka, woła — wszędzie cichusienko; jeno puszczyk na suchem drzewie żałośliwie skrzeczał.

— Zosiu! Zosiu! ozwiej-że się! Zosiu jedyna, ozwiej się! — wołał Franek, a na sercu mu tłoczyło, gdyby młyński kamień.

— Zosiu! Zosiu! gdzieżeś ty? — wołał coraz głośniej, i biegał tam i sam, na wszystkie strony.

Aż tu na raz jeden zaśpiewało bliziuchno. Wrzasnęło znowu jakoś dziko, wcale nie po ludzku — i rzechotać się okrutnie poczęło. Franek ogląda się na wpół martwy. Chryste Jezu!... Ot

warkocz Zośki zawiesił się u gałęzi, a ona wyglądała gdyby trup; oczy wylazły jej na wierzch, śmiała się i śpiewała — to znowu krzyknęła, jakby ze strachu wielkiego, a Franka nie poznała. Nieboga oszalała — a to nie inaczej, jeno kiedy jej włosy zawiesiły się, to ona pewnie myślała, że ją złe pochwyciło — i biedne kobiecisko strach rozumu pozbawił.

Przyprowadziłci ją Franek do domu — aleć już po niej było. Bo chociaż pożyła jeszcze lat kilkanaście, to wszelako już jej zmysły nie wróciły. Franek się zmartwił okrótnie i na cały swój żywot miał nieszczęśliwą i gorzko opłakaną naukę. Wyraźny w tem był palec Boży. Przez lenistwo i zamiłowanie wygód rzucił się na drogę pokusy — a poczciwą zaniechał pracę. To i błogosławieństwa Bożego nie było.

Paulina z L. Wilkońska.

DWA DĘBY.

Nad modrym stawem dwa dęby stały,
A bardzo dawne, bo po sto lat miały.
Raz przy miesiącu, nad cichą wodą,
Dąbek staruszek potrząsnął brodą
I z drugim dębem rozmowę wiedzie:
— „Co z Ciebie będzie miły sąsiedzie?
Ze mnie kołyskę dla dziecka zrobią,
Sianem wyścielą, liściem ozdobią —
Będę kołysał małe dzieciątko,
Albo chłopaka, albo dziewczątko.“ —

— „A ze mnie, drugi dąbek odpowie,
Żłobek dla koni zrobią majstrowie,
Nademną dużo zawieszą siana,
Przy mnie stać będzie konik ułana.“

A pierwszy na to: „Bądź sobie żłobem;
Ja będę dzidą z żelaznym dziobem.“

— „Mój miły bracie; nie mów tak szumno;
Ty będziesz dzidą, ja będę trumną.

Pięć desek zbiją na wieczne spanie,
Któż tedy z człekiem dłużej zostanie?"

A pierwszy na to: — „Bądź trumną sobie;
Ja będę czarnym krzyżem na grobie.
A na nim napis będzie wyryty:
„Tu leży wojak w bitwie zabity."

T. L.

Kazimierz Mnich.

Powiadają, że *niedaleko jabłko odtoczy się od jabłoni* — ale niekoniecznie to i prawda. Ot i ten Kazimierz co go nazywamy Mnichem — byłci on rodzoniuteńkim synem niedobrej Ryxy. To i myślałby kto, że taki *nicpotem* będzie jak i jego matula?.... Gdzie tam!... *Urodziłać sowa sokoła* tą razą, na dziw całemu światu...

Narzekała Polska na Ryxę królowę — i sprawiedliwie! bo w niej uznawała nie matkę ale srogą macochę, krzywdzicielkę swoją, co się gdzie jeno mogła, zdziwiała nad biednym narodem i źle mu czyniła. Ale o Kazimierzu zawsze dobrze mówiono, bo chociaż to był jeszcze chłopiec nieletni, a już bywało nieraz za pokrzywdzonym się ujmuje i nie jednego ubezpieczy przed matką, aby mu się nic złego nie stało.

Narzekała Polska na Ryxę królowę — i znowu sprawiedliwie! bo kiedy przyszła bieda na Polskę — za co kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać będzie właśnie ona królowa — to żeby choć była pożałowała jak się godziło!... a ona nic, jeno patrzyła gdzieby tu się jeszcze co urwać dało i spakowawszy co żywo swoje i nieswoje, pognała za dziesiątą górę, i ani się nawet nie obejrzała za tą biedną Polską. Ale za Kazimierzem wszyscy żałowali, bo widzieli dobrze, jak przykro mu było z kraju uchodzić, i jak często oglądał się poza siebie, niby to dziecko za matką tęskniące.

Toć kiedy już przybyli na miejsce, do onego kraju gdzie się rodziła królowa Ryxa i jej cała rodzina, i już tam w jednym zamku zamieszkali na stałe — to matula gdyby nigdy nic, hula sobie po dawnemu, a zaś Kazimierz jak ta wierzba, co się pochyla ku wodzie, taki zawsze smutny był i zadumany.

Zrazu jeszcze nie bardzo na to zważała matka, bo myślała sobie: Ot, jakoś to przejdzie. Dalej, kiedyć nie ustawało, radziła się przeróżnych doktorów, by mu co na ten smutek pomogli. Ale i to na nic się nie zdało. Więc połowę złota ze skarbca swego ofiarowała na mszy świętę, ta żeby się pan Bóg ulitował nad jej dzieckiem i wesołem go uczynił. Ale znać taka była Boska wola, aby syn pozostał w smutku, a matka dzieckiem niepocieszona była za grzechy swoje. Już bo nareszcie sama nie wie co począć?... Gdybyż choć raz weselszą twarz jej pokazał, choć jeden raz! a tu nie, i nie — już prawie zapomniała jak się dziecko uśmiecha. Toć straszno dla matki, choćby i dla takiej Ryxy!...

Takci się tam działo przez niejaki czas. Aż tu razu jednego, szukają Kazimierza — nie ma go. Gdzie! dla Boga! Królowa w lament — przerzucili cały zamek do góry nogami, przepatrzyli najmniejszy kącik w zamku i do koła zamku, zbiegli całą okolicę, wypytali wszystkich ludzi od najmłodszego do najstarszego, czy go kto nie widział... nadaremnie! gdzieś przepadł jak kamień w wodę. Dopiero w kilka dni potem królowa, włócząc się jak mara nocna po całym zamku — bo sobie z wielkiej żałości nigdzie spokoju znaleść nie mogła — przyszła też przypadkiem do małej izdebki, gdzie jej syn najczęściej przybywać lubiał. W pośrodku ustawiony był stolik nieduży... patrzy jakiś tam papier leży niby liścik, którego w pierwszym pospiechu nie zauważano. Więc bierze go do rąk... aż tu pokazuje się, że to pismo do niej od syna. I stało tam tak napisane: „Kto przyprowadził Polskę, moją ojczyznę na taką biedę?... moja matka! — Przez kogo mój biedny ojciec Mieczysław tak srogą niewolę znosi u Czechów?... przez moją matkę!... Tak powiadają ludzie — i za to ja taki smutny był, i już mi za życia nie zaznać wesołości. Idę do klasztoru na pokutę za matkę, aby jej Bóg tego wszystkiego nie popamiętał. Boże! bądź miłościw."

I otóż z takowej przyczyny został nasz królewicz Kazimierz *Mnichem*.

Tymczasem w Polsce po śmierci Mieczysława II — to już wiecie, jak się to tam niedobrze działo. Dla tego dziś wam tego wszystkiego i powtarzać nie będziemy. Dość na tem, że choć jak źle było, i bardzo wielu już zgoła straciło nadzieję, żeby miało być lepiej — to taki nie wszyscy jeszcze!... owszem znalazła się garstka walecznych i prawych mężów, którzy gwałtem przemyśliwali nad tem, jakby to ojczyznę ratować. Więc rada w radę między sobą — i uradzili, ażeby koniecznie wyszukać Kazimierza, któremu wszyscy z duszy serca byli radzi, i wywołać go królem. Boskie to było zrządzenie, abyć *złe*, które nam Ryxa wyrządziła, jej syn Kazimierz naprawił.

Tedy jednego dnia na zamku królowej Ryxy pojawili się panowie z Polski. Zapytano ich: za czem przychodzą? — Odpowiedzieli że po Kazimierza przychodzą w poselstwie, bo go sobie Polacy za króla obrali. A królowa smutno pochyliła się i rzekła: — Szkoda czasu i waszego trudu — mój syn królem polskim nie będzie! — Dla czego? pytają posłowie. Królowa jeszcze bardziej posmutniała i długo żadnego słowa wypowiedzieć nie umiała. Zaledwo po dobrej chwili zdobyła się na odpowiedź: — Jużci przepadło wszystko, panowie posłowie! Kazimierz, mój syn, panu Bogu ślubował i został mnichem. Skoroć to posłyszeli, ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce, a w duchu pomyślał sobie: — Nic z tego, kiedy Kazimierz mnichem został. Jeden tylko stary wojewoda między nimi nie stracił głowy. I zapytał królowę: w którym klasztorze jej syn Bogu ślubował? — Otóż to właśnie, odpowiedziała królowa, że sama nie wiem doskonale; ale podobno ma się on znajdować w *Kluniackim* klasztorze u OO. Benedyktynów, a to jest aże w kraju francuzkim. Przynajmniej tak powiadają ludzie, bo on mi sam o tem nie napisał.

Więc posłowie pokłonili się królowej i czemprędzej wybrali się w drogę do onego klasztoru za przewodnictwem sędziwego wojewody. A że droga była daleka, to i sporo potrzeba było czasu, zanim stanęli w onem miejscu, gdzie im królowa

niby na domysł wskazała. Gościnnie otworzono im bramę klasztorną -- ale kiedy zapytali: ażali nie tu przebywa Kazimierz królewicz? — przełożony klasztoru jeno pokiwał głową i nic im na to nie odpowiedział.

Co go się nie naprosili posłowie! nie i nie. — Więc znowu ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce, a w duchu pomyślał sobie: Już teraz nic z tego nie będzie, kiedy nawet dowiedzieć się nie mogą, gdzie Kazimierz przebywa. Jeden tylko stary wojewoda i tą razą głowy nie stracił, ale przemyśliwać począł, jakby tu prawdy dociec: czy w tym klasztorze znajduje się królewicz albo nie. Tak nareszcie nic nikomu nie mówi, jeno poprosił przełożonego, żeby im przez noc pozwolił zabawić w klasztorze. Trudnoć było obcym odmówić gościny — więc pozostali. Ledwo co słonko zapadło, w klasztorze dzwonią na wieczerzę. Według zwyczaju zebrali się wszyscy zakonnicy pospołu w jednej wielkiej izbie na skromny posiłek. Byli tam i nasi posłowie. Podczas kiedy drudzy zajęci byli jedzeniem, sędziwy wojewoda mało co tknie z jadła, a jeno ciągle poziera po mnichach, i każdego z osobna pilnem uważa okiem. Ale znać nie na wiele mu się to przydało, bo w końcu spochmurniał i jakoś się zadumał. Dopiero się ocknął, gdy już wszyscy powstawali od stołu i wzięli dziękować panu Bogu za pożywienie. Po modlitwie żywo podsunął się wojewoda do przełożonego, prosząc go jako o wielką łaskę, ażeby mu dozwolił przed całem zgromadzeniem opowiedzieć króciuchną historję o tem, co się w tych czasach podziało w Polsce. A skoro przełożony nic nie miał przeciwko temu, owszem sam był ciekawy posłuchać co się tam robi po świecie i innym zakonnikom toż samo nakazał w izbie pozostać — wtedy wojewoda zabrał się do opowiadania. A zaczął on powieść swoją od tej chwili, kiedy po śmierci niegodnego Bezprema, król Mieczysław powrócił do Polski. Więc powiadał jak srodze się był król odmienił w owej czeskiej niewoli, że go już prawie nikt odpoznać nie mógł — jak podupadł na duchu i na ciele, jak na tem cały kraj cierpiał, jak się tam wszystko psuło i niszczało, a wrogi się z tego cieszyli, aż król nieborak z umartwienia, żeć już złemu zaradzić nie może, obłąkał się i niebawem też umarł. I opowiadał

potem wszystkie te brewerje: co się tam nie nadokazywali Czechy i inne nieprzyjaźne Polsce narody! że dzisiaj z ich łaski cały kraj wygląda jak jaka pustynia; popalone wsie i miasta, nie znajdziesz tam dachu całego, gdziebyś się mógł ochronić przed burzą, nie masz kościoła jednego, gdzieby ci się wolno było pomodlić do pana Boga o ratunek... wszystko zwalone i poniszczone, a lud częścią zabrany w srogą niewolę, a inny, co ocalał, błąka się jak ta biedna sierota po pustych polach i lasach.

Tak opowiadał on stary wojewoda. Na izbie cicho było jak makiem zasiał. Wtem nagle coś tam zajęczało, niby płacz rzewny z czyjejś piersi gwałtem się dobywał. Wojewoda jakby go co tknęło, tak zaraz urwał mowę i żywem okiem przemknął po całem zgromadzeniu. Tam w gronie mnichów stał jeden z odwróconą teraz twarzą ku oknu. Widocznie był on mocno wzruszony, oboje ręce położył na licu i zaniósł się tak wielkim płaczem, że aże nim całym zatrzęsło. Dopieroż to wojewoda poskoczy ku niemu wprost, i rzucił mu się plackiem do nóg wołając: — Kazimierzu królewiczu nasz! otom cię odpoznał po tym płaczu!

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, aż się wszyscy pozapominali z podziwu. Przełożony, mnichy, posłowie polscy.... każdy stał w swojem miejscu, gdybyś go w ziemię wrył, milczący, nieruchomy, dziwnym wzrokiem poglądając ku tej stronie, gdzie był ów mnich wielkim uniesiony płaczem, a u nóg jego klęczący on starzec siwy jak gołąbek. A prawił ci on dalej:

— Wybacz miłościwy panie! użyłem podstępu, by między obcymi rozpoznać królewicza naszego, którego zaledwie drobnem zapamiętaliśmy chłopięciem. Toć na próżno błagaliśmy, iżby nam ciebie wyjawiono — a tu się cała Polska upomina o Kazimierza swego, ta żeby ją z ciężkiej podźwignął niedoli, i zatem nas wyprawiono w poselstwie. Więc myślę sobie w duchu: dopomóż mi panie Boże! a może on się nam sam odkryje. Opowiem historję o królu Mieczysławie, przedłożę całe nieszczęście nasze.. to jeśli tu jest nasz Kazimierz, serdecznie on pożałuje ojca swego i Polskę — i potem ci go rozpoznam między obcymi.

Dopieroż teraz i drugim posłom wyjaśniło się w głowie. Więc jako byli, tak wszyscy całą gromadą rzucili się do nóg płaczącego mnicha, wołając: Kazimierzu, królu nasz!

A mnich jak gdyby mu mowę odjęło, tak ani słowa — jeno sobie ręce teraz odjął z twarzy, a twarz była blada gdyby chusta, a oczy aże czerwone od płaczu!

— Kazimierzu, miłościwy panie nasz! błagał znowu wojewoda — matka twoja zgubiła naszą Polskę, a ty ją poratuj.

— Poratuj! jednym głosem powtórzyli posłowie, wznosząc ręce ku niemu, gdyby w modlitwie.

W tej chwili zbliżył się przełożony klasztoru i ujął mnicha Kazimierza za rękę, a do posłów odezwał się w te słowa: Poco przyszliście tu, goście z dalekiego kraju, mieszać spokój naszego brata Kazimierza?... Alboż-to na nim nie widzicie zakonnej sukni? Kto się raz w nią przyoblecze, jużci dla niego marnością są wszystkie szaty królewskie i honory tego świata. Toż powstańcie na nogi i idźcie z Bogiem, goście z dalekiego kraju, albowiem na nic się nie zdadzą wasze pokusy. Brat Kazimierz żegna was!... To mówiąc, przełożony chwycił go pod ramię i powiódł ze sobą. Za nimi reszta mnichów powolnym ruszyła krokiem. Posłowie powstali ze ziemi i smutnem okiem pozierali za oddalającym się królewiczem. Ode drzwi raz jeszcze Kazimierz obrócił się ku nim — było to żałosne pożegnanie. Niebawem w izbie sami już tylko pozostali posłowie. Starego wojewodę otoczyli kołem, a on stał z głową smutnie pochyloną i z załamanemi rękoma przed siebie, ciężko dumając. — Cóż teraz począć? duma każdy — trudna tu rada! chyba nasz wojewoda co wymyśli, bo u niego głowa nielada.

Aż po dobrej chwili odezwie się starzec: — Ha, w imię Boże! chodźmy, panowie bracia.

— A gdzie? zapytali tamci ciekawie.

— Do Rzymu! powiada, i jakaś dziwna radość wybłysła mu z oka. Jeszcze nadzieja nie stracona!... Pójdziemy do Rzymu i do Ojca świętego, przedłożymy mu pokornie prośbę naszą. — On jeden mocen jest rozwiązać te śluby i wydać nam Kazimierza na króla.

— A więc co żywo, do Rzymu! zakrzyknęli wszyscy, i wielce uradowani tą nadzieją, nie czekając aż rozednieje, jeszcze tej samej nocy opuścili klasztor, i wybrali się w podróż. Szczęśliważ im droga!...

Jak się im tam w Rzymie powiodło, i czy Kazimierz Mnich został królem polskim albo nie — to wam w następnym numerze dopowiemy.

Piękny przykład.

Józef Wcisło, wójt z Borusowej.

(Dokończenie.)

— *Z Bogiem poczynaj sobie w każdej sprawie, jeśli chcesz aby ci pomyślnie poszła* — tak nas uczy wiara święta. Według tego postąpił sobie i nasz wójt nowy z Borusowej. Nazajutrz rychło świt, zwołał czeladkę swoją do rannej modlitwy, a potem rzekł do żony: Pójdziemy dziś oboje do kościoła, i aby nam pan Bóg użyczył rozumu do naszego urzędu, trzeba się naprzód pozbyć tego, co go często odbiera. Będzie to jakoś składniej, kiedy się oboje wyspowiadamy i zapiszemy do bractwa wstrzemięźliwości.

Jak powiedział tak się też i stało. — Dzięki Bogu, prawi Józef, powróciwszy do domu — więcej tu już za mego życia wódka nie postoi. — Święcie też dotrzymuje przysięgi, i dziś już prawie zapomniał Józef Wcisło jak wódka smakuje; ale za to u niego rozum w głowie zawsze rześki i z każdym dniem właśnie mu go przybywa, czego świadkiem wieś Borusowa, która tak niepodobna do dawnej Borusowej, jak nieprzymierzając niebo do ziemi — chociaż to dopiero drugi rok jak Wcisło wójtuje. Pierwszem jego staraniem było, aby pijaństwo ze wsi wykurzyć na cztery wiatry. Z tąd lepszych prośbami, radą i namową skłonił do trzeźwości, zapamiętałych zaś groźbą a nareszcie zawstydzeniem przed całą gromadą odzwyczaił od karczmy. Józefowi wójtowi niedziwna rzecz z latarką pod sukmaną, i z kilkoma sąsiadami po kilka razy na noc zajrzeć do karczmy na przekonanie, czy się tam jaki pijak nie zawadził — bo wójt

powtarza często w gromadzie, że karczma jest tylko dla podróżnych a nie dla miejscowych. Gromada nie odbywa się według dawnego zwyczaju w karczmie ale u wójta. Weseliska, chrzciny i pogrzeby nie kończą się po dawnemu u żyda na arędzie, ale w domu, a na poczesne gości służy dobre i zdrowe *Siedliszowskie* piwo. Żyd toż jak słychać tem tylko żyje, co dawniej zarobił, a podobno i niezadługo się wyprowadzi do Dąbrowy lub Żabna, nie widząc tu już żadnego zysku dla siebie. Wiadomo, *że gdzie żyd traci, tam się chłop bogaci* — widać to i w Borusowej, gdzie gospodarze coraz to się już lepiej mają.

Chociaż w tych stronach bardzo ciężko o drzewo, przecie co lata ten i ów walą swoje chałupy, a natomiast stawiają nowe porządne domostwa, z kominami i z podłogą, czego dawniej ani byś tam uświadczył. A skoro niedziela albo jakie święto przypadnie, i ruszą się Borusowianie całą gromadą w procesyi do Gręboszowa na nabożeństwo, to aż miło popatrzyć, tak tam jeden w drugiego czysto, strojno i wesoło wygląda. A wszystko to poszło za dobrym przykładem wójta. Chociażby pioruny trzaskały, Józef Weisło musi być każdej niedzieli i każdego święta w kościele parafialnym na prymaryi i na sumie, a często gęsto i na nieszporach zostaje. Co niedzielę zawita do plebana, opowiada co zaszło we wsi, poradzi się w różnych wypadkach, albo zdaje sprawę z poleceń jak je wykonał. Takoż często bierze książki do czytania, albo przeczytane oddaje. Ba, niedość na tem, że książki czytuje, ale nawet i niejedną już sobie książkę pożyteczną kupił; i ma takich książek nie mało u siebie, z których albo sam gromadzie czyta, albo co przeczytał opowiada. Między innemi trzyma on i wasz Dzwonek. Za jego to staraniem głównie utrzymuje się szkółka w Borusowej, do której z początkiem października dzieci się gromadzą, a w połowie lipca dopiero rozchodzą na wakacje. Gdy ksiądz przybywa na katechizm do Borusowej, zastaje u wójta zgromadzoną dziatwę z rodzicami. Wtedy wójt odczytuje naprzód dzieci po imieniu, co mają nauki słuchać; a biada każdemu, coby się nie stawiło w tym czasie, chyba że choroba albo jaka inna przyczyna stała temu na przeszkodzie. Prawie co rok prowadzi on

gromadę na odpust do Kalwarji tam i napowrót, zkąd zwykle przyniesie jakiś podarunek do kościoła parafialnego — i tak: dwie lampy mosiężne, dwa obrazy i dwie chorągiewki ma już kościół w Gręboszowie jako pamiątki od Borusowian z odpustu w Kalwarji.

Prześladowany od złych ludzi dla swej gorliwości o dobro powierzonej mu gromady i dla swej pobożności, Józef Weisło tem się pociesza, co Pan Jezus powiedział: *„Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“* Za pracę i poświęcenie się dla gromady, ma też Józef największą nagrodę, bo sumienie czyste i spokojne przed Bogiem. Widzi, jak niejeden grzesznik przez niego nawrócony szczęśliwie żyje, jak Borusowianie coraz bardziej w dobrych uczynkach postępują — toć go to pociesza, i choć to złe języki przeciwko niemu wojują, nic on sobie z tego nie robi, bo jako rozumny człek zawsze ma oną przypowiastkę na myśli: *„Jeszcze się ten nie narodził, któryby wszystkim dogodził“* — Alboż i mała to była nagroda, coć go spotkała tego roku podczas wizyty JW. księdza Biskupa!... Ksiądz proboszcz go przedstawił i pochwalił, za co od JW. księdza Biskupa otrzymał do dalszej posługi w gromadzie pasterskie błogosławieństwo i na pamiątkę koronkę z samej Jerozolimy, sprawioną z owoców drzew oliwnych, pod któremi niegdyś Pan Jezus się modlił.

Tak to często już tu na ziemi nagrodzonym bywa człek rzetelny, co żyje według Boskich przykazań. A jakie nagrody czekają go w przyszłem życiu, o tem powiedziano w piśmie świętem: „Kto obficiej sieje, obficiej też żąć będzie.“

Ja zaś widząc, ile dobrego zrobił Józef Weisło wójt z Borusowej i dotąd jeszcze robi dla swojej gromady, życzę, aby i wszystkie inne wsie Bóg podobnymi obdarzył wójtami.

Pisałem w Gręboszowie 29. Października 1859.

Pleban z Gręboszowa.

RÓŻNOŚCI.

Dobra nauczka. Będzie temu może dwa miesiące, kiedy w jednej wsi pod Przemyślem wydarzyła się taka historja. Jest tam fornal we dworze, podobno mu Szymek na imię, i drugi Ilko, chłopiec do posługi. Obaj niezgorsze chłopaki — bo co prawda to prawda — ale takie to nierozgarnione i nierozważne jeden i drugi, że niech ręka Boska broni!... Szymek sprawił sobie bóty na pasach, a to nie żarty — kosztowały też nieboraka piękny grosz. W tym samym czasie i mały Ilko dostał parę bótów nowiusieńskich na zimę. Szymkowi aże się oczy zaśmiały z radości, kiedyć się w swoje bóty ustroił, a te mu tak szykownie pasowały do nogi jak kiedyby ulał — więc na ochotę wytnie sobie jednego i drugiego hołupca, a myśli: „Dopieroż mi się w takich bótach będzie tańczyć aż miło!“ — Ilko znowu skoro przywdział swoje nowiusieńkie bóty, to mówię wam, że już sam nie wiedział jak ma chodzić z wielkiej uciechy — więc co krok to stanie i przypatrzy im się, a obmaca cholewy, a chwyta za obcasy, aż nareszcie głowę zadrze do góry i przejdzie się tam i na powrót po dworskim dziedzińcu, myśląc sobie: „Teraz ja pan, kiedy mam już bóty na zimę.“

I było tej całej uciechy aż do nocy. Po wieczerzy idzie Szymek do stajni na spanie. Tam też i mały Ilko sypiał, ale że się jeszcze gdzieś zawieruszył, więc jeno Szymek sam poszedł. Aliści w stajni patrzy: cosić tam czarnego leży na słomsku. Leży, ta niech tam leży, kiedy się położyło — podumał po swojemu nierozważny parobek, zciągnął bóty i resztę odzienia, i ułożył się w najlepsze do spania. Po niejakim czasie nadchodzi Ilko, widzi takoż, żeć tam coś leży czarnego, ale nic nie mówiący, podobnie jak Szymko wyzuł się z bótów, przewrócił na słomę po drugiej stronie *tego czarnego* i jużci spi jak zabity. Rychło świt budzą się obaj.

— „Szymek! zawołał Ilko, przeciągając się ze snu — nie widziałżeś ty, że tu cosić czarnego leżało wczoraj na słomsku wedle nas?“

— Jakżebym tego nie widział! rzeknie parobek i także się przeciągnie raz i drugi — ale pomyślałem sobie: niech ta!

— „Takci prawie i ja, mówi chłopiec, przecierając sobie oczy — ale widzisz, już ci go nie ma na miejscu!“

— Nie ma? daj go katu! jakiś mi ranny ptaszek... no, no! powiada Szymek i gramolił się powoli z pościeliska. Nagle zakrzyknął: — Ki tam licho! i obzierając się na wszystkie strony: — Czy mię co omamiło — bąkał sobie pod nosem — albom oślepł!... no, widzicie państwo, Jezus Marja! wywołuje coraz to głośniej — taki nie ma!

— „Czego ty szukasz, Szymek?“ pyta Ilko.

— A bótów, moich bótów! dla Boga!! jużci na całe gardło wrzeszczał parobek, przewracając wszystko w koło siebie do góry nogami.

— Ale co znowu — pociesza go chłopiec — muszą być, jeno lepiej poszukaj.

— „Durnyś! przerwie jeszcze goręcej parobek — taże szukam nie co innego... nie ma i nie ma!“

Wtedy Ilka jakby go kto nożem sztychnął pod żebro, tak go naraz zabolało; duchem też skoczył za swojemi bótami — ba, ale zkąd wziąść kiedy ich nie było. Toć nic już nie mówił chłopczysko, jeno się na piękne rozbeczał gdyby za rodzoną matką. I dopiere zrozumieli oni, co tam czarnego leżało na słomie — że to był złodziej niecnota, który ich o taką stratę przyprawił. Boguż jeszcze dziękować, że jaką sztukę bydła nie wyprowadził ze stajni. — Żalić się tu nie było na kogo, owszem jeszcze musieli się wstydzić przed ludźmi, ta że oba nie mieli na tyle rozumu i przezorności, aby się przekonać, kto tam leży w pańskiej stajni, i czy on ma prawo do tego. Tak czyniąc, byliby się zaraz pomiarkowali, że to jakiś człek podejrzany, co się po nocy wciska do cudzej stajni, więc by mu sen jego miły przerwali — i fora ze dwora, nieproszony gościu. A że tego nie uczynili w nierozwadze swojej za to też dostali *dobrą nauczkę.*

Leniwy Piotrek. Pewien kmiotek, idąc ze swoim synem na jarmark do miasteczka, ujrzał leżącą na drodze złamaną podkowę i pokazał synowi, mówiąc żeby ją podniósł i schował. — To niewarto tatulu, odpowiedział leniwy Piotrek. Ojciec więc sam podjął podkowę i schował do sukmanki, a w najbliższej wiosce sprzedał ją kowalowi za cztery grosze, za które kupił wiśni. Kupował zaś tak, aby to syn widział. W dalszej drodze, że upał był wielki i słońce dogrzewało, uczuł Piotrek mocne pragnienie, a że nie było w pobliżu ani studni, ani strumienia, gdzieby je mógł ugasić, omdlewał więc z gorąca. Ojciec to widząc, upuścił jedną wiśnię, niby przypadkiem — a Piotrek podniósł ją i zjadł z chciwością, poczem upuścił ojciec drugą, po którą syn uchylił się również skwapliwie; toż samo zrobił ojciec z trzecią, czwartą i tak dalej, aż do ostatniej, a Piotrek chylał się po każdą wiśnię z osobna, ani pisnąwszy. Kiedy już nie było wiśni, wtedy dopiero ojciec obrócił się do syna i tak przemówił:

— Widzisz mój Piotrze, do czego cię lenistwo przywiodło! gdybyś się był schylił wprzódy po podkowę tylko raz jeden, nie schylałbyś się potem kilkadziesiąt razy po wiśnie,

Boskie pokaranie. Przy końcu przeszłego miesiąca na górnych Węgrach w mieście *Lubjetowie,* uderzył piorun w jedno z tamtejszych domostw, i zabił małego chłopca. Działo się to między godziną czwartą a piątą z rana. Dziwowali się ludzie, bo i było się czemu dziwować — w tak późnej porze roku rzadki to bywa trafunek aby pioruny trzaskały. Ale gdy im bliżsi sąsiedzi tego domostwa opowiedzieli, jacy to byli owi ludzie, co im chłopca piorun ubił: żeć ani do kościoła nie chodzili, ani żadnych świąt nie przestrzegali, ludziska bez czci i wiary, co się jeno ustawicznie między sobą kłócili, a nawet własnym dzieciom nigdy dobrego słowa nie powiedzieli, tylko ci zaraz wyjeżdżali z przekleństwem: A bodaj cię piorun zabił — i tam dalej — to już się

więcej nie dziwowali ludzie temu trafunkowi, ale go wszyscy uznali za *pokaranie Boskie.*

Chłopek filut. Dawne to już temu wieki, kiedy niejaki pan Mikołaj Rej, sławny człek swojego czasu, przyjechał do wsi *Łęk* pod miasteczkiem Krosnem. Ujrzawszy rzeźwego chłopka na drodze, zapyta go:

— Słuchaj-no człeku, a kto tę wieś trzyma?

— Ziemia a płoty, mój jegomościuniu! — odpowiedział filut, skłoniwszy mu się przytem grzecznie do kolan.

— *Rej.* A któż tu panem?

— *Filut.* Ten, co ma najwięcej pieniędzy.

— *Rej.* A któż tu starszym?

— *Filut.* Jest tu baba, co już jej przeszło sto lat.

— *Rej.* A któż tu najwyższy?

— *Filut.* Lipa nad kościołem, co oto ją widać.

— *Rej.* Dalekoż południe?

— *Fliut.* Nieszło tędy miły panie, nie wiem, jak daleko może być.

— *Rej.* Widzi mi się chłopio weźmiesz w gębę.

— *Filut.* Nie wezmę panie, bom nie pies, wolę w rękę jako człowiek.

Tedy pan Mikołaj Rej zmiarkował, że trafił na chłopka filuta. Ale nie rozgniewał się za to, owszem polubił go sobie, bo jak to powiadają: *kruk krukowi oka nie wykole* — a trzeba wiedzieć, że ten pan Rej sam był żartownisiem nielada jakim. Rad też potem opowiadał każdemu o tem swojem spotkaniu, i zawsze serdecznie się z tego uśmiał.

* Pewien zamożny włościanin przez rozpustę i hultajstwo tak podupadł, iż musiał iść za pastucha w tej samej wsi. Jednego razu spotkawszy go dawny przyjaciel, co niejedną kwaterkę z nim wychilił, zapytał się go: — Cóż to Jakóbie, czyście zostali pastuchem?...

— Nie, odpowiedział pierwszy, tak źle nie jest, ja tylko pilnuję, żeby trzoda szkody nie robiła.

Dawne przysłowia.

1. Nie wszystko złoto co się świeci.
2. Na złodzieju czapka gore.
3. Nie mów hoc, aż przeskoczysz.
4. Zuch do klusek, a od kaszy
   I kijem go nie odstraszy.
5. Każdy tam ciągnie, gdzie się ulągnie.
6. Kto się mści, bywa dwa razy bity.
7. Ze stodoły pustej, nie wyleci wróbel tłusty.
8. Dwie gęsi, trzy niewieście,
   Jużci jarmark w mieście.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 17.

11. Grudnia 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kazimierz Mnich.

(Dokończenie.)

Jacyś to goście zawitali do Rzymu?... Ich szaty mocno przypruszone białym kurzem, toż samo i obówie, a twarze mają ogorzałe od słońca i wiatru — to znać daleką odbywali podróż. Spieszą oni przez ulice sławnego miasta, nie zwracając zgoła na nic uwagę, choć tam było siła ciekawego do widzenia, zwłaszcza dla cudzoziemców, na jakich patrzyli. Pilnoż bo im pilno, i niedziwota! tać bo to nasi posłowie, co oto spieszą z prośbą do Papieża, aby im uwolnił królewicza z klasztoru.

Skoro przybyli do pysznego pałacu, kędy zamieszkał Papież, uczuli niejaką trwogę w sercu: — Anuż, myślą sobie, i tutaj nam się nie powiedzie?... a to już nasza ostatnia ucieczka! ha, niech się dzieje wola Boża!! — Wprowadzono ich do jednej wielkiej izby na posłuchanie. Niebawem obaczyli Ojca świętego — twarz Jego łagodna dodała im ducha... więc naprzód w pokorze pochylili czoła przed głową kościoła, a potem śmiało wystąpili z prośbą swoją. Dziwnie łaskawie wysłuchał ich Pa-

pież, i ulitował się nad Polską, która w Kazimierzu widziała jedyne swoje zbawienie. Jako więc mocen był rozwiązać śluby kościelne i uwolnić królewicza z klasztoru, i tak uczynił właśnie, a to na prośbę posłów, którzy w imieniu całego narodu prosili. I taką wolę swoją kazał natychmiast wypisać na papierze i doręczyć naszym posłom z błogosławieństwem na drogę; za co znowu oni ofiarowali na kościoły bogate dary w złocie i w śrebrze. Potem na chwilę już nie zatrzymywali się w miejscu, jeno co tchu pospieszali z powrotem do Francyi i do kluniackiego klasztoru.

Tymczasem w klasztorze ani się komu śniło, żeby po takiej odprawie, jaką już raz dostali posłowie polscy, tychże samych jeszcze kiedyś zobaczyli u siebie. Jakież było ich zdumienie, gdy razu jednego widzą znowu onych gości z dalekiego kraju, przybywających śmiało do klasztoru. I co jeszcze: zdrowo, raźno, wesoło, z uśmiechniętą twarzą byli wszyscy, ani podobni do siebie od ostatniego czasu, kiedy ich przyjmowano w gościnę. — Zkąd znowu? pytają mnichy, tak im się to bardzo dziwnem wydawało. Dopiero zrozumieli rzecz całą, skoro posłowie wręczyli rozkaz Ojca świętego przełożonemu klasztora, dopominając się teraz na prawdę o królewicza Kazimierza, aby go puszczono na wolność. Przeciwko takiemu rozkazowi nikt nie śmiał ani pisnąć. Tedy przywołano Kazimierza i opowiedziano mu, jako już jest wolnym od ślubów kościelnych, i że teraz może już sobie robić, co mu się żywnie podoba. Zasię posłowie nasi rzucili mu się plackiem do nóg, wywołając go *królem i panem Polski.* Jeszcze po raz ostatni poszedł Kazimierz, ustrojony jako mnich, z zakonną bracią do kościoła na modlitwy. Potem już złożył swoją ubożuchną sukienkę, a natomiast przywdział bogatą rycerskę zbroję — i żegnał się potem z mnichami, i każdego po kolei uściskał jak brata, polecając się ich wdzięcznej pamięci w modlitwie — a wszyscy mocno po nim żałowali i krzyżem świętym błogosławili go na drogę.

Zmierzając ku Polsce, chciał jeszcze Kazimierz królowę matkę odwiedzić na jej zamku, i obrał sobie drogę tamtędy. Oj byłoż tam dopiero uciechy co nie miara, kiedyć się pojawił na zamku, a Ryxa poznała w nim syna swego. Ale z tego była

mocno niekontenta, że jej syn wybierał się na polowanie do Polski.

— Niechże cię pan Bóg broni! prawi królowa, tuląc jedynaka pieszczotliwie do siebie — abyś miał jechać do kraju, który bardziej patrzy na pustynię jak na jakie królestwo. I cóż ci potem? — Oj, nie masz tam rozkoszy dla króla w tym kraju! bo wiesz przecie jak z Polską wszystkie pozadzierały narody — to widząc ją teraz słabą, temci bardziej na nią godzą, aby całą między siebie rozszarpać. Dajże więc sobie spokój z tem królestwem, mój jedynaku! a pozostań przy mnie, panując na matczynym majątku. Bo inaczej to ja bym jednej chwili spokojnej nie miała, myśląc że już tam ciebie gdzieś na wojnie zabili, albo zabrali do srogiej niewoli.

Ale Kazimierz nie dał się ująć żadnej pokusie: — Ja, syn prawy króla Mieczysława — powiada — toć słuszna, abym się za ojcowską krzywdę pomścił na wrogach. A iżem się rodził na polskiej ziemi, przeto mam się do niej jako syn do swojej matki — więc kochać ją, bronić co sił a choćby i umrzeć za nią, to moja synowska powinność. Nareszcie zakończył: — Matko! ty co tyle złego narobiłaś w Polsce, dozwól przynajmniej synowi, by się stał dla niej wdzięczniejszym.

To wypowiedziawszy, wstał i zaraz pożegnał królowę. A matka gorzko płakała za synem; i długo jeszcze z okna poziera na drogę, kędy się puścił Kazimierz dalej ku polskiej granicy.

Tymczasem już w Polsce rozeszła się była pogłoska, że król przybywa do kraju i że już jest niedaleko. Wiadomość ta sprawiła wielką radość w narodzie. Ze wszystkich stron gromadziły się tłumy wdzięcznego ludu na granicy. Skoro się tam pojawił Kazimierz, powitano go serdecznie nie jako króla, ale raczej jako miłego ojca.

Pierwszem staraniem Kazimierza, gdy stanął na polskiej ziemi, było: powołać rycerstwo jakie się dało na prędce zgromadzić. Sam też dosiadł rączego konia, i dalejże gnać tędy i owędy za wrogiem, który się po całym kraju rozsypał na rabunek. A było tam czeskich i pomorskich rabusiów i innego tałałajstwa bez liku, iście gromada głodnych wilków, wietrzą-

cych zimową porą za łupem. Ale Kazimierz jak się raz szczerze do nich zabrał, tak ci niebawem wykurzył ich na piękne z kraju — i był już spokój z tej strony. Teraz trza było jakiś ład zaprowadzić w rządzie, bo gdzie przez tak długi czas nie było gospodarza w domu, tam i nie dziwota, żeć się wszystko pomieszało i poszło na bezład. Więc poustanawiał sądy i wszelkie urzęda na powrót, które miały czuwać nad sprawiedliwością i porządkiem w kraju. Tak powoli Polska pod dobrym królem przychodziła do siebie — podźwignęły się miasta, zaludniły pustką stojące wsie, i znowu ochoczo imał się kmieć roboczy do swojej roli, bo już był wolny od napaści.

Już też prawie całe dziedzictwo ojcowskie miał Kazimierz w swoim ręku — jeszcze tylko brakowało Mazowsza, co to był także kraj polski. Tam stary Masław, niegdyś podczasy króla Mieczysława, później, gdy tenże umarł, z własnego uroszczenia chorąży i rządca Mazowiecki, a dzisiaj jużci tak zhardział, że ani mu gadać o królu Kazimierzu, bo powiada, jako on sam jest królem na swojem Mazowszu, i drugiego króla znać nie chce. Niedosyć na tem — jeszcze na dobitek złego wyparł się prawdziwego Boga, i zaprowadził brzydkie pogaństwo w onym kraju. Słusznie wypadało Kazimierzowi ukarać zuchwalca i zatwardziałego grzesznika — ale że Masław miał dużo wojska własnego i nadto jeszcze inne pogańskie narody trzymały jego stronę, więc niebezpieczno było zaczepiać go z lada jakiemi siłami. Musiał król czekać lepszych czasów, i aż sobie więcej wojska nagromadzi.

Dopiero po latach kilku, gdy pojął bogatą księżniczkę ruską *Dobrogniewę* czyli *Marję* za żonę, i przez to ożenienie zapewnił sobie pomoc wielkiego księcia Kijowskiego *Jarosława*, przystąpił Kazimierz do wojny z hardym choć dobrze już wiekowym Masławem. Sam wielki książę przyprowadził Polakom pomoc. Po przeciwnej zaś stronie stanęli pospołu z Mazurami: Pomorzanie, Prusacy i Litwa. W wilię samej bitwy król nasz we śnie usłyszał głos: „Nie bój się, sprawiedliwość przy tobie, pobijesz pogany.“ — Równo z dniem zapaliła się krwawa i szeroka walka. Nasi górą! wnet rozgromili nieprzyjciela i napędzili go na cztery wiatry — sam Masław zginął, a Kazimierz prawie cudem ocalał od śmierci, tak wszędzie był na przedzie i tak bardzo narażał

życie swoje za świętą wiarę i za dobro kraju. — Po tej bitwie wróciło Mazowsze do Polski, która teraz pod panowaniem dzielnego króla odżyła na nowo, i stała się państwem tak potężnem, jakiem była za pierwszych lat królowania Mieczysława II.

Na tem kończymy historię o Kazimierzu Mnichu, którego też po wszelakiej sprawiedliwości nazwano: „*Odnowicielem Polski.*“

Pacholę na grzybach.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony;
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przede mną bardzo zatrwożony.
— Nie bój się dziecię! co tu robisz w lesie?
„Zbieram co znajdę!“ chłopak mi powiada.
„Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.
„Przednowek ciężki — to i to pomoże.
Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.“
— Miła chłopczyna! — znał kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą, znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać, i o którym czasie?
Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.
Z kolei przyszło na jaja słowicze —
Rzekł mi chłopczyna: „Ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo i któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?“
Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?
„A, brońże mię Boże!“
Ze trwogą chłopak mi na to odpowie —
„Taką się krzywdą człowiek nie wspomoże!

„Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna;
I Matka Boska — do tego Bolesna —
Wszystkie skowronki w swej opiece trzyma;
Więc na skowronka żadnej trwogi nie ma!“
— Jakto? — pytałem. —
„Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chystus stanął niegdyś nogą,
Byłby już zbawion! lecz w ówczas ludziska
Byłe nie dobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!
„Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął,
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojrzy się Marja — skowronek zawisnął!
„I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć, choćby jedno ciernie
Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony najświętszej odskubał.
„Błogosławiła Marja skowronkowi,
Podniosłszy w niebo te oczy żałosne,
I rzekła w łasce: będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!
„A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożej głosi.
„Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem cię chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.“
To rzekłszy nisko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił. (*W. P.*)

LEW I CZŁOWIEK.

Gadka.

Posłuchajcie-no moi ludzie, co wam też ze szczerej chęci opowiem o zwierzu, które to choć nie w naszych sadybach się wywodzi — ale o którem przecie nie zawadzi coś wiedzieć. —

Przyłóżcie więc ucha, a nie strachajcie się bardzo, gdy wam zacznę prawić o takiej okrutnej bestyi, co się lwem nazywa. Boć doprawdy straszne to zwierze ten lwisko — a nawet Jaśko, co wrócił teraz z Italji i tyle dziwa tam widział, a przed żadnem się nie uląkł — zadzwoniłby zębami, gdyby stanął przed nim lwisko, niby wół wielki, a z grzywą poniżej kolan, i z ślipakami, co by dwa czerwone węgle spoglądają ze łba. A gdybyć do tego jeszcze ryknął — niby dziesięciu buhai i pokazał białe, na pięstuk duże i niby żydowskie igiełki ostre zębiska, to nietylko Jaśko wojak — ale i my wszyscy, moi mili, wzielibyśmy nogi za pas i nie zatrzymałby nas choć nie wiedzieć jakim specyałem. Ale choć ta do tej straszliwej postaci łączy jeszcze ogromną siłę — tak że z rocznym cielakiem w mordzie najwyższe przeskakuje płoty, a jednem uderzeniem łapy najtęższego konia ubija, przecie ma we zwyczaju szanować człowieka, stworzonego na podobieństwo pana Boga.

Dziwno się to zdaje — nieprawdaż, że on co największego zwierza się nie ulęknie (boć i dla tego królem zwierząt nazwany), boi się ludzi, i chyba głodem ostatecznie przymuszony, rzuca się na nich — ale i to tylko wtenczas, gdy kto przed nim stchórzy i w nogach szuka ratunku. — Otóż o tem to uszanowaniu lwa dla człowieka taka gadka chodzi między ludźmi:

Pewnego razu lwica jedna powiła troje młodych — i jako czuła i kochająca macierz chodowała ten skarb swój jak najstaranniej. W jakiś czas potem, gdy młode lwiątka podrosły i siły nabrały, zwołała je matka i tak się odezwała: „Dziatki moje, dotychczas byłyście pod mojem staraniem, ale pora już ku temu, byście zaczęły same o sobie pamiętać. Idźcie więc w świat — tylko nie zapominajcie, że choć jesteście królami zwierząt, toć na tej ziemi jest jeszcze stworzenie, które panuje nad wszystkiem. Tem stworzeniem jest człowiek — a z nim nie radzę wam się spotykać!“

Skończyła lwica — lecz nie wszystkie dzieci zarówno uwierzyły w słowa macierzy. Najstarsze lwiątko, najsilniejsze z pomiędzy braci a harde i krnąbrne z natury, coś niebardzo wzięło te słowa matki do serca — a nawet rada jej wzbudziła w nim niepohamowaną ciekawość: co to za jeden człowiek, przed

którym lew nawet ustąpić musi. Aby więc poznać człowieka i wywiedzieć się czy on zaprawdę taki straszny, wybrało się to najstarsze lwiątko w drogę.

Idzie, a idzie coraz dalej — gdy w tem na łące pod lasem ujrzy pasącego się byka.

— „Hej, bratku!“ ryknie doń, „a waszeć nie człowiek?“

Ze strachu wół ledwie zmógł się na odpowiedź, że on nie człowiek, i dodał:

— „Oj, ten człowiek to kat straszliwy, widzisz jakim tłusty i gładki że mucha na mnie nie dosiedzi, a gdybym popadł w jego ręce — to w duch byłyby ze mnie tylko skóra i kości.“

I szedł ów lew dalej, by znaleść tę straszną poczwarę co ją człowiekiem nazywają — kiedy oto napotkał jakąś szkapę — ale, miły mój Boże, tak chudą, że kości by w niej policzył. A lew ją zapyta:

— „No synku — to tyś może człowiek?“

Koń aż się zatrząsł na tę nazwę, bo myślał, że już z człowiekiem i batog śmigać zacznie po jego bokach; lecz nareszcie opamiętał się i rzeknie:

— „A gdzie ja tam człowiek, ale strzeż się, kochanku, byś nie popadł w jego szpony. Patrz jakim teraz nędzny, a dopiero miesiąc służę człowiekowi.“

Na tę mówkę konia straszno się jakoś wydało lwu, szukać jeszcze taką piekielną poczwarę — tego człowieka, co zmoże najtęższe zwierze; ale ciekawość, co to nie darmo pierwszym stopniem do piekła, i tym razem przemogła i poszedł dalej — a po drodze porwawszy jagniątko, wszedł sobie do lasu, aby je tam spokojnie pożreć. Gdy w tem słyszy jakiś łoskot i hałas: „Ha,“ pomyślał sobie, „toć tam już pewno człowiek, kiedy takiego łomotu narobił.“

A więc szuka i nadsłuchuje, z kąd odgłos idzie — nareszcie patrzy, aż tu na wysokiej jodle siedzi chłop z siekierą i rąbie a rąbie, a gałęzie jedna po drugiej jak lecą tak lecą. Już się ich chłop do syta narąbał, więc zsunął się na dół, i właśnie co miał zbierać gałęzie i nieść je do domu, gdy jak mu z niespodziana huknie lew po za uchem: „A tyś to człowiek?“ aż mrowie przeszło mu po za skórę, i pociemniało w oczach. Chłopisko, co choć frant do tego, by furkę gałęzia wywieść

ukradkiem z pańskiego lasu, przecie nie spodział się spotkać z takowym pobereżnikiem. Lecz po chwilce widząc, że nie taki straszny diabeł jak go malują, nabrał odwagi i powie:

— „A dyć ja nim, a cóż chcesz asan?“

— „A no kiedyś ty człowiek, to się spróbujemy kto z nas mocniejszy!“ odeprze lwisko i ziewnął białemi kłami, że chłopu dusza już na ramieniu, bo chociaż w karczmie przy bójce bywał zwykle na wierzchu, toć mu się ckliwo zrobiło koło serca na widok takiego przeciwnika.

Ale, jak to powiadają, muru głową nie przebije; lew stoi za nim, i łapy już wyciągnął by uściskać swego druha, a tu ani uciec, ani się gdzie podzieć, więc chłop się krzyżem przeżegnał i rzecze:

— „Kiedyś ty taki ochotny poborykać się ze mną — to zrób wszystko to, co ja potrafię — a na początek wyrwij tego dąbczaka ze ziemi!“

Jeszcze nie skończył swej mowy, kiedy lew rzucił się do dęba, który już sporo podrósł od ziemi, i jak zacznie szarpać i targać i drapać, aż się zasapnął biedaczysko, a dąb jak stał tak stoi.

— „A spróbuj no ty teraz!“ ryknie lew do chłopa.

Jeszczeby jednej Zdrowaśki nie zmówił, jak drzewo leżało już na ziemi. Ale niewiele chłopu to pomogło, bo lew znowu się zabiera do niego i radby go już zdławił w swoich łapkach.

Przecie chłop wyprosił się na ten raz, i świeżą zadał robotę lwu: aby zrębanego dęba na dwoje rozłamał; lecz i tym razem lwisko choć sobie do krwi poobłamywał pazury, nie potrafił zrobić tego, czego chłop duchem dokazał.

Ale na tem jeszcze nie koniec, lew trzeciej jeszcze próby się domaga, a chłop mu na to odeprze:

— „Ot wieczór, rozkól-no to polano na dwoje!“

Ale lew, co nie w ciemie bity, zmiarkował, że to trudniejsza robota, niż poprzedzające, więc każe chłopu samemu zaczynać, bo myślał, że w tym się pewnie poszkapi. I zgadnął nawet po trosze, bo ledwie chłop nadłupał co nieco dąbczaka i spory klin zabił, wziął wołać płaczliwym głosem:

— „Ej kumoszku, ej miły, pomiłujcież się nademną, a pomóżcież odrobinkę, to już to przeklęte drzewo rozszczepię.“

Lew rad, że przecie raz chłop potrzebuje jego pomocy, ochoczo wepchnął swoje łapy w szparę; gdy w tem chłop wyrzucił klin, a drzewo silnie ujęło lwa, że aż biedak po ziemi wił się z bolu. A tu jeszcze chłop zdrajca zacznie go okładać obuchem, to już myślał, że mu przyszło na marny koniec.

Ale chłop choć krzyczał a krzyczał: „A tyś bestyjo chciał być mędrszym od człowieka — a na ci zato — a na!“ toć mu nakoniec żal się zrobiło zabijać bezbronne zwierze, więc tęgo zbitego zostawił jego losowi i poszedł swoją drogą.

Lwisko z bolu i ze wstydu, że tak się dał oszukać, ryczał w niebogłosy, aż przybiegli macierz z braciszkami i usłyszawszy historję, uwolnili go z tej łapki.

Nauka nie poszła w las. Lew od tego czasu, choć panował nad wszystkiemi zwierzętami, omijał na pół mili człowieka.

Aże teraz długie jesienne wieczory, a wasze Baśki i Maryśki na wieczornicach przędą, a jak im nikt nie przyśpiewuje lub bajki jakiej nie opowiada, to zaraz przy kądzieli drzemią; więc aby onym nie lepiły się oczęta jak po maku, a wy znowu chłopcy byście przecie, jak gapie, co trzech zliczyć nie umieją, nie stali przy waszych dziewuchach, toć wam od nudoty opowiedział tę gadkę —

Organista z Budyłowa.

Dnia 20 Listopada 1859.

Piękny przykład
o miłosiernym kowalu z Wielunia.

W tamtym kraju Polski, co to go Moskale zabrali, leży miasteczko *Wieluń*. Tam przed laty kilkunastu żył sobie kowal, człek niebogaty, ale uczciwy, trzeźwy, gospodarny i szczerze pracujący na kawałek chleba. Jakoś razu jednego wydarzył się

był w mieście pożar, i to właśnie u jednego z bliskich sąsiadów kowala. Spaliło się domostwo, obora, stodółka — słowem, cały majątek sąsiada poszedł z dymem; została mu jeno liczna rodzina na karku, którą aże biedaka rozpacz brała, czem to będzie wyżywić. I była bieda, wielka bieda u sąsiada!...

A u kowala, od czasu tego pożaru, zauważali ludzie coś dziwnego: jużci on dawnym zwyczajem nie zamyka kuźni zaraz z wieczora, ale pracuje do późna w nocy, i znowu dobrze jeszcze przed świtem zrywa się a pracuje zawzięcie. Wprawdzie i dawniej nie lubiał on popróżnować — ale dość mu było pracy na dzień; teraz zasie i w nocy spokoju sobie nie daje. I zkądże to? Czy jaka pilna robota go przyparła, albo co?... Otóż to właśnie był sęk, nad którym sobie ciekawi ludziska nadaremnie głowy łamali.

W tym samym czasie bawił w Wieluniu niejaki pan Bartochowski, obywatel zamożny z okolicy. Ten raz przechodząc późną godziną wedle kuźni naszego kowala, i słysząc go przy robocie, chciał się też wywiedzieć, dla czego do tak późna pracuje i co to za robota?... Poczciwy panisko myśli sobie: może mu dzień nie starczy do zarobku, przeto nocą nieborak nadrabia; więc poratować by się godziło kowala. Tak tedy wchodzi do kuźni i pyta go:

— Majsterku! jakaż to pilna robota was pędzi, że aż po nocy pracujecie?

— Nie dla siebie ja to robię, miły panie! odpowiedział kowal — ale dla mego sąsiada, którego oto nieszczęście spotkało, że całkiem pogorzał. Rodzina liczna, z zarobku trudno mu wszystkich wyżywić, a żebrać nie umie, bo do tego nienauczony i wstyd ma. A toć mi go mocno żal! więc myślę sobie: chrześcijańska to rzecz poratować bliźniego — ale ja sam, mój miły panie, nie zamożny — jak to powiadają: *Maciek zrobił*, *Maciek zjadł* — tak u mnie się dzieje. Dzień więc poświęcam dla mojej rodziny, pracując na ten kawałek chleba — a zasie od nocy urwę tych kilka godzin na poratowanie biednego sąsiada. Na szczęście, roboty nie brak w tej porze, a Bogu dziękować, ręce mam zdrowe — to i bajka że się tam parę godzin więcej poturbuję.

Słysząc to pan Bartochowski, zawoła: — Oto mi chrześcijańska dusza co się zowie!... ale pytam cię, uczciwy człeku! będzież twój sąsiad kiedy w stanie oddać ci tę sumę, którą mu dzisiaj na poratunek udzielasz, tak ciężko na nią pracując?...

— O panie, na to ja wcale nie rachuję! — prawi majster — byle się nieborak podźwignął z biedy, to już i dobrze. A może też przyjdzie taki czas, gdzie albo ja albo moi będą potrzebowali pomocy, to znowu on się ulituje i poda nam rękę.

Pan Bartochowski nic już na to nie odrzekł, nie chciał bowiem próżną gadaniną zabierać mu czasu. Uścisnął więc kowala przyjaźnie za rękę i odszedł precz. Ale nazajutrz zaraz ci poszedł na miasto, wywiedział się jeszcze lepiej o uczciwem życiu kowala, odłożył potem 800 złotych, co na nasze pieniądze wyniesie 200 reńskich w śrebrze, i dopiero wstąpił do kuźni, chcąc wynagrodzić kowala za jego dobre serce dla sąsiada.

— Za te pieniądze, prawi, nakupisz sobie majsterku żelaza dobrego i z pierwszej ręki, ile ci będzie potrzeba — coć taniej wypadnie, a niżeli kupując po trosze w lada jakim sklepie. Tym sposobem będziesz mógł porwać się na większe roboty, no, to i lepszy będzie zarobek i da Bóg, z czasem zaoszczędzisz sobie jaki grajcar na swoje stare lata.

— Tak mówił poczciwy panisko, wtykając kowalowi całą sumę do ręki. Lecz jakże się zdziwił, gdy kowal nie przyjął pieniędzy mówiąc:

— Dziękuję wam panie, za jego dobrą wolę — ale przyjąć nie mogę! bo ani ja taki potrzebny, by mię aż kto wspomagał łaskawym groszem, ani znowu taki stary i osłabły, iżby mię praca własnych rąk wyżywić nie mogła. Ale, dobry mój panie, jeśli już koniecznie ofiarowaliście te pieniądze komuś na podarunek, to macie ot, sąsiada mego, co go ogień nawidził — temu podarujcie waszą sumę, a wielką mu tem wyświadczycie łaskę. Ja zaś także wam za to wdzięcznym będę, bo nie potrzebując już więcej nocami nadrabiać dla poratowania mojego sąsiada, temci raźniej za dnia pracować będę na kawałek chleba.

Tak ci się też i stało: — pan Bartochowski wszystkie pieniądze, co miał dać kowalowi, ofiarował onemu sąsiadowi nieborakowi w podarunku. O mój Boże! co tam była za radość

z tego między biedakami! toć każdy z was zrozumie. Zaś o miłosiernym kowalu z Wielunia, opowiadał potem ten pan wszędzie pomiędzy ludźmi, stawiając go jako *piękny przykład* dla innych.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Dziwna rzecz, że też to nasi ludzie tak mało dbają o swoje zdrowie! A przecie cóż może być lepszego nad zdrowie? Zwłaszcza wam, co z pracy rąk żyjecie, kiedyć choroba dolega, to już i bieda zaziera do chaty. Leżałego grosza nie szukać między wami — z roku na rok, co ręka zarobi, gęba zjada; rzadko u którego coś nadto pozostanie w skrzyni albo w sąsieku. Więc kiedy z choroby omdleje ci ręka, twój dobrodziej jedyny, któż cię wtedy poratuje nieboraku? kto pole obrobi, bydłe nakarmi, chatę poszyje, abyć się za kołnierz nie lało? kto pójdzie na zarobek, by dzieciom i tobie samemu nie zabrakło na chlebie?... Powiada nasze przysłowie, *że jak matki rodzonej, tak i zdrowia swego nie kupisz za żadne pieniądze* — więc czego nawet za pieniądze nie kupisz, to już wielka rzecz! gdzież tedy rozum u człeka, który sobie taką rzecz za nic waży, i jakby czemś podłem pomiata nią, ta nie poszanuje?... Ale powiecie może: — kto zaś tak robi? chybaby oszalał, żeby miał sobie choroby życzyć! — No, to niby i prawda żeć tego sobie nikt nie życzy — ale znowu i nieprawda! bo są tacy i bardzo ich wielu między wami się znajdzie, co to samochcąc podają rękę chorobie i na śmierć się z dobrej woli wpisują, tak właśnie jako ten, co sobie nóż do gardła przykłada. Zapewne ciekawiście ich poznać? no, to się im przypatrzcie dobrze — a w końcu, ręczę, żeć sami przyznacie nam prawdę. I może z tego wyrośnie pożytek dla waszego zdrowia... co daj Boże!

Otóż pierwszy taki, który się swata z brzydką chorobą i często gęsto samej śmierci podaje się w ręce — jak *nieszczęsny pijanica*.

*) „Myślicie może, iż się tylko w rzece albo w jeziorze lub w stawie utopić można, a ja wam powiadam, że i w kwaterce nie jeden się utopił, i życie w niej utracił; bo chociaż od razu nie umarł, to upijając się ciągle umierał i ciągle mu życia i zdrowia ubywało. — Do was się pijaki odzywam i zapytuję, czyście na drugi dzień po przepiciu byli zdrowi i rzeźwi?... Przypomnijcie sobie jakeście się skarzyli, że was mdli i że wam głowa cięży na karku. Ani do roboty, ani nawet do jadła nie mieliście ochoty, ale was paliło wewnątrz a zdawało wam się, iżbyście się przespać radzi, chociaż gdy chcieliście spocząć, to i sen od was odbiegał. — Otóż zatopiliście się w kwaterce jakby w jakiem jeziorze, a jeśli tą razą jeszcze nie na śmierć, to zawsze na chorobę. — Lecz każda choroba jest zadatkiem na śmierć; więc kiedyś się upił, toś już śmierć sobie u żyda zatargował i dałeś mu na nią zadatek. Upiłeś się drugi, trzeci, a może setny raz, toś już życie twoje i zdrowie sprzedał a pewną i bliską śmierć zakupił."

Drugiego macie przed sobą — a ten się nazywa: *żarłok.*

Powiadacie: „Coby to był za grzech jeść? kiedy przecież bez jadła nikt się nie obejdzie! A któż wam kiedy mówił, że jedzenie jest grzechem? Oj, nie jedzenie to skromne, przyzwoite, jakie przynależy spracowanemu ciału, jest grzechem — ale obżeranie się.. to co innego — to już grzech wielki!... Kiedy widzisz przed sobą pełny garnczek polewki albo barszczu ze sztuką i miskę ziemniaków, tobyś je chciał pierwej zjeść oczami zanim się do jadła zabierzesz. — Aż ci się dusza do jedzenia śmieje, a to nie dla tego abyś był tak głodnym, ale że więcej barszcz ze sztuką i ziemniaki z omastą lubisz, nad twe zdrowie i nad twoją duszę. Jesz więc łapczywie więcej niż żołądek zmieści. I rzeczywiście gdybyś w stodołę twoją tyle snopków pakował, ile w twój brzuch pokarmu, tobyś w niej ściany rozsadził, pomimo że są z drzewa na węgiel zbudowane; a jakże dopiero nie ma pęknąć brzuch twój co jest tylko z błony utworzony, jakeście to nieraz w bydlęciu widzieli. — Obżarstwo więc, jest jedzeniem nad miarę i potrzebę; jest to zakochanie

*) Z kalendarza p. Wielogłowskiego.

się w jadle; dogadzanie językowi i podniebieniu swemu ze szkodą i krzywdą żołądka, a więc i zdrowia. Bo żołądek w człowieku jest ów gospodarz, który musi dla całego ciała jakby dla swojej czeladzi ugotować żywność i rozdzielić co któremu przynależy, a surowizny żadnemu nie dawać. A jakże on żołądek ma ugotować i rozdzielić, kiedy aż kipi z niego tyle weń ładujecie i czasu mu do gotowania nie zostawiacie. Weźże który z was kwartowy garnek i wsyp do niego kwartę kaszy, a do tego wlej wody i gotuj przy ogniu, to zobaczysz że jak kasza rozpęcnieje, to i przez wierzch wyłazi, i garnek rozsadzi i niema z tego żadnego jadła, bo się nawet kasza nie ugotuje, ale przypali. — Otóż to samo robi się z żołądkiem. — Weźmy jaki przykład: Oto którejś niedzieli poszedł chłopak w pański groch. Siadł w bruździe aby go nikt nie widział, i mówił sam do siebie: „Ej, teraz się też dopiero najem grochu.“ I prawda że sobie nie żałował, bo łuskał a jadł do woli. — Ale cóż! zapomniał o tem że groch żrzały przyrasta i pęcnieje. Najadłszy się, poszedł do strumienia i napił się wody. Więc cóż się z nim stało? Oto przynieśli go chorego do chaty, a na trzeci dzień jużci go pochowali. A znowu owa Baśka co także umarła. Oto zakradła się wieczorem do sadu, i dalejże rwać a jeść zielone jabłka i gruszki! — Powróciła do domu a matka się jej pyta, zkąd tak późno wraca? i miała ją już ukarać mniemając, żo poszła na muzykę. Ale ona wytłómaczyła się, że ją późno od roboty uwolnili we dworze, i że ekonom przy świecy wypłacał. — Matka uwierzyła, i dała jej na wieczerzę kwaśnego mleka z młodemi ziemniakami, co też zjadła, choć jej się nawet jeść nie chciało. — Na drugi dzień źle! dziewka stęka bo ją okropna trapiła biegunka, ale się nic nie przyznała, z czego ta choroba, tylko ciągle wodę piła, aż się przyplątała czerwonka i zapalenie kiszek i już po niej! Otóż ją zabiło obżarstwo! Albo znowu ów Józek złodziej (niech mu Bóg przebaczy) co to poszedł do sołtysa i wyłupiwszy ul, najadł się miodu z woszczynami: i ten także gnije w świętej ziemi! Więc moi mili, przypominając wam odwieczne prawidło: „Iż człowiek nie poto żyje, aby jadł,“ ostrzegam że nie na to też trzeba jeść aby sobie chorobę sprowadzać i umierać, ale aby wedle

miary i potrzeby ciało posilać i żyć na chwałę Boga. Otóż widzicie że obżartuch, łakomca, nienajadek, bywa samobójca, bo w garnku albo w misce śmierć połyka. — A tu dzisiaj, pożal się Boże, ledwo nie ledwo w każdej wsi znajdą się tacy, co tylko brzuchem żyją, a gęba u nich to jakby młyn który ciągle miele, iż nawet brzuch jadła wypytlować nie może. — Szczególniej zaś czeladź czy dworska czy wiejska, to chciałaby przez całe życie nic więcej nie robić jeno śniadać, obiadować i wieczerzać. O tem myśli, tego tylko pragnie i w tem ma zakochanie, dla tego też nigdy dosyć parobkowi! Daj mu na dwoje,... mało! Daj mu na troje,... to powiada, iżby się na czworo przydało! Daj mu kapusty z grochem, to woła o kaszę z mlekiem! — Daj mu kaszy, to wybredza że chce klusków! A jak mu kluska nie płynie w omaście, to narzeka iż jałowa, i rzuci łyżkę a dziękuje za służbę. — Oj, moi ludzie! tak się dzieje między wami, a codzień, wiadomo, ile to chorób i ile śmierci z obżarstwa pochodzi! Miejcie więc litość i nad waszą duszą i nad waszem ciałem, a markujcie się w jadle, szczególniej zaś strzeżcie się surowizny, z czego pochodzi zimnica, biegunka, cholera i wiele innych chorób które się znowu do nich przyplątają. — Dzieci zaś wasze strofujcie i do mierności wcześnie wprawiajcie, aby nie wyszły na obżartuchów jak drudzy.“

Na dzisiaj dosyć wam będzie onych dwóch poznać. W następnym numerze pokażemy ich więcej.

RÓŻNOŚCI.

Niezawsze uderzy, gdzie kto zmierzy. Ot i niedawno temu sprawdziło się to przysłowie w dziwny sposób na jednym zajączku. Wyszedł sobie myśliwy w pole na upatrzonego. Długo nie sprzyjało mu szczęście — chodził tędy i owędy, ani rusz przydybać szaraka. Aż tu nieopodal od lasu patrzy, z bruzdy na kilkanaście kroków przed nim wyrywa się zając. Hej, hej — w to mu graj! nasz myśliwy wymierzył od oka, strzelba wypaliła — i cóż myślicie... zabił zająca?... nie! toć chyba spudłował?... i to nic, bo ubił coś, jeno że nie tego, na którego polował. Zamiast szaraka leżał zabity wielki orzeł. Krążył on prawie wtedy po nad polem, kiedy się zając zerwał z bruzdy przed myśliwym. Zaraz ci go dopatrzył z wysokości, i chcąc sobie takoż smaczną upolować pieczeń, piorunem uderza na kurtę nieboraka. Ale przypadł właśnie na sam strzał, który go od razu na śmierć powalił. A zajączek tymczasem poszedł sobie szczęśliwie. Dwóch na niego polowało, a żaden nic nie skurał.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom I. Nr. 18.

21. Grudnia 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nie trzeba się woli Boga przeciwić.

W jednej wiosce tuż przy wielkiej drodze stała porządna, murowana gospoda. Siedzieli na niej od dawien dawna karczmarze Wojciechowie, katolicy jużcić, bo dziedzic tej wsi przeciwny był żydom, to choć oni mu tam i naddawali na katolika, wolał on się mniejszem kontentować, byle nie z żydami mieć do czynienia. — Oboje Wojciechowie, tak on jak i ona, uczciwe dusze i bardzo było przykładne małżeństwo; wiodło im się też i niezgorzej, wszystkiego mieli podostatkiem, a przecie nie ze wszystkiem byli szczęśliwi. Jużci dziesiąty roczek mija, kiedy się pobrali ze sobą, a jeszcze dotąd nie obdarzył ich Pan Bóg żadnem potomstwem. Trapili się tem nieboracy, i dzień w dzień wzdychali oboje do pana Boga, aby ich jakiem dzieciąteczkiem pocieszyć raczył. Nadto sama karczmarka miała w alkierzu powieszony obraz pana Jezusa ukrzyżowanego, przed którym bywało nieraz po całych nocach klęczała a zalewała się łzami, niby jaka najnieszczęśliwsza kobieta, a wszystko o to, aby mieli potomstwo.

Aż też wysłuchał ich pan Bóg — jednego dnia porodzili się Wojciechom bliźniaki, oba chłopcy, a ładne jakby dwa aniołki, a krzepkie to i żwawe od samego urodzenia, że już rodzice najmniejszego strachu nie mieli o ich zdrowie. Od tego czasu oboje, ani byś ich więcej odpoznał, tacy byli szczęśliwi, a Wojciechowa już odtąd co dnia paliła świeczkę przed obrazem Jezusa ukrzyżowanego, na podziękowanie za doznaną łaskę. — Ależ bo to i nie chłopaki! istny wam cud — zdawało się, że z każdą godziną przybywało maleństwu i ładności więcej i przedziwnego rozumu. — Często gęsto goście, co to na gospodę zajeżdżali, nie mogli się temu nadziwować, i każdy jeno rodzicom zawidził takich pięknych i rozumnych dzieci. A toć kiedy obcym Wojciechów bliźniaki tak bardzo do serca przypadły, cóż dopiero mówić o rodzicach!... im się wydało, że gładszych, rozumniejszych i lepszych dzieci nie masz już na świecie — i z każdym dniem coraz to więcej przywiązywali się do nich. A wciąż jeno układali sobie w głowie: co to z tego będzie!.. — Ojciec powiada: „Dam jednego uczyć na księdzia; zostanie proboszczem, potem kanonikiem a w dobrym razie może i biskupem. A drugiego pokieruję na urzędnika, to z czasem wyjdzie na pana starostę, a może i wyżej... kto to wie!“ Tak sobie roił ojciec. — Matka znowu inaczej — powiada: „Niech-no mi jeno, da Bóg, podrosną moje chłopaczki, moje cudopiękności, to zobaczysz ojcze, że ich i bez nauki wystrychnę na panów. Nakupię ja sukna cieńkiego, ugodzę majsterka szykownego do krawieckiej roboty, coby im pańskie porobił stroje, a żeć im Bóg nie poskąpił urody — no, to i kto tam wie, co się potem stać może?... Nasza gospoda tuż przy wielkiej drodze, różne państwa przejeżdżają tędy, to uważasz, tatuleńko: z rodzicami jadą i panienki, jedna, druga — dajmy na to panny hrabianki — przypadkiem rzucą okiem na naszych gładkich chłopaczków, i od jednego razu okrutnie ich sobie upodobają... i no, jużcić mię zrozumiałeś, stary!...“

— At kobieto, wielka z ciebie bajbuga! — rzeknie natenczas Wojciech, ale taki i jemu do onych hrabianek uśmiechają się oczy, i w głębi ojcowskiego serca rad jest tej myśli, co sobie ją w głowie żona uroiła.

Słowem, moi kochani, Wojciechowie już prawie powarjowali z wielkiego przywiązania do dzieci, że sobie takie niepodobne rzeczy przypuszczali do głowy. A tymczasem mijają latka, chłopcy chowają się czysto i zdrowo, a rodzice pieszczą, chuchają, dogadzają temu we wszystkiem, że bodaj szybki z okna któremu się zachciało, to wyjmą a dadzą.

Aż tu ósmego roku przypada na tę okolicę okropnie zjadliwa a zaraźliwa ospa; chorują dzieci po wsi, chorują we dworze, nareszcie i Wojciechom oba chłopaki położyli się jednego dnia. I patrzcież! co tam było ratunku, co przeróżnego lekarstwa, Bóg wie nie zkąd doktorzy się zjechali, bo Wojciech nie żałował niczego', a miał dziękować Bogu i grosza uzbieranego dobrą miarkę — ale to wszystko na nic się nie przydało: jak jednego dnia oba przyszli na świat, takci jednego dnia i prawie tej samej godziny oba wraz poszli do grobu. Dopieroż to był płacz i lament niesłychany na gospodzie! zdało się że oboje Wojciechowie w głowę zajdą od wielkiego żalu, aże ludziom obcym straszno było patrzeć na tę rodzicielską żałość i rozpacz. Osobliwie też sama Wojciechowa, ta już oczywiście od rozumu odeszła: ani pożywienia brać nie chciała, ani ludzi widzieć na oczy — ona właśnie na cały świat się zagniewała, ba nawet i na samego Boga. Bo i cóż ona nieszczęsna nie robi w tym swoim żalu!... biegnie do alkierza, kędy powieszony był obraz pana Jezusa na ścianie, i rzecze: „Panie Jezusie, ja się tak zawsze pięknie do Ciebie modliła i takem Cię kochała, a Tyś mi, panie Jezu, taką krzywdę wyrządził?... to już ja i na ten Twój obraz, co mi tak był miły, teraz patrzeć nie mogę i nie chcę!“ — To wypowiedziawszy, w tej swojej szalonej rozpaczy bierze i odwraca do ściany święty obraz.

I znowu minęło lat może kilkanaście. Wojciechowie tymczasem uspokoili się co nieco, i powoli po onem strasznem zmartwieniu zaczęli przychodzić do siebie. Bo widzicie, na świecie tak jest i tak być musi, że człek choćby ta nie wiedzieć jaką szkodę poniósł, z czasem przeboleje, i choć nie ze wszystkiem zabaczy, to taki mu się żałości umniejszy i to jego zranione serce ile tyle podgoi.

Owóż mówię, że już kawał czasu przeszło, i Wojciechowie już tak niby po trochu uspokoili się w swojej żałości, ale obraz pana Jezusa w alkierzu, jak go raz sama Wojciechowa odwróciła była do ściany, taki odwrócony był ciągle aż do tej pory. I nie wiedzieć dla czego?... może po prostu stało się to z zapomnienia, a może też i śmiałości nie miała karczmarka zbliżyć się do obrazu, przeciwko któremu w onym niepomiarkowanym żalu tak bardzo była zawiniła. Dość na tem, że obraz jak wisiał, tak wisiał obrócony do ściany.

Było to jakoś z początkiem lata. Dzień był niesłychanie parny; toż pod wieczór niebo zasuło się czarnemi chmurami, i zakazało się na straszną burzę. Wkrótce ruszył się wiatr mocny i deszcz lunął jak z cebra, a po czarnem niebie od chwili do chwili przemykały się błyskawice, niby węże czerwone i grzmiało aże ziemia dudniła. Dobry to był dzień dla naszych Wojciechów! burza nagnała im gości co nie miara, cała sień natłoczona była furami, a w gospodnej izbie taki ścisk, taka wrzawa od rozmaitego ludu, prawdziwie jak na targowicy w czasie dobrego jarmarku. Na sam ostatek przybył jeszcze jeden pan podróżny. Ten że się już nie miał gdzie przytulić w gospodnej izbie, musiał rad nie rad mieścić się pospołu z gospodarstwem w alkierzu. Przed spaniem wdał się on z nimi w pogadankę o tem i owem; Wojciechowie przypadli mu jakoś do serca, toż samo i on wydał się Wojciechom rzetelnym i rozumnym człekiem — i byli z wielką ku niemu ufnością. W tem kiedy się tak ze sobą rozmawiają, podróżny pan przypadkowo spojrzał na ścianę, obwieszoną świętemi obrazami. A to mu zaraz wpadł w oko jeden obraz odwrócony do ściany. Z ciekawości zapytał, coby to miało znaczyć?... Wojciechowa zapłoniła się z razu cała ze wstydności, ale prawdy nie zataiła, jeno po szczerości opowiedziała mu wszystko jak było, i przy jakiej to ona okazyi uczyniła. Podróżny pan wysłuchał ją spokojnie do końca, a potem łagodnie jej zganił takowy grzeszny uczynek, mówiąc: „Kobieto! prawda że cię pan Bóg ciężko nawidził, ale przeto nie godziło się Jego przenajświętszej woli przeciwić. Któż to wie, matko, ażali ta przedwczesna śmierć twoich dzieci karą była dla ciebie? a może właśnie pan Bóg wyświadczył ci tem wielką łaskę i

swoje miłosierdzie?... Toć uderz się w piersi, słaba niewiasto, żałując za ciężki grzech twój i zaraz przeproś pana Jezusa!...“

Tak mówił podróżny pan. Wojciechowa uznała swoje zaślepienie; z pokorą przystąpiła do świętego obrazu i zwolna odwraca go... Ależ dla Boga! co się stało!?... Kobieta wrzasła na cały głos i prawie nieżywa upada na ziemię. Rychło na ratunek poskoczyli wraz mąż i podróżny, podźwignęli nieszczęsną ze ziemi, i dopytują skwapliwie, co jej takiego? — Wojciechowa cała w dreszczu, słowa wypowiedzieć nie mogła, jeno ręką ukazała na obraz, co go była właśnie przed chwilą odwróciła. O moi ludzie! a toć strach wypowiedzieć co tam stało na tym obrazie: z wizerunku pana Jezusa już i śladu nie było, zniknął ze wszystkiem, a natomiast widno tam dwie szubienice, a na każdej wisi brzydki trup wisielca, a twarze onych wisielców kropla w kroplę takie podobne... zgadnijcie do kogo?... do onych bliźniaczków, cudopiękności Wojciechów, co ich była zjadliwa ospa zabrała z tego świata przed laty kilkunastu. — Oczywiście był to cud Boski, objawiony rodzicom na przekonanie, jako się im wielkie przez to stało miłosierdzie, iże dzieci potracili przed czasem, coby ich byli kiedyś powiesili.

I dopiero wtedy Wojciechowa uznała łaskę i dobroć Boga nad sobą, i już więcej za synaczkami nie rozpaczała, a podróżnemu panu, co jej pierwszy kazał odkryć obraz, szczerze podziękowała. I odtąd co dnia aż do samej śmierci paliła już świeczkę przed panem Jezusem, który się znowu pokazał na obrazie, a wszystkim to rozpowiadała, szczególniej zaś rodzicom: aby się nigdy woli Boga nie przeciwili, bo On jako dobry nasz ojciec wie najlepiej, co ku naszemu pożytkowi, a co ku naszej szkodzie być może. —

Ludka z Myślenic.

KOLĘDA.

Śliczna Panienka Jezusa zrodziła,
W stajni powiwszy, siankiem go okryła
O siano, siano, siano jak lilija,
Na którem kładzie Jezusa Maryja.

Czyś taka biedna, o Panienko droga!
Żeś w liche siano uwinęła Boga?
O siano, siano, siano kwiecie drogi,
Że się na tobie kładzie Pan ubogi.

A Józef mąż zacny,
Na dzieciątko baczny,
Świętą Pannę cieszył
I z usługą spieszył.

— Mój Józefie drogi,
Toć to mróz tu srogi.
Ziębnie nam dzieciątko,
Boskie pacholątko!...

— Temu pacholątku,
Boskiemu dzieciątku
Przynieś, proszę, siana
W główkę, pod kolana.

I Józef mąż zacny,
Na dzieciątko baczny,
Wziął sianka nie wiele
I w żłobie mu ściele.

A zaś bydląteczko,
Wół i ośląteczko,
Parą nań chuchali
Dziecię ogrzewali.

Pan Nieponimaj.

Opowiedział Walenty ze Smolnicy.

Wojciech Brzech, wójt w Mrzygłodzie to człek nielada! Nietylko że dobytkiem najbogatszy w gromadzie, ale spytaj bądź kogo a powie ci, że i rozum u niego jak u żadnego z mrzygłodzkich gospodarzy. — I nie dziw! Wojciech Brzech od dzieciństwa ocierał się przy dworze, ba nawet kilka lat służył za fornala u nieboszczyka pana, i z nim razem często dalekie odbywał podróże. A rzecz doświadczona, że człekowi tem rozumniej w głowie, im więcej widział świata i ludzi. Do tego nasz Wojciech był setnie ciekawy a sprytny jak mało. Wszystko co ujrzał i zasłyszał, brał na rozwagę, i umiał ztąd zawsze wyciągnąć jakąś mądrą naukę. Bo to człek żeby się tylko nad wszystkiem, co się dzieje na świecie, chciał dobrze rozumem zastanowić, a pozna łacno, że taki to tym światem rządzi z nieba i mądrość najwyższa i łaska najwspanialsza.

Trzeba wiedzieć, że Wojciech dopiero przystawszy do Kozaczychy wdowy, stał się takim bogaczem jak dzisiaj. Za młodu nie miał kąta własnego i musiał ciężko pracować na kawałek chleba. A że widział innych parobczaków, co ani tak dorodni ani tak ciekawi jak on, a przecież nie potrzebowali służyć i odrobiwszy lada dzień lub dwa pańszczyzny, byli sobie panami własnej woli i własnego domu, toć nieraz się pasował i narzekał, że Pan Bóg tylko jemu a nikomu innemu nie pozwolił pracować samemu na siebie, ale od dzieciństwa kazał się wysługiwać obcym ludziom.

— Ej, co tam po takiem życiu! — mawiał nieraz — człek pracuje i pracuje, że rąk nie czuje, a zawsze biedny. Inny cały dzień do góry brzuchem się wylęga, a ma wszystkiego po uszy. Niech tam sobie będzie co chce, ale ja już nie pojmę nigdy, dla czego pan Bóg tak źle rozdzielił swoje dary i jednemu dał za wiele, drugiemu za mało!

Szczęście że z takiem gadaniem nie wyrywał się głośno, boby się musiał okrutnie wstydzić przed ludźmi, kiedy niebawem przyszedł do rozumu i sam poznał dowodnie, że byle się człek

umiał tylko pogodzić z dolą, jaką mu niebo przeznaczy na ziemi, a uczuje się nieraz stokroć szczęśliwszym niż ten, któremu zazdrości. — A wielce ciekawa to rzecz, jakim sposobem nasz Wojciech Brzech przyszedł do takiego poznania. Jak sam powiadał, zawdzięczał to wszystko jakiemuś panu Nieponimajowi.

A kto to był ten pan Nieponimaj, dowiemy się zaraz.

Kiedy Wojciech służył za fornala we dworze, to nieboszczykowi panu wypadło jechać jakoś do swoich włości za kordon, a z tamtąd aż w głąb Rosyi. Wojciech miał wielką łaskę u pana, i musiał towarzyszyć mu w podróży.

Szeroki tedy przejechał kawał kraju i różnych ci się napatrzył ludzi, aż nareszcie interesa pana zagnały aż do Moskwy, co to jest takiem miastem dla Moskali, jakiem dla nas nasz święty i stary Kraków. Wojciech jak żył nie widział takiego wielkiego miasta, toż mało oczy nie zgubił, tak ciekawie rozpatrywał się na wszystkie strony, i tak okrutnie dziwował się wszystkiemu. Markotno mu tylko było, że jak w rogu nie rozumiał nic, jak tam ludzie mówili, boć Mazurowi trudno zrozumieć Rusina, a temcibardziej Moskala.

Nieboszczyk pan pozwolił mu przejść się po mieście, a ciekawy Wojciech kręcił się z ulicy na ulicę i nie mógł się dosyć napatrzyć na wszystkie cuda niewidziane. Stanął wreszcie w rynku przed jakimś wielkim sklepem aż oniemiał z zadziwienia. Mocny Boże! co tu skarbów nagromadzonych leżało przed jego oczyma. A nie dość tych rozmaitych kosztowności, złota, srebra, drogich materyi, co widać było za szkłem, alić przed sklepem stało jeszcze kilka ogromnych bryk, że w kąt drabiniaste wozy ze zbożem, a z każdej bryki mnóstwo ciężkich skrzyń wyładowano i znoszono do sklepu. A musiały tam być setnie drogie rzeczy, bo nie w jednej skrzyni brzęczało coś jak szczere złoto i srebro, a niejedną pakę to i dziesięciu ludzi nie mogło podźwignąć.

Myśli sobie Wojciech:

— Hej, hej, mocny Boże, oto mi bogacz! temu nie żal żyć na świecie!

I aż ręce załamał i gębę rozdziawił z podziwu.

— Żebym też wiedział jak się nazywa ten bogacz siarczysty, tobym miał co opowiadać, jak wrócę do dom — rzekł do siebie.

I po chwili zdjął magierkę z głowy, i zbliżając się do jakiegoś brodatego kacapa, co w pobliżu rozwiązywał postronki od bryki, zapytał go pokornie:

— Dobry człeku! a wy nie rzeklibyście mnie, jak się nazywa ten wasz bogacz ognisty, co to jego i sklep i te bryki okrutne?

Brodaty kacap wytrzeszczył oczy na to zapytanie, a widząc że to jakiś cudzy, co nie rozumie mowy, wzruszył ramionami, i nie odrywając się cale od roboty rzekł w pospiechu: — Nieponimaju! — co znaczyło po naszemu: Nie rozumiem.

Ale poczciwemu Wojciechowi inaczej się to wydało. Nie zrozumiał brodatego moskala, i myślał że to sam ten bogacz nazywał się: Nieponimaj! to też pokiwał głową i rzekł sam do siebie:

— Nieponimaj! pan Nieponimaj! proszę, taki setny bogacz, a nazywa się tak coś, jak nasz stary przysiężny Niepowidaj! A puszczając się dalej w drogę, poskrobał się za uchem i poszepnął z cicha:

— Mocny Boże! żebym choć setną odrobinę miał z tego, co ten bogacz, toż to miałbym życie. Ale cóż tu gadać! Taka to niesprawiedliwość na świecie! Jeden ma po uszy, a drugi i włoska nie ma w czem umaczać.

Idzie dalej, a patrzy, aż tu kilkaset mularzy i robotników muruje nad jakąś strasznie wielką kamienicą; jak dobry zagon ciągnie się jedna już wzniesiona ściana.

Wojciech przystanął na miejscu, i wypatrzył się ciekawie na ogromny budynek.

— No, ten sobie stawia chałupę — rzekł sam do siebie — że i dziesięć gromad, większych niż nasza, miałyby gdzie mieszkać! Ciekawym przecie jak się też nazywa ten drugi bogacz.

I przystępując do najbliższego robotnika, który na drabinę podawał cegły, zagadnął z uprzejmym uśmiechem:

— Ej, panie majstrze! nie powiedzielibyście mi też z łaski swojej, kto to sobie muruje taki dwór przepyszny?

Moskal rozdziawił gębę i wybałuszył oczy, bo jak żył nie słyszał polskiego chłopa.

— He? kakoj? — zapytał po swojemu.

— Pytałem was, majsterku, kto sobie buduje taki dwór wielki? — ozwał się na nowo Brzech.

Moskal wstrząsł głową: — Nieponimaju! — rzekł prędko i jął dalej podawać cegły.

A nasz Wojciech aż w górę poskoczył w pierwszej chwili. — Pan Nieponimaj! — wrzasnął z całego gardła. — Otóż macie! A niechże cię siarczyste pioruny biją, to mi bogacz! Ależ się obuchał dostatków, bestya! A ja mój Boże! — szepnął naraz żałośnie — ja muszę jak pies wysługiwać się u cudzych ludzi! Taka mi sprawiedliwość na świecie!

I niezadowolony i markotny szedł dalej, dumając w duchu nad swojem ubóstwem a cudzemi zbytkami. — Aż też nagle znowu przystanął. Ujrzał przed sobą wspaniały pałac na trzy piętra, ze szklannym gankiem, z kręconemi słupami, a tak jakoś cały cudny i pyszny, iż na razie myślał Wojciech że to kościół, i co tchu zdjął czapkę z głowy. Ale patrzy dłużej, toć nie kościół, tylko pałac taki bogaty. Dach się na nim świecił jakby ze srebra i złota, a brama wyglądała prawie jak ołtarz w kościele. W progu u bramy stał setny chłop w kapocie złotem wyszywanej i z ogromną złocistą lagą w ręku, a choć widać było, że to niby stróż, to wyglądał jak jaki starosta albo jenerał.

— Matko Boska! — krzyknął Wojciech — toć to cudo sprawiedliwe, taki dwór niby kościół Boży! Ej — szepnął sobie po chwili — tu pewnie mieszka sam cesarz albo jaki minister, albo może komisarz cesarza.

I nie mógł już przytłumić swojej ciekawości, skłonił się do samych kolan brodatego wielko-luda ze złocistą lagą, i szepnął potulnie: — Jaśnie wielmożny panie stróżu! nie rzeklibyście mi łaskawie, czyj to pałac?

Ale mało nie skamieniał z przestrachu, kiedy drągal z złocistą lagą nabuńczuczył się jak jendor, i wyciągając rękę groźnie naprzód, huknął z całego gardła: — Nieponimaju! paszoł!

— Oj gwałtu! — zawołał nasz Wojciech Brzech — toć chyba już cały świat tego człeka, tego pana Nieponimaja. — Hej, hej, Matko Boża! — narzekał w duchu, puszczając się dalej w drogę. — Toć już życie niemiłe człekowi, kiedy widzi że jeden się po uszy kąpie w złocie, a drugi chyba w gorącem sadle, co mu bieda leje za skórę; hej, hej, nie ma już sprawiedliwości na świecie! Pracuj żeby ci ręce odpadły, ta ledwo zarobisz kawał chleba i jaki łach na grzbiet, a ot, taki pan Nieponimaj pewno w swojem życiu ani jednej kopy nie zmłócił, a aż mu się oczyma leje bogactwo! — I kiedy tak wyzywał i narzekał, słyszy w tem jakąś muzykę uroczystą. Przystanął i słuchał, aż tu zbliża się pogrzeb okazały. Kilkunastu księży szło przodem, sześć czarnem suknem okrytych koni ciągnęło trumnę, a w tyle jechało dużo tak bardzo dużo powozów, za trumną zaś nie widać było ani żywego stworzenia.

— Toć jakiś wielki pan musiał kłapnąć — mruknął Wojciech i przyczaił się pod mur kamienicy, a przeżegnawszy się nabożnie, jął przypatrywać się pogrzebowi. I jakoś mu się dziwnie żałośnie i ciężko zrobiło na sercu. Nikt nie szedł za trumną, nikt nie płakał i nie zawodził za umarłym. Ci co jechali w tyle powozów byli wystrojeni jak na wesele, a wszyscy wyglądali jakoś radośnie.

— A cóż to się znaczy — poszepnął Wojciech — umarły! pogrzeb! i nikt nie płacze, nikt ani jednej łzy nie uroni za trumną. — I nie mogąc wytrzymać, krzyknął na furmana jednego z jadących w tyle powozów:

— A czyj też to pogrzeb? nie powiedzielibyście mi z łaski swojej?

Ale furman wstrząsł głową, wzruszył ramionami, i mruknął prędko, machnąwszy ręką:

— Nie ponimaju!

— O Jezu milatyński! — krzyknął Wojciech — toć to ten bogacz okrutny! Umarł! Już mu teraz po jego bogactwach! I nikt nie płacze za nim, nikt nie zawodzi za trumną! otóż macie! ja mu zazdrościłem, a takić mi lepiej niż jemu, bom ja żyw i zdrów. O! a niedaj Boże, gdybym zeszedł ze świata, toć pewnieby mię nie tak brzydko chowali! Ho ho! coby to

było płaczu i termedyi! I gospodarze by się pofrasowali, i gospodynie posmuciły i dziewki poszlochały... a moja matka! taby pono umarła z żalu i płaczu! At kiedyć tak z twojem bogactwem panie Nieponimaju — zawołał po chwili i machnął ręką — to spocznij sobie w ziemi! Nie zamieniałbym się z tobą! wolę być chudym pachołkiem a miłowanym od ludzi, niż bogaczem za którym nikt ani jednej łzy nie uroni!

I od tego momentu nigdy więcej nie zazdrościł nikomu bogactwa, i nie narzekał na swoją dolę.

A kiedyć teraz został wam bogaczem i wójtem w gromadzie, toć i jemu nie zazdrości nikt szczęścia i znaczenia.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

(Dokończenie.)

Trzeci z kolei występuje przed wami, co się nazywa: *zawadijak*, *bitnik*, słowem człek zapalczywy. Wszystko to pochodzi od gniewu, któremu taki zawadijak łacno się poddaje.

„*Gniew* bardzo zdrowiu szkodzi i śmierć przybliża, bo całą duszą i ciałem tak trzęsie jak wiatr osiką, a krew tak w żyłach burzy, iż chciałaby nieraz aż oczami wykipieć! Oj gniew, moi ludzie, to jakby ogień we wnątrzu, co płuca pali. — O lada co bo o najmniejszą rzecz unosicie się gniewem; widzimy zaś że baby jeszcze są gniewliwsze od chłopów. Kura przez płot przeskoczy i na grządce ci grzebie, jużci unosisz się gniewem śmiertelnym na twoją sąsiadę. Zaraz z tego kłótnia, swar, przekleństwo i obraza Boga a razem i ujma na zdrowiu i życiu. Wróci nieraz baba do izby, nakłóciwszy się z sąsiadą, czerwona jak upior, wargi się jej trzęsą, z oczów ogień tryska, a czupryna na głowie omierzwiona, a czasem i gęba zdrapana świadczy, że się na słowach nie skończyło, ale że przyszło do bicia. Zaraz żółci przybywa, która się rozlewa po ciele, a z tego febry, żółtaczki, a czasem i paraliż. Braknie okazyi kłócić się z sąsiadą, to się baba kłóci z mężem albo z domownikami, a gada i

wydziwia i trajkocze dopóty, dopóki jej nie ustąpią. Jak nie ma się już z kim kłócić, to psa nogą kopnie, bydło bije i za własnemi gęsiami kołkiem albo kamieniem rzuca, a przeklina, aż wreszcie ze złości garnek pchnie do ogniska i warem się obleje, rękę oparzy i dopiero płacze ze złości i narzeka! Któż ci winien, moja kobieto, żeś się oparzyła?... Gniew to twój własny sprawił, a jeśli się tak często gniewać będziesz, to sobie nie tylko rękę warem, ale całe ciało ogniem w piekle oparzysz. Baby jak mówię częściej się gniewają, ale też i chłop jak gniewliwy, to wygląda jak ten wilk albo ów dziki zwierz, co niema rozumu tylko samą złość w sobie i żarłoctwo. Straszna to rzecz widzieć chłopa w karczmie, kiedy podpiwszy szuka z sąsiadem (jak to mówią) okazyi. Odgrzebie powód od lat dziesięciu albo dwudziestu, po pradziadku albo po babce, i dalejże na drugiego wywoływać! Sąsiad obrażony odpowie słowo, pijak i zawadijak odpowie mu dwa albo trzy i grozi biciem. Niedługo potem, chwytają się za gardło, lub za czupryny. Jużci bitka na śmierć! Drapią się paznokciami po gębie, krew płynie, aż w końcu chwytają się w pół i mocniejszy słabszego obala na ziemię. — Tu dopiero pięścią w piersi albo kolanem w brzuch morduje napastnik rozjuszony jak bydlę lub jak jaka dzika bestya. — Podobnym jest wtenczas do diabła, który męczy potępionego, a co najmniej do tego oprawcy, który psy obdziera. — Oj! moi ludzie! w takim złym człowieku i gniewliwym nie dopatrzy się już nikt podobieństwa do obrazu Bożego, na który jest każdy z nas stworzonym. Bóg nie poznaje swojego stworzenia, ludzie bliźniego, a nawet pies albo bydle, zwiesiwszy ogon, ucieka przed takim człowiekiem, bo widzi iż zły duch go opętał i że wszędzie w koło siebie gotów jest siać cierpienie, boleść, mękę i chorobę. — Jak zaś dopełni miary swej diabelskiej zemsty, to sam wygląda jak opętaniec. Ziaje szybko zmęczonemi płucami, ręce mu się i nogi trzęsą, krew zasinieje na policzkach, język ma od gorączki spalony, i gadać nie może, tylko się miota, aż go porwą sąsiedzi i do domu lub do aresztu zaprowadzą. Z tego później w powiecie ciągnie się prawo; zwodzą się zawadijaki do sądu, który i karę cielesną i areszt, a razem strof baserunkowy naznacza. Piękna mi rzecz stawać przed sądem w powiecie jak

jaki rozbójnik i odbierać z rąk klucznika karę zasłużoną! Człowiek już taki osądzony i osławiony nigdzie nie ma dobrego oka! Wszędzie o nim mówią jako o zawadijaku, zabijaku, napastniku! Na jarmarku jaki taki go omija, sąsiad się wysokim płotem od niego odgradza, we dworze nie przyjmą go na zarobek, powiat słowu jego i świadectwu nie dowierza, a kościół Boży czeka jego poprawy, ale często i przebaczenie na czas zatrzymuje. — Tak więc, zawadijak i bitnik nie ma ani u Boga ani u ludzi łaski, i często dostanie żółtaczki albo tyfusa, i użci po nim."

Na sam koniec pokazuję wam: *próżniaka.*

„Widzicie jakto woda w rzece, która płynie, nigdy się nie zaśmierdzi, a w kałuży to się wkrótce zepsuje. — Otóż i człowiek kiedy pracuje, to jest jak ta rzeka co płynie, a gdy próżnuje, to jest jak to bagno co stoi. — A przecie dosyć przejechać jedną i drugą wieś w tym kraju naszym, aby się naocznie przekonać, ile to próżniaków znajduje się między wami. Zapewne że każdy z was musi zaorać, zasiać, zebrać z pola i wymłócić, bo cóżby jadł gdyby tego nie robił; lecz gdy robicie w polu, to jak zmusu, jak niewolnicy, i bez żadnej ochoty! Dlatego też pole u was (wyjąwszy nie wielu) nie jest starannie uprawione i tyle tylko, że to ziarno zagrzebiecie, ale upodobania w porządnej robocie mało który z was ma. Któryżto z was ochoczo idzie do pracy, śpiewając Bogu na chwałę i z nadzieją w sercu, że Bóg pracy pobłogosławi? Jeszcze kobiety prędzej można napotkać, co są pracowite i ochoczo w pole biegnące, ale chłopa to bardzo rzadko. Wstanie chłop rano i przeciąga się a ziewa i zaledwie Boga pochwali, użci zagląda w garnek! Niechżeby tam w garnku nie było, dopieroby baba miała się z pyszna! Siądzie potem przy owym garnku i zajada pomału, układając w żołądku łyżkę po łyżce jakby snopki w stodole. — Potem wyjrzy na świat, przyglądając się słońcu—głową kiwnie, czapkę na głowę wsunie i do izby wraca, mówiąc: iżby trzeba iść kosić! Ale cóż kiedy kosa nie poklepana, więc by ją dopiero należało klepać, i pożyczać babki *) u sąsiada. „Ej, co tam!

---

*) Kowadełko do klepania kosy.

to się jutro posiecze, a na nią dość zajrzeć!“ Idzie więc bez kosy zaglądać na łąkę, a idzie krok za krokiem, z głową zwieszoną jak desperat; dojdzie do łąki, spojrzy i wraca do domu, czekając południa, aby koniom zarzucić garść siana i samemu wypróżnić miskę jedną i drugą.—Po południu zdaje się chłopu, że zaczynać nie warto, bo się gdzieś i jakoś chmura, a więc przeszedł dzień na próżniactwie, a dni takich może połowa w roku.

Z próżniactwa krew gęstnieje, różne złogi robią się w żołądku i kiszkach, i stawy w kościach oraz ściągacze odwykają od ruchu, przeto każda praca jest dla nich później mozolniejszą. — Z próżniactwa wyradza się też ważna choroba, a tą jest: Głód na przednowku!... W tym głodzie zamiast chleba i ziemniaków, zmuszonym się jest zajadać *lebiodkę* i inne strawy zaledwie mąką obsypane, i żyje się gorzej od bydlęcia, a ztąd choroby i nawet w wielu razach puchlina przychodzi... i ot, gotowiusieńka śmierć, co ją samochcąc przywabił próżniak na siebie.“

Owóż widzicie sami, moi kochani, jak to z grzechami waszemi chodzą też ręka w rękę rozmaite choroby! toć to ***pijaństwo, obżarstwo, gniew i próżniactwo*** — one was gubią po większej części, i już tu na ziemi czynią wam życie niemiłe, mizerując wasze ciało, a cóż dopiero mówić po śmierci! tam już czart czycha na duszę twoją i na wieczne potępienie ją wiedzie. Więc uchylajcie się od wszelkiej pokusy; w kościele a nie po karczmach szukajcie pociechy; w miarę pożywajcie chleb Boży; nie zapalajcie się gniewem lada czego i ochoczo w imię Boże bierzcie się zawsze do pracy — a wnet sami zobaczycie, jak się to przyda dla duszy i dla zdrowia waszego na pożytek.

RÓŻNOŚCI.

Wróbel jako poseł. Pewna pani niezmiernie lubiła małe ptaszki. Skoro zima nastała — prawdziwy dla ptaszków przednowek — dobra pani co rana zmiatała śnieg z ganku i posypywała pszenicą, aby się to maleństwo skrzydlate miało czem pożywić. I każdą razą nazlatywało się tego biedactwa tyle, że aż czarno było na ganku. Pani stała między niemi jako ta gospoś, dosypując im ziarna, a one niby kurki domowe takie łaskawe, dziobały sobie spokojnie ziarnko po ziarnku, ćwierkocząc radośnie. Ale już najłaskawszy między niemi był jeden wróbel — ten skoro przyleciał, zaraz tej pani siadał na rękę, dał się pogłaskać,

ucałować, i z własnych jej rąk przyjmował swoje dzienne śniadanie. Raz też przyleciał i po zwyczaju wprost do swojej dobrodziejki, która zaraz spostrzegła, że ma cosik przywiązanego do szyi. Był to paluszek od starej rękawiczki, a w nim schowana była karteczka zapisana temi słowy: „Uczciwi ludzie, sąsiedzi pani są w wielkiej biedzie — może będzież tyle dla nich łaskawą, co dla tej skrzydlatej rodziny, którą wspomagasz co rano?“ — Dobra pani idzie zaraz do izby, bierze papier co wartał 600 reńskich walutowych, kładzie w paluszek od rękawiczki, i podwiązawszy go pod szyję wróblowi, puszcza onego dziwnego posła w świat. W kilka dni potem wraca drobny posłaniec, przynosząc drugi taki liścik: „Ocaliłaś pani biednego ojca z liczną rodziną — na wiosnę oddamy ci te 600 reńskich.“ — Minęła zima — z początkiem wiosny wróbel znów się ukazuje z małym woreczkiem pod szyją, a gdy go rozwiązała nasza pani, znalazła tam swoje pieniądze i takie podziękowanie: „Oddajemy wielmożnej pani, cośmy jej byli dłużni i dziękujemy bardzo pięknie za wypożyczenie.“ — Napróżno pani łamała sobie głowę, ktoby zaś był ten uczciwiec, co jej pieniądze zwrócił. Dopiero w jakiś czas potem dowiedziała się o jego nazwisku, a to w ten sposób. Razu jednego poszła ona sobie na przechadzkę, aż tu nagle zafurczało jej coś wedle ucha. Patrzy, i poznaje znajomego sobie wróblika. Nuż tedy pieścić i całować kochaną ptaszynę, gdy w tem zbliża się jakiś młody człowiek i domaga się o wróbla jako o własność siostry swojej. Był to syn jej najbliższego sąsiada, malarza i ojca kilkorga dzieci. I już też więcej nasza dobra pani nie łamała sobie głowy, kto był jej dłużnik, skoroć się teraz dowiedziała, że on maleńki posłaniec należał do jej sąsiada. —

☞ *Właśnie w tym miesiącu Grudniu kończymy pierwsze półrocze „Dzwonka.“ W dodatku do dzisiejszego numeru przesyłamy naszym pilnym czytelnikom podług dawnej obietnicy: malowany obrazek* Matki Boskiej Anielskiej, osobny napis *czyli* tytuł *i* wykaz *po szczególe tego wszystkiego, co było dotychczas powiedziane w Dzwonku, a także i* różową okładzinkę, *abyście już mieli książeczkę jak się patrzy.*

Zarazem ogłaszamy przedpłatę *na drugie półrocze naszego pisemka, to jest na czas od 1. Stycznia r. 1860 aż do ostatniego Czerwca tegoż roku. Ma się wiedzieć, że kto zapłacił całe* dwa złr., *do tego się to nie stosuje — kto zaś jeno* jeden złr. *zapłacił, a Dzwonek mu się spodobał i radby go nadal zatrzymać, ten będzie łaskaw przed nowym rokiem nadesłać nam tego reńskiego, i na osobnej kartce drukowanej, co mu ją na ten cel przesyłamy, wypisać dokładnie:* imię i nazwisko swoje, miejsce zamieszkania i pocztę najbliższą.

Spodziewamy się, żeście już nas dotychczas dobrze poznali, i nikt nie powie, abyśmy byli ludzie złej woli, zapraszający się z tym naszym Dzwonkiem w gościnę do waszych chat, ta i do serc waszych. To też nie odmawiajcie nam tej gościnności, o którą was i nadal pięknie prosimy — a wszystko dla waszego własnego dobra!...

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**